

BRANKA

ELAINE COFFMAN

Prolog

Anglia, 1857

W Emberly Hall obchodzono Wigilię.

Właśnie brzmiały ostatnie dźwięki pieśni *God Rest Ye Merry Gentleman*, kiedy w długim holu prowadzącym do wielkiego salonu rozległ się odgłos kroków. Służący oderwali się od zajęć i ze zdziwieniem patrzyli na przybyszów, pytając jeden drugiego, kim są ci ludzie.

- To wicehrabia - szepnął lokaj do pokojówki. - Niech nas wszyscy święci mają w opiece. Syn marnotrawny wreszcie powrócił.

Lokaj podszedł, żeby wziąć od nich płaszcze. Towarzysząca panu kobieta podała mu swoje okrycie, ale mężczyzna odprawił go machnięciem dłoni.

Od wielu lat niewidziany syn księcia Warrenton nie czekał, aż służący zaanonsuje jego przybycie, pchnął rzeźbione drzwi wielkiego salonu i wszedł do środka. Był ubrany w obszerne futro z niedźwiedzia grizzly. Miał długie włosy i zmierzwioną brodę, na których zaczynały już topnieć płatki śniegu.

Na widok wchodzącego wszyscy zerwali się na równe nogi, nawet ci, którzy pamiętali go jako zwracającego powszechną uwagę młodego człowieka. Respekt budził nie tyle jego wyjątkowo wysoki wzrost, co spojrzenie wyrażające poczucie niewy-

muszonej siły. W naznaczonej głębokim smutkiem twarzy było coś dzikiego i odpychającego.

Towarzyszyła mu kobieta, jakiej nikt z zebranych w wielkim salonie jpszcze nigdy w życiu nie widział. Włosy splotła w dwa spływające na plecy warkocze, a ubrana była w sukienkę z jeleniej skóry, ozdobioną zwierzęcymi zębami. Na nogach miała długie, sięgające prawie do kolan buty. Stapała na miękkich podszewkach miękko i bezszelestnie jak kot, który schował pazury. Zjawiła się wśród nich równie niespodziewanie jak wiatr, wpadający przez uchylone okno.

Mężczyzna nie zwracał uwagi na westchnienia zaskoczonych ludzi, na ich pełne niepokoju szepty. Bez słowa ruszył w stronę księcia Warrenton. Zsunął z ramion ogromne niedźwiedzie futro. Pod spodem miał zniszczone skórzane ubranie.

Kobieta szła za nim, trzymając się nieco z tyłu, w pełnej szacunku odległości, ze spuszczoną głową, jakby podniesienie jej i spojrzenie na otoczenie mogło być obraźliwe.

Zapadła pełna napięcia cisza. Wreszcie wrócił do domu od dawna niewidziany syn księcia Warrenton, a nikt z obecnych w Emberly Hall nie śmiał nawet głośniejsz odetchnąć.

Ciszę przerwała dopiero żona księcia, Octavia, która, mimo że w pierwszej chwili była zaszokowana i zasłoniła usta rękami, wykrztusiła wreszcie:

- William? Wielki Boże na wysokościach! To naprawdę ty?!
- Człowiek może zwieść każdego, ale nie kobietę, która dała mu życie. Jak się masz, kochana mamó? - Słaby, drżący uśmiech pojawił się na ukrytych w rudawej brodzie ustach przybysza.

Księżę Warrenton zignorował słowa żony i syna; na jego czerwonej, piegowatej twarzy pojawił się wyraz wściekłości.

- Jak śmiałeś pojawić się przed swoją matką i siostrami ubrany jak dzikus, którym pewnie się stałeś?
- Charles, proszę... - Octavia położyła dłoń na ramieniu męża, lecz strącił ją zirytowany.
- Co to wszystko ma znaczyć? - zwrócił się do syna.

- No cóż, ojczu, jak widzisz, przyjechałem do domu na Boże Narodzenie. Sam po mnie posłałeś, pozwolę sobie przy pomnieć. Posłaniec nalegał, abym się pospieszył.

Nikt nie odważył się poruszyć. Nikt nie odważył się odezwać. W pokoju zapadła ciężka do zniesienia cisza. Nawet wiatr, który jeszcze przed chwilą wściekle walił śniegiem w okna, ucichł w tej chwili.

Słychać było jedynie ciężki oddech księcia. W jego szarych oczach malowała się wściekłość, a szyja ponad nienagannie zawiązanym fularem zdawała się pęcznieć. Spojrzał na syna pogardliwie, rozdzymając nozdrza.

- Piłeś.
- Owszem, choć mniej, niż zamierzałem. - William lekko skinął głową. Zachwiał się nieco, ale zaraz się wyprostował. Wyjął z kieszeni butelkę i podniósł ją do ust.

Ojciec wyrwał mu ją i odrzucił na bok. Rozbite szkło rozprysło się na idealnie wyfroterowanej podłodze. Z kałuży na dębowym parkiecie rozszedł się po pokoju silny zapach whisky i zmieszał się z aromatami świąt Bożego Narodzenia.

- Mam więcej butelek. - Powoli, przeciągając słowa, niemal leniwie wycedził nieporuszony William.

W pokoju rozległ się szmer niespokojnych głosów. Od dłuższej chwili nikt nie odezwał się ani słowem. Niepokój narastał i wreszcie musiał znaleźć ujście.

Młodsze dzieci zostały cichutko wyprowadzone z salonu. Pozostali członkowie rodziny zbili się w grupę i poszeptując coś do siebie, cofnęli się o kilka kroków, jakby chcieli zewrzeć szeregi i zająć bardziej bezpieczną pozycję na tyłach nakreślonych już linii pola bitwy.

Octavia wodziła wzrokiem od męża do syna, jakby toczyła wewnętrzną walkę. Potem bez słowa podeszła do syna, objęła go i przytuliła do siebie.

- To najwspanialszy prezent świąteczny, jaki mogłam dostać. Od dnia, w którym odszedłeś z domu, modliłam się za twoją duszę i za twój szczęśliwy powrót. I dziękuję Bogu, że moje

modlitwy zostały wysłuchane. - Pocałowała syna w policzek. - Najdroższy Williamie, straszliwie za tobą tęskniłam.

- Dziękuję za twoje modlitwy, mamó. Ja także za tobą tęskniłem. - Jego głos nie był tak ostry i gniewny jak wtedy, kiedy zwracał się do ojca.

Octavia oderwała wzrok od twarzy syna i spojrzała na dziwnie ubraną kobietę, trzymającą się za jego plecami. W jej oczach pojawił się wyraz przedziwnej dobroci.

- A twoja towarzyszka? Kogo nam przywiozłeś, Williamie? Czy ona pochodzi z Ameryki?

- Tak, ona...

Ojciec przerwał mu nagle, dotykając palcem emblematu łoża masonskiej, przytwierdzonego do łańcuszka zegarka.

- Co ty wyrabiasz?! Jak śmiałeś wprowadzić jakąś plugawą posługaczkę w sam środek zgromadzenia rodzinnego? To Wigilia! Postradałeś zmysły? Czy w tym dzikim kraju całkiem zapomniałeś o dobrych manierach, o naszych obyczajach? Zabierz ją stąd! Natychmiast

- Charlesie...

- Nie wtrącaj się, Octavio. To sprawa między Williamem i mną. Ciebie to nie dotyczy. - Księżę Warrenton ponownie zwrócił się do syna: - Słyszałeś, co powiedziałem? Masz ją natychmiast stąd wyprowadzić!

- Słyszałem, co powiedziałeś, ale obawiam się, że zaszło nieporozumienie. Szybkonoga nie jest moją służącą.

- Nie obchodzi mnie, czy...

- Jest moją żoną.

Wszyscy gwałtownie wciągnęli powietrze.

- Twoją żoną? - Na twarzy Charlesa malowała się czysta furia.

- Na Boga, czy nie istnieje żadna granica, której byś nie przekroczył?

- Najwyraźniej nie. - William wzruszył ramionami. Na jego ustach pojawił się złośliwy uśmiech, a w oczach zatańczyły isierki triumfu.

Po tych słowach William Woodville, wicehrabia Linwood,

jedyny syn i dziedzic księcia Warrenton, odwrócił się na pięcie i opuścił wielki salon Emberly Hall, porzucając żonę.

Wszyscy obecni odwrócili się i spojrzeli na wychodzącego.

Wszyscy poza jedną osobą.

Tylko Octavia spojrzała na dziewczynę, którą jej syn zostawił, i dokonała zaskakującego odkrycia. Bo dla każdego, kto zadał sobie trud, żeby się jej przyjrzeć, musiało natychmiast stać się oczywiste, że dziewczyna, choć ubrana w indiański strój, jest... biała.

Tą dziewczyną była Margery Mackinnon. A oto jej historia.

1

Terytorium plemienia Crow, wrzesień 1857

U zbrojony w kredki i pędzle William Woodville, wicehrabia Linwood, przybył z Anglii jesienią 1854 roku, żeby tropić Indian. I znalazł ich.

Przez następne trzy lata włóczył się po okolicy, malował i szkicował sceny z życia plemienia. Ponury artysta z angielskim tytułem szlacheckim i przeszłością, od której próbował uciec.

Wrzesień miał się już ku końcowi, a William i jego towarzysze przebywali w dolinie Yellowstone od początku maja. Było niebywale ciepło jak na tę porę roku, ale w tych okolicach w ciągu jednej nocy pogoda mogła się zasadniczo zmienić. Zdawał sobie sprawę, że już czas stąd odejść; czas przenieść się bardziej na południe, bo istnieje ryzyko, że zostaną zaskoczeni przez nagłą śnieżycę, a wówczas musieliby pozostać w tej dolinie aż do wiosennych roztopów.

Tak, powinni już wyruszyć w drogę, ale William codziennie wyjeżdżał w teren i robił kolejne szkice. Wreszcie podjął decyzję, że następnego dnia zwiną obóz i udadzą się w górę rzeki, w pobliże zimowego obozu plemienia Crow.

Usiadł przy małym obozowym ognisku i ponurym wzrokiem wpatrywał się w tajemniczy taniec płomieni. Czuł, że w miarę jak ogień pochłania wysuszone drewno, budzi się w nim artysta. Wizje plastyczne wołały go milionami głosów, a on siedział

i słuchał. Wstrząsały nim dreszcze podobne do tych, jakimi przejmował go porywisty wiatr schodzący z pobliskich gór. Nawet w tej chwili odczuwał ogromną potrzebę, wręcz przymus, żeby wyrazić to, co kryło się na dnie jego duszy. Podejrzewał, że przez całe życie nie zdoła namalować tego wszystkiego.

Wiedział już, że będzie pracował przez całą noc, że pójdzie do namiotu i będzie malował jak w gorączce, jak w amoku, z szybkością, która zadziwi nawet jego samego. Odda się swojej pasji, szaleńczo zapatrzony w barwy i ich subtelne odcienie, i będzie malował, dopóki ręka nie opadnie mu ze zmęczenia, a farba nie zacznie skapywać z płótna na ziemię. Wtedy, dopiero wtedy będzie mógł usnąć.

- „Powiada się, że miłość czasem przychodzi spacerkiem, a czasem przylatuje jak wiatr; czasem biegnie radośnie, a czasem kroczy dostojnie; jednych zmienia w sople lodu, inni gorzej w płomieniach; niekiedy rani, niekiedy zabija; pojawia się i znika w jednej chwili, jak błyskawica: twierdza, oblegana o poranku, wieczorem poddaje się; bo nie ma takiej siły, która zdołałaby się jej oprzeć”.

Dwóch mężczyzn, którzy siedzieli naprzeciw niego przy ogniu, podniosło głowy. Jeden z nich, szkocki traper Festus McGillvry, nie odezwał się ani słowem i wrócił do ogryzania króliczego udka. Drugi, smukły i delikatny Anglik, Daniel Boardman, wrzucił resztki swojego królika do ognia. Był najstarszym i najserdeczniejszym przyjacielem Williama.

- Znowu wpadamy w poetycki nastrój?

- Może. - William odstawił na ziemię talerz z nietkniętym jedzeniem.

- Trzy noce z rzędu? - Dan gwizdnął. - To chyba nowy rekord?

- Prowadzimy statystykę?

- Nie ja... choć może powinienem to rozważyć. - Głośny śmiech Daniela rozległ się w całym obozie. - Co przed chwilą cytowałeś? Zabrzmiało znajomo, ale nie mogę sobie przypomnieć, co to było.

- Cervantes.

- A, *Don Kichot*.

Lekki uśmiech pojawił się na wargach Williama, ale za chwilę zniknął, pozostawiając zaledwie cień czegoś, o czym wydawało się, że już dawno zapomniał: humoru.

- Słusznie. Znasz jakieś inne utwory Cervantesa?

- Prawdę mówiąc, nie, ale to ty byłeś zawsze prymusem w szkole, nie ja. - Daniel roześmiał się pogodnie.

William nie odpowiedział.

Po chwili Festus wrzucił resztki swego posiłku do ognia i wstał.

- Zajrzę do koni. - Przeciągnął się i ruszył do przywiązanych w pobliżu wierzchowców.

- Zamierzasz coś zjeść? - zapytał Daniel, obserwując Festusa, krzątającego się wokół zwierząt.

- Później - mruknął William, spojrzawszy na swój nietknięty talerz.

- Jeśli ma ci to poprawić samopoczucie, to jestem skłonny przyznać, że i mnie także nie zachwyca jedzenie królika trzy razy dziennie.

Kiedy Will nie odpowiedział, przyjaciel zmarszczył czoło.

- Co się z tobą dzieje? Od kilku dni jesteś okropnie ponury.

- Sam nie wiem, nie mogę się pozbyć pewnego uczucia - mruknął William po chwili milczenia.

- Jakiego uczucia?

- Wydaje mi się, że coś się wydarzy.

- Chyba nie przewidujesz mojej choroby, co?

- Nie, nie o to chodzi. To chyba musi dotyczyć mnie. Pamiętasz noc poprzedzającą śmierć Anthony'ego?

- Oczywiście. Przecież nie co dzień mój przyjaciela ginie porwany przez lawinę. Czy to właśnie cię gryzie? Śmierć Anthony'ego?

- Nie, ale przypomnij sobie, jak w nocy poprzedzającej wypadek siedzieliśmy wokół takiego samego ogniska. Anthony był przygnębiony. Co noc nawiedzał go ten sam sen. Śniło mu się, że umiera.

- A następnego dnia zginął. Czy ty także miewasz sny? Sny o śmierci?

William nie odpowiedział.

- Jeśli tak, to świetnie, po prostu cudownie! Wywieź mnie w taką dzicz, do kraju zapomnianego przez Boga, a potem umrzeć sobie i zostawić mnie całkiem samego na pastwę gromady dzikusów, złaknionych skalpów.

- Nie, nie sądzę, żeby groziła mi śmierć, ale coś się musi wydarzyć. - William zdobył się na błądy uśmiech. - Coś, co odmieni moje życie.

- Znakomita okazja, żebym wyrecytował jedyny cytat, który znam. „Gotowość to wszystko”, Szekspir. Tylko nie pytaj mnie. z jakiej to sztuki.

- *Z Hamleta.*

- Nigdy nie byłem w stanie pojąć, jakim cudem udaje ci się zapamiętać te wszystkie cytaty. - Dan potrząsnął głową,

- Mogę bez trudu recytować strofy poezji, ale nie jestem w stanie przypomnieć sobie, kiedy ostatnio spałem w prawdziwym łóżku ani kiedy leżałem między nogami kobiety.

- Ja pamiętam... niekoniecznie łóżko, ale to drugie stoi mi jak żywe przed oczami.

- A kiedy to było?

- Kilka tygodni temu. A ty?

- Już ci mówiłem, nie mam pojęcia.

Daniel rozważał przez chwilę słowa przyjaciela.

- Cóż, jeśli mam być szczerzy, to i ja nie mogę sobie przypomnieć. - Jęknął i zerwał się na równe nogi. - Ciekaw jestem, czy kiedykolwiek zdołam się przyzwyczaić do siedzenia na twardej ziemi. Po pięciu minutach każdy członek mojego ciała zapomina, jak powinien prawidłowo funkcjonować. - Podeszedł do Williama i poklepał go po plecach. - Rozpogódź się, stary. Jeśli się przyjrzeć twojemu życiu, wszelka zmiana może oznaczać tylko jedno.

- Co?

- Poprawę.

William popatrzył w ślad za odchodzącym przyjacielem, a potem znów wbił wzrok w płomienie. Słyszał, jak Dan przygotowuje sobie legowisko na noc. Po kilku minutach dobiegło go głębokie westchnienie przyjaciela i lekkie pochrapywanie.

Jakże zazdrościł mu spokojnego snu wolnego od zmór z przeszłości!

Kiedy wysoki księżyc pograżył świat w samotności, William sięgnął po leżący obok szkicownik i zaczął kreślić kanciaste kontury domu swego dzieciństwa. Nie eleganckiej rezydencji przy ulicy St. James w Londynie, ale wiejskiej siedziby w Mid-lands. Emberly Hall z jego łupkowym dachem i otoczonym murami ogrodem. Narysował stary jak świat dąb o konarach tak potężnych, że mieściło się na nich sześć huštawek: jego, brata Jamesa i czterech sióstr; dwóch starszych od niego, Mariannę i Caroline, i dwóch młodszych, Elizabeth i Emily.

Odwrócił kartkę i nakreślił portret matki: starannie, szczegółowo rysował oczy, w których znajdował zawsze miłość i zrozumienie, śliczną linię ust, czarne, siwiejące już włosy. Przysunął się bliżej do ognia, żeby ostatnie promyki światła padły na szkic. Szybko dorysował burzę wspaniałych koronek na jej szyi, które ocieniały pełną dolną wargę ust.

Potem naszkicował portrecik o dwa lata starszego kuzyna Johna Woodville'a. John i Will byli sobie bliscy jak bracia. Bracia. To zwykłe słowo ugodziło go w samo serce. Pomyślał o swym jedynym bracie, Jamesie, młodszym bracie, którego zawsze musiał pilnować. O Jamesie, który z radosnym uśmiechem ogłosił swoje zaręczyny z towarzyszką ich dziecinnych zabaw, Lydią. O Jamesie, braciszku, który spoczywa w płytkim grobie na Krymie; Will zdradził go, zanim jeszcze piękne, pozbawione życia ciało brata całkiem ostygło.

Próbował narysować Jamesa, ale, jak zwykle, ból odebrał mu siły. Nie mógł znieść rozpacz i poczucia winy, nie mógł znieść wspomnień, które doprowadzały go do szaleństwa. Odsunął przed oczu obraz brata, odsunął od siebie ból, poddał się chęci malowania.

Niecierpliwie odwrócił kartkę i narysował twarze sióstr, jedną po drugiej, przywołując z pamięci ich rysy, równie dobrze mu znane jak własna twarz: pieprzyk w lewym kącie ust Caroline; ślad po ospie między oczami Mariannę; wicherek w czarnych włosach Elizabeth; figlarny uśmiech na ustach Emily.

Skończył i odwrócił stronicę, żeby naszkicował osobę, której dotychczas unikał: ojca. Przez kilka minut wpatrywał się w białą czystą kartkę, pragnąc, aby pojawił się na niej obraz ojca, i czując dobrze znaną mieszaninę bólu i gniewu.

Gwałtownie zamknął szkicownik i wstał. Pochylił się, podniósł z ziemi talerz z jedzeniem i wrzucił królika do ognia. Z ogniska wystrzelił w niebo snop iskier, czemu towarzyszyło trzaskanie płomieni.

Potem odwrócił się i poszedł do swojego namiotu, w którym malował przez całą noc, zatracając się ponownie w spokoju słonecznych barw i złocistej jasności.

2

Margery... Margery... Margery...

Słowa prześladowały ją, były jak rozsypane fragmenty układanki-kołysanki, piosenki, która przywodziła na myśl ciepło matczynych ramion i czas dawno już zapomniany, fragment życia, którego nie mogła sobie przypomnieć, tajemnicę swojego pochodzenia, która zniknęła gdzieś na mrocznych ścieżkach jak utkana z niewidzialnych nitek; nitek, mieniących się tuż-tuż, ale niedających się uchwycić; wstęgi o czarownych barwach, po które sięgała, starając się uchwycić choćby brzeżek, bo mógłby doprowadzić ją do wiedzy o tym, kim jest i skąd pochodzi.

Ale, jak zwykle, okazały się iluzją, nieuchwytną mrzonką.

W chwili, kiedy wyciągała rękę i już niemal owijała wstęgę wokół dłoni, głosy znikły; czarowne barwy blakły i budziła się, ciężko dysząc, z mocno bijącym sercem, a odpowiedzi, których tak desperacko szukała, nie były ani trochę bliżej niż tego odległego dnia, kiedy jej los został przypieczętowany.

Otworzyła oczy. Przez chwilę nie mogła sobie uświadomić, gdzie jest. Jak w transie podniosła rękę do czoła. Przypomniała sobie sen i zaczęła się zastanawiać, dlaczego zawsze kończył się tak samo, dlaczego nie mogła zobaczyć niczego poza mglistymi wizerunkami rodziców, dlaczego widywała jedynie sylwetki bez twarzy i słyszała głosy bez imion...

Dostrzegła wreszcie niespuszczającą z niej wzroku starą Indiankę i przypomniała sobie wszystko.

Szybkonoga posmarowała włosy niedźwiedzim tłuszczem, wtarła w nie pachnące zioła i zaplotła w dwa warkocze. Rozejrzała się po tipi, który był jej domem. Stara Babka, kobieta z plemienia Crow, z którą dziewczyna mieszkała od pięciu lat, zapytała, czy Margery się boi.

- Nie boję się. Czuję tylko obawę przed nieznanym. Wołała bym zostać tutaj, z tobą- odpowiedziała płynnie w języku Crowów. Popatrzyła na starą kobietę, pierwszą istotę, z którą nawiązała ludzki kontakt od chwili, kiedy przeszło dwadzieścia lat temu została pojmana. Stara Babka była jedyną osobą, która w czasie niewoli była dla niej dobra.

Ileż to zmian nastąpiło w jej życiu, ile to już razy musiała się przeistaczać? Wszystko zdołała przetrwać. Już w bardzo młodym wieku nauczyła się, że w życiu za wszystko trzeba płacić cierpieniem. Nauczyła się także, że przetrwanie nie zawsze warte jest bólu, którym trzeba za nie zapłacić. Pomyślała o nowej drodze życia, na którą właśnie wstępuje, i zaczęła się zastanawiać, co ją na niej spotka. Nie miało to oczywiście większego sensu, bo przecież nie mogło jej spotkać nic, czego by już wcześniej nie zaznała. Będzie musiała zapłacić każdą cenę. Już trzeci raz była sprzedawana innemu plemieniu. Tym razem Siuksom Mandana.

Stara Babka objęła starczymi rękami twarz Szybkonogiej.

- Nie bądź smutna i nie bój się. Jesteś *bii'tsi*, dobra kobieta. Miałam objawienie i już się o ciebie nie martwię. W moim objawieniu wielki potężny orzeł unosił w dal jasnowłosą kobietę.

- Co to znaczy?

- Może wpadniesz w oko jakiemuś przystojnemu wojownikowi Mandanów, który zabierze cię w nowe życie.

- I, jak inni, zaczniesz się mnie bać, więc ponownie zostaną sprzedana.

Jakiś Indianin zawołał do Starej Babki, że wojownicy Mandanów już przybyli.

- Chcą zobaczyć brankę - dodał.

Serce Szybkonogiej zaczęło bić mocniej i nagle ogarnęło ją przerażenie na myśl, że znowu zostanie wystawiona na sprzedaż. Zamknęła oczy ze strachu przed nieznaną przyszłością. Już tyle razy wołano ją w ten sposób i już tyle razy musiała sprzedawać własną duszę w imię przetrwania. Nie była niczym więcej niż kruchą muszelką, zagubioną duszą; ciałem bez ducha, sercem, które... nie bije, bez początku... bez rodziny... bez przeszłości.

Już dawno nauczyła się rezygnować ze wszystkiego, co było dla niej ważne, aby tylko przetrwać. I pewnie dlatego nie wiedziała, kim jest i skąd pochodzi.

- Nie martw się - mówiła Stara Babka. - Wiele z najwspanialszych i najdroższych koni było wielokrotnie wystawianych na sprzedaż. A teraz idź. Dwie Sztylpy już po ciebie przyszedł. Nie wolno ci rozgniewać Wielu Zasadzek spóźnieniem. Nie będzie dla ciebie zbyt miły, jeśli z twojej winy straci twarz przed Mandanami.

Nie chcąc Starej Babce przynieść wstydu, Szybkonoga powstrzymała się od płaczu; dumnie wyprostowana, rozchyliła klapy tipi i wyszła na dwór.

Dwie Sztylpy rzeczywiście już na nią czekał, więc ruszyła o krok za nim. Wpatrywała się w tył jego głowy. Nie musiała patrzeć, żeby wiedzieć, dokąd idzie. Już kilkakrotnie odbywała taką drogę. Wiedziała, że jest prowadzona do namiotu wodza Wielu Zasadzek.

Ale dzisiaj miało być inaczej. Dzisiaj, po zakończeniu handlu z plemieniem Mandanów, nie weźmie udziału w uroczystościach urządzonych z tej okazji przez plemię Crowów. Dzisiaj, kiedy Mandanowie będą opuszczać wioskę, ona pojedzie z nimi.

Jeszcze raz będzie musiała się przystosować.

Zdolność przystosowywania się była jej udręką. Ale także siłą, łaską umożliwiającą przetrwanie. Zamykał się jakiś rozdział jej życia i otwierał się następny, jak po jesieni następuje zima.

Kolejny raz musiała zmobilizować całą swą wewnętrzną siłę swą umiejętność przystosowania się do zmian, tak samo jak zając, zmieniający letnią brązową sierść na białą, zimową, kiedy zbliża się czas śnieżnych burz.

Jeszcze raz będzie musiała ulec.

Zaczynała się udreka...

3

William i jego ludzie opuścili obozowisko i poprowadzili juczne konie wzdłuż rzeki, a potem skręcili na wschód. Kiedy słońce stało już wysoko na niebie, ujrzeli zbliżających się ku nim dwóch jeźdźców. Nawet z tak znacznej odległości William zdołał dostrzec, że jeden z mężczyzn jest dżentelmenem, a drugi indiańskim przewodnikiem.

Co, do diabła, robi tutaj ten biały?

W chwili, kiedy przybysze zauważyli Williama i jego kompanię, puścili konie galopem. Kiedy zrównali się z nimi, jeden z mężczyzn zawołał:

- Hej, może przypadkiem któryś z was zna wicehrabiego Linwood?!

Zatrzymali konie. William i Daniel spojrzeli na siebie. Dan pochylił się w siodle i oparł skrzyżowane ramiona na łęku.

- A czego chcecie od wicehrabiego?

- To sprawa rodzinna - odpowiedział starszy z mężczyzn. - Czy to pan jest wicehrabią Linwood?

- Ja jestem wicehrabią - odpowiedział William.

- Jestem sir Reginald Fitzwalter, a to mój przewodnik, Joshua Dupree. Nie mogę wprost wyrazić, jak bardzo się cieszę, że spotkałem waszą lordowskąmość. Dupree i ja mieliśmy doprawdy

ogromne kłopoty z odnalezieniem waszej wysokości. Już od tygodni przeszukujemy te zakazane wzgórza.

- A dlaczego tak usilnie mnie poszukujecie?
- Mam list od pańskiego ojca. - Mężczyzna sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyjął kopertę.

- O czym pisze? - William nie wyciągnął ręki po list.

Mężczyzna wydawał się nieco skonsternowany, ale szybko nad sobą zapanował.

- Pański ojciec zaniemógł na gorączkę płucną. Chce, żeby pan natychmiast wracał do Anglii.

- I?

- Wszystko jest w liście, wasza lordowska mość. - Twarz mężczyzny była czerwona jak burak, najwyraźniej czuł się wyjątkowo nieswojo. Znow wyciągnął list w stronę Williama.

- Wolę, aby wiadomości przekazywano mi osobiście.

Sir Reginald odchrząknął.

- Pański ojciec pisze, że już najwyższy czas, aby się pan ożenił, a ponieważ, jak dotąd, nie zdradzał pan najmniejszych zamiarów, aby to zrobić, sam poczynił pewne starania, by zaaranżować pańskie zaręczyny.

- A niech to wszyscy diabli! - mruknął Daniel.

- A jeśli postanowię nie wracać? - zapytał William, jakby nie dosłyszał słów przyjaciela.

Sir Reginald wiercił się w siodle i starannie unikał patrzenia mu w oczy. Znowu odchrząknął.

- Ojciec twierdzi, że jeśli nie wróci pan do Anglii, będzie zmuszony pana wydziedziczyć. Grozi, że sprzeda lub odda każdy, najmniejszy nawet, skrawek ziemi, każdego szylinga, aby, kiedy wreszcie przejmie pan jego tytuł, nie odziedziczył pan kompletnie nic.

- Możesz powiadomić mojego ojca, że mnie odnalazłeś i przekazałeś wiadomość. - William podniósł wodze, żeby zawrócić konia.

- Pański list, wasza lordowska mość. - Sir Reginald znow odchrząknął i wyciągnął rękę z listem.

Tym razem William wziął kopertę, ale jej nie otworzył. Wręczył ją przyjacielowi. _ Włóż to do torby z papierami, dobrze? Daniel kiwnął głową i wziął od niego list.

- Czy pragnie pan, abym przekazał ojcu jakąś wiadomość? Czy wasza lordowska mość wróci do domu? Czy mogę mu podać przybliżoną datę pańskiego przybycia?

William nie odpowiedział. Pogrążył się w myślach o konflikcie z ojcem. Ten właśnie konflikt sprawił, że przed laty opuścił Anglię. Teraz miał ochotę zawołać, żeby sir Reginald wpełchnął sobie ten list w swoje pompatyczne gardło. Albo przynajmniej żeby przekazał ojcu, że syn nie ma najmniejszego zamiaru nigdy wrócić do Anglii. Ale druga, bardziej subtelna część jego osobowości wzbraniała się przed kolejnym sprawieniem bólu matce i siostrze.

William był rozdarty między pragnieniem, aby samemu zdecydować o swoim życiu, a poczuciem obowiązku wobec rodziny i tytułu.

Już od urodzenia był wychowywany w przekonaniu, że kiedy przyjdzie czas, zostanie księciem. Nadal wierzył w ten system. Westchnął, nie mogąc podjąć decyzji. Ten brak zdecydowania był świadectwem jego niedoskonałości. Obawiał się, że jeśli nie weźmie na siebie życiowych zobowiązań, to odda się rozpuście.

- Czy podjął pan decyzję, wasza lordowska mość? Wróci pan? Co mam przekazać księciu?

- Wrócę, ale wtedy, kiedy sam zdecyduję. - William nie czekał, żeby zobaczyć reakcję sir Reginalda. Zawrócił konia i odjechał, nie oglądając się na swych towarzyszy. Musiał poczuć ciepło słońca na plecach i wiatr wiejący w twarz. Musiał poczuć, że jest wolny.

Nawet jeśli miało tak być już tylko przez pewien czas.

4

Szybkonoga podążyła za Dwoma Sztylpami do kręgu, w którym zgromadzili się wojownicy Mandanów. Z kręgu dochodził coraz głośniejszy gwar, ale nikt nie podniósł wzroku na dziewczynę.

Handel wymienny musiał już trwać od pewnego czasu, bo, jak zauważyła, wiele koni zdążyło zmienić właściciela. Na ziemi rozłożone były płachty ręcznie haftowane przez kobiety Crowów, a wielu wojowników Mandanów ustroiło się już w przepiękne napierśniki, z których słyęło plemię Crow.

Spojrzała na Dwie Sztylpy, który wskazał jej, gdzie ma stanąć. Zajęła odpowiednie miejsce z pełnym pokory szacunkiem, którego ją nauczono. Doskonale wiedziała, co by ją spotkało, gdyby odważyła się sprzeciwić. Stała przed nimi w milczeniu, z pokornie opuszczoną głową.

Kiedy handel pióropuszcami wojennymi, sztylpami i mokasynami dobiegł końca, Wiele Zasadzek wstał z miejsca. Nie spojrzął na dziewczynę, pokazał tylko Dwu Sztylpom gestem, że ma ją przyprowadzić bliżej.

Bez wahania ruszyła za nim. Kiedy znaleźli się w wyznaczonym miejscu, Indianin cofnął się o kilka kroków, zostawiając ją samą. Głęboko nabrała powietrza, podniosła głowę i spojrzała na Mandanów. Właściwie nie patrzyła na żadnego z nich, utkwiała

wzrok w nauszniku jednego z wojowników. Starła się nie słuchać opowieści Wielu Zasadzek o białej brance, którą zdobył podczas najazdu na Czejenów przed pięcioma laty, ani o tym jak Czejenowie pojмали ją podczas wyprawy na Komanczów.

Żyła kolejno w wielu plemionach, które wykrađały ją sobie jak wartościowy przedmiot. Ale teraz było gorzej. Teraz nie była już łupem w wyprawie wojennej, tylko towarem na sprzedaż. Takim samym jak koce, konie czy mokasyny. Przestała być nagrodą dla zwycięzcy, stała się przedmiotem nie lubianym lub budzącym obawę, którego trzeba się pozbyć. Od tej chwili będą nią pogardzać i patrzeć na nią z góry.

Myśl o kolejnym, jeszcze większym upokorzeniu sprawiła jej przykrość.

Nie słyszała, co o niej mówią, ani jakie opowieści snują na jej temat. Nie spojrziała na Mandanów, żeby sprawdzić, jak zareagowali na słowa Wielu Zasadzek. Jak to już wielokrotnie robiła, zamknęła się we własnym wewnętrznym świecie, do którego nie miały dostępu ból i nieszczęścia, jakich nie szczędziło jej życie.

I na krótką chociaż chwilę zaznała spokoju.

William przez pół godziny po opuszczeniu sir Reginalda i jego przewodnika jechał daleko przed swymi towarzyszami. Wreszcie Daniel i reszta grupy zrównali się z nim.

Daniel zbliżył się do przyjaciela, zatrzymał konia i złapał za uzdę wierzchowca Willa.

- Nadal chcesz jechać do obozowiska Crowów?

- Oczywiście. Nic się nie zmieniło. - William kiwnął głową dla dodatkowego potwierdzenia.

- A twój ojciec? Zamierzasz wrócić?

- Nie wiem. Jeszcze nie podjąłem decyzji.

- Twój ojciec jest chory.

- Ja go nie obchodzę. I nigdy nie obchodziłem. Jego największym marzeniem, poza tym, żebym się nigdy nie urodził, było to, abym to ja zginął, a nie James.

- Może teraz już tak nie myśli. Starość zmienia ludzi, przecież wiesz.

- Nawet tobie nie uda się przedstawić prawdy w jaśniejszych barwach tak, by robiła wrażenie prawdopodobnej. Czy byłbyś w stanie podać mi choć jeden powód, dla którego ojcu miałyby zależeć na mnie zależeć?

- Jest umierający. Chciałby, aby jego tytuł miał sukcesora.

- Doskonale wie, co może zrobić ze swoim tytułem.

- Will, według angielskiego prawa tytuł przypadnie tobie, niezależnie od tego, czego ty sobie życzysz i czego chce twój ojciec.

- Wiem.

- Poza tym nic mnie nie przekona, że tytuł naprawdę nic a nic cię nie obchodzi. Podejrzewam, że w głębi duszy pozostałeś Anglikiem do szpiku kości.

- Znowu! - Will spojrzął na przyjaciela. - Jeśli skończyłeś już snuć swą niezbyt ciekawą sagę, może ruszylibyśmy wreszcie do obozowiska Crowów.

- Prowadź, wasza lordowska mość! - Daniel uśmiechnął się szeroko.

Will puścił konia galopem. Dan jechał u jego boku. Wkrótce minęli wąski łańcuch górski. U ich stóp leżała rzeka Yellowstone, wygięta w tym miejscu jak tylna łapa psa. W samym środku zakrętu ulokowała się wioska Crowów.

Tego dnia panował w niej niespotykany ruch. Nawet z tak znacznej odległości William dostrzegł, że plemię Crowów prowadzi handel wymienny z wojownikami Mandanów. To zapowiadało dodatkową atrakcję: okazję do naszkicowania kilku scen z targu, które później będzie mógł przenieść na płótno.

Koń Dana zarżał i zaczął grzebać nogą w ziemi.

- Wjeżdżamy do wioski?

- Nie, najpierw zrobię kilka szkiców z tego miejsca. - Will zatrzymał swojego wierzchowca.

Już miał zsiąść z siodła, żeby wyjąć z torby szkicownik, kiedy usłyszał słowa Pierre'a, jednego z francuskich przewodników.

- *Mon Dieu*! Oni sprzedają squaw.

- Wątpię, aby to była squaw z plemienia Crow. Nigdy nie widziałem, aby sprzedali jedną ze swoich kobiet - powiedział Fergus, wjeżdżając wyżej. - To pewnie branka, którą pojмали podczas jakiejś wyprawy.

Inny przewodnik, Etienne, spojrzął na Pierre'a osłupiałym wzrokiem.

- Wielkie nieba, przysięgłbym, że to biała kobieta. Spójrz na jej włosy. Są kasztanowe!

- W takim razie założę się, że to Metyska. - Fergus nawet nie zadał sobie trudu, żeby spojrzeć.

- Wątpię, aby była półkwi Indianką. - Daniel, który uważnie przyjrzał się kobiecie, zerknął na Fergusa i potrząsnął głową.

William, usłyszawszy słowa przyjaciela, odwrócił się w siodle i przyjrzał się scenie w dole. Beznamiętnie obserwował, jak prowadzą młodą kobietę i ustawiają ją na wprost wojowników Mandanów.

- *Monsieur*, ona jest biała! - Pierre podjechał do niego i położył mu dłoń na ramieniu.

Niegdyś William zapewne by się tym przejął. Dawno, dawno temu. W czasach, gdy przejmował się także sobą.

Daniel klepnął swego wierzchowca i podjechał bliżej. Po chwili jego przyjaciele i reszta grupy podążyli za nim. Czekał na nich.

- Wiesz, Will, myślę, że Pierre ma rację. Mnie ona też nie wygląda na Indiankę. Jest zbyt wysoka i wyróżniają coś jeszcze.

- Crowowie to przystojni ludzie.

- To nie o to chodzi... jest coś... Sam nie wiem. Podjedźmy bliżej. Tam też możesz zrobić kilka ciekawych szkiców.

William skinął głową i pięciu jeźdźców przebyło rzekę w bród. Kiedy wjechali do wioski, William zauważył, że doszło do jakiegoś nieporozumienia. Nagle jeden z wojowników Mandanów zerwał się na równe nogi i krzycząc coś, ruszył w stronę dziewczyny.

Ta kobieta przykuła jego uwagę, kiedy podjechali do przeciwnego skraju kręgu. Nie odrywał od niej wzroku. Mandański

wojownik zatrzymał się tuż przed nią, bez uprzedzenia złapał za rękawy jej ubrania i mocno szarpnął. Skórzane rzemyki puściły i ubranie zsunęło się, obnażając kobietę do pasa.

- Spójrzcie tylko - szepnął Pierre bez tchu. - Jaka piękna!

- I niewątpliwie biała - stwierdził Will. Już miał zawrócić konia i odjechać, kiedy kobieta podniosła głowę i spojrzała wprost na niego.

Poraziły go utkwione w jego twarzy jasne, błyszczące, zielone oczy. Ich spojrzenia spotkały się na moment i dziewczyna opuściła wzrok, ale jej postawa wyrażała nieustępliwą dumę. Wyczuwał jej zażenowanie. To była bez najmniejszych wątpliwości biała kobieta.

W tym momencie opanowało go jakieś dziwne doznanie, którego sam nie był w stanie wyjaśnić. Poczł się tak, jakby to on tam stał, jakby to on czuł upokorzenie, wstyd. Przeniósł się nagle w całkiem inne miejsce i w całkiem inny czas, znalazł się w Anglii w chwili, kiedy jego przyszłość zapowiadała się równie nieciekawie jak teraz tej dziewczyny. Przeniósł się do chwili, kiedy i on także czuł upokorzenie i ból.

Do chwili, gdy kobieta, którą kochał, przedłożyła bogactwo nad jego miłość. Do chwili, gdy jego ojciec przeklinał godzinę, w której William przyszedł na świat, i gdy oskarżał go o śmierć brata.

- Kup ją - szepnął Will.

- Kupić ją? Co ty mówisz? - Dan gwałtownie podniósł głowę.

- Słyszałeś, co powiedziałem. Kup ją. - Głos Williama był twardy i beznamiętny.

- Zastanów się, co robisz. - Dan objął dziewczynę wzrokiem. - Ona ma w sobie więcej z dzikuski niż z białej kobiety.

Fergus, który zwykle przestrzegał szkockiego obyczaju nieujawniania własnych uczuć, odwrócił się także i stanął twarzą w twarz z Williamem.

- Chcesz ją kupić?

- Dajcie im za nią wszystko, czego zażądamy. - William zawrócił konia i odjechał, nie czekając na opinie pozostałych.

Daniel wskoczył na siodło i dogonił przyjaciela.

- Will, nie możesz kupić tej dziewczyny.

- Dlaczego?

- A co my z nią zrobimy?

- Zabierzemy ją ze sobą.

- Zabierzemy ją ze sobą? Chyba masz nie po kolei w głowie.

- Prawdopodobnie masz rację.

- Słuchaj, jeśli masz ochotę na tę kobietę, możemy zatrzymać się w tym obozowisku na kilka dni i zaspokoisz swoje... potrzeby... z nią czy z jakąś inną squaw. Crowowie są bardzo liberalni w kwestiach... łóżkowych, przecież sam wiesz.

- Nie w tym celu ją kupuję.

- Nie? No to po co? Co masz zamiar z nią zrobić?

Will zatrzymał konia i spojrzał przyjacielowi prosto w oczy.

- Mam zamiar się z nią ożenić - powiedział. Ta impulsywna odpowiedź zaskoczyła nawet jego samego, bo prawdę mówiąc, nie miał pojęcia, jakim cudem podobna myśl mogła mu przyjść do głowy.

- Ożenić się z nią! Will, na Boga najwyższego! Czyś ty całkiem rozum postradał? Dlaczego chcesz zrobić coś podobnego?

Odpowiedź pojawiła się w umyśle Williama nagle i skryształizowała się w ułamku sekundy.

- Może chcę spełnić dobry uczynek. To niewątpliwie biała kobieta. Zasługuje na to, by ją ocalić. Zasługuje, by znaleźć się wśród ludzi swojej rasy i na lepszą przyszłość niż ta, jaka ją czeka, jeśli odwrócimy się teraz i odjedziemy. Właśnie została wystawiona na sprzedaż i ja... - William zamilkł nagle i poblądł.

- A ty lepiej niż ktokolwiek na świecie wiesz, jak się czuje człowiek, który został wystawiony na sprzedaż - dokończył Dan cicho i jego rysy złagodniały, bo wreszcie zrozumiał motywy postępowania przyjaciela.

William nie odpowiedział.

- To z powodu Bess, prawda? Robisz to ze względu na to, co stało się z Bess?

- Bess to zamierzchnia przeszłość.

- To prawda, ale nigdy nie przebolełeś tego, co się stało.

- Przebolełam. I już nie myślę o Bess.
- Może i nie, ale myślisz o tym, co zrobił twój ojciec. Myślisz o tym, że poszedł do ojca Bess i zaproponował mu pieniądze, jeśli dziewczyna wyjdzie za kogoś innego. I myślisz również o tym, że oni przyjęli łapówkę i że dziewczyna bardziej kochała brzęk monet twojego ojca niż ciebie.
- Mówiłem ci, że już o tym nie myślę, i jeśli ci życie miłe, to więcej o tym nie wspomnisz.
- Will, jestem twoim przyjacielem. Znamy się od dzieciństwa. Byłem przy tym. Widziałem, jak przeżyła jej odmowę. Byłem z tobą tego wieczoru, kiedy wyszła za kowala.
- A dlaczego nie miałyby wyjść za kowala? To odpowiednie małżeństwo, prawda? W końcu była tylko śliczną córką młynarza, a nie, jak powiedział mój ojciec, „odpowiednią kandydatką na żonę dla wicehrabiego”.
- Udajesz, że to nie ma dla ciebie najmniejszego znaczenia.
- Nietrudno było zapomnieć.
- Możesz w to wierzyć, jeśli chcesz, ale nie zmuszaj mnie, żebym ja w to uwierzył. Byłem przy tobie. Widziałem, jak zareagowałaś na wieść, że wyszła za męża. Oszalałaś.
- Na krótko.
- Tak, wraz z trzema innymi mężczyznami trzymałem cię, zanim nie wróciły ci zdrowe zmysły.
- Ale jednak wróciły i tylko to się liczy.
- Kiedy wróciły, próbowałeś zapisać się na śmierć.
- To trwało tylko jedną noc.
- Ale już nigdy nie byłeś taki jak przedtem. No, a potem był James...
- Nie chcę rozmawiać o moim bracie.
- Dlaczego? Wydaje mi się, że to by ci naprawdę dobrze zrobiło. Od lat nie możesz tego przeboleć.
- Przyjazd tutaj uważasz za wyraz cierpienia?
- Wiem, dlaczego opuściłaś Anglię, Will. Przyjechałaś do Ameryki, żeby nie zrobić czegoś, co zniszczyłoby twoją rodzinę. Sytuacja była taka: albo ty, albo twój ojciec. Chciałeś zabić jego

lub siebie. Podejrzewam, że twoja matka o tym wiedziała. Pewnie dlatego nie próbowała powstrzymać cię przed wyjazdem. Zdawała sobie sprawę, jakie demony cię opanowały. Czuła, że musisz opuścić Anglię, by ratować własną duszę.

- Teraz możesz przestać się martwić o moją nieszczęsną duszę. Demony, które mnie kiedyś dręczyły, dawno odeszły w niepamięć. Już w ogóle o tym wszystkim nie myślę. Bess jest mężatką od pięciu lat, a mój brat nie żyje od czterech. Upłynął już szmat czasu od dnia, gdy wyjechałem z domu. Wszystko się zmieniło.

- Możesz mówić, co chcesz, ale ja bardzo dobrze cię znam. Jest tylko jeden powód, dla którego chcesz tej dziewczyny.

- Jaki? - Will odwrócił się w siodle i spojrzał na Dana. Jego wzrok mówił wyraźnie, że przyjaciel posunął się za daleko i lepiej będzie dla niego, jeśli nie dokończy zdania.

- Żeby odegrać się na ojcu. Muszę przyznać, że to nieźle pomyślane. Sprzedał cię, jak Judasz sprzedał Jezusa za trzydzieści srebrników. Zawsze uważałem, że nie istnieje żaden sposób, byś mógł zemścić się na nim za taką zdradę. Teraz widzę, że się myliłem. - Dan zamilkł na chwilę i wbił oczy w preię. Potrząsnął głową. - Boże, małżeństwo jako akt zemsty! Nigdy bym nie pomyślał, że coś podobnego przyjdzie ci do głowy. Nie podejrzewałbym, że się do tego posuniesz, Will.

William zawrócił konia.

- Jedź z powrotem i pomóż Fergusowi. O wiele lepiej potrafiś się targować, niż przewidywać przyszłość.

- To twoje życie. - Daniel zawrócił i odjechał galopem.

William słuchał stukotu kopyt oddalającego się wierzchowca przyjaciela i rozmyślał o tym, co przed chwilą powiedział Dan.

Czy naprawdę chciał tej dziewczyny tylko dlatego, żeby odegrać się na ojcu? Dlaczego właściwie chciał się z nią żenić?

Jakaś część jego duszy obstawała przy tym, że robi to z pobudek altruistycznych, ze współczucia. Jeśli już musi się z kimś ożenić, to dlaczego nie z nią? Jeżeli to robi, przynajmniej ją uratuje. I zachowa kontrolę nad własnym życiem. To on podejmuje decyzję, to on sam dokonuje wyboru na całe życie. Nie ojciec.

W końcu burza w jego duszy ucichła. Robił tej dziewczynie ogromną łaskę, żeniąc się z nią. Ratował ją od losu, jakiego nie zaznała żadna biała kobieta. Dawał jej szansę życia wśród ludzi z jej własnej rasy. Wiedział, dlaczego postanowił ją kupić. Dan nie miał prawa malować jego decyzji w tak ciemnych barwach.

Zawrócił i pojechał z powrotem. Chciał tej dziewczyny. Musiał wrócić, żeby się upewnić, że jego ludzie naprawdę ją kupili. Nie życzył sobie fuszerki.

Cóż w tym złego, że oboje odniosą z tego pewną korzyść? Jego zdaniem, to będzie niebywale korzystne rozwiązanie dla nich obojga. Ożeni się z tą dziewczyną i zabierze ją do Anglii, do swojej rodziny, a zarazem udowodni niezbitcie, że ojciec nie może przeżyć za niego życia. Dziewczyna na tym nie ucierpi. Jako jego żona będzie traktowana w sposób, jakiego inne kobiety mogłyby jej tylko pozazdrościć.

A swoją drogą, to naprawdę idealny rodzaj zemsty. Już nie mógł się doczekać, żeby zobaczyć twarz ojca, kiedy mu powie, że nie może poślubić kobiety, którą księżę wybrał na jego małżonkę, ponieważ jest żonaty.

To absolutnie doskonałe rozwiązanie.

5

Szybkonoga patrzyła na zbliżającego się wojownika Mandanów, widziała jego uniesioną dłoń. Po chwili poczuła, że mężczyzna zdiera z niej ubranie, że sukienka opada na biodra. Wśród otaczających ją wojowników rozległ się niski pomruk.

Zawstydzona, opuściła głowę; wydawało jej się, że to najstraszliwsze upokorzenie. Próbowała się osłonić poszarpanymi resztkami skórzanej sukni, ale wojownik złapał ją za rękę i opuścił ją w dół. Nie była w stanie już nic zrobić. Mogła tylko stać tam cierpliwie, znosić ból, hańbę i wstyd. Widać tak musiało być. Nie miała wyboru. Pozbawiona ludzkiej godności, doświadczała poczucia unicestwienia.

Teraz, kiedy została obnażona, co odczuwała każdą częścią ciała, umysłu i duszy, co jeszcze mogli jej zrobić?

W tym momencie Szybkonoga usłyszała stukot kopyt i podniosła wzrok, żeby ponad głowami siedzących przed nią wojowników zobaczyć, kto przybywa. Z tumanu kurzu wyłoniły się sylwetki pięciu jeźdźców. Pięciu białych mężczyzn nadjechało, by być świadkami jej ostatecznego upodlenia.

Zatrzymali się w niewielkiej odległości. Nie spuściła głowy, nie zamknęła oczu, nie zrobiła nic, by oszczędzić sobie jeszcze większego upokorzenia. Coś ją przed tym powstrzymało. Stała przed nimi, przerażona branka, która czuła się winna i pragnęła śmierci.

Utkwiła nieruchomy wzrok w jednym z przybyszów, w mężczyźnie, jakiego jeszcze w życiu nie widziała. Nigdy nawet nie śniła, nie śmiała marzyć, że może istnieć równie piękny, doskonały, idealny człowiek..

- Stoi tam, w blasku swej urody, jak naga prawda - powiedział jeden z białych.

- Zachowaj na później swoje wzloty poetyckie. Danielu — powiedział mężczyzna, w którego oczy Szybkonoga przed chwilą J patrzyła z zachwytem.

- Wybacz, Williamie - mruknął człowiek zwany Danielem i zsiadł z konia. Podszedł do pozostałych członków swojej grupy i po chwili dwóch z nich ruszyło, żeby powitać Wiele Zasadzek.

Zaczęła się ożywiona dyskusja.

Nie słyszała wszystkich słów, ale rozumiała, że targują się o nią. Ogarnęło ją przerażenie.

Wiedziała, po co biali mężczyźni kupują indiańskie kobiety.

Dotychczas miała szczęście. Crowowie uznali ją za złe lekarstwo i dzięki temu przekleństwu nikt nie chciał jej za żonę. Biali, pomyślała, nie wierzą w takie rzeczy. Jeśli ją kupią, zrobią z niej swoją kobietę do uciech.

Dumnie podniosła głowę; nie chciała, żeby dostrzegli jej przerażenie. Mężczyzna, nazywany przez innych Willem, nie przyłączył się do rozmów, nie zsiadł z konia, patrzył tylko na nią. Powiedziała sobie, że musi to przeżyć, tak jak przeżyła wszystko, co dotychczas ją spotkało. Nie miała wyboru, musiała stać przed nim, naga i wystawiona na pokaz.

Jej hańbę widzieli wszyscy i dziewczyna sama nie wiedziała, dlaczego ten właśnie fakt sprawił, że coraz wyżej podnosiła głowę. Jeszcze nigdy nie odczuwała takiej dumy jak w chwili, kiedy chciano ją całkowicie poniżyć.

W końcu targi dobiegły końca i dwaj mężczyźni dołączyli do swych towarzyszy. Rozległ się gwar rozmów, ale Wiele Zasadzek podniósł dłoń na znak, że wszyscy mają zamilknąć.

- Co Komańcze zabrali białym, ja im zwracam - oświadczył.

Było już po wszystkim.

BRANKA

Szybkonoga okryła swą nagość strzępami rozdartej sukienki. Mężczyzna z rudymi włosami na twarzy podjechał, prowadząc sześć wspaniałych mustangów. To dobra cena za pannę młodą.

Nikt nigdy nie słyszał, żeby ktokolwiek zapłacił aż tyle za indiańską brankę.

Podszedł do niej ten, którego nazywano Danem. Narzucił jej koc na ramiona i popchnął lekko na znak, że ma iść za nim. Szła za nim do miejsca, gdzie stały ich konie pod opieką dwóch mężczyzn, w których rozpoznała francuskich traperów. Poznała ich, bo francuscy traperzy często polowali na terenach plemienia Crow i niejednokrotnie spędzali zimowe miesiące w indiańskiej wiosce.

Dan, który znał język Crowów, powiedział jej, żeby zebrała swoje manatki i wsiadła na konia. Miał jasnokasztanowe włosy i oczy w niemal identycznym kolorze. Patrzył na nią z dobrocią i zrozumieniem. W spojrzeniu mężczyzny zwanego Willem nie było ani dobroci, ani zrozumienia.

Szybkonoga odwróciła głowę i całą uwagę skupiła na wsiadaniu na konia. Nie było to łatwe, bo rozdarta sukienka i okrywający ją koc znacznie ograniczały swobodę ruchów, na co nikt zdawał się nie zwracać uwagi.

W ślad za mężczyznami zawróciła konia i wolno ruszyła za nimi, opuszczając wioskę; Dan i Will jechali przodem, rudobrody obok niej, a z tyłu dwóch francuskich traperów. Kiedy wjechali na zbocze góry, dziewczyna odwróciła się w siodle i rzuciła ostatnie spojrzenie na dom, w którym spędziła pięć lat. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek zdoła wybaczyć Crowom to ostatnie upokorzenie. Uświadomiła sobie jednak nagle, że bardziej od samej hańby boli ją fakt, że świadkiem tego był on.

Usłyszała śmiech Dana, który zwrócił się do Willa.

- Ta dziewczyna patrzy na ciebie takim wzrokiem, jakby miała ochotę wydrzeć ci serce i zjeść je na surowo przyprawione czosnkiem. Co takiego zrobiliśmy, żeby tak szybko ściągnąć na siebie jej nienawiść?

Will zachował milczenie, odpowiedział natomiast rudobrody.

- Oddychamy i to wystarczy. Tego typu ludzie nie potrzebują żadnego innego powodu, żeby wyrwać człowiekowi serce z piersi. Dzikus zawsze pozostanie dzikusem.

Dan spojrział na niego karcąco.

- Słuchaj, Festusie, przecież nie możemy mieć pewności, że ta dziewczyna została wychowana przez Indian. Bardzo chciałbym się dowiedzieć, jak długo z nimi mieszkała. Jak sądzisz, czy ona choć trochę mówi po angielsku?

- Nie sądzę, ale znam sposób, żeby się dowiedzieć.

- Jaki?

- Trzeba ją zapytać.

- Niezły pomysł. - Dan wzruszył ramionami i zwrócił się do dziewczyny: - Mówisz po angielsku?

Nie odpowiedziała. Przysłuchiwała się ich rozmowie, bo już dawno zauważyła, że to, co usłyszy i zrozumie, może mieć o wiele większy wpływ na jej życie od tego, co powie. Milczący żyją dłużej.

Choć ci mężczyźni byli biali, choć należeli do jej rasy, postanowiła zachowywać się wobec nich w ten sam sposób, w jaki zachowywałyby się wobec wojowników mandańskich, gdyby to oni dali za nią sześć koni. Będzie robić to, co jej każą. Nie da im powodu do niezadowolenia. A przynajmniej jeszcze nie teraz, kiedy nie wie, czy będą ją bili.

Bardzo szybko zorientowała się, że Will, mężczyzna, który ją kupił, jest przywódcą tej grupy. Było w nim coś z wodza, jakaś pewność siebie, jakaś aura, która sprawiała, że pozostali podporządkowywali mu się bez szemrania. Dziewczyna nie mogła tylko przestać się zastanawiać, dlaczego dał za nią sześć wspaniałych mustangów, skoro najwyraźniej miał zamiar całkowicie ją ignorować.

To może świadczyć, że kupił ją nie po to, by z niej zrobić swoją kobietę. To miałyby sens, bo przecież nie patrzył na nią w taki sposób jak wojownicy, w których wzbudzała pożądanie. Prawdę mówiąc, odnosiła wrażenie, że w ogóle nie zwracał na nią najmniejszej uwagi.

Ale dlaczego ją nabył, jeśli nie po to, by ogrzewała jego łóżko? Może się nad nią litował, bo była biała, należała do jego rasy? A to mogło oznaczać tylko jedno... że ma zamiar zwrócić jej wolność.

Na myśl o odzyskaniu wolności dziewczyna odprężyla się całkowicie i zaczęła się kołysać w rytm końskich kroków. To było dla niej całkiem nowe doświadczenie, bo dotychczas, jako niewolnica, nie miała prawa jeździć konno, kiedy obóz się przenośli z miejsca na miejsce. Szła na piechotę, dźwigając ładunki, tak jak konie i psy.

Dwaj Francuzi przynaglili wierzchowce do szybszego biegu i minęli ją z obu stron. Wkrótce zniknęli jej z oczu. Jadąc za Willem i Danem, poczuła niezwykle spokoj. Festus trzymał się nieco w tyle za nią. Teraz, kiedy usłyszała jego głos, wiedziała już, że jest Szkotem, bo szkoccy traperzy pojawiali się w indiańskiej wiosce niemal równie często jak Francuzi i mówili z takim właśnie miękkim akcentem jak ten rudobrody mężczyzna. Brzmienie ich mowy zawsze, nie wiedzieć czemu, działało na nią kojąco.

Szybkonoga przestała rozmyślać o swych nowych właścicielach, aż do końca podróży rozważała wyłącznie perspektywę odzyskania wolności. Była tak pogrążona w myślach, że kiedy się zatrzymali, poczuła zaskoczenie.

- Rozbijemy tutaj obóz - oznajmił Will i zsiadł z konia.

Dziewczyna spojrzała w górę i spostrzegła, że słońce stoi już nisko nad horyzontem. Jechali o wiele dłużej, niż myślała.

Francuscy traperzy podjechali w chwili, kiedy Dan zsiadał z siodła. Will zaczął z nimi rozmawiać, a jego przyjaciel podszedł do konia, na którym siedziała Szybkonoga. Gestem pokazał jej, że ma zsiąść, bo muszą napoić konie i dać im odpocząć.

Kiwnęła głową. Stała, przytrzymując ręką suknię na piersi, i czekała, co zrobi mężczyzna. Bez słowa podszedł do swojego konia i wyjął coś z torby przy siodle.

- Włóż to, proszę - powiedział i podał jej zawiniątko.

Rozwinęła je i zobaczyła sukienkę. Podniosła ją do góry.

Takie wspaniałe hafty i ozdobne ściegi mogły być dziełem wyłącznie kobiet plemienia Crow. To była niezwykle piękna sukienka, nawet jak na Crowów, bogato zdobiona zębami łosia i jeszcze cenniejszymi imitacjami zębów wyrzeźbionymi z kości! Taka sukienka drogo kosztowała i mogła być noszona jedynie przez żony czy córki najbardziej znaczących wojowników.

Szybkonoga jeszcze nigdy nie miała na własność czegoś równie pięknego.

Gładziła palcami mięciutką jelenią skórę, a jej oczy omiały brzeg rzeki w poszukiwaniu osłoniętego miejsca, w którym mogłaby się przebrać.

Mężczyzna najwyraźniej zrozumiał jej rozterkę, bo uśmiechnął się i powiedział: - Idź i przebierz się. Nikt cię nie będzie podglądał. Spojrzała na Willa. Był nieprawdopodobnie wysokim i smukłym mężczyzną o włosach równie czarnych jak włosy wojowników z plemienia Crow. Ale na tym kończyły się podobieństwa, bo jego oczy miały odcień zimowego nieba, kiedy nadciąga śnieżyca. I były równie lodowate. Szybkonoga spuściła głowę w nagłym onieśmieleniu, przerzuciła sukienkę przez ramię i wolno ruszyła w stronę rzeki.

Zanim się ubrała, zanurzyła ręce w zimnej wodzie, umyła je i ochlapała twarz. Potem wyjątkowo starannie zaplotła włosy, chcąc jak najlepiej prezentować się w tej cudownej sukience. Wreszcie wróciła do pięciu mężczyzn, czekających przy koniach.

A właściwie tylko do trzech, bo Francuzi odjechali, żeby sprawdzić drogę przed nimi. Festus sprawdzał zamocowanie ładunku na jednym ze zwierząt. Zerknął na dziewczynę, kiedy go mijiała, ale nie odezwał się i natychmiast wrócił do swego zajęcia. Nie zdziwiło jej to. Odwiedzający ich wioskę szkoccy traperzy byli zwykle małowówni, w przeciwieństwie do Francuzów, którzy zawsze- mieli coś do powiedzenia.

Nagle, sama nie wiedząc dlaczego, zatrzymała się. Festus odwrócił głowę, żeby na nią spojrzeć. W tym mężczyźnie, choć nigdy dotychczas go nie widziała, było coś dziwnie znajomego,

jakby widywała już kiedyś podobnych mu ludzi. Uświadomiła sobie w tym momencie, że czuje się osamotniona, że ma poczucie braku przynależności. Indianie z plemienia Crow nie byli jej przyjaciółmi, znała ich jednak doskonale, podczas gdy ci mężczyźni, należący do jej rasy, byli obcy. To dlatego czuła się wśród nich samotna i zagrożona.

Uznała, że coś ciągnie ją do tego Szkota dlatego, że widywała w wiosce ludzi podobnych do niego. To poczucie bliskości sprawiło, że złamała ślub milczenia, który sama sobie narzuciła.

- Mówisz językiem plemienia Crow? - zapytała.

- Mówię... jeśli mam coś do powiedzenia. - Nie przerwał swego zajęcia.

Will i Dan przestali rozmawiać. Dan uśmiechnął się. A jednak, pomimo jego przyjaznego gestu, wzrok dziewczyny przykuwał drugi mężczyzna, zwany Willem, który chłodnym, dalekim spojrzeniem trzymał ją na dystans. Było w nim coś tak zniewalającego i budzącego szacunek, że stała i wpatrywała się w niego, choć jej puls zaczął bić na alarm.

- Wiesz, ta dziewczyna, umyta i szykownie ubrana, nie wyglądałaby najgorzej. Ma całkiem miłe rysy - stwierdził Dan.

Chłodny i daleki nawet w stosunku do przyjaciela Will obrzucił ją przelotnym spojrzeniem.

- Trzeba czegoś więcej niż sukienka, żeby przestała być dzika. Poza kolorem skóry i oczu niewiele ma w sobie z cywilizowanego białego człowieka.

- To nie jej wina. - W twarzy Dana była ta sama delikatność i ciepło co w jego słowach.

- Nie, to nie jej wina. - Will wydał ciche westchnienie. - Szkoda, że nie mówi po angielsku. Dobrze by było dowiedzieć się, ile ma lat, w jaki sposób została branką... i w ogóle jak do tego doszło. Podejrzewam, że mogłaby opowiedzieć całkiem interesującą historię.

- Jeśli w chwili pojmania była dużą dziewczynką, może mogłaby przypomnieć sobie kilka angielskich słów.

Will wpatrywał się w dziewczynę, powoli wodził po niej wzrokiem, jakby mógł na podstawie wyglądu odczytać jej dzieje.

- Nie, podejrzewam, że wzięli ją, kiedy była całkiem mała.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Czy spotkałeś kiedykolwiek kobietę, która byłaby doskonalej wyćwiczoną Indianką? Spójrz na nią, Dan. Poobserwuj jej zachowanie, jej sposób poruszania się... Indianka do szpiku kości. No i ten wojowniczy wyraz oczu; jeśli uda ci się zająrzeć pod powierzchnię, dostrzeżesz spryt i dzikość, i wolę przetrwania. - Will spojrzał na Daniela. - Mój biedny przyjacielu, pewnie nigdy nie udało ci się zająrzeć tak głęboko w ludzką duszę, co?

Wszelka miękkość zniknęła z głosu Daniela.

- Nie, ja zwykłem przyjmować ludzi takimi, jakimi chcą mi się pokazać. Reaguję dobrem na dobro, a w przypadku tej dziewczyny zrozumieniem na jej lęk. Czy nie mógłbyś spróbować...

- Postawić się na jej miejscu?

- Otóż to.

- Może właśnie to zrobiłem. Może dlatego ją kupiłem.

- Przestań dorabiać do tego ideologię. Nie próbuj tłumaczyć swojego zachowania względami altruistycznymi. W każdym razie nie przy mnie. Obaj wiemy, dlaczego ją kupiłeś, i nawet jeśli ty nie chcesz się do tego przyznać, ja mogę. Kupiłeś ją dla zemsty.

- Ale to nie jest najistotniejsze, prawda? Powód jest nieważny. Tak naprawdę liczy się to, co to oznacza dla niej. Uratowałem ją od poniżenia i niewoli. Będzie żyła jak księżniczka, otoczona opieką i wolna od trosk. A ty, człowiek o gołębiu sercu, bez wątplenia przejechałbyś obok niej i zostawił ją własnemu losowi. Więc powiedz mi teraz, który z nas jest prawdziwym sukinysem?

- Może dla niej byłoby lepiej, gdybyś zostawił ją jej własnemu losowi.

- Nie sądzę. Jest biała... dzika, ale biała.

Dan odwrócił się w stronę dziewczyny i badawczo przyjrzał się jej twarzy. Odwzajemniła jego spojrzenie, ale najmniejszym

drgnieniem nie zdradziła się, że cokolwiek rozumiała z ich rozmowy. Dan potrząsnął głową.

- Widzę jedynie lęk i niepewność.

- Które znikną, jak tylko uświadomi sobie, że nie chcemy zrobić jej krzywdy.

- Ona jest jak zaszczute zwierzę, Williamie. Jak ryba bez wody. Jeśli potrzymasz ją zbyt długo, umrze.

- Nie masz się czego bać, uwierz mi. Ona się zmieni. Mówiłem ci już, że widzę w oczach tej dziewczyny wolę przetrwania.

Dan znów na nią spojrzał i bez przekonania pokiwał głową.

- Nie mam twojej wrażliwości artysty. Nie umiem pochwycić rzeczy, których nie widzę. Ale nic nie mogę poradzić na to, że mam wątpliwości, czy kupiłbyś ją, gdyby bardziej przypominała białą kobietę niż Indiankę.

- I nigdy się tego nie dowiesz, prawda? - odpowiedział Will z uśmiechem.

- Nigdy cię nie zrozumiem, tak jak nigdy nie zrozumiem, jak to możliwe, że bierzesz kawałek płótna i farby i wyczarowujesz z nich żywy, niemal oddychający obraz.

- A ja nie zrozumiem twojego analitycznego, rozumowego podejścia do świata. I może właśnie dlatego byliśmy zawsze takimi dobrymi przyjaciółmi.

- Bo tak bardzo się różnimy?

- Tak.

- W takim razie uważaj, przyjacielu. - Dan wybuchnął śmiechem i wskazał głową dziewczynę. - Trudno mi wyobrazić sobie bardziej różniących się od siebie ludzi niż wy dwoje.

- A więc zapowiada się interesująco.

Szybkonoga wpatrywała się bez słowa w dwóch roześmianych mężczyzn. Dan klepnął Willa w plecy i obaj odwrócili się od niej.

Dobrze, że nie spojrzeli na nią ponownie. Bo gdyby to zrobili, dostrzegliby dłonie zaciśnięte w pięści. I to mogłoby podsunąć im pomysł, że jednak zna angielski.

Mężczyzna zwany Willem zniknął już całkowicie z oczu Szybkonogiej, zanim zorientowała się, że nie zostawiają jej wolnej i oczekują, że ruszy za nimi. Ukryła bolesne rozczarowanie i wsiadła na konia równocześnie z Danem i Festusem, udając, że jest jedną z nich.

Często udawała, że jest kim innym, kimś, kto ma przeszłość. A przeszłość była czymś, czego nie spodziewała się kiedykolwiek mieć. Tęsknota za nią towarzyszyła jej nieustannie, czasami wręcz rozpieła się w niej, jak tarzający się w błocie bizon, zadowolony ze swego bajora i niezamierzający się stamtąd ruszać. Chwilami stawała się jeszcze intensywniejsza. Tak bywało zawsze, kiedy do obozowiska wjeżdżał ktoś obcy; za każdym razem, gdy wyczuwała obecność białego człowieka.

Jechali jeszcze przez godzinę, zanim dotarli do miejsca, w którym można było rozbić obóz. Była tak podniecona, jakby w jej sercu rozpaczliwie machały skrzydełkami pochwycone w siłta ptaki.

Teraz mężczyzna powie jej, że jest wolna...

Będzie mogła w końcu pojechać, dokąd zechce, i być tym, kim zechce, będzie mogła odnaleźć rodzinę, którą tak dawno utraciła.

I znów, jak zawsze, kiedy cofnęła się myślą wstecz do tego

dnia, terażniejszość zdawała się znikać. Usłyszała ponownie przerażające okrzyki bojowe i poczuła, że dławi ją kurz, wzbijany przez końskie kopyta. I znów banda Komanczów o jastrzębich twarzach, z włosami splecionymi w warkocze i z pióropuszcami na głowach, wdarła się w jej życie i odmieniła los.

Niewiele mogła sobie przypomnieć; to miało miejsce ponad dwadzieścia lat temu, a ona była wówczas małym dzieckiem. Pamiętała głównie przerażenie. Przerażenie, że została oddzielona od matki, której twarzy nie była dziś w stanie przywołać, ale pamiętała jej dobroć i cichy głos.

Groza tego, co widziała, także pozostała żywa w pamięci dziewczyny. Komańcze zjawili się niespodziewanie, nie wiadomo skąd. Nie była w stanie ruszyć się z miejsca, stała jak wmurowana, niezdolna ani do krzyku, ani do ucieczki. Patrzyła skamieniała na to, co się dzieje dokoła, słyszała rozpaczliwe krzyki i odgłosy rozdieranego ciała, czuła smak krwi i jej ciepło, kiedy czerwona ciecz przysnęła jej na twarz. Nigdy nie zapomni tego widoku: roztrzaskane czaszki, mózg rozpryskujący się na ścianie, rozplątane brzuchy, kiedy martwe już ciała były profanowane.

Nawet w tej chwili była w stanie przywołać zapachy, dźwięki, ciepło krwi, kurz, opadający na nią, kiedy jęki i krzyki zaczęły milknąć. Jakie to dziwne, że to wszystko nie opuściło jej ani na chwilę, nie potrafiła natomiast przypomnieć sobie niczego, co było wcześniej. Jakby rzeź, której była świadkiem, w jakiś sposób zniszczyła jej pamięć, jakby tryskająca krew zalała wydarzenia, które miały miejsce wcześniej. Teraz jej jedyne wspomnienia to niewyraźne zamglone twarze i miękkie, pieszczotliwe głosy, wołające ją z głębin snu. I zawsze w chwili przebudzenia wizje znikają, jak orle pióro porwane przez wiatr, i tylko w uszach dźwięczało jej jedno jedyne słowo.

Margery... Margery... Margery...

Jej imię.

To wszystko, co pozostało jej z przeszłości. Jedyne nic, wiążące ją z utraconą rodziną. Jedyne dowód, że kiedyś, choć krótko, była biała.

Spojrzała na swoje ręce. Były brązowe. Zrozumiała, dlaczego wojownicy z plemienia Mandanów nie uwierzyli Wielu Zasadzkom, że dziewczyna jest biała, dopóki nie zdarli z niej ubrania.

Słońce zmieniło jej białą skórę, tak samo jak Komańcze, Czejenowie i Crowowie zmienili jej życie.

- Jesteśmy na miejscu. Możesz zsiąść z konia.

Podniosła głowę. Dan mówił do niej. Wszyscy już zsiadli z wierzchowców, tylko ona siedziała jeszcze w siodle. Zsunęła się na ziemię i spojrzała na Willa. Czekwała z nadzieją na jakikolwiek znak wskazujący, że jest już wolna i może iść, dokąd zechce, że nadeszła wreszcie chwila, o której marzyła przez całe życie.

Ale on zwrócił się nie do niej, tylko do Dana.

- Powiedz jej, że może rozłożyć swoje manatki w tyna miejscu... - Nagle przestał mówić i spojrzał na dziewczynę. - Ty mówisz po angielsku.

Szybkonoga nie miała pojęcia, skąd to wiedział, ale wiedział. Zdecydowała, że lepiej nie doprowadzać go do furii, bo rozłoszczony może jej nie uwolnić.

- Mówię po angielsku... i po francusku.

Ciemne brwi mężczyzny uniosły się.

- Po angielsku i po francusku. No, no, no. Wykształcona dzikuska. Co za ewenement. Znow odwrócił się w stronę przyjaciela. - Jest niesamowita, prawda? Spójrz na nią. Tak całkowicie dzika. Tak beznadziejnie brudna. A jednak zna dwa języki...

- Trzy, jeśli dodać język Crowów - poprawił Dan.

- Pięć, jeśli policzyć języki Komanczów i Czejenów - sprostowała dziewczyna.

Will znow jej się przyjrzał.

- Rozumiem, w jaki sposób nauczyłaś się indiańskich dialektów, ale jakim cudem zdołałaś poznać francuski i angielski?

- Angielskiego nauczyłam się od ojca Marca Edouarda...

- A to kto?

- Katolicki... ksiądz.

- Francuski misjonarz, który przyjechał ratować dusze pogan.

powiedz mi, mała dzikusko, czy uratował twoją pogańską duszyczkę?

- Jestem chrześcijanką.

- Dzika chrześcijanka. No, no, kolejne zaskoczenie, prawda, przyjacielu? - Will spojrzał znacząco na Dana.

- Skoro ten ksiądz był Francuzem, to dlaczego uczył cię angielskiego? - dopytywał się Daniel.

- Żebym nie zapomniała mowy swoich ojców.

- Mówimy po angielsku, ale podejrzewam, że z francuskim idzie ci lepiej? - rzucił Will.

- Więcej mówiłam po francusku - potwierdziła.

- Dlaczego?

- Wielu słów nauczyłam się od francuskich traperów, którzy spędzali zimy w naszym obozowisku.

- Ciekawe, czego jeszcze się od nich nauczyła - warknął Will.

- Will...

William zmarszczył czoło. Nie spojrzał na Dana, ale kiedy znow zwrócił się do dziewczyny, użył bardziej oględnych słów.

- Ustaliliśmy już, że jesteś białą kobietą. Pamiętasz swoje imię?

- Margery - powiedziała, starannie je wymawiając.

- Margery... i co dalej?

- Nic więcej nie pamiętam. Tylko Margery.

- Ile miałaś lat... kiedy cię pojмали?

Zmarszczyła czoło, starając się sobie przypomnieć.

- Dwanaście zim spędziłam u Komanczów, cztery u Czejenów i pięć u Crowów.

Daniel gwizdnął.

- Dwadzieścia jeden lat. W takim razie nie miała więcej niż cztery czy pięć lat, bo tak na oko wygląda na dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat.

- Dwadzieścia siedem - powtórzyła liczbę, jakby ojciec Marc szepnął jej ją do ucha.

- Dwadzieścia siedem? - W głosie Dana zabrzmiało zaskoczenie. Spojrzał na Willa. - Słyszałeś, Will? Dwadzieścia siedem.

To by znaczyło, że urodziła się w tysiąc osiemset trzydziestym roku i została pojmana, kiedy miała sześć lat. - Znów potrząsnął głową. - Dwadzieścia siedem. Nie wygląda na tyle.

- Nie podniecaj się tak okropnie. Mam wątpliwości, czy ona naprawdę wie, ile ma lat. Najprawdopodobniej podoba jej si po prostu brzmienie tych słów.

- Ojciec Marc napisał. - Podeszła do swojego konia i zdjęła z niego tobołek. Położyła zawiniątko na ziemi i wydobył z niego książkę. Chciała ją podać Williamowi, ale zmienił zamiar.

Podawała ją jego przyjacielowi.

- Biblia - stwierdził Dan, obracając ją w dłoniach. - Jak tam twój francuski. Will?

- To francuski przekład? - zapytał Will.

- Aż do ostatniego *bon motu*. - Dan otworzył Biblię i przyczytał na głos: *-Margery, dziecię Boże, ochrzczona w imię Ojca i Syna i Duchą Świętego dnia 31 sierpnia 1851. Wzięta w niewolę przez Komanczów roku pańskiego 1836 prawdopodobnie r> terenie stanu Teksas. Według moich obliczeń, urodzona w 183 roku. Może Bóg w swej nieskończonej łaskawości pozwoli połączyć się temu utraconemu dziecieniu Bożemu z jej rodziną. Sługa Boży, ojciec Marc Edouard.* - Daniel był najwyraźniej głęboko poruszony przeczytanym tekstem, bo zamknął oczy i stał w milczeniu.

Will natomiast nie przejął się ani trochę.

- Ochrzczona, tak? To znaczy, że jesteś tylko półdzikuską.

- Will, przestań! - Daniel robił wrażenie dotkniętego.

- Nie jestem dzikuską! Jestem chrześcijanką!

William nie zwrócił na ich słowa najmniejszej uwagi. Zdjął z konia bukłak z wodą, odkorkował i zaczął pić.

Dziewczyna sama nie wiedziała, dlaczego się odezwała w chwili, kiedy powinna była milczeć.

- Bóg bierze w opiekę wdowy i sieroty - powiedziała.

- Dzikuska cytująca Pismo Święte... no, no, ojciec Marc był niebywale oddanym swjej pracy sługą Bożym, prawda? Czy

innych pogan także przerobił na chrześcijan, czy też ty byłaś jego jedyną owieczką?

- Inni by nie słuchali. Pomógł mnie, bo jestem biała i jestem sierotą.

- A Bóg bierze w opiekę wdowy i sieroty. - Spojrzał na nią takim wzrokiem, jakby zobaczył japo raz pierwszy. - Wdowy i sieroty, hm. Powiedz mi, kochanie, ilu mężnych wojowników poznałaś?

- Will, sądzę, że nie powinienes w ten sposób się do niej odzywać!

- Może i masz rację, ale jeśli dziewczyna jest rzeczywiście w tym wieku, to mamy powody podejrzewać, że nie jest nieskalana jak świeży śnieg. Przyznała, że jest wdową, prawda? Więc co w tym złego, że ją o to spytałem?

- Jestem sierotą, a nie wdową. - Uderzyła się w piersi.

Dan wybuchnął śmiechem.

- Chyba wszedłeś w konszachty z diabłem, Will. Coś mi się widzi, że ta dziewczyna sobie z tobą poradzi.

Will nie zwrócił uwagi na szyderstwa przyjaciela.

- Powiedz mi, jak to się stało, że osiągnęłaś dwadzieścia siedem lat i nie zostałaś żoną jakiegoś wojownika?

- Szybkonoga jest złe lekarstwo.

- Szybkonoga jest złym lekarstwem? - powtórzył. Uniósł brwi i spojrzał na Dana. - Cóż, jakoś nietrudno mi w to uwierzyć.

- Taką już masz naturę, że najłatwiej ci uwierzyć w to co najgorsze.

- Cóż, dziękuję ci, mój drogi, lojalny przyjacielu - mruknął Will i ponownie przeniósł uwagę na Margery. - Gdzie nadano ci imię Szybkonoga?

- Nadali mi je wojownicy z plemienia Crow. Jak tylko próbowali nawiązać ze mną rozmowę, zaczynałam szybciej iść.

~ Cholernie mądrze. Jednak od tej chwili nie mów o sobie szybkonoga. Jeśli twoje chrześcijańskie imię brzmi Margery, to 8° używaj.

- Co to znaczy, że jesteś złym lekarstwem? - zainteresował się Dan.

Margery zaczęła opowiadać, że syn wodza Komanczów chciał ją pojąć za żonę i zginął w czasie bitwy tego dnia, w którym i miał się odbyć ich ślub. Uznano ją wówczas za złe lekarstwo, straciła zaufanie plemienia i zaczęła być traktowana jak niewolnica.

- Kiedy nadeszła wiosna i cała grupa ruszyła na północ, I zostaliśmy zaatakowani przez Czejenów.

- I zostałeś ich branką? - zapytał Dan.

- Tak. - Kiwnęła głową. - W drodze do obozowiska Czeje- I nów wojownik, który mnie złapał, chciał zrobić ze mnie swoją I kobietę.

Will, który aż do tej chwili nie wydawał się zainteresowany I jej opowieścią, nagle spojrzał na dziewczynę.

- Chcesz powiedzieć, że próbował cię zgwałcić... próbował wziąć cię siłą.

- Tak.

- I co się stało, jak już cię zgwałcił?

- Nie zrobił tego. Walczyłam z nim i potknął się. Upadł na I brzeg jaru i pociągnął mnie za sobą. Stoczyliśmy się aż na samo I dno. Strasznie długo to trwało. Kiedy wreszcie zatrzymaliśmy I się, kręciło mi się w głowie, ale zdołałam wstać. Wojownik I Czejenów nie wstał. Miał skręcony kark.

- A wtedy także i Czejenowie uznali cię za złe lekarstwo - i I odpowiedział Dan. - Co było potem? Co oni z tobą zrobili?

- Byłam ich niewolnicą. Cztery lata po tym, jak zdobyli mnie I Cheyennowie na Komańczach, zostałam schwytana przez Cro- I wów podczas wojny plemiennej.

- I oczywiście ich także zdołałaś przekonać, że jesteś złym I lekarstwem. Co tym razem zrobiłaś? Zabiłaś kogoś?

- Jak tylko pojawiłam się w wiosce Crowów, wielu ludzi I zaczęło chorować. Uznali, że przyniosłam do nich wielką I chorobę.

- Ospa - stwierdził Dan. - Ty nie chorowałaś?

- Nie i właśnie dlatego uznali, że sprowadziłam chorobę.

- I znów zostałeś niewolnicą - zakończył Dan.

Margery spuściła głowę.

- Nas nie musisz się bać. Już nigdy nie będziesz niewolnicą. - Dan pochylił się ku dziewczynie i podniósł jej głowę.

- Więc jestem wolna i mogę odejść? - Oczy dziewczyny zapłonęły. W jej gardle rosła wielka gula, utrudniająca przełykanie. Spojrzała na Willa oczami pełnymi oczekiwania i nadziei.

- Nie, mała dzikusko. Mam co do ciebie inne plany.

7

Will odprowadził ją wzrokiem, kiedy odchodziła. Nie mógł zrozumieć samego siebie. Zauważył jej spojrzenie i zdawał sobie sprawę, o czym dziewczyna myśli. Nawet jeśli nie po to ją kupił, aby ofiarować jej wolność, nie musiał mówić jej prawdy w tak bezwzględny i okrutny sposób. Nie był w stanie tego zrozumieć. Czy dlatego, że sam cierpiał, musiał sprawiać ból wszystkim dokoła? Miał ochotę ścisnąć własną głowę rękami i wydusić z niej wszystkie demony, które się tam zaległy. Skrzywdził niewinną osobę. Użył jej, żeby odegrać się na ojcu. Gdyby nie był takim racjonalistą, trudno byłoby mu się do tego przyznać nawet przed sobą. Gdyby zignorował fakt, że potraktował tę dziewczynę instrumentalnie, mógłby nadal obstawać przy tym, że ją uratował. Jedna myśl wyparła drugą. Ale kiedy spojrzął na Dana, natychmiast zrozumiał, że przyjaciel widzi to w całkiem innym świetle. Tym razem sarkazm Dana nie pomógł.

- Jak to ładnie z twojej strony, że zniżyłeś się do jej poziomu. Nigdy bym nie pomyślał.
- Zniżyłem się do jej poziomu? Co to ma znaczyć?
- Tyle razy nazwałeś ją dzikuską, że w końcu sam stałeś się barbarzyńcą. Nie musiałeś odbierać jej nadziei. Ona oczywiście sądziła, że kupiłeś ją po to, by zwrócić jej wolność. Żaden z nas

nie ma zielonego pojęcia, jak to jest być branką, należeć do kogoś, być niewolnikiem. Nie mamy też pojęcia, ile ona przez te wszystkie lata wycierpiała. Wątpię, aby miała w życiu wiele chwil nadziei, a potem, kiedy ta nadzieja wreszcie jej zaświtała, zmiażdżyłeś ją obcasem jak jakiegoś obrzydliwego insekta.

- No dobrze, jestem więc sukinsynem.
- Najczystszej wody. - Dan zaklął, odwrócił się i odszedł.

Will przez dłuższą chwilę stał bez ruchu, gapił się na rozpalającego ognisko Festusa i zastanawiał, jak to się stało, że stracił kontrolę nad sytuacją.

Poszedł rozsiadłać konia. Zwierzę poznało go i delikatnie dmuchnęło na swego pana przez rozdęte chrapy. Will podrapał wierzchowca za uszami. Ponad końskim grzbietem dostrzegł, że Dan rozmawia z dziewczyną. Uświadomił sobie, że znowu pomyślał o niej „dziewczyna”, i obiecał sobie, że od tej chwili będzie używał jej chrześcijańskiego imienia. Margery, powiedział w myślach i przypomniał sobie, jak ona wymówiła swoje imię: Mar-gerr-y.

Margery... to imię jakoś kompletnie nie pasowało do Indianki, która rozmawiała właśnie z jego przyjacielem. To takie cywilizowane imię. A ta kobieta nie była cywilizowana. Potrząsnął głową. Nie, ta odziana w skóry Indianka zupełnie nie wygląda na osobę, która nosi imię Margery, podobnie jak absolutnie nie wygląda na kobietę, którą poślubi utytułowany angielski dżentelmen.

Oparł dłonie na końskim grzbiecie i zaczął się zastanawiać, czy nie powinien przypadkiem odwołać swoich słów, podejść do tamtej pogrążonej w rozmowie pary i oznajmić, że dziewczyna jest wolna, może wskoczyć na konia i jechać, gdzie ją oczy poniosą. Do diabła, chyba musiał być jakiś inny sposób, żeby powalić na kolana tego sukinsyna ojca, niż wlec tę małą ze sobą do Anglii.

No dobrze, pozwolę jej odejść, postanowił. To dziwne, ale nie był w stanie przypomnieć sobie, kiedy ostatnio zrobił jakikolwiek dobry uczynek.

Rozsiodłał konia, spętał go, a potem zarzucił sobie siodło na ramię. Zatopiony w myślach, ruszył w ich stronę. Skoro miał ofiarować jej wolność, musiał też dać jej parę groszy do kieszeni, jeśli ten pierwszy krok ku wolności miał mieć prawdziwie wspaniały smak.

Nikt nie spojrział nawet w jego stronę, kiedy rzucił siodło na ziemię obok swego legowiska. Zaczął grzebać w torbie w poszukiwaniu mieszka z pieniędzmi.

Jego ręka natrafiła na papier. Znieruchomiał. Wiedział, czego dotknął, jeszcze zanim na to spojrział: list od ojca. Wezwanie. Ojcowski nakaz, żeby poślubił kobietę, którą dla niego wybrał.

Dobroć, ludzki odruch serca w mgnieniu oka zastęły w sople lodu. Wszystko wróciło do niego w jednej chwili... główny powód, dla którego postanowił ożenić się z tą dziewczyną.

Przypomniał sobie, że urodziła się co prawda jako biała, ale została wychowana przez Indian. Nic nie wiedziała o cywilizacji. Takiej kobiecie nie uda się przetrwać, jeśli pozostawi się ją samej sobie, nawet jeśli dostanie nieco pieniędzy. Nie zostanie zaakceptowana w towarzystwie, a Bóg jeden wie, co może się przydarzyć pogardzanej kobiecie, szczególnie ładnej. Może się okazać, że zostanie wykorzystana przez jednego mężczyznę, potem drugiego i następnych, traktowana nie lepiej niż półkrwi Indianka, a kiedy już raz upadnie, może się już nigdy nie podnieść. Dopóki nie będzie zbyt stara albo zbyt gruba, albo zbyt zniszczona, aby być wykorzystywana przez mężczyzn. Być może większym okrucieństwem, niż odmówić jej wolności, której tak pragnęła, byłoby ofiarować jej wolność, która doprowadziłaby ją do klęski.

- Spakuj dziś wieczór wszystko bardzo porządnie. Jutro zbijamy obóz! - zawołał do Festusa i mocno zacisnął szczęki. Jego postanowienie było równie niewzruszone jak mina.

- Dokąd pojedziemy? - Festus jak zwykle nie okazał zdziwienia.

Pierre i Etiénne przerwali rozmowę i spojrzeli pytająco.

- Chyba do St. Louis.

Will zauważył, że i Dan patrzy na niego. A niech sobie patrzy, do licha. To on kupił dziewczynę, nie Dan. A to oznaczało, że należy do niego. I że będzie robić to, co on uzna za stosowne.

Przecież ją ratuje, prawda? I to musiało wystarczyć.

Francuscy traperzy wrócili do rozmowy, ale Will przerwał im znowu:

- Uda wam się znaleźć drogę powrotną do St. Louis?

- *Oui, monsieur*. Droga powrotna jest zawsze łatwiejsza. Kiedy wyruszamy? - Pierre uśmiechnął się szeroko.

- Jutro rano. O świcie.

Pierre nie odezwał się, ale pytającym wzrokiem objął dziewczynę.

- Ona oczywiście pojedzie z nami - stwierdził Will, nie patrząc na Dana, choć czuł na sobie jego pełne wyrzutu spojrzenie.

Zjima nadeszła w dniu ich wyjazdu, nadciągnęła z wyciem od gór, dmuchnęła im w oczy śnieżycą, jakby dotknęła ludzi lodowatym palcem dla ostrzeżenia przed tym, co ich czeka. Trzy dni po opuszczeniu przez nich terytorium plemienia Crow spadł śnieg, zasypał drogi i bardzo spowolnił tempo podróży, na skutek czego podróż do St. Louis zajęła im trzy pełne zimna, męczące tygodnie.

Natomiast wystarczyło pięć minut, aby Margery została żoną Williama.

Kiedy było już po wszystkim, gdy ceremonia dobiegła końca i dziewczyna stała w milczeniu u jego boku, William nie mógł się pozbyć wątpliwości, czy ta mała dzikuska rozumie, czym jest małżeństwo. No, dość tego, pomyślał. Ożenił się, tak jak chciał, był teraz żonatym człowiekiem; od tej chwili miejsce jednego z nich jest przy drugim, a jednak chyba jeszcze nigdy nie czuł takiego bólu serca, takiej samotności, takiego wstrętu do samego siebie jak w tej chwili. Kupił tę istotę ludzką jak rzecz, ożenił się z nią i czuł się winny jak cholera. Ale musiał to zrobić, popchnęła go do tego jakaś siła, której sam nie rozumiał. Mógł tylko starać się złagodzić swój ból i wyrzuty

sumienia, powtarzając sobie w duchu, że uchronił ją od stokr gorszego losu, gdyby dostała się w ręce jakiegoś wojownika Mandana.

Leciutko odwrócił głowę i spojrzał w dół na dziewczynę, którą stała cicha i uległa u jego boku. Jego żona.

- Może pan pocałować pannę młodą. - Pastor, zaspany młody, otrząsnął się z senności i spojrzał na Williama.

Dziewczyna, jakby poczuła na sobie wzrok Willa, podniosła głowę i spojrzała na niego niepewnie. Było jasne jak słońce, że^f nie ma pojęcia, co robić.

Podobnie jak on.

Stał przez minutę i gorączkowo zastanawiał się nad swoim kolejnym ruchem. Skąpo umeblowany pokój, w którym się zebrali, był mały i przegrzany. Na kominku głośno tykał zegar Will rozejrzał się i napotkał pełne oczekiwania spojrzenia Festusa i Dana. Wiedział, na co czekają.

„Może pan pocałować pannę młodą...”.

Ciekaw był, czy dziewczyna zrozumiała słowa pastora. Jej twarz była pełna oczekiwania. Na Boga, na pewno nie sądziła, że Will odmówił zwrócenia jej wolności i ożenił się z nią, bo żywił do niej jakiegokolwiek cieplejsze uczucia?! Czy wyglądał na idiotę, który mógłby się zakochać od pierwszego wejrzenia? Może ona wcale tak nie myślała. Ale dlaczego w takim razie patrzyła na niego takim wzrokiem, jakby kroczył po wodzie? Tak nie może być, Will. Nie wolno ci dopuścić, żeby ona się w tobie zakochała...

W jaki sposób wytłumaczyć jej, że to jedynie rodzaj umowy handlowej, że on da jej stokrów więcej, niż mogła sobie wymarzyć w najśmielszych snach: bogactwo, prestiż, tytuł i coś jeszcze, za co większość mężatek oddałaby wszystkie swe klejnoty, to znaczy męża, który nie będzie się starał wyegzekwować swoich praw małżeńskich. A za to wszystko chciał od niej tylko jednego: jej ręki. Tylko ręki. Niczego więcej. Nie miał zamiaru kiedykolwiek nawet dotknąć innej części jej ciała.

pastor odchrząknął znacząco i Will zorientował się, że ten klecha należy do ludzi, u których wszystko musi iść utartą koleją. A utarło się, że na zakończenie ceremonii zaślubin pan młody całuje pannę młodą. I prawdopodobnie, jeśli zajdzie taka potrzeba, będzie stał jak słup na swoim miejscu nawet i cały dzień.

Bardziej aby zyskać czas do zastanowienia niż z jakiegokolwiek innego powodu. Will pochylił się nieco, położył ręce na ramionach dziewczyny i przyciągnął ją do siebie. Musnął jej wargi ustami w całkowicie niewinnym pocałunku.

Kiedy znowu na nią spojrzał, dostrzegł, że dziewczyna nadal nic nie rozumie, ale jest wystarczająco inteligentna, by pojąć, że coś jest z ich małżeństwem nie tak. Zauważył, że z jej oczu zniknęło pełne miłości spojrzenie. Zostało zastąpione przez zmieszanie.

Do licha, wolał już zmieszanie niż miłość.

Przez chwilę stała po prostu, wpatrując się w niego, a jej mina wyrażała niebotyczne zaskoczenie. Potem dziewczyna powoli podniosła rękę i dotknęła palcami ust.

O dziwo, ten mimowolny gest wydał mu się niezwykle pociągający.

Gdyby nie była taką ponurą małą dzikuską, niewykluczone, że rozważyłby coś więcej niż tylko pocałunek. Oczywiście to wyłącznie jego wina, że dziewczyna nie miała czasu, żeby się wykapać czy choćby umyć, ale nie był pewien, czy ona wiedziałaby, co to kąpiel, nawet gdyby miała na nią czas. Angielski entuzjastyczny stosunek do czystości nie był przecież częścią jej dziedzictwa kulturowego. Będzie musiał ją tego nauczyć.

Ale nagle przypomniał mu się ojciec i uznał, że do jego celów odpowiedniejsza będzie brudna mała dzikuska, przynajmniej do czasu, kiedy znajdą się w Anglii. Kiedy on już odjedzie, rodzina będzie mogła do woli oddawać się przyjemności prób cywilizowania jej.

- Moje gratulacje! - zawołał Dan tak radosnym głosem, że Will miał ochotę mu przyłożyć. - No, teraz jesteś żonaty. Jakie to uczucie?

- A jak sądzisz? - Will skrzywił się.
 - Ponieważ nadal nie znam przyczyny tego małżeństwa, nawet nie będę zgadywać. Jednakże życzę tobie i wicehrabinie długiego i szczęśliwego pożycia.

- Idź do diabła, Danielu!

W tym momencie zabrzmiało donośne chrząknięcie.

- Przepraszam - powiedział William do wielbego Pettigrew. Wyjął z kieszeni pieniądze i podał pastorowi. - Dziękuję za usługę. Przepraszam, że obudziliśmy pastora w środku nocy.

- Właściwie o świcie - stwierdził wielbny Pettigrew. - Jest już wpół do szóstej.

- Racja. - Will spojrzął w ciemność za oknem. - W takim razie wyruszamy.

- Chwileczkę! - Pastor usiadł za biurkiem. Wziął do ręki pióro, umoczył w kałamarzu i zaczął coś skrobać na arkuszu czystego papieru. Kiedy skończył, wstał i przez chwilę dmuchał, żeby atrament wysechł. Wreszcie, usatysfakcjonowany, wręczył Willowi dokument. - Może być panu potrzebny.

Will spojrzął na papier.

- Proszę, niech pan to weźmie. To świadectwo ślubu... dowód, że małżeństwo zostało zawarte i jest prawomocne.

William wziął dokument i schował do kieszeni.

- Ruszajmy w drogę - powiedział w przestrzeń, nie patrząc na nikogo.

Wyprowadził swoich towarzyszy z domu pastora. Margery, jak przystało na indiańską squaw, podążała krok za nim. Kiedy znaleźli się na dworze, dosiedli koni i pojechali ulicą. Wreszcie dotarli do hotelu Lewis and Clark. Dan zeskoczył z konia.

- Mam wynająć dla nas pokój? - zapytał, a potem spojrzął na siedzącą bez ruchu na koniu Margery. - To znaczy... pokoje?

- Nie. Ja się tym zajmę. Powiedziałem Festusowi i Francuzom, że zostawię dla nich w hotelowym sejfie koperty z pieniędzmi. Zrobię to zaraz, żeby nie zapomnieć.

- W takim razie zaczekam tutaj - stwierdził Dan.

Will zsiadł z konia i wszedł do hotelu. Wynajął trzy pokoje.

pla siebie, dla Daniela i dla Margery. Zastanawiał się, czy kiedy wyjdzie na dwór do czekających na niego towarzyszy. Daniel wtrąci swoje trzy grosze i skomentuje wynajęcie przez niego trzech pokoi. Wtykanie nosa w osobiste sprawy Willa weszło mu ostatnio w krew, wtrącał się w każdą decyzję przyjaciela związaną z Margery i robił wszystko, co w jego mocy, aby obudzić w nim poczucie winy.

I pewnie znów się za to weźmie, kiedy tylko się dowie o trzech pokojach. Do diabła! Chyba nie oczekiwał, że William będzie z tą dziewczyną sypiać?!

Will był już przy drzwiach, kiedy nagle stanął jak wryty. Niespodziewanie dotarło do niego, że nie może zabrać Margery do Anglii i zostawić jej ze swą rodziną, jeśli małżeństwo nie zostanie skonsumowane.

Ojciec natychmiast anulowałby małżeństwo, a potem, jak zwykle, przejąłby kontrolę nad życiem syna i ostatnie słowo należałoby do niego.

Zostawił drzwi otwarte i wrócił do hotelu. Po kilku minutach wyszedł. Margery nadal siedziała w siodle. Dan stał obok. Byli pogrążeni w cichej rozmowie.

Will przenosił wzrok z jednego na drugie. Był zaskoczony. Naprawdę. Ilekroć znajdował się w pobliżu, Margery prawie się nie odzywała, ale jak tylko odwrócił się plecami, ona i Dan pochylali ku sobie głowy i gawędzili przyjaźnie jak dwie stare panny.

- Mają wolne pokoje? - zapytał Dan.

- Dzisiaj będziesz mógł złożyć swą śliczną główkę na miękkiej poduszce.

- Mogę zapomnieć o poduszce, bylebym tylko miał łóżko.

- Wynajmują razem z poduszką.

Dan pytająco uniósł brew i zerknął na Margery.

- To otworzy ci drzwi do rajy - oznajmił Will i wręczył przyjacielowi klucz od pokoju. - Możesz wyspać się za wszystkie czasy. Za dwa dni mamy parowiec do Nowego Orleanu. Po płyniemy nim.

- Spieszymy się, co? - mruknął rozbawiony Dan i zerknął na Margery.

Will zignorował go i podszedł do nadal siedzącej w siodle dziewczyny. Chciał pomóc jej zsiść, ale kiedy zobaczyła, że on się zbliża, sama zsunęła się na ziemię.

- To już koniec podróży - powiedział - Najwyższy czas żebyś po dwudziestu latach zobaczyła, jak wygląda łóżko. Jestem ciekaw, czy będziesz jeszcze pamiętała, do czego służy.

- A ja jestem ciekaw, czy ty będziesz pamiętał - mruknął przechodzący właśnie obok nich Dan.

8

Łóżko.

Will patrzył na usta dziewczyny, kiedy wymawiała to słowo. Po raz kolejny musiał przyznać, że jest w Margery coś niezwykle pociągającego, mimo jej brudu i dzikości. Może to jej niewinność, bo uznał, że fascynuje go spoglądanie na rzeczy, które uważał za całkiem zwyczajne, jej oczami. Odepchnął od siebie tę myśl. Dziewczyna była ignorantką, a nie niewiniątkiem.

- Łóżko - powtórzyła jeszcze raz i William, który przyglądał się jej twarzy, zauważył, że dziewczyna stara się za pomocą słowa wywołać z pamięci odległe wspomnienia.

Dostrzegł, jak światło w jej oczach przygasa i pojawia się w nich rozczarowanie. Nigdy dotychczas nie zastanawiał się, jak to jest, kiedy człowiek szuka fragmentów własnej przeszłości i nie jest w stanie ich odnaleźć.

Do diabła, ona sama nie wie, ile ma szczęścia. Gdybym to ja stracił przeszłość...

Otworzył drzwi do jej pokoju i razem weszli do środka. Zatrzymała się i zaczęła się rozglądać oczami wielkimi jak wschodzące właśnie słońce. Wiedział, że Margery szuka w tym wnętrzu czegoś znajomego, czegoś, do czego mogłaby dopasować słowo „łóżko”.

Wyczuwał jej rozczarowanie; zdawał sobie sprawę, jakie to

wszystko musi być dla niej dziwne. On także, znalazłszy się po długiej przerwie w normalnym pokoju, czuł się nieco osobliwie.

- Myśl o tym jak o wielkim tipie. - Usiadł na łóżku i lekko się zakołysał na miękkim materacu. - To jest łóżko. Na tym się śpi. Pamiętasz spanie w łóżku?

- Nie. - Potrząsnęła głową.
- Chodź tu.

Rzuciła mu podejrzliwe spojrzenie, zrobiła trzy kroki w przód i zatrzymała się.

i

- Nie mam zamiaru cię zgwałcić. - Wyraz twarzy Margery świadczył, że dziewczyna nie rozumie słowa zgwałcić. I nic dziwnego, Will podejrzewał, że nie pojawiało się ono w słowniku świątobliwego ojca Marca. - Jesteś ze mną tak samo bezpieczna jak z Danielem.

- Daniel jest bardzo dobry.
- A ja nie?
- Nie wiem. Nie okazujesz lego...

William musiał przyznać, że ma do czynienia z niezwykłą szczerą małą dzikuską. Niech jej będzie: Daniel jest dobry. Do licha. Nie da się Danielowi przeliczyć.

- Niech się dzieje co chce, teraz spróbuję być miły. Chóć tu, pokażę ci, co straciłaś.

Dziewczyna podeszła, przyciskając kurczowo do piersi swój tobołek, i zatrzymała się obok łóżka. William zauważył, że równie nieufnym wzrokiem spogląda na niego i na łóżko.

- Usiądź. - Poklepał materac.

Ani drgnęła, nadal podejrzliwie przyglądając się łóżku.

- No już. Siadaj. To nie koń. Nie zrzuć cię.

Usiadła sztywno obok Willa, nadal ściskając swój węzełek.

- Tutaj. - Odebrał jej manatki i położył na krześle. - A teraz popatrz. - Kilkakrotnie zahaustał się na sprężynującym materacu.

Oczy dziewczyny podążały za nim... w górę... w dół... w górę... w dół...

- Spróbuj.

Uśmiechnęła się i jej twarz wydawała się odmieniona. Oczy

zabłyły. Jaka ona dziecinna, jaka całkiem niewinna. Jaka rozkosznie brudna.

Zaczął niemal żałować, że musi ją porzucić w Anglii. W innych okolicznościach byłoby całkiem miło uczyć ją wszystkiego. Boże! Jak strasznie chciałby namalować ją w tej chwili, utrwalić na wieki ten pełen zachwyty wyraz szeroko otwartych oczu.

- Odważnie. Spróbuj. - Znów zakołysał się kilkakrotnie.

Dziewczyna uniosła się i raptownie opadła na łóżko.

Will usłyszał, jak gwałtownie wciąga powietrze i wypuszcza je z pełnym ulgi westchnieniem.

- Dobrze. A teraz trochę wyżej.

Zakołysała się ponownie, tym razem uniosła się wyżej, tak jak kazał. Zahaustała się znowu. I znowu. I znowu.

Wkrótce w pokoju rozległ się śmiech, który zabrzmiał jak muzyka. Will odkrył, że bardzo mu się ten śmiech podoba. Dziwne. Przecież już niejednokrotnie słyszał kobiecy śmiech, ale jakoś nigdy dotychczas nie zwrócił na niego uwagi.

Dziewczyna stała teraz na łóżku.

Jaka ona świeża. Jaka niezsyputa. Nie był w stanie sobie wyobrazić, by jakakolwiek Angielka mogła z taką radością podskakiwać na łóżku. Na widok materaca ich myśli pobiegłyby w całkiem odmiennym kierunku.

Nigdy nie zrozumiał, dlaczego to zrobił, on, dorosły mężczyzna, który wszystko wiedział o świecie. Może dlatego, że dziewczyna straciła równowagę i wylądowała na pupie. Jej przerażona mina rozbroiła go.

Mrugała przez chwilę z zaskoczeniem, potem szeroko otworzyła oczy i spojrzała na Williama z rozbawieniem. Nie zdołał się opanować. Zaczął się głośno śmiać. W następnej chwili dostrzegł, że Margery wstaje i wyciąga do niego rękę, zapraszając, by dołączył do niej. Wdrapał się na łóżko, chcąc jej udowodnić, że jest równie miły jak Daniel.

Ale, oczywiście, nie ma mowy, żeby zaczął skakać, pomyślał.

Oparł się o ścianę i skrzyżował ręce na piersiach.

Po chwili jednak przekonał się, że jeśli dwie osoby stoją na

materacu i jedna zacznie podskakiwać, to i druga wzbija si w górę. Wkrótce dziewczyna próbowała złapać równowagę a on, wbrew sobie, starał się utrzymać swą pełną dostojeństw; pozę. Margery zaśmiewała się, a William się zastanawiał, kiedy ostatnio tak dobrze się bawiła.

Nauczył się przy okazji jeszcze jednego: śmiechjest zaraźliw; W pewnej chwili zorientował się, że uśmiecha się do dziewczyny] Nagle podskoczyła wyżej niż poprzednio i spadając, oparła si o niego. Oboje zostali rzuceni na brzeg łóżka. Will wylądow' na plecach.

Dziewczyna podskoczyła jeszcze raz i spadła poza krawędź.?

William przeturlał się i spojrzał na podłogę.

- Okłamałeś mnie. - Margery leżała rozciągnięta na podłod i rozcierała stłuczoną pupę.

Patrzył na nią z góry jak zaspana sowa. Kłamał? On?

- Mówiłeś, że łóżko mnie nie zrzuci.

Otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale dziewczyna błyskawicz nie wyciągnęła rękę i złapała go za kołnierzyk. Zanim zdąży! się zorientować, co chce zrobić, ściągnęła go na podłogę, jakb ważył nie więcej niż piórko.

Rąbnął o ziemię z łomotem i stłukł sobie ramię. Do diabła! Z kim on się ożenił? Z zapaśniczką?!

Siedziała nad nim i zaśmiewała się. Daniel miał rację. Pd umyciu ta dziewczyna będzie całkiem niebrzydka.

- Uważasz, że to zabawne, co? - Chwyił ją za ramię, prze wrócił na podłogę i przygwoździł swoim ciałem. Może i wy-j głądała jak dzikuska, ale kiedy leżała pod nim, była po prostu kobietą. I tylko kobietą. A już tyle czasu minęło, odkąd był z kobietą.

Do licha, dlaczego by nie? To przecież moja żona, uświadomił sobie. Spojrzał z góry na twarz Margery, na iskierki w jej oczach i ślad rumieńca na policzkach.

Pochylił głowę i już miał ją pocałować, jej tłuste włosy i wszystko inne, lecz nagle drzwi otwarły się z trzaskiem.

- Przepraszam za najście, ale usłyszałem jakiś okropny hałas

i przyszedłem, żeby sprawdzić czy... - Daniel wsadził głowę w uchylone drzwi i zamarł, dość szybko jednak odzyskał panowanie nad sobą. Przez chwilę przenosił wzrok z jednego na drugie- a potem stwierdził sucho: - Widzę, że łóżko niezbyt jej się spodobało. _ Co tu robisz? - Will nie krył irytacji.

- Myślałem o tym, że jesteście tu sami. - Daniel radośnie wyszczerzył zęby. - Kiedy usłyszałem hałas, przyszło mi do głowy, że możecie mieć jakieś problemy... na przykład ze złodziejem. - Jego oczy błyszczały z rozbawienia. - Powiedz mi, czy to ona pokazywała ci, jak się to robi u Indian, czy też ty chciałeś zrobić na niej potężne wrażenie, pokazując, jakie masz silne łokcie?

Will zerknął w dół i stwierdził, że podpiera się na łokciach, a Margery potulnie leży pod nim. Miała tak figlarną minę, jakby doskonale wiedziała, co się dzieje.

- Ani słowa więcej - mruknął i stoczył się na bok.

Margery wstała i spojrzała na Daniela.

- Byliśmy na łóżku.

- I co? Było zabawnie?

- Tak, to była magia.

- Magia? - Dan uniósł brew i spojrzał na przyjaciela. - Uwodziłeś ją sztuczkami magicznymi? Co miałeś... hm... w rękawie? Czarodziejską różdżkę?

- Nie sil się na dowcip, bo całkiem ci to nie wychodzi.

- Nie martw się. Ty jesteś zabawny za nas obu. Podskakiwać na łóżku! W twoim wieku?! Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć miny chłopaków w Londynie, kiedy się o tym dowiedzą.

Na swoje szczęście Daniel miał chwilę olśnienia, więc wyskoczył za drzwi i natychmiast je za sobą zamknął. Gdyby się na sekundę zawahał, dostałby w głowę dzbanem wody. Ale w tej sytuacji dzban roztrzaskał się o drzwi. Po pokoju rozlała się woda i rozleciały się odłamki porcelany.

Nastrój prysł.

Margery bez zastanowienia pochylała się i podniosła jeden z odłamków.

- Nie ruszaj! -zawołał Will. -To ostre. Możesz się skaleczyć
Aż podskoczyła, kiedy krzyknął, i odruchowo zacisnęła dłoń
William dostrzegł ból w jej oczach i zrozumiał, co się stało.]
- A niech to wszyscy diabli! - Podeszedł do niej.
Dziewczyna otworzyła dłoń i spojrzała na nią. Była już ca]9
zakrwawiona. Will wyjął z rany ostry odłamek porcelany, wziął j ze
stołu ręcznik i owinał nim rękę Margery.
- Usiądź, zaraz wracam.
Usiadła, a on ruszył do drzwi, kopiąc po drodze reszt^
dzbanka. Zapukał do pokoju Dana.
- Znajdź lekarza. Skaleczyła się w rękę - powiedział gwałt
townie, gdy tylko drzwi się uchyliły.
- Poważnie?
- Na tyle poważnie, że trzeba wezwać lekarza. Przestań] gadać,
bo dziewczyna wykrwawi się na śmierć i doktor niej będzie już
potrzebny.
Na szczęście Dan jeszcze nie zdążył się rozebrać, więc pędem]
zbiegł ze schodów i znikł w ciemnościach na dole.
William wrócił do pokoju. Margery siedziała na łóżku.
Siedziała na łóżku?! Wielki Boże! Kobieta, która robi to, col jej
nakazano? Mężczyzna mógłby do tego przywyknąć. Mógłby! też
przywyknąć do tych pełnych podziwu oczu i do tej pełnej! adoracji
twarzy.
- Przyciskaj ręcznik do rany. To zmniejszy krwawienie.
- Nie boli.
- Poczekaj trochę. Jutro będzie bolało jak cholera.
Spojrzała spokojnie na niego, a potem zrobiła ruch, jakby j
chciała wstać.
- Dokąd się wybierasz?
- Chcę wziąć mój tobołek... Mam tam lekarstwa.
- O, nie! Nie zgadzam się, żebyś zakaziła ranę jakimiś pękami]
indiańskich ziół, łajnem bizona czy Bóg wie czym jeszcze.
- Dostałam je od Batce Baxbe.
- Kto to?
Zmarszczyła czoło, jakby starała się coś sobie przypomnieć.

_ Po angielsku to jest lekarz.
Mógł go sobie bez trudu wyobrazić... jakiś nieokrzesany
osobnik w dziwnym odzieniu, wymachujący ogonem bizona,
skrzeczący i pomrukujący coś, pochrząkujący i przeskakujący
przez ognisko, do którego wrzuca garść prochu strzelniczego.
- Schowaj ten węzełek z lekami, pokażesz to kiedyś wnukom.
Zaraz będzie tu lekarz.
Nie minęło pięć minut, a Daniel już otwierał drzwi i wpychał
do pokoju wysokiego, chudego mężczyznę z dwiema kępkami
zmierzwiionych siwych włosów na głowie.
- To doktor Ellory - przedstawił Daniel.
Na widok Margery medyk zamarł. Oczywiście zaskoczył go
widok Indianki i przez chwilę William obawiał się, że będzie
musiał przystawić lekarzowi pistolet do skroni, żeby zechciał
zająć się pacjentką. Ale kiedy wzrok doktora Ellory'ego spoczął
na zakrwawionym ręczniku, którym owinięta była dłoń dziew-
czyny, powołanie okazało się silniejsze niż uprzedzenia.
- Spójrzmy na to - powiedział i podeszedł do siedzącej na łóżku
Margery. Postawił torbę lekarską na łóżku obok pacjentki,
- To spore rozcięcie. Dużo krwi. - Dziewczyna nadal uciskała
rękę.
Doktor Ellory spojrzał na Willa.
- Ona dobrze mówi po angielsku.
- Oczywiście, że tak. Jest biała. - William sam był zaskoczony
tonem swego głosu.
Rzucił przelotne spojrzenie na Dana. Do diabła! Przyjaciel stał
z idiotycznym uśmiechem na twarzy.
- No, no. To paskudne rozcięcie. Obawiam się, że będę
musiał założyć szwy. - Lekarz otworzył torbę i wyjął laudanum. -
Niech pan jej da kilka łyków. To złagodzi ból.
Will wziął od niego butelkę, odkorkował i zbliżył do ust
Margery. Dziewczyna odwróciła głowę.
- Musisz to wypić.
Potrzęsnęła głową.
- No, już. Tylko dwa łyki.

- Nie. - Znów stanowczo potrząsnęła głową.
 - Powinnaś to wypić. To zmniejszy ból. Lekarz musi zesz ranę.

Kiwnęła głową, jakby wreszcie zrozumiała.

Will spojrział na zmarszczone czoło Dana. Do licha! A jeszcze przed chwilą myślał, że ma do czynienia z kobietą, która robi co się jej każe. Odetchnął głęboko i spróbował znowu.

- Chyba nie rozumiesz - powiedział. - Dzięki temu poczujesz się lepiej. Nic nie będziesz czuła. Zrobisz się bardzo śpiąc- a kiedy się obudzisz, będzie już po wszystkim, a ręka będzie zreperowana.

Spojrzała na niego z pełnym zrozumieniem, szczerze.

- Rozumiem. On zeszyje moją rękę, tak jak ja zszywał; skóry bizona. - Odwróciła się do lekarza. - Niech pan szyj proszę.

Will przytknął jej butelkę do ust, ale odwróciła głowę.

- Nie potrzebuję usypiającego lekarstwa. - Wyciągnęła rękę do doktora Ellory. - Niech pan już szyje. Nie jest dobrze straci zbyt wiele krwi.

Doktor spojrział na Willa.

- Słyszał pan, co powiedziała. Niech pan szyje. - William wzruszył ramionami; sam nie wiedział, co jeszcze mógłby zrobić.

- Will, chyba nie sądzisz... - Dan zrobił krok do przodu.

Jego przyjaciel podniósł rękę.

- Uspokój się. Podejrzewam, że ona bardzo szybko zmieni zdanie.

Stał z butelką w pogotowiu, podczas gdy lekarz czyścił ranę. Medyk był bardzo zdziwiony, że pacjentka nie zmieniła zdania, kiedy zaaplikował środek antyseptyczny. Ten lek palił żywym ogniem, doskonale o tym wiedział.

Will zacisnął zęby, kiedy lekarz zaczął zszywać głęboką ranę. Wbił igłę w żywe ciało.

Will odkorkował butelkę i pociągnął łyk.

- Daj i mnie trochę - poprosił Dan.

Will podał mu butelkę i Dan pociągnął solidny łyk.

Dziesięciokrotnie doktor Ellory wbijał igłę w żywe ciało z jednej strony rany i dziesięciokrotnie z drugiej, przeciągając i ściśle łącząc rozcięte brzegi.

Dziewczyna nie krzyknęła ani razu, nawet nie jęknęła.

Will zerkał od czasu do czasu na jej twarz. Widział w jej oczach ból, ale nie uroniła ani jednej łzy. Gdyby to jego rękę zszywano, nie tylko wysuszyłby całą butelkę co do kropli, ale jeszcze i tak odwracałby głowę.

Doktor Ellory skończył wreszcie i zabandażował dłoń dziewczyny.

- Nie zdejmuj bandaża. Podczas kąpieli możesz moczyć i mydlić opatrunek, ale potem trzeba go zmienić. Po kilku dniach można rękę odwinąć i pozwolić ranie zaschnąć. Za tydzień zdejmę szwy.

- Jutro wyjeżdżamy do Nowego Orleanu - oznajmił Will. - Tam poproszę kogoś o zdjęcie szwów.

Doktor Ellory zamknął torbę i wstał.

- To niezwykła młoda kobieta. Jeszcze nigdy nie widziałem człowieka, nawet wśród najsilniejszych mężczyzn, tak odpornego na ból. - Spojrział na Margery i potrząsnął głową. - Niezwykła. Zupełnie niezwykła.

Will wręczył mu pięć dolarów.

- To za dużo.

- Proszę wziąć. Kto wie? Może jeszcze kiedyś będziemy potrzebować pana pomocy. Lekarz podziękował i wyszedł.

Will spojrział na dziewczynę, a potem na Dana.

- Przy niej nie czujesz się taki męski jak dotychczas, prawda? Dziesięć szwów i nawet nie pisnęła.

- Miałam już gorsze rany - stwierdziła Margery.

- Gorsze? - zapytali chórem.

Kiwnęła głową.

- Gdzie? - zapytał Will i natychmiast uświadomił sobie, że popełnił błąd. Poważny błąd. Zanim zdążył ją powstrzymać, Margery wstała i wysoko

podciągnęła sukienkę. Pokazała im długą szramę, biegnącą lewego kolana prawie do pasa.

To była paskudna blizna, ale Will niemal jej nie zauważył.

Zauważył natomiast, że pod skórzaną sukienką dziewczyn jest kompletnie naga. Naga i niezwykle piękna.

- Mój Boże! - Usłyszał, jak Dan gwałtownie wciąga powietrze.

Will spojrzął na przyjaciela, który, jak na prawdziwego dżentelmena przystało, odwrócił wzrok.

Żaden z nich nie zobaczył nic więcej poza gołą nogą i biodrem, ale dla Willa było to aż za dużo. Gwałtownie obciągnął jej sukienkę.

- Przede wszystkim musisz się nauczyć, że nie wolno pokazywać innym różnych części swego ciała.

- Jesteś ze mnie niezadowolony?

- Tak, do diabła, i potraktuj to poważnie, bo jeśli jeszcze raz zrobisz coś podobnego, to przełożę cię przez kolano i tak ci spiorę tyłek, że przez tydzień nie będziesz mogła usiąść. Mogę tylko być wdzięczny losowi, że jest tu z nami Dan, a nie jakiś lubieżny obcy. To najlepszy sposób, żebyś została zgwałcona i żebym ja skończył z rozłupaną czaszką.

Usiadła na łóżku i wybuchnęła płaczem.

Ostąpiali mężczyźni spojrzeli na siebie.

Dan po raz pierwszy w życiu zapomniał języka w gębie.

- A niech to licha! Nie do wiary! - zawołał Will. Podniósł ręce i zaczął postukiwać butem w podłogę. - Siedzi przy zakładaniu dziesięciu szwów nieporuszona jak kamień, a kiedy mówię jej, żeby nie zadzierała spódnicy, zalewa się łzami. Kobiety! Czy ktoś je rozumie?!

- Na pewno nie ty. - Dan roześmiał się.

- To może ty?

- Tę jedną rozumiem.

Will spojrzął na przyjaciela, potem na Margery, znów na Dana i oznajmił:

- Muszę się napić.

Moim zdaniem, to wspaniały pomysł - zapalił się Daniel. I Dan i J3 ujdziemy na chwilę na dół. Dasz sobie radę? - Will położył dłoń na ramieniu Margery.

Jestem zmęczona. Chciałabym się przespać. Zamknij za nami drzwi i nigdzie nie wychodź. Pójdź z nimi do drzwi.

Poczekali, aż przekręci klucz

""C^rozumiesz, dlaczego ona się rozplakała- za-

pytał Will. - Tylko idiota by nie

rozumiał. Will się nie odezwał.

Chyba nie sugerujesz, że ty nie wiesz? - zapytał Dan po

*!S^Ł » rozumiem. Chciałem się tylko upewnić, czy

^ Sn nie odpowiedział. Will zerknął na przyjaciela kątem oka.

Jeśli on się roześmieje, to rozkwaszę mu nos, £«««*•£* na szczęście, miał dość oleju w głowie, zęby trzymać język za zębami.

ciemność. Znów poczuła na twarzy ciepły dotyk słońca. Chciała dotknąć dłoni, która z taką miłością gładziła jej policzek, ale ręka rozwiła się jak sen. Przez chwilę pozostał jeszcze słaby, ulotny cień, który z każdą chwilą stawał się bledszy, słabszy, aż wreszcie zniknął bez śladu.

- Niiieeee! - krzyknęła Margery. - Wracaj! Nie odchodź, mamó. Nie pozwól im mnie zabrać.

Usiadła gwałtownie i podniosła rękę do głowy, w której pulsował ból. Zamknęła oczy, żeby powstrzymać zawroty głowy. Usłyszała jakieś odgłosy... chróbot klucza w zamku, skrzypienie otwieranych drzwi, ciche kroki stóp przemierzających pokój. Łóżko ugięło się pod jakimś znacznym ciężarem.

Otworzyła oczy. Obok niej siedział William z włazem współczucia na twarzy i obejmował ją ramieniem.

- Co to było? Co się stało? Przestraszyłaś się czegoś... a może to tylko sen?

- Sen. - Spojrzała na Williama i wydał jej się nieco podpita.

- Już wszystko w porządku. Połóż się i postaraj się jeszcze trochę przespać.

- Nie zostawisz mnie? - Położyła się posłusznie i okryła się szczelnie kołdrą powyżej piersi.

- Zostanę z tobą, dopóki nie zaśniesz. - Will uśmiechnął się i wyciągnął rękę, żeby pogłodzić ją po twarzy. Dziewczyna odprężyła się pod wpływem czulego, uspokajającego dotyku.

- Usnę teraz, bo ci ufam. - Zamknęła oczy.

Usnęła i nie wiedziała, że William siedział przy niej aż do rana i wpatrywał się w nią ze skrucą.

Wbudził ją pulsujący ból ręki. Margery otworzyła oczy¹ zobaczyła, że nastał ponury, szary dzień. Przez chwile leżała bez ruchu w miękkim łóżku, wsłuchując się w znajomy plu.sk deszczu w całkowicie obcym otoczeniu.

Kiedy siedziało się wewnątrz obszernego tipi, deszcz uderzał⁰ Pokrywające go skóry bizona z charakterystycznym miękkim

T ej nocy znów miała sen. Początkowo było tylko złociste ciepło letniego dnia, jakieś brzmiające jak muzyka głosy i dobiegający z oddali śmiech. Zaczęła się wiercić w łóżku i mrużyć coś przez sen. Poczuła na sobie ciepło słonecznych promieni, ogarnęło ją senne rozleniwienie. Usłyszała łopot skrzy-ij deł, podniosła głowę i wysoko na niebie dostrzegła ogromnego orła. Ptak rzucał na ziemię cień, który odbierał światło i ciepło słońca.

Świat stał się nagle zimny i nieurodzajny, zamieszkały przezJB istoty pozbawione oczu. Z ciemności wyłoniły się dziesiątki długich, macających po omacku ramion, które co chwila łapały powietrze, szukając niestrudzenia. Margery wiedziała, że to ją i starają się pochwycić.

- Jestem tutaj! Mamó... tato... jestem tutaj! Zabierzcie **mniej** stąd! - usłyszała własny krzyk.

Ale nie przyszli po nią, a obraz zaczął się zacierać, szarzyćM zasnuwać się gęstą mgłą, z której nagle wyłoniło się ostre l światło. Prerażona Margery zaczęła krzyczeć przez sen. Dotyk l pełnej miłości dłoni, która gładziła jej twarz, był czuły i ciepły. l „Cicho, cicho, malutka... Cicho, nie bój się... Czarny Douglas I cię nie dostanie...".

Krzyk ustał, prerażający orzeł odfrunął, a wraz z nim zniknęła J

odgłosem. Tu bił w szklane szyby okien o wiele głośniej i to bębnienie uświadomiło dziewczynie, że nic nie będzie już takie jak dawniej.

Rozglądała się po pokoju i obserwowała dziwne drewniane sprzęty, których nazw nie знаła. Z wyjątkiem słowa łóżko, które | wydawało jej się stanowczo zbyt krótkie jak na określenie mebla, w którym spędza się tak znaczną część życia.

Dziwny przedmiot z tego łóżka.

Wczoraj to był obiekt radości i śmiechu, miejsce do podskakiwania, w którym można cieszyć się życiem w towarzystwie drugiego człowieka. W nocy stało się azylem, w którym można złożyć zmęczoną głowę, zamknąć oczy i zapaść w sen. A dziś napelnione było smutkiem i żalem, służyło do leżenia i rozmyślenia w ciszy i osamotnieniu.

Ktoś zapukał do drzwi i dziewczyna zerwała się z postania.]

- Margery?

Poznała głos Dana.

Szybko wyskoczyła z łóżka i zanim otworzyła drzwi, starannie obciągnęła sukienkę. Dan stał w progu z uśmiechem na ustach.

- Dzień dobry. Jak minęła pierwsza noc przespana w łóżku? Dobrze ci się spało w tym ubraniu?

Spojrzała za niego, sprawdzając, czy nie stoi za nim William, ale na szczęście dla Dana korytarz był pusty.

- Spałam jak w obłokach. To wspomniała rzecz takie łóżko. Czy wszędzie je mają?

- Niemal wszędzie. Poza tipi, oczywiście. Obdarzyła go uśmiechem, lecz wydawała się smutna.

- Gdzie jest William?

- A jak twoja ręka?

- Przypomina się.

- Przypomina się...? - Dan spojrzał na Margery pytająco, ale zaraz się uśmiechnął. - Ach tak, rozumiem. Pulsuje?

- Pulsuje? - Dziewczyna zmarszczyła czoło.

Przeczesał palcami włosy, zastanawiając się, jak jej wytłuma- j czyć znaczenie tego słowa.

- Pulsuje... to znaczy... jak by to określić? To tak, jak gdyby wewnątrz twojej dłoni ktoś walił w bęben.

- Tak, rozumiem. Czuję ten bęben.

Dan położył rękę na jej czole.

- Nie masz gorączki. To dobry znak. Pewnie nie jadłaś jeszcze śniadania. Może zejdziesz na dół i zjesz ze mną?

- O tak, jestem strasznie głodna. Mój brzuch pulsuje.

- Nie, pulsuje twoja ręka, a w brzuchu ci burczy.

- Burczy... jak niedźwiedź?

- Niedźwiedź ryczy. -Pogładził ją ręką po włosach. -Chodź, zjedziemy sprawdzić, co nam dadzą na śniadanie.

Zeszła za nim po schodach.

Wkrótce zasiedli do jedzenia. Talerz dziewczyny był wypełniony po brzegi całkiem jej nieznanymi potrawami, których nazwy słyszała, ale nigdy ich nie widziała. Jajka. Bekon. Grzanki. Smakowało jej jedzenie białych ludzi. Nie wiedziała, czy już je kiedyś jadła. Westchnęła. Nawet jeśli tak było, to umknęło to z jej pamięci jak wiele innych spraw, których nie mogła sobie przypomnieć.

- Gdzie jest Will?

- Poszedł nad rzekę, żeby porozmawiać z kapitanem statku.

- Czy dzisiaj pojedziemy do Nowego Orleanu?

- Nie wiem. Może będziemy musieli zostać tu jeszcze przez jeden dzień. Powiedziano nam dziś rano, że przez ten deszcz powstało niewielkie opóźnienie... Deszcz zmienił śnieg w lodowatą breję i to opóźniło rozładunek.

- Istnieje zawsze jutro.

- Tak, zawsze jest jakieś jutro. - Dan uśmiechnął się. - Nie martw się. Twój mąż niedługo będzie z powrotem.

- Mąż. - Dziewczyna zamilkła na chwilę, rozkoszując się dźwiękiem tego słowa. - To dobre słowo, czuję to.

- Czy mam przez to rozumieć, że podoba ci się bycie mężatką? - Twarz Daniela wyrażała ogromne zdumienie. -To jest... chciałem powiedzieć... myślałem, że nie jesteś zachwycona tą sytuacją... to znaczy, że zostałam poślubiona bez pytania cię o zgodę.

Zastanawiała się przez chwilę, próbując pojąć znaczenie angielskich słów, bo Dan mówił o wiele szybciej niż ojciec Marc. i

- Nie wiem, czy jestem zadowolona z tego, że jestem mężatką, czy nie. Mój mąż nie przyszedł do mnie.

Daniel wydał jakiś zduszony dźwięk. Dostrzegła w jego twarzy dziwne skrępowanie.

- Czy powiedziałam coś złego?

- Nie, po prostu nie jest przyjęte, aby kobieta rozmawiała o takich sprawach z kimś poza własnym mężem lub innymi kobietami.

- Ale przecież jego tu nie ma, więc z nim nie mogę o tym porozmawiać.

- Margery, nie możesz brać sobie tego do serca i podejrzewaj że William celowo stara się cię zranić.

- Czasami wydaje mi się, że on mnie nie lubi. Jeśli to prawda to nie rozumiem, dlaczego wziął mnie do siebie jako swoją kobietę.

- Ożenił się z tobą, żeby cię chronić.

- Chronić? Czy tu, wśród białych, nie jestem bezpieczna? I

- Oczywiście, że jesteś. Ale prawdą jest także i to, że jak(« mąż jest o wiele bezpieczniejsza niż poprzednio. On **dał** ci swoje nazwisko. W kraju, z którego pochodzimy, w Anglii jego rodzina należy do największych rodów. Jego ojciec **jest** kimś w rodzaju przywódcy plemienia.

- W takim razie jest wodzem, tak?

- Nie, mamy tylko jednego wodza, który rządzi bardzo wieloma ludźmi, a ojciec Willa jest zaraz za nim pod względem władzy i bogactwa.

- Ma mnóstwo skór bizonów i piękne mustangi?

- W Anglii nie ma bizonów, a mustangi nazywamy końmi i są piękniejsze, niż możesz sobie wyobrazić. - Milczał przez chwilę. - Chyba nie powinienem ci o tym wszystkim opowiadać.! To Will nauczył cię tego, co powinnaś wiedzieć o Anglii.

- A może on wcale nie chce mnie zabrać do Anglii? Może i zamierza mnie tu zostawić?

- Nie, jestem absolutnie pewien, że ma zamiar zabrać cię do Anglii - Daniel spojrzął na Margery ze smutkiem. - A ty nie jedziesz?

- Jąde, oczywiście, że jąde. Już od tak dawna tam nie byłem... od zbyt dawna. Nie mogę się doczekać powrotu do cywilizacji.

- Anglia to jest cywilizacja?

- O tak, Anglia to jest szczyt cywilizacji. - Daniel roześmiał się. - Jesteśmy niezwykle zadowoleni z siebie. Od wieków nie było w naszym kraju rewolucji.

- Rewolucji?

- Wojny

- Nie macie wojen?

- Nie na naszym terytorium.

- Dlaczego?

- Pewnie nie wystarczyłoby białych rękawiczek. - Roześmiał się. Dziewczyna nie rozumiała jego rozbawienia, ale także się uśmiechnęła. - Początkowo Anglicy wydadzą ci się nieco dziwni, ale to minie.

- Dlaczego uznają ich za dziwnych?

- Anglicy są jak panująca u nich pogoda... przewidywalni, wymoczkowaci i zrównoważeni.

- Zrównoważeni - powtórzyła słowo, jakby chciała wyczuć jego smak na języku i zapisać w pamięci. - Nie wiem, co to znaczy.

- Zrównoważeni... to znaczy... bardzo poważni.

- Nie mają poczucia humoru?

- Kiedyś mieli. Potem zastąpili je czytaniem gazet i popołudniową herbatą.

Dziewczyna roześmiała się. Lubiła Daniela i cieszyła się, że pojedzie do Anglii, że spotka rodzinę Willa, jego ojca potężnego jak wódz. Kątem oka dostrzegła jakiś ruch.

- Przyszedł Will - szepnęła. - Nie jest uszczęśliwiony.

- Zdecydowanie nie jest. A to pewnie oznacza, że do jutra się stąd nie ruszymy - potwierdził Daniel, spojrzawszy na

przyjaciela, po czym dokończył ściszym głosem: - I pewniS nie jest też zachwycony, że pokazuję ci się od najlepszej stronjfl

Margery słyszała słowa Dana, ale nie odpowiedziała, wpatrzona w zbliżającego się męża. Lubiła na niego patrzeć, lubiła obserwqM wać go w ruchu. Przywoził jej na myśl piękno i poezję majestąB tycznej w i e l k i e j rzeki. Bardzo podobał jej się ten mężczyzn^B którego miała prawo nazywać mężem. Nigdy dotychczas niefl spotkała mężczyzny, który budziłby w niej tak dziwne uczucia™ Była szczęśliwa, mogąc patrzeć na jego twarz. Kiedy czuła przy sobie ciepło jego ciała, chciała czegoś więcej. To przypominało głód. Pomyślała o ubiegłej nocy, kiedy spadła na podłogę i Will nakrył ją swoim ciałem. Bardzo dziwnie się wtedy poczuła.

Kiedy teraz patrzyła na niego, jej serce stało się niesamowicie lekkie i roztańczyło się w piersi, a ręka pulsowała w tym samym 1 rytmie. Te uderzenia były potężne i tajemnicze jak bicie bębnów* plemienia Crow w czasie Tańca Słońca. Margery odnosiła wrażenie, że jej serce już do niej nie należy, że teraz jest jego własnością, i zastanawiała się, czy on o tym wie.

William zbliżył się do stołu, a dziewczynie wydawało się, że padły na nią promienie słoneczne.

Usiadł obok niej.

Nie odrywała od niego wzroku, nawet kiedy usłyszała *gloM* Daniela.

- Złe wieści?

- Zaczynam podejrzewać, że tu w ogóle nie ma innych wieści, j tylko złe. Kapitan twierdzi, że aż do wieczora nie skończą wyładunku.

Uczucie lekkości uleciało z serca Margery. Teraz było ciężkie, pełne smutku i żalu i ciągnęło ją w otchłań, jak nasiąknięte wodą ubrania wciągają człowieka w głąb rzeki. Nie odezwał się do niej, nawet na nią nie spojrzął. Nie była w stanie pojąć podejścia białych ludzi do małżeństwa. Czy tak właśnie ma to wyglądać? Ślub, a potem osobne życie? Myślała o tym dziwnym zachowaniu i między jej ściągniętymi brwiami pojawiła się głęboka zmarszczka. Jeśli tak jest, to w jaki sposób łączą się, żeby mieć dzieci?

Poczuła na sobie wzrok Daniela, ale nie spojrziała na niego. Wbiła oczy w jedzenie na swoim talerzu. Teraz nie wydawało jej się już takie wspaniałe. Odłożyła dziwny przedmiot, którym Daniel uczył ją się posługiwać. Widelec. Nie było powodu, żeby nadal trzymała to coś. Niedźwiedź w jej brzuchu przestał ryczeć.

- Jesteś głodny? - zapytał Daniel.

- Nie, już jadłem. Jak twoja ręka? - William zwrócił się do Margery.

- W porządku. Nie burczy... - Wyczuła, że popełniła błąd, bo Daniel leciuteńko pokręcił głową. Szybko się poprawiła. -Nie pulsuje.

- To dziwne, że cię nie boli. To było paskudne rozcięcie - stwierdził Will i potrząsnął głową ze zdumieniem. Nie zauważył wymiany spojrzeń tamtych dwojga.

- Nie wydaje mi się. - Podziękowała w duszy Danowi, że nie zdradził, iż wcześniej przyznała się, że ją boli.

Will przeciągnął się i wstał.

- Wychodzisz? Dopiero co przyszedłeś - stwierdził Dan.

William spojrzął na Margery i szybko odwrócił wzrok. Dziewczyna zauważyła, że zacisnął zęby, jakby chciał zdławić cisnące mu się na usta słowa albo... przychodzące mu do głowy myśli.

- Dokończcie śniadanie. Za chwilę wracam. Potem będziemy mieli mnóstwo czasu na pogaduszki.

Oboje, i Margery, i Dan, patrzyli w ślad za odchodzącym Willem.

- Wiele złych duchów zamieszkało w jego sercu - powiedziała dziewczyna, kręcąc w palcach koniec przerzuconego przez ramię warkocza.

- Tak, my mówimy, że został opętany przez diabła.

- Nie jest szczęśliwy.

- Nie, między Willem i jego ojcem jest... złe lekarstwo.

- Dlaczego?

- Właściwie sam nie jestem całkiem pewien. Will ma cztery s'ostry, ale jest jedynym synem, jedynym dziedzicem tytułu i, ^by uprzedzić twoje pytanie, ten tytuł jest niezwykle zaszczytny,

to jak wódz. Tytuł przechodzi z ojca na syna. Ojciec Willa jest księciem, a to oznacza automatycznie, że Willowi przysługuje tytuł wicehrabiego, a ty, moja śliczna, jesteś wicehrabiną.

Musiał zauważyć zmieszanie dziewczyny, bo uśmiechnął się i stwierdził, że powinien wyjaśnić jej to dokładniej. Zaczął się rozwódzić nad angielskimi tytułami szlacheckimi. Kiedy skończył wyjaśnienia, Margery rozumiała już znacznie więcej, nic rozumiała jednak, dlaczego Will przyjechał do Ameryki, skoro jego miejsce było w Anglii. I o to właśnie zapytała Daniela.

- Spróbuję ci to wyjaśnić - powiedział. - W wiosce Indian Crow, kiedy chłopiec przemienia się w mężczyznę, trawi go pragnienie objawienia. Idzie na szczyt niedostępnej góry, pości, cierpi pragnienie, zawodzi żałosne pieśni. Rozbiera się, okrywa skórą bizona i leży całą noc, zwrócony plecami na wschód.

O świcie siada i odwraca się twarzą do wschodzącego słońca.

I dokładnie o świcie odcina sobie na wysokości pierwszego stawu palec wskazujący lewej ręki. Jak dotąd wszystko się zgadza?

- Ten palec składa w ofierze słońcu - dodała dziewczyna. - I Wojownik prosi wówczas o wielkość, modli się o objawienie, o wizję tak wspaniałą, o jakiej opowiada się w legendach.

- Wydaje mi się, że do wielu z tych młodych ludzi objawienie przychodzi bardzo szybko, ale niektórzy muszą znieść wiele tortur, zanim doczekają się swojej wizji. Will przypomina tych młodych ludzi. Jest w trakcie poszukiwania własnego losu, ale nie należy do szczęściarzy. Jego objawienie i źródło jego potęgi nie przyszło do niego szybko. Musi ciągle pościć i obywać się bez wody, musi sam siebie torturować, zanim doczeka się swojej wizji.

- To niedobrze, że w tym czasie wziął sobie żonę - stwierdziła Margery z namysłem.

- Nie, ale on pociesza się myślą, że zrobił to z altruistycznych pobudek. Uważa, że zrobił to dla twojego dobra.

Zrozumiała i znów zrobiło jej się lekko na sercu.

- Jest bardzo dobrym człowiekiem. Ma dobre serce. Będę niego dobrą żoną. Nie pożałuje, że się ze mną ożenił.

_ Margery...

_ Tak?

_ Powinnaś wiedzieć... Nie, nieważne.

_ Dlaczego między Willem i jego oiem jest takie złe lekarstwo?

Dan przechylił w bok głowę i zagryzł «jrgę, jalcby przeżuwał pytanie dziewczyny, zanim zdecydował się na nie odpowiedzieć.

- Wiedziałem, że o to zapytasz, lecz sąjkę, że "Will powinien ci to wyjaśnić.

- Ale on mi tego nie wyjaśni, więc ty nosisz mi opowiedzieć.

- A skąd wiesz, że on tego nie zrobi?

- On jest jak orzeł. Samotnie szybuje w przestworzach. Ty jesteś jak bizon. Lubisz być w stadzie.

Dan spojrział na Margery dziwnym wzrokiem.

- Czy powiedziałaś coś złego?

- Nie, po prostu rozbawiło mnie to pctównanie. — Popatrzył na nią miękko. - Przyszedłem tu, żeby ci;nauczyć paru rzeczy, a to ty uczysz mnie. Jesteś najbardziej zadziwiającą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Proszę Boga, at>y i William dostrzegł to, zanim... o, do wszystkich diaMów! Z& dużo gadam.

- „Do wszystkich diabłów", nie znam lego wyrażenia.

- Nie powinienem był tak mówić.-Twarz E>a«a pociemniała. - Kobiety nie używają takich słów.

- Są zabronione?

- Nie, a powinny być.

- Ja nie uważam, że za wiele mówisz. Muszę się tyle jeszcze nauczyć. Ty mówisz. Ja się uczę. To takie proste. Powiedz mi °ś jeszcze, co powinnam wiedzieć o mam męż,vi.

- Nielatwo o nim mówić. Sądzę, że jego dominującą cechą była zawsze pasja, rodzaj ucieczki przed samym sobą. Wiem, & dla ciebie to pewnie brzmi bezsensownie. To dość trudno "ytłumaczyć. Logika nie ma dla niego znaczenia ... — Dan roześmiał się. - Widzę, że dla ciebie także. Nie ułatwiam ci zrozumienia tego, prawda?

- Nie rozumiem wielu słów, których używasz, ale naprawdę wiem, co chcesz powiedzieć.

- Spróbuję mówić jaśniej. Najważniejszą rzeczą, jaką powinnaś wiedzieć o Willu, jest to, że zawsze była w nim jakaś dzikość, jakaś pustka, coś takiego w duszy, co nie pozwalało mu wybaczać sobie... czy innym. To nie oznacza zresztą, że są jakiegokolwiek powody, dla których miałby wybaczyć ojcu. Charles i Will nigdy nie żyli w zgodzie. I dlatego nie powinnaś się spodziewać, że jego ojciec cię zaaprobuje. Charles nie polubiłby żadnej żony Willa, chyba że sam by ją wybrał.

- Ale ja nadal nic rozumiem, dlać/ego są lakimi nieprzw jaciółmi.

- Kiedy Will był jeszcze bardzo młody, zakochał się w pewnej dziewczynie i chciał się z nią ożenić. Nie była córką tak ważnej osobistości jak Charles, więc ojciec nie chciał, żeby syn pojął ją za żonę. Will nie słuchał zastrzeżeń Charlesa, więc ten zwrócił się do ojca dziewczyny. Zaproponował mu znaczną sumę pieniędzy, jeśli ona poślubi kogo innego. Cztery dni później rzeczywiście wyszła za innego. Will został podwójnie zdradzony, i przez ojca i przez ukochaną. I dlatego podwójnie ciężko było mu to znieść.

- I właśnie dlatego wyjechał z domu?

- Tak. Jakby tego było mało, Charles robił, co w jego mocy aby wszyscy dookoła dowiedzieli się dokładnie, jaki był przebieg zdarzeń. Will przez pewien czas znosił cierpienie i upokorzenie, f ale trudno mu było nie zwracać uwagi na żarty, które o nim] opowiadano, i piosenki, które o nim śpiewano. Wkrótce po tym | poniżeniu zginął młodszy brat Willa, James.

- A on zabrał swój ból do Ameryki.

- Tak, i dobrze się stało, że tu przyjechał. Naprawdę sądził że gdyby wówczas nie wyjechał, zniszczyłby sam siebie.

- I ten kraj naprawdę dobrze mu zrobił?

- Tak. Will ma wielki talent. Przypomnij mi później, **tdl** pokażę ci kilka jego szkiców. Myślę, że dobrze się stało, **iii** uciekł na pewien czas w rejony wolne od cywilizacji, teraz

jednak rozdziera go niepewność, co dalej. Był wychowywany na człowieka z wyższych sfer, na księcia. I szczerze mówiąc, jestem przekonany, że on bardzo pragnie odziedziczyć tytuł. Kocha An^olie i wszystko, co angielskie, ale w sercu nosi angielską pogodę. _ Ta pogoda jest smutna?

- Przypomina dzisiejszą. Ciągle pada.

_ Och! - Margery rozumiała, co znaczy niepogoda w sercu. W jej sercu także często padał deszcz. - Życie jest okropnie dziwne. On ma rodzinę i ucieka od niej. Ja nie mam rodziny i co dnia się modłę, aby Bóg pozwolił mi ją odnaleźć.

- Zupełnie nic nie pamiętasz?

- Nie. - Potrząsnęła głową. - Tylko w nocy czasami miewam sny. Słyszę głosy i widzę cienie, ale nigdy nie udaje mi się dostrzec twarzy.

- Wydaje ci się, że miałaś dużą rodzinę?

- Tak, mam takie wrażenie. I wiem, że byłam kochana.

- I znów będziesz kochana, Margery. - Dan uśmiechnął się do dziewczyny. - Trochę cierpliwości. Miłość niekiedy przychodzi wówczas, kiedy najmniej się jej spodziewasz.

Will siedział na łóżku i wpatrywał się w rozłożony naj kolanach szkicownik. Przez ostatnią godzinę mniej zwracał uwagi na to, co rysował, więcej zaś ma butelkę kiepskiej whisky. Nie był w stanie myśleć. Nie był w stanie się skoncentrować. Ilekroć próbował, widział przed oczami długą gołą nogę, lekko zaokrąglone biodro i skórę gładką jak aksamit.

- A niech to wszyscy diabli!
- Mówiłeś coś? - Daniel podniósł głowę znad biurka, przy którym pisał pamiętnik.
- Nie. - William pociągnął kolejny łyk whisky, ale nawet alkohol nie mógł go uwolnić od natrętnego obrazu.
- Coś cię dręczy?
- Nic, z czym nie mógłbym sobie poradzić.

Dan patrzył przez dłuższą chwilę na przyjaciela, po czy wrócił do swego dziennika.

Will nie zaprzętał sobie nim głowy. Nią także nie chciał zaprzętać sobie głowy. A przynajmniej nie w ten sposób. Miał do wykonania pewną misję, a człowiek, który ma do wykonania misję, jest w oczywisty sposób nieznośny. I tak dostatecznie często czuł się rozdarty pomiędzy sercem i rozumem. Nie potrzebował kolejnych problemów.

Ożenił się z tą dziewczyną, aby ją i siebie ocalić od losu,

którego nie chcieli. Musiał o tym pamiętać, mieć to nieustannie na uwadze, jak rozłożoną przed nosem mapę. Nie czas teraz na sentymenty.

Wziął do ręki pióro i napisał przez środek okładki szkicownika: *Na wszystko przychodzi odpowiednia pora... jest czas na uściski i jest czas na ucieczkę z czułych objęć; ...jest czas na zbiory i czas na odrzucanie; ...jest czas miłości i czas nienawiści...*

Dla niego przyszedł czas na ucieczkę od uścisków, czas na odrzucanie, czas na nienawiść. Miał do spełnienia misję życiową, której nie sposób dopełnić, nie opłaciwszy jej cierpieniem.

- Dlaczego nie chcesz o tym mówić?
- Nie ma o czym.
- Chodzi o nią, prawda? Kupiłeś ją, potem się z nią ożeniłeś, a teraz nie wiesz, co z nią zrobić.
- Nie, wcale nie o to chodzi. Mylisz się. Najdokładniej wiem, co z nią zrobić. Wiedziałem to od chwili, kiedy ją kupiłem. Nic się nie zmieniło. Nadal chcę ją zabrać do Anglii.
- Tak naprawdę to wcale tego nie chcesz, prawda?
- Nie mam ochoty siedzieć tu i dyskutować z tobą o swoim życiu.
- Pewnie nie, ale poczułbyś się o wiele lepiej, gdybyś to zrobił. - Daniel uśmiechnął się do przyjaciela. - Zdecydowanie lepiej wyrzucić to z siebie, niż upijać się z jej powodu do nieprzytomności.
- Nie piję z jej powodu i nie mam ochoty o niej rozmawiać. - Nie chciał także o niej myśleć. Chciał pozostać przy swoim pierwotnym planie: ożenić się z nią i zawieźć ją do Anglii, przy okazji ofiarowując im obojgu nowe życie.
- Nie, zdecydowanie nie chciał o niej myśleć... ojej spokojnej, rzeczowej szczeroci, ojej niewinności, o delikatnej sile i świeżym spojrzeniu na świat. A to przychodziło mu z piekielnym trudem. Bo kiedy był przy tej dziewczynie, zapominał o męczarniach swego życia, o demonach, które dręczyły go co noc, o samotnym dzieciństwie, o zniszczonej miłości, o poczuciu winy z powodu śmierci brata.

~ Ona nie rozumie, dlaczego jej unikasz.

- Może i lepiej, że nie rozumie. Nie jestem teraz zbyt miły człowiekiem.
 - Nie, nie jesteś. Byłbym bardzo zdziwiony, gdybyś w tej chwili sam siebie lubił.
 - Odczep się, Danielu.
 - Naprawdę mam się odczepić?
- Will spojrział na przyjaciela.
- No dobrze, już przestaję. - Dan podniósł ręce, poddając się. - Pamiętaj, że przede wszystkim jestem twoim przyjacielem.
 - Już zaczynałem w to wątpić.
 - Jak możesz mówić coś podobnego, Will?! Jestem twoim najlepszym przyjacielem, odkąd skończyliśmy siedem lat i roz-« kwasilem ci nos.
 - Mieliśmy wówczas po osiem lat i to ja rozkwasilem nos tobie!
 - Wszystko jedno. Pamiętasz, o co nam poszło?
 - Jasne. O lady Mary Louise Braddock, która w powojennym wieku siedmiu lat miała najbardziej niebieskie oczy i najbardziej złociste włosy, jakie kiedykolwiek widzieliśmy.
 - Wiele razem przeszliśmy, prawda?
 - Tak, a mam przeczucie, że jeszcze więcej przed nami.
 - Po powrocie do Anglii, to masz na myśli, tak?
 - Właśnie.
 - Denerwujesz się na myśl o spotkaniu z ojcem?
 - A ty byś się nie denerwował? - Will spojrział na Dana ze zdumieniem.
 - Muszę przyznać, że perspektywa stawienia czoła z indiańskąTM żoną u boku twojemu ojcu nie wydaje mi się idealną wersją I powrotu na łono rodziny. - Dan wybuchnął śmiechem.
- Will nie odpowiedział
- Jego przyjaciel wstał.
- Tak długo przebywałem na otwartej przestrzeni, że teraz B męczy mnie dach nad głową. Zaniosę te szpargały do mojego I pokoju i wyjdę się trochę przejść. Idziesz ze mną czy wolisz I zostać w domu i gnić?
 - Zgnilizna mnie przenika.

Dan wyjął kwiatek ze stojącego na biurku wazonu i zмирzając do drzwi, wetknął go w ręce przyjaciela.

- _ Chcesz, żebym wpadł do zakładu pogrzebowego?
- _ Poczekaj jeszcze trochę - mruknął Will, starając się, aby jego głos zabrzmiał żartobliwie. - Jeszcze nie wydałem ostatniego ichnienia, jeszcze zostało mi kilka oddechów.
- _ Szkoda, że ona nie widzi cię w tej chwili... wyglądasz jak pomnik pogrążonego w myślach bohatera - rzucił Dan już przy drzwiach.
- Nie jestem żadnym cholernym bohaterem! - Will cisnął kwiatem w przyjaciela, ale chybił i trafił w drzwi.
- Dobrym kłamcą też nie jesteś.

JWiedy także i drugiej nocy po ślubie Will nie przyszedł, Margery postanowiła więcej na niego nie czekać i wziąć sprawy w swoje ręce. Została wychowana przez Indian, więc przejęła wiele ich metod postępowania. Przejęła także ich podejście do miłości i małżeństwa.

Uznała, że najlepiej będzie, jeśli zasięgnie rady Dana.

Nietrudno było go znaleźć, bo kiedy otworzyła drzwi pokoju, szedł właśnie korytarzem w stronę schodów. Na widok dziewczyny zatrzymał się.

- Z twojej miny wnoszę, że dręczy cię jakiś poważny problem. Co cię niepokoi?
- Chciałabym, żebyś mi wytłumaczył angielskie podejście.
- Angielskie podejście? - Dan uniósł pytająco brew. Kiwnęła głową.
- Angielskie podejście do czego?
- Zbliżyła się do niego i zatrzymała u szczytu schodów.
- Chodzi mi o małżeńskie obyczaje w twoim kraju. Kiedy Mężczyzna i kobieta biorą ślub, to co się potem dzieje?
- Cóż, z reguły żyją razem i powiększają rodzinę.
- Nie mogę powiększać rodziny, skoro mój mąż mnie nie tknął. Gdy Dan zrozumiał, o co Margery chodzi, jego twarz pokrył

ciemny rumieniec. Poczł ulgę, kiedy dziewczyna zaczęła zno\i mówić, zwalniając go chwilowo od odpowiedzi.

- Muszę wiedzieć, w jaki sposób Anglicy robią dzieci. ^^_m
 - Odnoszę wrażenie, że w podstawowych zarysach nasz sposób jest zbliżony do tego, co robią Indianie. - W oczach Daniela pojawiło się rozbawienie.

Ale dziewczyna zmarszczyła czoło. Nie rozumiała. To niemożliwe, żeby było tak samo, bo Indianin przychodzi do kobiety i się z nią kocha. Will tego nie zrobił. On ledwo ją zauważał.

- Widzę, że naprawdę jesteś zmartwiona. To dlatego, że Will nie przyszedł do ciebie jako mąż?

- Nie wiem dlaczego.

- Może chce ci dać czas, abyś do niego przywykła, zanim do ciebie przyjdzie. Ledwo się znacie i...

- Jeśli do mnie przyjdzie, to poznamy się lepiej.

Dan uniósł brew i pochylił przed nią głowę, jakby przyznaw[^] jej punkt.

- To prawda, ale Anglik musi zawsze być dżentelmenem a być dżentelmenem to przede wszystkim nie narzucać się kobiecie wbrew jej woli.

- Ale ja jestem chętna.

- Oto marzenie każdego mężczyzny. - Dan roześmiał się. \ Powinnaś zostać członkiem Parlamentu.

- Co to jest Parlament?

- To taka męska sprawa, trudna do wytłumaczenia i **nie** dająca zbyt wiele satysfakcji.

- Jak małżeństwo?

W tym momencie Dan odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął donośnym śmiechem. W końcu ujął dziewczynę za rękę.

- Chodź - powiedział. - Pójdziemy na spacer i zobaczymy.] do czego uda nam się dojść.

Margery robiła wrażenie zmieszanej.

- Chcesz, żeby mąż... hm... poznał cię, tak?

Kiwnęła głową.

- Zobaczmy, czy uda nam się wymyślić jakiś sposób, żeby do tego doszło.

_ Wiem, co zrobić, żeby do tego doszło.

- Mnie nie musisz przekonywać. - Daniel roześmiał się i podniósł ręce, jakby się poddawał.

Minęli hol i wyszli na dwór. Niebo zasnuwały chmury, ale było dość ciepło i względnie sucho, ruszyli więc drewnianym chodnikiem na przechadzkę.

- Jeśli on nie przyjdzie do mnie, to ja przyjdę do niego.

- Jaka szkoda, że to nie ja cię kupiłem! - zawołał Dan. -Taka żona jak ty warta jest wszystkich skarbów świata.

Dziewczyna jakby nie słyszała, co powiedział.

- Pójdę do niego dziś wieczorem i wśliznę się pod jego skóry.

- Koce.

- Wśliznę się pod jego koce.

Przeszli na drugą stronę ulicy i skręcili w prawo.

- To wspaniały pomysł, ale powinnaś o czymś wiedzieć. O czymś, co jest wśród Indian na porządku dziennym, ale w Anglii nie jest przyjęte.

Odrzuciła się do Dana i patrzyła na jego usta, jakby chciała odczytać z nich słowa, zanim jeszcze padną.

- Wiem, że wśród Indian Crow panuje zwyczaj wcierania we włosy niedźwiedziego tłuszczu...

- Tłuszczu rozartego z ziołami.

- Nie rób tego.

- Nie dodawać ziół?

- Nie używaj niedźwiedziego tłuszczu.

- On woli kastoreum z bobra? Dan

skrzywił się z niesmakiem.

- Wolałby czyste włosy bez żadnych dodatków.

- Powinnam umyć włosy, zanim wejść pod jego koce?

- Tak, przed pójściem do niego powinnaś umyć włosy i się Wykąpać.

- Kapałam się dziś rano.

- Dziś rano?

Kiwnęła głową, ale Daniel przyjrzał jej się sceptycznie. \

- Jesteś pewna, że się wykąpałaś?

- Tak.

- I to była prawdziwa kąpiel?

- Indianie Crow kąpią się co rano.

- Codzienna kąpiel? Jesteś pewna?

- Tak.

- W rzece?

- Tylko w lecie. Zimą nabieramy wody w usta, przyskamy na ręce i wtedy możemy umyć wszystko, co jest brudne.

- Wiesz co, wrócimy teraz do hotelu i każę przygotować dla ciebie prawdziwą kąpiel, taką angielską kąpiel.

Zawrócili i ruszyli w stronę hotelu. Danowi usta się nie zamykały, ale Margery nie była tym razem zbyt uważnym słuchaczem. Zastanawiała się nad angielską kąpielą. Jeśli nie bierze się wody do ust i nie przyska, to na czym polega ta kąpiel?

Uważnie przyglądała się każdej mijanej kobiecie. Czy one wszystkie brały dziś taką specjalną kąpiel? Zwróciła uwagę na to, że zupełnie inaczej się czeszą, upinają włosy wysoko i chowają pod kapelusz.

Przyglądając się im, dostrzegła, że i one ją obserwują. Teraz, idąc hotelowym holem, miała świadomość, że wygląda inaczej niż pozostałe kobiety; że patrzą na nią tak, jakby jej sukienka ze skóry jelenia zdobiona zębami łosia nie była ładna.

Tak samo się czuła, kiedy wojownik Mandanów zdarł z niej sukienkę. Wyprostowała się i dumnie kroczyła z wyzwaniem w oczach, choć miała ochotę schować się do mysiej dziury przed tymi pogardliwymi spojrzzeniami. Postanowiła nie przyznawać się Danowi, jakie uczucia wzbudzają w niej te kobiety. Nie chciała znów znosić bólu upokorzenia.

11

.Niedługo po powrocie do hotelu do pokoju Margery wkroczyły trzy pokojówki, niosąc gigantycznych rozmiarów garnek do gotowania.

Dziewczyna patrzyła na to podejrzliwie.

Czy mają zamiar ugotować ją w tym saganie jak udziec bizona? Czy dlatego właśnie kobieca skóra staje się tak biała i miękka? Zdecydowanie wolała sposób indiański, zesła im więc z drogi i stanęła pod ścianą ze skrzyżowanymi na piersi rękami.

- Gdzie mamy postawić wannę?

- Jak najdalej - odpowiedziała Margery żółtowłosej dziewczynie, która zadała pytanie.

- Słyszałaś, co powiedziała? Jak najdalej. To zabawne. - Pokojówki ustawiły wannę obok łóżka i przedstawiły się Margery: - Ja jestem Molly. To Betsy, a ona ma na imię Sarah.

Kiedy Molly i Sarah zaczęły nalewać wodę, ktoś zapukał do drzwi. Betsy otworzyła i do pokoju weszło siedem innych kobiet, każda z ogromnym dzbanem parującej wody.

Margery jeszcze nigdy w życiu nie widziała tyle gorącej wody, "gdzie także nie widziała takiego gigantycznego garnka na wrzątek. Siedem pokojówek wylało wodę do tego garnka zwanego "anną i zniknęło.

Margery podeszła bliżej, zaintrygowana tym, że trzy pozostałe w pokoju dziewczyny wlewają do wody olejki z butelek; olejki pachniały słodko, jak kwiaty na prerii rozkwitające po wiosennych ulewach.

W tym garnku było zdecydowanie za dużo wody, żeby wziąć ją do ust i spryskać ręce, a poza tym z niechęcią myślała o picu wody z olejkami, nawet jeśli pachniały tak słodko jak kwiaty na prerii. Pomyślała, że ta kąpiel może nie być taka okropna, jeśli ograniczy się do umycia twarzy i rąk...

Pokojówki wolno odwróciły się w jej stronę.

Margery nie miała pewności co do ich intencji, ale miały w oczach to samo spojrzenie co indiańscy wojownicy, szykujący się do oskalpowania ofiary.

Zaczęła się cofać.

- Proszę- podejść, pomożemy się pani rozebrać.

Margery nie miała zamiaru się ruszyć, chyba żeby odsunąć się dalej od tych kobiet. Pomożemy się rozebrać? Te słowa bardzo się jej nie spodobały.

Cofnęła się jeszcze o krok, oceniając dystans dzielący ją od drzwi.

- Nie uda ci się - oświadczyła Molly. Założyła potężne ramiona na równie potężnej piersi i stanęła na szeroko stawionych nogach w pozie, którą Indianie Crow określiliby słowami: Stojąca jak Bawół.

- Ten pan uprzedzał, że pewnie trzeba będzie dodać jej nieco odwagi - powiedziała Sarah do Molly.

Ledwo przebrzmiały te słowa, wszystkie trzy rzuciły się na Margery. Dziewczyna pisnęła z zaskoczenia i uskoczyła w bok, ale trzy do jednego to nie najkorzystniejsza proporcja, a jeszcze dodatkowo Molly ustępowała wzrostem chyba tylko samcowi i łosia, a ramiona miała dłuższe niż rozpiętość skrzydeł orła.

- Puście mnie! - wrzasnęła Margery i zaczęła kłać wszystkich trzech indiańskich narzeczach: w języku Komanczów, Czejenów i Crowów, wtrącając jeszcze niekiedy słowa francuskie. I

później dopiero dotarło do niej, że powinna była pozostać przy angielskim. Przynajmniej rozumiałyby, że są łzone.

Pokojówki nie dały jej chwili na zastanowienie, cisnęły ją na łóżko jak naręcze brudnych skór i dopiero dużo później uświadomiła sobie, jak bliskie prawdy było to określenie. Rzuciły się na nią jak stado wygłodniałych sępów.

- Puście mnie! - krzyczała Margery i walczyła ze wszystkich sił. - Wykroję wam żywce wątroby! Zedrę wam skalpy i przytroczę do mojej torby z lekami! - Ponieważ groźby nie odnosiły skutku, postanowiła zmienić taktykę na nieco bardziej cywili zwaną. - Zmieniłam zdanie, już nie mam ochoty na kąpiel.

Pokojówki wybuchnęły śmiechem.

- Ten pan uprzedzał, że możesz nie być zachwycona - stwierdziła Molly.

Zachwycona? Czy one nie znają słowa niechętna? Przerażona? Chyba nie mogłaby bać się bardziej, nawet gdyby stwierdziły, że będą jej przypiekać stopy na żywym ogniu! Zerwała się na równe nogi i pomknęła jak strzała do drzwi. Już sięgała do klamki, kiedy Sarah złapała ją za warkocz i zatrzymała na chwilę, dając dwóm pozostałym czas, aby ją dopadły.

Powaliły ją na podłogę. Margery przysięgała, że ogoli głowę do gołej skóry, żeby następnym razem nie miały za co złapać. Zapomniała o włosach, kiedy Betsy usiadła na niej okrakiem. Zaczęły ją energicznie rozbierać i jedyne, co w tej sytuacji Margery mogła zrobić, to wyć.

I to też zrobiła.

Wyła, kopała i krzyczała, aż spory tłumek ludzi, którzy usłyszeli dochodzące z pokoju dziwne, niepokojące odgłosy, zaczął gromadzić się pod drzwiami.

Mniej więcej w tym czasie Dan i Will wchodzili na górę Po schodach. Usłyszeli krzyki torturowanego człowieka i dostrzegli tłum ludzi zgromadzonych pod drzwiami.

- Co się tu dzieje? - zapytał Will. - To brzmi, jakby kogoś

mordowano. Zaraz, zaraz, czy ten krzyk nie dochodzi przypadkiem z pokoju Margery?

- Owszem, ale nie przejmuj się. To tylko pewna różnica zdań - odpowiedział Dan, wyraźnie rozbawiony.

- Kto jest z nią w pokoju? Markiz de Sade?

- Nie, to innego rodzaju tortury.

- Jakie?

- Kąpiel. Uznałem, że trzeba co najmniej trzech pokojówek, wanny, gorącej wody i kilograma mydła, żeby zedrzeć przynajmniej czteroletnią warstwę brudu i kurzu i odsłonić znajdującą się pod spodem różaną skórę.

- Oczywiście, to musiał być twój pomysł.

- Wyobraź sobie, że to jej pomysł, o którym mi tylko powiejdziła.

- Niezbyt prawdopodobne, jeśli wziąć pod uwagę to wyci[^] Nie, to mało prawdopodobne, aby to był jej pomysł.

- Czy to od razu musi oznaczać, że mój?

- Oczywiście. Od kiedy ta dziewczyna pojawiła się wśród nas, zmieniła się w jakąś cholerną matkę przelożoną.

- No, no, no. Czyżbyśmy byli zazdrośni?

- Idź do diabła! - Will uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Sam nie wiem... piekło chyba nie jest najmiłym miejscem pobytu. Ty w każdym razie nie wyglądasz na specjalnie nił zachwyconego.

- Danielu, ostrzegam cię!

- Nie martw się. Niedługo wszystko się zmieni. Obiecuję ci, że kiedy te- kobiety z nią skończą, odkryjesz, że ożeniłeś się z piekielnie atrakcyjną kobietą.

- Podoba mi się taka, jaka jest.

- Naprawdę? A mnie się wydawało, że prawie jej nie zauważa

- To ja jestem tym cholernym sukinsynem, który ją kupił-jeśli dotąd tego nie dostrzegłeś. Co to znaczy, że prawie jej nie zauważam?

- Zaryzykuję stwierdzenie, ty stary capie, że pewnie naw[^] nie umiałbyś powiedzieć, jakiego koloru są jej oczy.

_ Brązowe.

- Zielone jak trawa.

_ Nie ożeniłem się z nią dla jakichś tam oczu.

- No, wreszcie do czegoś dochodzimy. Powiedz mi wreszcie, dlaczego się z nią ożeniłeś. - W tej chwili Margery zawyła wyjątkowo głośno i Dan wybuchnął śmiechem. - Chodź. Nie ma powodu, żebyśmy tu stali i zwracali na siebie uwagę... w tej chwili główną atrakcją jest Margery. Zejdźmy na dół. Postawię ci drinka.

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Bo jesteś moim przyjacielem.

- A więc znowu jestem twoim przyjacielem?

- Nie znowu, tylko zawsze, Will. Nawet wtedy, kiedy mam ochotę kopnąć cię w tyłek.

William prychnął z niedowierzaniem, ale zawrócił i poszedł za Danielem na dół.

W tym samym czasie, w sali tortur, Margery była szorowana tak długo, aż stała się różowa. Wrzeszczała, że obdzierają ją ze skóry, że strasznie ją piecze, i poczuła niemal wdzięczność, kiedy wyszorowały wreszcie ostatni cal i skończyły z tym okropnym drapaniem.

Już miała wygodnie się ułożyć i odprężyć, zadowolona, że najgorsze ma za sobą, kiedy nagle któraś z oprawczyń wpełchnęła jej głowę pod wodę.

- Boże! Co za okropny smród! - usłyszała Margery, kiedy wynurzyła się na powierzchnię.

Przetarła zalane wodą oczy i zobaczyła, że wszystkie trzy pokojówki węższą wokół, jakby starały się zlokalizować miejsce, z którego dochodzi trupi odór.

"Ciągnęła powietrze, ale nie poczuła żadnego smrodu.

- Panie na wysokościach! To jej włosy! - zawołała Sarah, która pochyliła się nad Margery.

Pozostałe dwie dziewczyny wzięły głęboki oddech i niemal

zasłabły. Molly, najsilniejsza z całej trójki, zdołała odetchnąć i zapytała słabym głosem:

- Co masz na włosach?

- Niedźwiedzie sadło. - Margery uznała, że warto było nawet znieść pieczenie odrapanej różowej skóry, żeby zobaczyć wyraz ich twarzy w tej chwili. Nie miała już czasu, żeby nic więcej pomyśleć, bo ponownie została wepchnięta pod wodę. a kiedy znów się wynurzyła, jej głowa została dosłownie zalana pachnącym kwiatami mydłem.

Kiedy trzy pokojówki drapały na przemian skórę jej głowy, i szarpały włosy, Margery myślała o tym, że pazury niedźwiedzia nie są wcale takie ostre, jak jej się dawniej wydawało. Wszystkie jej wrzaski i wycia nie odnosiły najmniejszego skutku, bo drapanie nie ustawało, poza momentem, kiedy była ponownie topiona pod wodą i znów pokrywana pianą.

Kiedy zaczęła już podejrzewać, że ta męka nigdy się **nid** skończy, Betsy oznajmiła:

- No, wreszcie skończyliśmy.

Margery pomyślała, że wreszcie będzie mogła odpocząć, **alej** natychmiast została bezceremonialnie wyciągnięta z wanny i owinięta ręcznikiem. I zaczęły się następne tortury: wycieranie włosów.

- Nie wierzę własnym oczom! - zawołała Molly i wzięła się pod boki. - Jej włosy wcale nie są ciemne. Są blond! Muszę przyznać, że jak żyję nie widziałam jasnowłosej Indianki.

- Może ona nie jest Indianką - wysunęła przypuszczenie Sarah.

- Musi być Indianką - stwierdziła Molly, przyjrawszy **sia** Margery krytycznym wzrokiem.

- Dlaczego? - zainteresowała się Sarah.

- Bo ubiera się jak squaw.

- Pewnie masz rację - przyznała Sarah.

- Masz szczotkę? - Betsy przyglądała się włosom dziewczyny!

Margery kiwnęła głową i podeszła do węzła ze swoimi rzeczami. Wyjęła szczotkę i podała ją pokojówce.

_ o Boże! Co to? - zawołała Sarah.

_ Czy to na pewno nie żyje? - upewniała się Molly.

- Oczywiście, że nie żyje - odpowiedziała spokojnie Mar-

- Czy to znaczy, że kiedyś... żyło? - Betsy jęknęła.

- To ogon jeżozwierza.

- Zaraz wracam - oznajmiła Molly i pospiesznie wyszła z pokoju.

Po chwili wróciła z czymś, co pokojówki nazywały szczotką... a co, zdaniem Margery, wcale nie wyglądało lepiej niż ogon jeżozwierza. Była jednak zdecydowana zrobić wszystko, żeby te kobiety wreszcie były zadowolone i wyniosły się z jej pokoju tak szybko, jak to tylko możliwe.

Wszelkie tortury muszą kiedyś się skończyć, nadszedł więc wreszcie taki moment, kiedy Betsy stwierdziła, że Margery jest śliczna jak księżniczka. Margery oczywiście nigdy w życiu nie widziała księżniczki, więc nie miała pojęcia, jaka jest śliczna, ale kiedy Molly zaprowadziła ją do lustra i kazała na siebie spojrzeć, zrozumiała.

Jestem ładna...

Kiedy Margery stała bez ruchu, podziwiając własne odbicie, Betsy włożyła jej przez głowę długą białą koszulę i zdjęła ręcznik. Po chwili pokojówki zaczęły zbierać swoje porzucane wszędzie rzeczy. Pokój wyglądał jak po przejściu gwałtownej zimowej burzy.

Sarah i Molly zbierały swoje manatki, a Betsy wyszła po kogoś do pomocy przy wyniesieniu wanny.

Margery ciągle stała wpatrzona w lustro, nawet kiedy pokojówki wyszły już z jej pokoju. Powąchała kosmyk włosów, które słodko pachniały jak rzeczna trawa. Dotknęła swojej skóry, nie ^mogąc uwierzyć, że dzięki kąpeli stała się biała.

Ta kąpiel bardzo różniła się od kąpeli indiańskiej, ale teraz, kiedy tortury już się zakończyły, musiała przyznać, że nie było ^{lo} takie złe.

Była ciekawa, czy teraz będzie bardziej się podobać Willowi.

jak to sugerował Dan. Usłyszała pukanie do drzwi. Nie odezwała się ze strachu, że to pokojówki wracają, żeby nadal ją dręczyć.

Pukanie powtórzyło się.

Cisza.

- Margery? Jesteś tam? - Zza drzwi dobiegł głos Willa.

- Jestem.

- Wszystko w porządku? - Tym razem rozpoznała głos Daniela.

- Z niektórymi częściami ciała lepiej, z innymi gorzej. Odpowiedziała i usłyszała śmiech obu mężczyzn. Płonę - dodała i usłyszała, że Will aż jęknął.

Angielscy mężczyźni są bardzo dziwni, zdecydowała, odwróciła się od lustra i ruszyła w stronę drzwi. Odkryła, że bardzo trudno poruszać się w tym, co oni nazywają koszulą, bo było to tak długie, że plątało jej się pod nogami. Zastanawiała się, czy ma tę koszulę zdjąć, czy też pozostać w niej, kiedy znów usłyszała głos Willa.

- Pomyśleliśmy, że sprawdzimy, czy masz ochotę zejść z nami na dół i coś zjeść.

Margery spojrzała na siebie i nagle poczuła się niepewnie. Potrzebowała jeszcze nieco czasu, żeby przywyknąć do zmian, jakie w niej zaszły, zanim przed nimi stanie. Zrezygnowała z kolacji. Wolała zostać w pokoju i poćwiczyć chodzenie w koszuli.

Jto odejściu mężczyzn zastanawiała się, jak długo przyjdzie jej czekać na ich powrót na górę po posiłku.

Czekała długo, wreszcie uliczny hałas zaczął cichnąć. A ona nadal nie słyszała, żeby wrócili. Zaczęła nawet podejrzewać, że na tyle przesiąkła już angielskimi zwyczajami, że nie usłyszała, jak wracają, choć zazwyczaj robili przy tym tyle hałasu co ranny jeleń przedzierający się przez zbity gąszcz drzew.

Niemal wyskoczyła ze skóry, kiedy usłyszała pukanie do drzwi. Podbiegła i przyłożyła ucho do gładkiego drewna.

- Tak? - zapytała cicho.

_ Will poszedł do łóżka - szepnął Dan. - Czy jesteś pewna, że nadal chcesz to zrobić?

_ Jestem pewna. - Po tym, co przeszła, nawet pożar prairie by jej nie powstrzymał. Ale tego Danowi nie powiedziała.

_ Dobra dziewczynka. - Wydawało jej się, że usłyszała jego śmiech.

Po chwili wychwyciła jakiś dźwięk i zauważyła, że pod drzwi została wsunięta koperta.

Podniosła ją i otworzyła. Ze środka wypadł klucz. Dan dał jej klucz od pokoju Willa.

Uśmiechnęła się i chciała mu podziękować, ale usłyszała jego oddalające się kroki. Po chwili dobiegł ją dźwięk otwieranych, a potem zamykanych drzwi - pokój Dana sąsiedował z jej pokojem.

Wni siedział na łóżku z podciągniętymi kolanami, na których oparł szkicownik. W pokoju panowała cisza, jeśli nie liczyć odgłosu skrobania pióra po papierze czy lekkich uderzeń pióra o kałamarz z brązowym tuszem.

Przez chwilę przyglądał się rysunkowi, mrugając, żeby pen prawie ostrość widzenia. Dziś wieczór wypił nieco za wiele. Ale był zdecydowany dokończyć rysunek, któremu teraz uważnie się przyglądał. Może na skutek dzisiejszej szczególnie wyom trzonej wrażliwości przywiązywał wagę nawet do najdrobniejszych szczegółów.

Przerwał, usłyszawszy cichutkie pukanie do drzwi. Pukanie powtórzyło się, zanim zdążył odpowiedzieć. Tym razem było nieco głośniejsze, nie lak jednak głośnie jak doskonale mu znane walenie Dana. Zmarszczył czoło. Ciekawe, kto puka do niego w środku nocy.

- Proszę wejść. Otwarte.

Drzwi uchylły się powoli.

Zobaczył biel.

Metry białej, lekkiej jak pajęczyna tkaniny, spowijającej nagie ciało.

Margery, jakiej jeszcze nigdy nie widział...

Margery, kobieta, zjawisko w bieli, uwodzicielka, odziana! w mgiełkę i płaszcz złocistych włosów.

Weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Oparła się o nie, jakby potrzebowała podpory.

Dzięki wieloletniemu treningowi twarz Williama nie zdradzała żadnych uczuć i miał pewność, że mimo iż wpatrywał się w nią, nie mogąc oderwać od niej wzroku, dziewczyna nie ma pojęcia, jakie wrażenie zrobiło na nim jej nieoczekiwane wtargnięcie do pokoju.

Przez dłuższą chwilę oboje pozostali na swoich miejscach, patrząc tylko na siebie i starając się nie zdradzić swoich myśli. W końcu Will puścił oparty o kolana szkicownik i sięgnął po stojącą w zasięgu ręki szklaneczkę whisky. Nie odrywając oczu od dziewczyny, podniósł szklaneczkę do ust i wypił alkohol.

Podniósł pustą szklaneczkę do oczu i spojrzał przez szkło na Margery. Jej obraz był nieco zniekształcony, ale nawet wówczas wydawała mu się śliczna i godna pożądania. Uświadomił sobie nagle, że wstrzymuje oddech. Wypuścił powietrze z płuc i szepnął:

- „Pozwól moim niecierpliwym dłoniom wędrować, w przód, w tył, pomiędzy, w górę i w dół”... - Na wszelki wypadek mówił niewyraźnie, ale dziewczyna zdawała się tego nie zauważać. - Podejrzewam, że nazwisko John Donne nic ci nie mówi, prawda, mała dzikusko? Spojrzała na niego z zaciekawieniem, ale nie odezwała się ani słowem.

Nie cierpiał tego jej spojrzenia, bo nie wiedział, czy wyraża zrozumienie, czy pogardę. Odstawił szklaneczkę na nocny stolik. Chyba ją o coś pytał? A, tak. Czy mówi jej coś nazwisko John Donne.

- Oczywiście jego nazwisko nic ci nie mówi. Niby dlaczego miałoby mówić? Wątpię, by twój świątobliwy ksiądz zajmował^{5C} poezją, poza tekstami biblijnymi.

Nie odpowiedziała, ale dlaczego miałyby odpowiedzieć? Nie miała pojęcia, o czym on bełkoce.

- Nie rozumiesz, prawda? Rozumiesz w sposób prymitywny, ^{na} poziomie spraw najbardziej podstawowych. Doskonale rozumiesz, że jesteśmy małżeństwem i w twoim małym zacofanym

mózdzku zrodziła się śmiałość. Włazisz tam. dokąd nawet anioły obawiają się zajrzeć. Jesteś jak nieoświecony wędrowiec, który spacerując wzdłuż plaży, znajduje wyrzucony z głębin morskich wymyty przez fale medalion i nie jest w stanie dostrzec, że niegdyś był to przepiękny naszyjnik. Nie masz pojęcia, jakie spustoszenia poczyniła w tobie niewola... zostałaś pozbawiona czegoś o wiele, wiele ważniejszego niż tożsamość, rodzina. Ty, z twoją czystą ignorancją, z twoim ograniczonym rozumem. Gdybyś tylko wiedziała... ale twój prymitywny, mały mózdzek jest równie zagubiony jak starożytny Babilon. Przyszłaś tu, uzbrojona w swą ignorancję, jak egzotyczny kwiat, ale nie uświadamiasz sobie, że kiedy zostaniesz tknięta wiedzą, twój kwiat zwiędnie. Jesteś z tą prostą logiką i pierwotnymi potrzebami taka prymitywna. Rozsądek dyktuje ci, że skoro jesteś moją żoną, pociąga to za sobą różnego rodzaju obowiązki, prawda? Cóż, nie masz czym się przejmować. Owszem, poślubiłem cię, ale nie powodowała mną ani miłość, ani nawet pożądanie. Nie masz obowiązku rozkładać przede mną nog. Nie tego od ciebie chcę. Nie rozumiesz? Mam swoje własne demony, z którymi walczę, mam swoje własne powody, dla których zrobiłem to, co zrobiłem. Nie mogę walczyć z twoimi demonami, nie mogę podjąć twojej walki. Nie jestem dość silny i jestem zbyt samolubny. Posługuję się tobą, dziewczyno, ale robiąc to, ratuję jednocześnie twoją nieszczęsną duszę. Powinnaś być zadowolona, że jest w tobie coś, co do mnie przemówiło, co| sprawiło, że dostrzegłem twoje żalosne położenie. Zrobiło mi się ciebie żal, poczułem jakiś związek emocjonalny z tobą. przypomniałaś mi mój ból. Ale nie próbuj doszukiwać się w tym wszystkim czegoś więcej. Kupiłem cię, ale to wcale nie znaczy, żej cię pragnę. Od tej chwili twoje życie stanie się nieporównanie lżejsze i może z czasem, kiedy zdobędziesz już pewne wykształcenie, zrozumiesz to. A kiedy zrozumiesz, będziesz mi wdzięczna. Will westchnął głęboko. Dostrzegł pustkę w twarzy dziewczyno i niezgłębiony wyraz jej oczu. - Boże, gdybym tylko zdołał ci wytłumaczyć... Margery oblizła wargi i Will zaczął się zastanawiać, jak byj to było, gdyby poczuł dotyk jej ust.

_ Boże... w niewinności jest jakiś potężny afrodyzjak - szepnął. -Chodź tu, moja mała dzikusko... mój aniele w bieli. Chodź tu i powiedz mi, co tu właściwie robisz, czego pragniesz. Chodź...

Odepchnęła się od drzwi. William zamilkł.

Nagle dotarło do niego, że dziewczyna szła w takim stroju korytarzem, nie mając nic pod nocną koszulą, która niewiele ukrywała i dawała ogromne pole wyobraźni.

- Czy ktoś widział, jak tu wchodziłaś? Czy ktoś cię widział w tym stroju?

- Nie. - Potrząsnęła głową.

- Co tu robisz w środku nocy? Czego chcesz? Czy zdajesz sobie sprawę, co się mogło stać... kiedy spacerowałaś sobie, wyglądając tak, jak wyglądasz? Jesteś jak zaproszenie do grzechu.

William wiedział, że Indianie Crow należą do najbardziej liberalnych pod względem obyczajowym plemion indiańskich. Czy Margery przyszła tu, żeby zostać uwiedziona? Czy uważała, że to jej obowiązek jako żony? Na tę myśl żołądek zacisnął mu się w twardy supeł. Nieważne, od jak dawna obywatel się bez kobiety, nieważne, jak kusząco wyglądała, nie chciał się z nią kochać tylko dlatego, żeby wypełnić obowiązek.

Ale jego ciało piekielnie tego chciało!

Uznał za Bożą ironię, za dowód zadziwiającego poczucia humoru Stwórcy, że obdarzył istotę ludzką zdecydowanie większym zasobem namiętności niż rozumu. I jakby tego było mało, 'en niewielki zasób rozumu umieścił w mało znaczącym zakątku mózgu, podczas gdy namiętnościom oddał całą resztę ciała.

Jego ciało mogło pragnąć tej kobiety, ale miłość z poczucia obowiązku nie była w stanie go poruszyć.

- Wracaj do swojego pokoju. Powinnaś już od dawna spać.

Nie odpowiedziała. Zbliżyła się do łóżka, wreszcie stanęła tuż obok męża.

- Zrozumiałaś, co powiedziałem?

Kiwnęła głową, ale znów nie odezwała się ani słowem.

- Więc zrób, co powiedziałem. Wracaj do siebie. Natychmiast.

Dziewczyna zachowała milczenie. Znalazła sposób, żeby opowiedzieć mu bez słów. Zaczęła rozpinać guziczki koszuli.

Williamowi zaschło w ustach. Mówił sobie, że bez względu na to, co by zrobiła, on nie ma zamiaru dać się uwieść, ale sam czuł, że to żalosne i że nawet ślepiec bez trudu by go przejrzał.

Rozpięła guziki i wysunęła jedno ramię z koszuli.

Skóra dziewczyny była gładka i nieprawdopodobnie biała. Will przełknął z trudem ślinę. W gardle mu zaschło.

Uwolniła drugie ramię i koszula zsunęła się w dół, zatrzymując się na piersiach.

- „Do licha, jesteś mistrzynią w sztuce wdzierania się w myśli zdesperowanego mężczyzny”, jestem zgubiony.

Nie odrywał od Margery wzroku, kiedy zsuwała koszulę, która opadła na podłogę jak plama migotliwej jasności. Ta dziewczyna była piekielnie dobra w sztuce uwodzenia jak na pierwszy raz. Jeśli to rzeczywiście był jej pierwszy raz.

Wyzywające w swej bezwstydnej nagości ciało wabiło go, a on, na Boga, był tylko mężczyzną, musiał odpowiedzieć na ten zew. Instykt dyktował mu, aby ją porwać, rzucić na łóżko i dać jej to, o co najwyraźniej prosiła.

Już miał pójść za głosem instyktu, kiedy przypomniały mu się słowa jego gubernera, Guya Montgomery'ego: „Dżentelmen nie rzuca się na nic z niecierpliwością. Dżentelmen podchodzi spokojnym krokiem”.

Starał się na nią nie rzucić, starał się choć w przybliżeniu zbliżyć się do niej spokojnym krokiem i szukał w myślach sposobu na powstrzymanie niecierpliwego krzyku swego ciała, wyrwywającego się ku tej kobiecie.

Cholera jasna! Nie miał pojęcia, że to będzie takie trudnej. Nigdy, jeszcze nigdy w życiu nie spotkał kobiety tak jasno dającej do zrozumienia, o co jej chodzi. Nawet najbardziej doświadczone dziwki w Covent Garden nie były równie wyzywające. Musiał przyznać, że kiedy Margery czegoś chciała, nie starała się tego zamaskować gadaniną czy flirtem. Przechodziła od razu do rzeczy.

Przyjrzał jej się uważnie, od czubka głowy aż po stopy, zatrzymując wzrok nieco dłużej na kilku strategicznych punktach. To była potęga, która go powaliła, bo nie ma na świecie niczego

hardziej podniecającego niż będąca na wyciągnięcie ręki idealnie

zbudowana naga kobieta.

przypomniał sobie stare porzekadło: „Musisz pokonać opór Kobiety- Jeśli chcesz wdrzeć się w jej ciało, powinieneś najpierw wdrzeć się w jej myśli”. To porzekadło absolutnie nie pasowało do obecnej sytuacji. Margery niewątpliwie była chętna i gotowa, a tym, o co jej chodziło, w żadnym wypadku nie była konwersacja. No cóż, mężczyzna robi to, co powinien zrobić. Odłożył szkielet na ziemię, a pióro na nocny stolik. Nie spuszczał przy tym wzroku z nagiego ciała dumnie stojącej przy łóżku dziewczyny. Miała długie, zgrabne nogi, wąską talię i płaski,

gładki brzuch. Była piękna i pragnął jej.

Przez cały czas zdawał sobie sprawę, że musi skosztować to małżeństwo, jeśli ma być ważne, ale zmuszanie kobiety siłą nie było w jego stylu. Jako dżentelmen chciał dać Margery czas, żeby się do niego przyzwyczaiła, oswoiła. Właśnie z tego powodu zwlekał aż dotąd.

Najwyraźniej jednak ona nie potrzebowała czasu, żeby do niego przywyknąć i oswoić się z otoczeniem. Była jego żoną i go pragnęła. A na domiar wszystkiego była piekielnie atrakcyjna i żaden normalny mężczyzna nie odwróciłby się plecami do tego, co gotowa była mu ofiarować. Miała ciało jak Afrodyta; mogła strącić z piedestału brązową rzeźbę Donatella. A William nie był, do cholery, nieczułym posągiem! Uświadomił sobie, że właściwie sam nie jest pewien, co powinien teraz zrobić. Nie miał doświadczenia z kobietami, które kochają się pierwszy raz w życiu. Dotychczas zawsze spotykał takie, które miały już przed nim jakieś doświadczenia

miłosne.

Wszystkie miały już za sobą ten pierwszy raz. To było piekielnie frustrujące. Tuż przy nim stała naga kobieta, a on nie wiedział, co robić. Miał do wyboru: albo położyć się na plecach i czekać na jej następny ruch, albo rzucić ją na łóżko i zgwałcić.

Zanim zdecydował się na któreś rozwiązanie, Margery znów przejęła inicjatywę. Uklękła przy Willu i zaczęła zdejmować

z niego ubranie. Jej zręczne palce rozpinają jeden po drugim guziki koszuli. Wreszcie zsunęła mu ją z ramion i rzuciła na podłogę. Kiedy pochyliła się nad nim, jej jasne długie włosy opadły mu na pierś niczym gładka jak jedwab chłodna lala. Wsunął dłonie we włosy Margery, walcząc z pragnieniem, żeby nie zważając na nic, wciągając ją na siebie.

Kiedy poczuł lekki dotyk palców na guzikach spodni, gwałtownie zaczerpnął powietrza i zatrzymał je w płucach, jakby się bał, że jeśli zacznie normalnie oddychać, te słodkie tortury skończą się.

Obawy okazały się całkowicie bezpodstawne, bo w chwili, kiedy zaczął oddychać, choć nie normalnie, tylko zdecydowanie urywanie, Margery przystąpiła do zsuwania mu spodni z bioder. Will już nie był w stanie zachowywać się biernie, choć umierał z ciekawości, jak daleko dziewczyna mogłaby się posunąć.

Była dziwnym stworzeniem, żywym, ciekawym i głodnym| wiedzy. Nie mógł się obronić przed litością dla niej. bo jej droga życiowa nie była łatwa. Nieraz już zbierała cięgi, po których zostały blizny, z którymi musiała nauczyć się żyć. Patrzył na¹ nią, wpatrywał się w jej twarz i zastanawiał się, jakie mroczne sekrety kryją się w tych oczach... nieprawdopodobnie zielonych, rozjaśnionych radością i zrozumieniem. Jak on mógł kiedykolwiek uważać, że są brązowe?

Rozpaczliwie jej pragnął.

Jedynym sposobem, aby uwolnić się od pokusy, było ulec jej. Starał się być szlachetny, rozsądny. Myślał, że utopi swoje problemy w whisky. Teraz zobaczył, jak bardzo się mylił. Mógł, jeszcze długo kryć się z pożądaniem, ale nie przewidział, że wieczór spędzony z butelką musi je wyzwolić.

Ujął rękę Margery, która mocowała się z ostatnim guzikiem] spodni. Przycisnął jej dłoń do swego ciała. Dostrzegł zaszokowane oczy dziewczyny, ale nie puścił jej ręki.

- Powiedz, czego chcesz.
- Ja... jestem twoją żoną.
- To fakt. Jesteś. Ale nie przyszłaś tu po to, żeby mi o **ty**nj przypomnieć, prawda?

_ Nie. - Odwróciła wzrok.

_ No nie, nie udawaj teraz nieśmiałej. Każda dziwka była kiedyś dziewicą. Wydaje mi się, że ty potrafisz być szczerą, powiedz mi więc, po co tu przyszłaś. Powiedz, czego pragniesz.

- Chcę leżeć przy tobie.

Jej szczerłość podziałała na Williama piekielnie podniecająco. Zerwał z siebie resztki odzienia w gwałtownym pośpiechu. Kiedy rzucał na podłogę ostatni but, Margery już leżała na nim i całowała go.

Całowała jak nowicjuszka.

Którą, jego zdaniem, w żadnym razie nie mogła być.

Will pomyślał, że Indianie Crow najwyraźniej nie przywiązują szczególnej wagi do pocałunków, bo pocałunki Margery przypominały raczej buziaki małej dziewczynki. Nagle oślepiła go wizja białych nóg dziewczyny oplecionych wokół smagłego ciała wojownika, który spuściwszy spodnie do kolan, kocha się z Margery na skórze bizona.

Wizja szybko znikła, bo słodki zapach kobiecej skóry i jej aksamitna gładkość wyparły z mózgu Williama wszelkie inne wrażenia. Mógł myśleć jedynie o tym, żeby doprowadzić do końca to, co rozpoczął. Zatopił dłonie we włosach Margery, przechylił ku sobie jej głowę i zaczął ją całować otwartymi ustami, zmuszając dziewczynę, aby i ona rozchyliła wargi. Jego ręce sunęły po jej plecach, wzdłuż wygięcia kręgosłupa, aż wreszcie objęły jej rozsunięte nogi, którymi otoczyła jego biodra. Poglądził uda Margery i poczuł, że dziewczyna leciutko zadrżała. Ogarnęło go przemożne pożądanie.

Szepnęła coś w języku Crowów.

Przyszło mu do głowy, że może zmieniła zdanie i prosi go, by przestał. Ale to już nie miało znaczenia. Już nie był w stanie przestać... nie w tym momencie.

Przejął inicjatywę, przetoczył się, nie wypuszczając jej z objęć,¹ Przycisnął ją własnym ciałem do łóżka. Patrzyła na niego wielkimi, ufnymi oczami. Poczuł gorzkie wyrzuty sumienia. Kpił z niej, mówił, że jest ignorantką i dzikuską, a teraz nie mógł opędzić się od myśli, że z nich dwojga to on jest o wiele

bardziej prymitywny. Czyżby jego jakże cywilizowane zachowanie było jedynie owczą skórą, pod którą ukrywa się wilk barbarzyńca?

Margery lekko się pod nim poruszyła, ale to jej słowa podnieciły go do nieprzytomności.

- Jestem bardzo głodna ciebie.

Uniósł się nad nią. Była gotowa. Sekundę później poczuł, jak pęka delikatna błona, i usłyszał, że Margery gwałtownie wciąga powietrza.

A może to on tak spazmatycznie odetchnął? Bo aż zesztyniał z zdziwienia, że była dziewicą.

Dziewica?

Niemożliwe! Nieprawdopodobne! Indiańscy wojownicy **nie** dopuściliby, aby kobieta, wszystko jedno - biała czy czerwono-skóra - zachowała czystość do dwudziestego siódmego roku życia. No, chyba że byłaby szpetna jak noc, a o tym w wypadku Margery nie mogło być mowy.

Czuł się tak, jakby udało mu się złapać słońce w butelkę: miał teraz pojęcie, co z nim zrobić. W pierwszym odruchu chciał przeproszać, okazać dziewczynie delikatność i czułość, które czuł w głębi duszy, ale nagle z podświadomości wypłynęły słowa ojca, że nie wypada, aby utytułowany dżentelmenem okazywać uczucia.

Ale Margery była miękka, ciepła i wtulona w jego ciało, a **nie** był takim aroganckim, nieczułym i zimnym sukinsynem jak ojciec. Niezwykle ostrożnie zaczął się w niej poruszać, nieświadomie coś do niej szepcząc. Zagłębiał się w niej coraz bardziej i bardziej, aż wreszcie wydawało mu się, że dotyka jej serca.

Uświadomił sobie, że zbliża się do szczytu, i poczuł głęboką frustrację. Ona nie nadążała za nim, a było już za późno, aby zdołał na nią zaczekać. Teraz nie był już w stanie kontrolować własnego ciała i po chwili wygiął się nad nią, doprowadzając do szaleństwa ekstatycznym rytmem i cichymi, podobnymi do technienia pomrukami dziewczyny.

I zaraz było po wszystkim. Opadł na nią wyczerpany. Marge

pisnęła i William poczuł głębokie rozczarowanie, że nie udało mu się osiągnąć szczytu wraz z nią.

Zsunął się z niej i wciągnął ją na siebie. Zaczął ją pieścić rękami. Nie mógł wrócić do punktu, w którym ją zostawił, ale przecież był w stanie dać i jej spełnienie.

- Chodź - szepnął. - Chodź za mną.

Zaczęła się na nim kołysać jak zahipnotyzowana, jej ruchy stawały się szybsze i szybsze, wreszcie krzyknęła, a jej ciało przeszył dreszcz.

Podniosła powieki i ich oczy się spotkały.

- „I stali się jak bogowie, poznawszy dobro i zło” - szepnął leniwie Will i zamknął jej usta powolnym pocałunkiem.

Nie kochał się po raz pierwszy. I nie mógł się nadziwić, że to właśnie tym razem przyszły do niego z odległych zakątków pamięci słowa starej piosenki.

- Dzieliliśmy łóżce. Teraz jestem twoją żoną.

- Tak - powiedział i pocałował ją delikatnie - Teraz jesteś moją żoną.

- Będę dla ciebie dobrą żoną w tej twojej Anglii. Jestem szczęśliwa. - Z westchnieniem, które chyba było słychać w Baltimore, umościła się na jego ramieniu, a jej włosy oplótły go jak srebrzyste pęta. Po chwili Will usłyszał głęboki oddech dziewczyny. Usnęła.

Trzymał ją w objęciach, nawet kiedy już dawno zasnęła. Jakże J^oJ zazdrościł łatwości, z jaką zapadła w sen. Zamknął oczy, marząc o uldze, jaką niesie leniwa drzemka. Chciałby zasnąć z równą łatwością jak Margery, bo tylko w czasie snu mógł się "wolniwie od własnej hipokryzji.

Leżąc tak tej nocy z dziewczyną w objęciach, nie mógł **nie** myśleć o tym, że właśnie popełnił największą zdradę, -robił właściwą rzecz, ale z niewłaściwych powodów.

13

INastępnego ranka wyjechali do Nowego Orleanu. Tydzień później płynęli już do Anglii.

To nie było najlepsze doświadczenie w życiu Margcry. Nigdy jeszcze nie widziała tak wielkiej wody, nigdy również nie widziała tak ogromnego statku. Plemię Crow należało do Indian preriowych i miało w swej mitologii wiele przerażających legend o wielkiej wodzie. Margery była pełna złych przeczuć.

Początkowo odmówiła wejścia na pokład. Stwierdziła, że o! bez powodu natura obdarzyła nas stopami zamiast płetw. I nawet kiedy uległa perswazjom, nie była do końca przekonana, *iek* dobrze zrobiła. Nie podobało jej się kołysanie statku i poczucieH że ma pod stopami wodę, a nie stały ląd.

Kiedy statek ruszył, serce dziewczyny zaczęło tłuc się w piersi jak szalone w gwałtownym ataku paniki. Nie miała pojęcia, z9 tak bardzo oddała się od brzegu. Nawet zgodne wysiłki Dana i Willa, by ją uspokoić i zapewnić, że jest bezpieczna, nie zdołały zmniejszyć jej przerażenia. Najdziwniejsze było to, że pomimo I ogromnego strachu przed wodą i tęsknoty do suchego lądu, **ni<9** zapadła na morską chorobę.

W przeciwieństwie do Dana. Rozchorował się drugiego dniJM podróży.

- Czy on umrze? - zapytała Margery.

BRANKA

_ Pewnie by chciał, ale nie ma najmniejszego zagrożenia dla jego życia. Zawsze na morzu dostaje choroby morskiej - odpowiedział Will, przyglądając się zwinie temu na koi przyjacielowi.

Dan jęknął przez sen, jakby chciał zaprzeczyć jego słowom.

- Więc dlaczego znowu wyrusza na morze?

_ Bo nie może beze mnie żyć. - William uśmiechnął się. Margery spojrzała na niego z zakłopotaniem. Dla niej słowa Willa były najbardziej logicznym wytłumaczeniem na świecie.

- Chodź - powiedział. - On śpi jak dziecko.

Wyszła za Willem na pokład.

- Kiedy dotrzemy do Anglii?

- Jeszcze mnie o to nie pytaj. Nasza podróż dopiero się zaczyna.

- Dlaczego?

- Gdybym ci teraz odpowiedział, podróż wydałaby ci się okropnie długa.

- To mi nie przeszkadza. - Will obejrzał dziewczynę od stóp do głów i zatrzymał wzrok na jej twarzy. Coś jej mówiło, że pomyślał o tej nocy, kiedy do niego przyszła.

Jakby odczytał jej myśli, odwrócił się od niej, położył ręce na relingu i zapatrzył się w wodę.

- Jesteś niezadowolony?

- Niezadowolony? Z czego? - Nie spojrzał na Margery.

- Że poznaliśmy się. Że przyszłam do twojego łóżka.

- Nie, oczywiście, że nie jestem niezadowolony. Skąd ci to Przyszło do głowy?

- Nie patrzysz na mnie. A kiedy ja spojrzę na twoją twarz, widzę w niej wstyd.

- Czy ty zawsze musisz być taka cholernie szczerą? Czy zawsze mówisz to, co myślisz?

- Szczerość nie jest w Anglii dobrze widziana? Wolałbyś, ^{ze}bym kłamała?

~ Anglicy cenią szczerość jak wszyscy, ale istnieje różnica •^edzy szczerością a wypowiedaniem myśli bez zastanowienia,

szczególnie jeśli te myśli są zbyt śmiałe. Anglicy zachowują większą rezerwę. Nie dzielą się myślami.

- I dlatego właśnie twoje serce jest takie ciężkie - powiedziała w nagłym zrozumieniu.

- Moje serce nie jest ciężkie.

- Twoje serce jest ciężkie. Widzę ten ciężar w twoich oczach. Ale teraz rozumiem, że to cecha Anglików: mówić, że twoje serce nie jest ciężkie, kiedy jest ciężkie. - Dziewczyna zmarszczyła czoło, oparła ręce na relingu jak Will i jak on wpatrzyła się w wodę. - Choć nie wszystko jeszcze rozumiem do końca. Może z czasem nauczę się mówić, czego nic myślę, i myśleć, czego nie mówię. Może nauczę się ukrywać swe myśli, jak łania ukrywa swoje młode.

Do licha ciężkiego! Ona była tak urocza, że nie był w stanie się jej oprzeć. Odwrócił głowę i spojrzął na nią.

- Nie musisz się zmieniać. Nie zrobiłaś nic złego.

- Ale ty i twoje zachowanie jesteście angielscy, a ja jestem twoją żoną. Muszę się zachowywać jak ty. Nie chciałabym wprawiać cię w zakłopotanie.

- Nie wprawiasz mnie w zakłopotanie.

- Zauważyłam, w jaki sposób patrzyły na mnie cywilizowanej kobiety. Nie zachowuję się jak one. Nie ubieram się jak one. Kiedy patrzą na mnie, w ich oczach widzę pytanie. Zastanawiają się, co taki wspaniały dżentelmen robi z dzikuską.

- Jeśli to ci przeszkadza, dlaczego nie nosisz ubrań, które kupiłem ci w Nowym Orleanie?

- Aż tak mi to jeszcze nie przeszkadza. Jestem, jaka jesterflj Nie widzę powodu, dla którego miałabym się siebie wstydić. Nie wybrałam sobie życia, które dotychczas byłam zmuszona; wieść. Nie stałam się przez to gorszym człowiekiem. Będę nosić angielskie ubrania. Ale będę je nosić, kiedy uznam to za stosów-^ ne... kiedy zacznę się czuć Angielką, a nie dlatego, żeby uniknąć wstydu. Dla mnie to ważne, żebym wewnętrznie przeistoczyła się w Angielkę, zanim przeobrażę się w nią zewnętrznie.

- Jesteś bardzo niezwykłą, bardzo dziwną kobietą.

_ Wiodłam bardzo dziwne i niezwykle życie.

_ To prawda - odpowiedział.

Oderwała wzrok od Williama i znów spojrzała w wodę,

_ Kiedykolwiek spojrzę, woda zdaje się spotykać gdzieś w oddali z niebem. To mi przypomina moje życie, moją przeszłość i teraźniejszość. Trudno dostrzec odległy zamglony punkt, w którym się spotykają. Jestem jak ocean, każda fala próbuje dogonić poprzednią. A moja przeszłość to niebo, zawsze gdzieś wyżej, poza zasięgiem, ukryta w chmurach.

- Nic nie pamiętasz z dzieciństwa? Żadnych imion, miejsc, niczego?

- Niczego. - Westchnęła. - Tylko zamglone twarze i niewyraźne zarysy domu. Czasem tak bardzo staram się przypomnieć sobie cokolwiek, że aż mnie boli głowa.

- Podejrzewam, że to bardzo trudne... nie wiedzieć, kim się jest i skąd się pochodzi.

- Tak. Ty i ja bardzo się od siebie różnimy. Ja tropię przeszłość, której nie znam, ty od swojej uciekasz.

- Wcale nie uciekam od przeszłości.

Margery spojrzała mu prosto w oczy i nie odezwała się ani słowem. Will wydał jej się w tej chwili, z rozwianymi przez wiatr ciemnymi włosami i opromienioną słońcem twarzą, niezwykle przystojny. Miał spokojną, zamyśloną, niemal pełną Zrozumienia twarz i to czyniło Margery bezbronną wobec niego ' podatną na zranienie.

Will był jej mężem, a jednak lepiej znała jego przyjaciela niż jego. William był człowiekiem opanowanym, skrytym, wrażliwym, po przejściach. Był też utalentowany, obdarzony intuicją, zdolny do głębokich uczuć. Ale to wszystko można było dostrzec tylko w jego sztuce. W jaki sposób Margery mogłaby do niego dotrzeć, dotknąć udęczonego serca, ukrytego pod twardym Pancierzem?

- Dlaczego kochasz Anglię?

- Nie doszukuj się we mnie męzowskich zalet. Nie uda ci się ich znaleźć. Moją wartość można mierzyć jedynie zawartością

wypchanego portfela i chwałą płynącą ze szlacheckiego tytułu. Jeśli szukasz innych wartości, bardzo się rozczarujesz. R02. czarowałem nawet własną rodzinę, a ojciec uważa mnie za najgorszego nieudacznika. Ponoś odpowiedzialność za śmierć brata. Moja matka jest najbardziej kochającą i delikatną osobą na świecie, a tylokrotnie już złamałem jej serce, że sam nie potrafię zliczyć. Według prawa majoratu to ja dziedzicę ojcowski tytuł, ale ojciec, gdyby mógł, wolałby przekazać go mojemu kuzynowi.

- Dlaczego?

Uśmiechnął się lekko i Margery pomyślała, że William jest najpiękniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziała.

- Masz zadziwiającą zdolność zadawania krótkich pytań, które prowokują długie i szczegółowe odpowiedzi. Twój angielski, nawiasem mówiąc, jest do zaakceptowania.

- Ojciec Marc kształcił się w Anglii, a ja odniosłam z tego korzyść. Oczywiście poza Biblią nie miał ze sobą żadnych książek, ale był obdarzony zadziwiającą pamięcią. To doskonale wykształcony i odczytany człowiek. Bez problemów mógł uczyć mnie historii i opowiadać mi największe dzieła literackie. A ja byłam głodna jego wiedzy.

- Dlaczego nie próbował zabrać cię z powrotem do cywilizacji, do ludzi twojej rasy?

- Ojciec Marc nie mógł zabrać mnie ze sobą, nie miał tu gdzie zostawić. Został wezwany do Kanady. Uważał, że byłoby znacznie bardziej okrutne wywieźć mnie tam i zostawić na łasce losu, niż pozwolić mi zostać tu, gdzie byłam. Powiedział, że mogłabym trafić w ręce ludzi, którzy wykorzystaliby mnie do swoich własnych celów, bo wpojono mi posłuszeństwo.

Margery usłyszała, że William gwałtownie wciąga powietrze i klnie szeptem. Odwróciła głowę, ale jego twarz, jak zwykle, była nieprzenikniona. Pokazywał jej tylko to, co chciał. Żeby zobaczyć.

- Powinnaś była go posłuchać.

- Posłuchałam. Właśnie dlatego tak bardzo starałam się zapas

mijać wszystko, czego mnie nauczył. On zawsze twierdził, że czeka mnie wspaniała przyszłość, dzięki której zbledną wszelkie poprzednie cierpienia. Wierzył, że pewnego dnia znajdę rodzinę. Właśnie dlatego zrobił wszystko, co w jego mocy, żeby nauczyć mnie sposobu myślenia białych ludzi. Przepraszał, że więcej mi mówi o Anglii i Francji niż o Ameryce, ale wędrował od jednej wioski indiańskiej do drugiej i tylko taką Amerykę zdołał poznać.

- Cóż, będziesz mogła skorzystać ze swej wiedzy o Anglii, kiedy już tam dotrzemy.

- Jestem gotowa przyjąć wszelką wiedzę o twojej ojczyźnie i nie mogę się doczekać, żeby poznać twoją rodzinę. Pewnie uznają twoje małżeństwo z kobietą, która była przez lata indiańską branką, za niezwykle, prawda?

- To prawda, uznają to za dziwne.

- Jak sądzisz, polubią mnie?

- Niektórzy.

- Niektórzy... ale nie wszyscy? - Zamilkła i przypomniała sobie, że Dan ostrzegł ją przed ojcem Williama.

- Mój ojciec z pewnością cię nie polubi.

- Dlaczego? Przecież mnie nie zna.

- To bez znaczenia. Nie polubi cię po prostu dlatego, że jesteś moją żoną. Nienawidzi wszystkiego, co ma ze mną jakikolwiek związek. Nawet mój pies po moim wyjeździe z Anglii nie był dobrze traktowany. Uciekł wkrótce po mnie.

Margery nie mogła pojąć okropnych słów Willa.

- Twój ojciec mógł się mścić na psie?

- Jest do tego zdolny. Jak już mówiłem, nic, co do mnie należy, nie zasługuje w jego oczach na uznanie.

- Może tym razem będzie inaczej. Może doceni, że się "statkowałeś, że dasz mu wnuki, że się zmieniłeś.

- Ależ ja się nie zmieniłem.

- Ożeniłeś się i wracasz do domu. W twoim życiu zaszły zmiany, więc i w tobie musiały zajść zmiany.

- Nie ma żadnych zmian. Nie ożeniłem się z miłości. A do domu wracam nie z poczucia honoru.

- Dlaczego więc wracasz? I dlaczego pojąłeś mnie za żonę?
- Ożeniłem się z tobą, żeby cię uratować. Myślałem, że o tym Wiesz.
- Nie musiałeś się ze mną żenić. Kupiłeś mnie, należę do ciebie. Mogłeś dać mi wolność.
- Robi się chłodno. Chyba powinnaś wrócić do swojej kajuty. Nie chcę, żebyś się rozchorowała. - W jego słowach była troska i delikatność, ale dało się też w nich dostrzec próbę uniknięcia odpowiedzi. Wziął Margery za rękę. - Pewnego dnia wszystko zrozumiesz i postaraj się wówczas pamiętać, że nie chciałem cię skrzywdzić.
- Ale dlaczego...
- Odwrócił się od niej z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.
- Nie wracajmy już do tej rozmowy. Idź do kajuty. Zrobiło się zimno.
- Sprawdzę, jak się czuje Dan.
- Dobrze, trzymaj się Daniela. On jest dla ciebie o wiele lepszym towarzyszem niż ja.
- Ale to ty jesteś moim mężem.
- Czego wkrótce będziesz żałować.

Odwrócił się od Margery i podszedł do dużego zwoju lin. na którym leżał jego szkicownik. Usiadł i zaczął rysować. Chronił się do swego intymnego świata, do którego nikt poza nim nie miał dostępu, świata, w którym ból i cierpienie znajdowały ujście i przekształcały się w piękno. Margery straszliwie mu zazdrościła tej zdolności zamykania się w sobie, jak żółw kryjący się do swej skorupy. Obaj robili to, aby się chronić przed światem-A ona była jak zając śnieżny, którego futerko w zimie staje się białe, żeby stopić się z pokrytą śniegiem okolicą.

Odwróciła się i odeszła do kajuty, zastanawiając się, czy kiedykolwiek przyjdzie taka chwila, że nie będzie już musiała przystosowywać się do nowego otoczenia, kiedy poczuje, *ftm* może być czarnym jak węgiel zajmującym na oślepiająco białym śniegu.

Przez pozostałą część podróży Will starannie jej unikał, ale na tydzień przed przyjazdem do Londynu popełnił błąd i popijając whisky, zajrzał do szkicownika. Był pełen portretów Margery.

Margery i whisky. Zła kombinacja.

Przegląda! szkicownik z jej podobiznami. I w tym momencie dotarło do niego, że wcale nie patrzy na nią jako na narzędzie swojej zemsty. Nakreślone węglem na papierze linie stanowiły najlepszy tego dowód. Przewrócił kilka stron i dotarł do szkicu, który zrobił tego dnia, kiedy rozmawiali, kiedy odbyli jedną z niewielu prawdziwych rozmów. Wpatrywał się w jej twarz, w pięknie wykrojone, pełne wargi, w niesamowicie szczere oczy. W tym rysunku udało mu się uchwycić jej ufność. Ufność, która wkrótce zostanie zniszczona.

Wpatrywał się w podobiznę Margery. Ona, ze swą otwartością i uczciwością, ze śliczną, szczerą twarzą, z tymi zielonymi oczami, w których odbijały się wszelkie uczucia - błyszczącymi z ciekawości albo skrzącymi się inteligencją - ona była osobą, jakiej nigdy wcześniej nie spotkał. Nie była człowiekiem cywilizowanym, ale niemal promieniowała człowieczeństwem. Była tylko dzikuską, która nic nie wiedziała o higienie osobistej i manierach obowiązujących przy stole, ale miała delikatność uczuć i pokorę, której brakowało wielu ludziom, uważanym za bardzo kulturalnych i wyrafinowanych.

Nie sposób znaleźć kogoś takiego jak Margery. Na takiego człowieka równie trudno trafić jak na grobowiec faraona. Za Wika mustangów udało mu się kupić bezcenną perłę. Na tę myśl uspokoiło się szalejące w głębi jego duszy piekło. Ale potem zobaczył przed oczami twarz ojca, czerwoną z wściekłości, wyrażającą wieczny krytycyzm, zawziętość, okrucieństwo, złość, gorycz. I Will uświadomił sobie, do czego zmierza.

Ze złością zatrzasnął szkicownik. Zmiotł ręką ze stołu węgiel¹ Pędzle, które w łoskotem spadły na podłogę. Przecież wcale J^e nie kochał! Po prostu w tej dziewczynie było coś, co na niego działało: spokój, zrozumienie, delikatność. Podziwiał jej siłę, jej Wytrzymałość, rozsądne podejście do życia, podczas gdy on

zawsze miał skłonność do widzenia wszystkiego w czarnych barwach. Jakie to swoją drogą dziwne, że ta dziewczyna, która utraciła wszystko, była tak promieniejącą szczęściem istotą podczas gdy on, który wszystko miał, czuł się tak załóżnie.

Dopił drinka i wstał, żeby rzucić się na koję, kiedy na coś nadepnął. Spojrzał pod nogi. To był szkielet. Twarz Margery, szeroko otwarte ze zdziwienia oczy i usta złożone jak do pocałunku. Pogładził kciukiem dolną wargę i wydawało mu się, że czuje jej ciepło. Pobiegł myślą do tej nocy, kiedy do niego przysła.

Nie mógł sobie przypomnieć wszystkich powodów, dla których) została jego żoną, pamiętał tylko, jak wyglądała, kiedy stanęła przed nim naga, i co czuł, gdy poruszał się wewnątrz jej ciała.

Nagle zaschło mu w ustach. Pożądanie owinęło się wokół; niego jak piękny wąż, lśniący i uwodzicielski, kuszący wszystkimi kolorami tęczy i garncem złota. Walczył z pragnieniem pójścia do niej, wmawiał sobie, że okazałby w ten sposób słabość i że wszystko zostałoby stracone.

Nalał sobie kolejną porcję whisky, ale nawet alkohol nie był w stanie wygrać z pamięcią, która snuła się wokół niego jak obłok egzotycznych perfum. Miał pustkę w głowie. Nie pamiętał o niczym poza tą jedną nocą z Margery. Ciało nie pozwalało mu zapomnieć o bolesnym wręcz pożądaniu. Pragnął jej. Wychylił kolejną szklaneczkę i stanęło mu przed oczami jej wilgotne od potu ciało, wyciągnięte na zmiętej pościeli. Margery. Cisnął szklaneczką o ścianę, podszedł do drzwi i otworzył je gwałtownym szarpnięciem.

Owiało go chłodne morskie powietrze, ale nawet ono niJ rozwiało wrażenia, że okrywają go włosy Margery. nie zagłuszyło ~| cichych pomruków, które wydawała, nie usunęło zapachu iclfl miłości.

Wcale sobie tego nie życzył, nie chciał do niej iść. ale jegdB stopy poruszały się, jakby kierowane własną wolą. MargerjM przyciągała go ku sobie jak istota z innej planety, dysponująca! mocą nie do odparcia dla zwykłego śmiertelnika.

Podszedł do drzwi jej kajuty. Pożądanie stało się wręcz bolesne, ograniczyło zdolność myślenia, a jakiś głos mówił mu, że ta dziewczyna może uleczyć ten ból, że jeśli będzie się z nią kochał, cierpienie ustąpi.

Jego dłoń zacisnęła się na klamce. Czuł się rozkojarzony, jakby przybył z innego czasu, z innego miejsca, jakby przebył ogromne odległości i szmat czasu, aby znaleźć się tutaj w tej właśnie chwili. W chwili, kiedy otworzy drzwi, aby w ciepłe pomiędzy udami tej kobiety szukać przebaczenia i pocieszenia.

Otworzył drzwi. Owiał go głęboki, ciepły, zapraszający aromat i Will odniósł wrażenie, że ten zapach wciąga go do środka. Próbował z tym walczyć, ale jej ciepłe ciało było jak magnes. A on czuł się tak straszliwie zmęczony.

IVlaryery zobaczyła, że Will wchodzi do pokoju.

Przyniósł ze sobą zapach morza. Chłodny, wilgotny wiatr wdarł się do środka i wywołał dreszcz na jej rozpalonej skórze. Nigdy jeszcze nie widziała Willa w takim stanie. Panował w nim jakiś zamęt, ubranie miał w nieładzie, a włosy zmierzwione. To czyniło go w jej oczach bardziej ludzkim i męskim.

Może powinna mieć się przed nim na baczności. Wyglądał dziwnie obco. Długie włosy nie były starannie zaczesane do tyłu, opadały w nieładzie na twarz. Ale przecież był jej mężem, a poprzednio to ona wkroczyła do jego pokoju w ten sam sposób.

Czy jemu chodziło teraz o to samo? Czy przyszedł tu, żeby się z nią kochać, żeby wejść w nią z całą mocą swego pragnienia?

Zatrzymał się przy drzwiach, jakby nie mógł się zdecydować. Przenosił wzrok z niej na otwarte wciąż drzwi i Margery zdawała sobie sprawę, że nie jest pewien, co ma zrobić. Przez chwilę stał w miejscu, milczący i udreńczony. W końcu zatrzasnął drzwi.

Kiedy spojrzał na nią, w jego oczach było coś tak zniewalającego, że oddech uwiązał w gardle Margery i trzepotał się niespokojnie jak złapany w sidła ptak. Już wiedziała, po co Przyszedł, czego pragnie.

W pierwszej chwili chciała odrzucić kołdrę, żeby zobaczyć) że jest naga, i powiedzieć mu, że leży tu, w ciemności swojej kajuty, i myśli o tej nocy, kiedy się kochali.

Ale to by mu wszystko zanadto ułatwiło.

Nie odezwała się więc, nie odrywała tylko od niego wzroku. Obserwowała malujące się na twarzy Willa uczucia, czuła jego cierpienie, jego udękę. Ruszył ku niej; widziała spalający go żar, ale również ból, zmęczenie, głód bliskości, klórc przejęły ją do głębi.

I nagle był przy niej, pochylał się, żeby ją pocałować, jak płochliwy jelonek, który nieśmiało, powoli, ostrożnie zbliża się do brzegu rzeki, żeby ugasić pragnienie. Ciepło i zapach mężczyzny owiały ją z równą delikatnością, z jaką długie palce Willa gładziły jej policzki.

Otworzyła się dla niego, jakieś rozkoszne uczucie zaczęło się przesuwać w dół jej ciała. Poczula najpierw, że łóżko ugina się pod ciężarem jego kolana, a potem spoczął przy niej całym ciężarem ciała. Mocno ją przytulił. Margery przylgnęła do Willa i zorientowała się, że, nie wiedzieć kiedy, zdołał pozbyć się ubrania.

Jego ręce były wszędzie, dotykały, gładziły, ślizgały się p® jej ciele z biegiem i w rytmie kanoe, pokonującego przełomy rzeki. Nagle straciła oddech i zaczęła się obawiać, że straci także przytomność.

- Kochaj mnie. Uzdrów mnie. Uczyń ze mnie prawdziwego człowieka.

Słowa Williama zabrzmiały jak pieśń, miały rytm i melodię™ która popłynęła ku niej z jego ust. Całował ją i całował, dotykał jej piersi, brzucha, usta wtulał się w zagłębienie jej szyi. Całe ciało dziewczyny dygotało w oczekiwaniu. Każde dotknięcie przez niego miejsce płonęło żywym ogniem.

W ruchach Willa była gwałtowność, jakieś szaleństwo, które udzielało się stopniowo Margery, aż wreszcie była równie I niecierpliwa i doprowadzona na krawędź obłądu jak on. Jej ręce | uniosły się, aby pieścić męża, poznawać jego skórę, włosy. To fl

. J prawdziwy mężczyzna, z męskimi potrzebami i męskimi uczuciami. To ją zachwycało, porywało, przerażało i uszczęśliwiała zarazem. Wreszcie wsunął się w nią, a jej ciało zaczęło się poruszać.

Pierwszy spazm. Potem następny.

Przychodziły raz za razem, jeden za drugim, każdy był obietnicą następnego, jak fala napływa za falą, dopóki Margery nie zaczęła dyszeć ciężko i wić się.

- Tak, chodź za mną. Pokaż mi swój ogień. Spłoń dla mnie.

Przykrył ją całkowicie swoim ciałem, skrył pod sobą, splątane długie włosy mężczyzny okryły ich, ocierały się o twarz dziewczyny, chłodne i gładkie jak spokojne jesienne jezioro.

Ponownie zamknął jej usta pocałunkiem i Margery poczuła, jak w głębi jej ciała wpływa żar. I poznała miłość.

- Daj mi swoje dziecko - szepnęła.

- Wybacz - odpowiedział.

Darn zatrzymał się pod drzwiami kajuty Margery i poprosił żeby przeszła się z nim po pokładzie.

Na dworze panowała lodowata wilgoć, więc przeproszał, że wyciąga ją w taką pogodę.

- Żyłam przecież w takim klimacie. - Roześmiała się. Zdjęła płaszcz z kołka i wyszła z nim za zewnątrz.

- Poprosiłem, żebyś wyszła się ze mną przejść, bo wiem, że Will może wrócić, zanim będę miał szansę z tobą porozmawiać.

- Chcesz o czymś pogadać i nie chcesz, żeby Will o tym wiedział?

- Tak, sądzę, że tak będzie najlepiej.

Stanęli przy relingu. W głosie Dana zabrzmiał ton zadumy, więc spojrzała na niego, żeby w złocistych oczach znaleźć wyjaśnienie. Oczy pozbawione były blasku, bo melancholia, którą Margery usłyszała w głosie Dana, płynęła prosto z serca.

Przez chwilę czekała, żeby zaczął mówić, wreszcie to ona przerwała milczenie.

- Szukasz słów, ale wyślizgują ci się jak ryba we wzburzonej wodach Musisz uderzyć, starasz się jednak znaleźć sposób, aby złagodzić cios.

Odwrócił się do dziewczyny; wiatr rozwiewał mu włosy.

- Nigdy nie myśl o sobie jak o osobie niewykształconej. Jeśli tracisz coś, zdobywając wiedzę, zawsze zyskujesz mądrość.

Siećlatwo coś przed tobą ukryć. Wyczuwasz to, co inni starają się trzymać przed tobą w tajemnicy. _ Odchodzisz.

- Tak. Kiedy dotrzemy do Londynu, muszę wracać do domu. Od bardzo dawna nie widziałem rodziny. Chciałem ci o tym powiedzieć. Wiem, że zrozumiesz.

- Przyjedziesz potem w odwiedziny?

- Nie, myślę, że lepiej będzie, jeśli nie przyjadę.

- Nie rozumiem.

- Wiem, że nie rozumiesz, dlatego muszę cię prosić, byś zaufała mojej ocenie sytuacji. Muszę trzymać się z daleka.

- Dlaczego?

Dan odchylił głowę do tyłu i spojrzał w niebo.

- Wiedziałem, że o to zapytasz, ale miałem jednak nadzieję, że tego nie zrobisz. - Zamknął na chwilę oczy, a kiedy je otworzył, ich wzrok spotkał się i patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę. - Zaczęło mi bardzo na tobie zależeć, Margery... bardziej, niż powinno. Will i ja przyjaźnimy się od dzieciństwa. Nie dopuszczę, żeby moje uczucia do jego żony stanęły między nami.

- Nie wiedziałam.

- Wiem i przynajmniej za to jestem wdzięczny.

- Powiesz Willowi?

- Nie.

~ Myślę, że tak rzeczywiście będzie lepiej. - Margery obserwowała grę uczuć na twarzy jedynego przyjaciela, jakiego w życiu miała. Tak przywykła do jego obecności, do jego dyskretnej ochrony, do jego taktownego uczenia jej potrzebnych rzeczy, do podtrzymywania na duchu, kiedy zaczynały ją ogarniać ^w ^{wa} ^{Ze} Pliwości, czy da sobie radę. Dlaczego tak głupio wierzyła, że

Dan zawsze będzie w pobliżu, że skoro wyszła za jednego

^h ^o zdobyła tym samym obu? Rozumiała słowa Dana, rozumiała, dlaczego chce trzymać się od nich z daleka, ale trudno

jej było zaakceptować utratę jego przyjaźni. - Będę za tobą tęskniła.

Dan uśmiechnął się / przymusem.

- Co za ironia, prawda?... Zrywam przyjaźń z jednym z was aby zachować przyjaźń drugiego.
- Musisz go bardzo kochać.
- Tak.
- Nigdy nie zapomnę ani ciebie, ani tego, co dla mnie zrobiłeś.
- Ja także. - Pochylił się i delikatnie pocałował ją w policzek. - Bądź szczęśliwa.
- Spróbuję - szepnęła i otarła łzy wierzchem dłoni.

.LJotarli do Londynu na dwa dni przed Bożym Narodzeniem. Margery tylko raz widziała Dana od chwili ich rozmowy. Wiedziała, że lada moment zejdą z pokładu, i wśród ludzi wysiadających na ląd szukała jego twarzy; miała nadzieję, że jeszcze raz go zobaczy. Nie mogła odejść bez pożegnania.

Stała spokojnie obok Willa i była pełna obaw. Wydawał się jej bardzo daleki i nie mogła pozbyć się podejrzeń, że teraz, kiedy wrócił do domu, także będzie jej unikał.

William wydawał właśnie dyspozycje dotyczące ich bagaży, kiedy pojawił się Daniel.

- Chciałbym się pożegnać.
- Już odjeżdżasz? - zapytała Margery, starając się, żeby w jej głosie nie było słycać smutku.
- Tak, mój powóz czeka.
- Może zmienisz jednak zdanie i pojedziesz z nami⁰ - zapytał Will.
- Nie, czuję, że muszę jak najszybciej zobaczyć dom i rodzinę. Przyjaciele podali sobie ręce, krótko się uścisnęli, po czym Will zszedł na brzeg, żeby rozejrzeć się za powozem. Dan odwrócił się do Margery i podniósł jej podbródek.
- Nie bądź taka smutna. To nie koniec świata... to początek nowego życia. Nie będę już odgrywał roli twojego gubernera,

ale za to będziesz miała Octavię, matkę Willa, a w tej chwili o wiele bardziej potrzebujesz tej wiedzy, którą ona ci może przekazać, niż kogoś takiego jak ja.

Margery kiwnęła tylko głową, bo nie mogła wydobyć z siebie ołosu. Nadmiar uczuć ścisnął ją za gardło.

- Nie martw się. Wszystko będzie dobrze. Will nie jest człowiekiem okrutnym, tylko piekielnie upartym. Któregoś dnia pójdzie po rozum do głowy i zrozumie, co w tobie zyskał. Pamiętaj tylko, czego cię uczyłem.

Dziewczyna zaczęła gwałtownie mrugać, żeby zatrzymać gorące łzy, które spływały jej po policzkach.

- Pamiętam. Mam czekać na swój czas. Nie starać się niczego przyspieszać. Kto idzie wolno i spokojnie, wygrywa wyścig.

- „Utrata ciebie będzie jak wieczna zima, jak wszechogarniający grudniowy mróz” - mruknął Daniel, patrząc na Margery z zachwytem w oczach. Ujął obie dłonie dziewczyny i lekko je uściskał. Potem odwrócił się i zszedł ze statku, nie oglądając się za siebie.

Margery podeszła do balustrady i odprowadzała go wzrokiem.

Dopiero kiedy wsiadł do powozu i zamknął za sobą drzwi, wyjrzał przez okno i pomachał jej ręką na pożegnanie.

Pomachała mu w odpowiedzi.

Will, który w tym momencie znalazł się przy niej, uniósł dłoń^w pożegnaniem geście.

Po chwili powóz z herbem Daniela Boardmana, lorda Waverly, fiknął im z oczu.

- Nie patrz z taką rozpaczą. Przecież nie ostatni raz w życiu go widziałas.

Margery nie odpowiedziała.

Podjechał następny powóz. Już ładowano nań ich bagaże. Dziewczyna bez słowa poszła za Willem w stronę pojazdu. "poblizu zatrzymał się inny, z którego wysiadły dwie przepięk^{nie} ubrane kobiety. Ich stroje były cudowne i lśniące jak pióra Ptaków. Kobiety dostrzegły Margery i wymieniły spojrzenia. ^A kiedy już przeszły, wybuchnęły śmiechem.

Will chyba nic nie zauważył, ale Margery spojrzała na swą starą sukienkę z jeleniej skóry i pożałowała, że głupia duma powstrzymała ją od włożenia strojów, które Will kupił jej w Nowym Orleanie. Szczelniej okryła się płaszczem z zielonej wełny, zadowolona, że nie była aż tak uparta, żeby i jego nie włożyć.

zimowy dzień był tak ciemny, że mgła wydawała się żółta, zabarwiona światłem lamp, oświetlających londyńskie ulice. Chodniki po obu stronach ulicy pełne były ludzi, a wielkie okna wystawowe jarzyły się światłem lamp naftowych, jakby zapadła już noc.

Margery siedziała sztywno wyprostowana, z równo złączonymi stopami. Trzymała na kolanach swoje zawiniątko i przez okno powozu wpatrywała się w rzeczy, których nazw nie знаła. Jej twarz była pełna oczekiwania.

- Nie musisz trzymać torby na kolanach przez całą drogę do Emberly - powiedział Will. Wziął jej rzeczy i umieścił w rogu powozu. - Odpręż się. Przed nami długa podróż. Nie zatrzymamy się na noc w żadnym zajeździe. Musimy jechać bez postojów, jeśli mamy dotrzeć do domu na Boże Narodzenie.

Na Boże Narodzenie... Margery nie rozumiała, jak szczególnie jest to okres, choć ojciec Marc opowiadał jej historię narodzin Chrystusa. Ale to, o czym mówił jej Daniel - specjalne polano spalane w kominku na Boże Narodzenie, jemiola, ostrokrzew, nadziewana gęś - to wszystko niewiele dla niej znaczyło. Odwróciła się twarzą w stronę zaporowanego okna i spojrzała w gęstniejącą z każdą chwilą mgłę. Wkrótce przejechali przez most i zostawili za sobą centrum Londynu. Przed sobą mieli długą, pustą drogę. Choć nie było już nic interesującego do oglądania, dziewczyna uporczywie wpatrywała się w okno, dopóki ciemność za szybą nie stała się równie ciężka jak jej powieki. Zasnęła.

Nie miała pojęcia, jak długo spała. Kiedy się ocknęła. Will

pada! jej koszyk i kazał coś zjeść. W koszyku znajdował się zimny kurczak i herbata, które kupił na postoju. Wyrzała przez okno. Było już całkiem ciemno, więc nie widziała krajobrazu, ale przejmujący aż do szpiku kości wilgotny chłód świadczył o tym, że dotarli do Anglii.

Zjadła kurczaka i napiła się mocnej, gorzkiej herbaty. Potem znów usiadła na swoim miejscu. Przez całą pozostałą część drogi Will zajmował się głównie butelką whisky, Margery zaś oparła głowę o szybę i wpatrywała się w głęboką ciemność. Lamy powozu oświetlały mały krąg przestrzeni przed nimi; w ich blasku dostrzegła wreszcie coś znajomego. Padał śnieg i dziewczyna poczuła nagłą ulgę, że nie wszystko w nowym miejscu będzie całkowicie obce i nieznajome. Stopniowo jej napięcie osłabło i zaczęło do niej docierać, co się dzieje dokoła.

Najpierw dostrzegła łagodność tej dziwnej krainy, do której przywiózł ją William Woodville. Tutejsza zimowa śnieżycy była tylko słabym odbiciem okrutnych, bezlitosnych zim w dolinie rzeki Yellowstone. Powietrze, pomimo zimna, wydawało się dziwnie łagodne, pieściło jej twarz z nieoczekiwaną delikatnością; płatki śniegu nie były twardymi bryłkami lodu, a wiatr nie siekł nimi w jej skórę z obezwładniającą siłą. Były miękkie i lekkie, opadały na ziemię z gracją motyla i powoli topniały na twarzy.

Naprzeciw niej spał William. Zamknęła oczy i wsłuchiwała się w łoskot kopyt końskich, pierwszy znany dźwięk, jaki od wielu tygodni dotarł do jej uszu. Nie mogła zasnąć. Wyrzała znów przez okno, w ciemność, i obserwowała płatki śniegu, tańczące i wirujące w żółtym kręgu światła rzucanego przez lampy powozu.

Po chwili usłyszała odgłos wyciąganego z butelki korka. Potem przełykania dużego haustu whisky i pełne zadowolenia westchnienie.

- Zamknij okno. Masz mokre włosy. Nie chciałbym, żebyś już pierwszego dnia tutaj przeziębila się na śmierć.

Zamknęła okno, odcinając się od zimna i od świadomości, że

większą część życia spędziła w pomieszczeniach bez drzwi, nie mając przy sobie nikogo, kto by się przejmował mokrymi włosami. I jakoś nigdy nie zachorowała.

Pod badawczym spojrzeniem Willa poczuła się niepewnie. Pomyślała o Danie, o tym, jak inaczej wyglądałaby ta podróż, gdyby zdecydował się z nimi jechać. W powozie brzmiałby bez przerwy jego głos, opisywałby mijany krajobraz albo uczyłby ją nazw miast, rzek i tysiący innych rzeczy, które będą jej w przyszłości potrzebne.

Mąż nadal jej się przyglądał. Margery spuściła oczy na dwa długie, spoczywające na jej piersi warkocze. Potem przeniosła wzrok na piękną niegdyś suknię z jeleniej skóry, która dziś nosiła już ślady zużycia, a wiele zdobiących ją cennych zębów łosia odpadło w czasie podróży do Anglii. Jej sięgające kolan sztylpy i mokasyny były zniszczone i brudne. Ale ten strój, podobnie jak śnieg, dawał jej poczucie zdomowienia na tej obcej ziemi.

Will podniósł osłaniającą okno klapę i wyjrzał, wpuszczając przy tym zimne powietrze, które uderzyło Margery w twarz.

- Jesteśmy już prawie na miejscu. Widzę bramę.

Wyjrzała przez okno w kierunku wskazanym przez Willa i dostrzegła w oddali zamglone światło. Po chwili wjechali w potężną żelazną bramę, którą otworzył przed nimi ubrany w długą czarną pelerynę mężczyzna, trzymający w ręku latarnię.

Przez dłuższy czas jechali tunelem wśród szpaleru wysokich drzew, których gałęzie łączyły się nad ich głowami.

- Jesteśmy na miejscu?

- Blisko. Od bramy do domu jest około dwóch kilometrów. Zaczynasz się denerwować, mała dzikusko?

- Nie.

Roześmiał się i uniósł butelkę jak w toaście, po czym opan wygodnie głowę i pociągnął duży łyk. Dziewczyna patrzył³ ponad nim. Jej uwagę przykuły światła wielkiej niezgrabnej budowli. Woźnica objechał brukowane kamieniami podwoi?⁶

i zatrzymał się przed ogromnym domem. Margery odnosiła wrażenie, że ten wielki jak góra dom umościł się w śnieżnym łożu jak gigantyczny, pogrążony w śnie zimowym niedźwiedź w gawrze. Rodzina mojego męża musi być tak liczna jak plemię Rzecznych Crowów, pomyślała, wpatrzona w śnieg oświetlony padającym z tuzina okien światłem.

Drzwi otwarty się i jakiś człowiek zaczął ciężko schodzić po schodach.

- Hej! Kto to przyjeżdża w takim dniu? Jest Wigilia!
- To ja, William.

Margery obserwowała gramolącego się z powozu Williama, który zataczał się na skutek nadmiaru whisky. Nawet nie spojrzął w jej stronę. Dał jej tylko ręką znak, że ma iść za nim.

- Lord William?! - zawołał stojący na schodach człowiek.

Will wszedł w krąg światła i zdjął kapelusz.

- Och, wasza lordowska mość... Błagam o wybaczenie, wasza lordowska mość. Nie miałem pojęcia, że wraca pan do domu na święta. Pańska matka nic nie wspominała, że się pana spodziewaj
- Ona też nie miała pojęcia, że wracam. Obawiam się, że będzie równie zaskoczona jak wy, Jenkins. Nie uprzedziłem, że przyjeżdżam. Ani że przywożę ze sobą żonę.

Wzrok Jenkinsa powędrował w stronę powozu, w którym nadal cierpliwie siedziała Margery. Z jego twarzy zniknął ostatni cień wątpliwości, kiedy ją dostrzegł. Oczy o mało nie wyszły j mu z orbit, a szczęka opadła.

- Pańska... pańska... żona, wasza lordowska mość? Pan MC ożenił?

- Chodź, mała dzikusko, pora poznać moją rodzinę.

Posłusznie wstała i zeszła ze stopni powozu. Will ujął ją za rękę.

- To moja żona, lady Margery Woodville, wicehrabina Linwood. -Dziwne, ale Will przestał bełkotać. Jego głos był równie wyprany z emocji jak twarz.

- Witam w Emberly Hall, pani - powiedział służący oficjalnym, sztywnym tonem. Nie ruszył się z miejsca, wydawało się, że przymarzył do schodów. Nie odrywał od niej wzroku i trudno było stwierdzić, czy jest przerażony jej widokiem, czy też tylko osłupiał z wrażenia, że lord William się ożenił. A może z obu powodów równocześnie?

Jakakolwiek była przyczyna jego osłupienia, wzrok służącego przesunął się powoli po postaci Margery, objął skórzaną długą sukienkę ze skóry jelenia i zarejestrował każdy najmniejszy szczegół stroju, zanim przesunął się w dół, na stopy w mokasydach. Wreszcie spojrzął na długie warkocze.

William puścił dłoń żony i ruszył w stronę wejścia do domu. Weszła za nim po kamiennych schodach. Za potężnymi rzeźbionymi drzwiami znajdował się gigantyczny hol, udekorowany zielenią i wstążkami. Mnóstwo lamp dawało tak jasne światło, że stare zbroje lśniły, a wiszące na ścianach i na klatce schodowej portrety wyglądały jak nowe.

- Poinformuję pańską rodzinę o przybyciu waszej lordowskiej mości.

- To nie jest niezbędne, Jenkins. Poinformuję ich osobiście.

- Dobrze, wasza lordowska mość.

Margery stała w holu, niepewna i onieśmielona. Wszystko wokół wydawało jej się nieprzyjazne i obce, od twardych kamiennych posadzek poczynając, a na ciemnych wypolerowanych meblach kończąc. Dwa czerwone fotele, stojące po obu stronach starej rzeźbionej komody, wyglądały na równie twarde i niewygodne, jak sztywny i oficjalny Jenkins. Uwagę dziewczyny przykuło monotonne tykanie wysokiego zegara, stojącego za jej plecami. Przyglądała mu się przez chwilę. Dostrzegła okrągłą twarz księżycy z uśmiechniętymi ustami i rumianymi policzkami, a z twardym spojrzeniem w oczach.

Musiła jednak przyznać, że w holu jest ciepło, a pachnie wręcz cudownie: zielenią, woskowymi świecami, jabłkami gałką muszkatołową, cynamonem i bakaliami, których nazw oczywiście nie znała. Było jednak w tych zapachach coś boleśnie znajomego, coś, co sprawiło, że zatęskniła straszliwie za kimś, kogo ledwo pamiętała. Za matką.

Gdzieś z góry dobiegł dźwięk muzyki i wielu głosów... szczęśliwych głosów... i Margery natychmiast zdecydowała, że podoba jej się to coś, co zważ Bożym Narodzeniem.

William stał przed nią w jasnym świetle, a pokrywający jego ubranie śnieg zaczął topnieć i skapywać na podłogę, tworząc niewielkie kałuże, w których odbijało się światło. - Jenkins weźmie twój płaszcz. Posłusznie zdjęła okrycie i podała je służącemu. William odwrócił się w tej samej chwili co Margery i ich spojrzenia spotkały się na długą chwilę. W piersi dziewczyny zatrzepotały tysiące skrzydeł. Czas stanął. William patrzył na nią. Jego twarz była jasno oświetlona lampami, których blask odbijał się także w jego oczach. Nie patrzył na nią takim wzrokiem od chwili, kiedy kochali się na statku.

Margery nie wiedziała, co go tak strasznie dręczy, ale od tamtej chwili ten wyraz twarzy zniknął. Bardzo ją to cieszyło. Znalazła się w obcym kraju zamieszkanym przez dziwnych ludzi, ale stojący przy niej mężczyzna był jej mężem, który zabrał ją do swego domu. Będą tu żyli i wychowywali dzieci. Na tę myśl poczuła przypływ niezwyklego poczucia bezpieczeństwa. Spojrzenie Willa było kuszące, niemal czułe. Był taki przystojny, miał tak piękną twarz. Wyciągnął rękę i ujął jeden z jej warkoczy, muskając przy tym lekko jej pierś. Widziała jego twarz tak wyraźnie jak nigdy dotychczas. Nie spuszczał z niej wzroku; widziała, jak rodzi się w nim instynkt myśliwego, dostrzegła w głębi oczu Willa narastające pożądanie. Dreszcz oczekiwania przebiegł jej po plecach. Will puścił jej warkocz i tak pięknie przed chwilą rysy twarzy zastygły w twardą maskę-- Chodź, mała dzikusko. Przedstawię cię rodzinie.

Serce Margery zaczęło trzepotać w piersi jak ptak. Dopiero po chwili wyczuła kpinę w słowach męża. Will odwrócił się i ruszył przed siebie. Pobladła z upokorzenia dziewczyna podążyła w ślad za nim. Mijała wielu służących, którzy na jej widok odrywali się od pracy i gapili się na dziwaczne zjawisko.

Weszła za mężem do komnaty, która, jak pomyślała Margery, musiała skraść słońcu blask, tak w niej było jasno i ciepło,

W wielkiej sali było pełno ludzi.

Dźwięk muzyki wypełnił uszy Margery. Nagle zabrzmiał przenikliwy dziecięcy śmiech. Upojny aromat, który wyczuwała już wcześniej, teraz przybrał na sile. Ten zapach boleśnie uświadomił jej, że już od dawna nie miała nic w ustach.

Zdała sobie nagle sprawę, że w pokoju zapadła ogłuszająca cisza. Przeszło dwadzieścia osób odwróciło się w jej stronę i wpatrywało się w nią takim wzrokiem, jakby zobaczyli ducha.

Will nie zwracał najmniejszej uwagi na pełne niedowierzania westchnienia i cicho szeptane domysły. Bez słowa zmierzał ku mężczyźnie, który, jak sądziła Margery, musiał być księciem Warrenton, jego ojcem.

Stanęła u boku męża i odważyła się na chwilę podnieść wzrok i omieść szybkim spojrzeniem pokój i zgromadzonych w nim ludzi. To zapewne reszta rodziny, o której opowiadał jej Will - jego cztery siostry z mężami i dziećmi, kilkoro innych krewnych oraz grono najbliższych przyjaciół. Daniel mówił, że Boże Narodzenie to czas, kiedy rodzina i przyjaciele się spotykają.

W pokoju pełno było rzeczy, które musiała dopiero nauczyć się nazywać i kojarzyć z Bożym Narodzeniem. Był udekorowany girlandami ze świerkowych gałązek, ostrokrzewem i jemiolą, a w jednym z narożników, na tle ogromnego okna, stało wspaniałe drzewko, bardzo podobne do tych, które widywała na terytorium Crowów, ale jaśniejące mnóstwem świeczek i obwieszone pięknie "branymi lalkami i zawieszonymi na gałązkach ozdobami.

Margery przeniosła wzrok na rodzinę, ubraną w przepiękne, świąteczne stroje. Muzyka, śmiech i śpiewy, które słyszała wchodząc do tej komnaty, teraz umilkły.

Niezręczną ciszę przerwała matka Williama. Syn, jeśli nie brać pod uwagę niezwykle wysokiego wzrostu, który najwyraźniej odziedziczył po ojcu, był wierną kopią matki.

Margery natychmiast zrozumiała, że Willa łączy z matką niezwykle silne uczucie, bo ilekroć na nią spojrział, ból, który zawsze czaił się w głębi jego oczu, ustępował miejsca czystemu szczęściu.

Nie trzeba było specjalnej przenikliwości, by stwierdzić, że o ile matka ucieszyła się szczerze na jego widok, o tyle ojciec zdecydowanie nie. Nastąpiła wymiana ostrych słów. Dzieci zostały wyprowadzone z pokoju. Nikt nie odważył się odezwać, nikt nie pomógł Williamowi i jego ojcu.

Margery zwilgotniały dłonie. Zaczęły jej się trząść kolana. Poczwała, że wzdłuż jej kręgosłupa przebiegał dreszcz przerażenia. Zbladła jak ściana. Spojrzała na matkę męża, spodziewając się, że kobieta z pokorą i szacunkiem dla swego małżonka przyjmie jego wrogość w stosunku do syna. Nic podobnego!

Octavia wodziła wzrokiem od jednego do drugiego, jakby w jej duszy toczyła się walka lojalności w stosunku do obu tych mężczyzn. A potem bez słowa zrobiła krok do przodu, objęła syna i go przytuliła. Po chwili William przedstawił Margery jako swoją żonę.

- Powiedziałeś, że ona ma na imię... Szybkonoga? - Octavia objęła dziewczynę ciepłym spojrzeniem.

- Takie imię nadali jej Crowowie. - William nie odrywał oczu od ojca. Margery widziała, jak jej mąż zaciska szczękę. *A*

- Crowowie? - Octavia najwyraźniej nie zrozumiała słów syna.

- Indianie.

- Och, ona jest Indianką.

- Raczej Amerykanką.

_ Indianka? Ożeniłeś się z Indianką?! Z dzikuską? - Ojciec Willa niemal zaczął chichotać.

_ Ożeniłem się z kobietą. Nieważne, kim ona jest. - Usta Willa wykrzywił okrutny uśmiech.

Charles grzmotnął pięścią w stół. Kryształowa karafka zadzwoniła o kieliszki.

- Nie przyjmuję do wiadomości, że mój syn, dziedzic tytułu książęcego, ożenił się z dzikuską.

- Obawiam się, że już nieco za późno, aby nie przyjmować tego do wiadomości. - W oczach Williama pojawił się triumfalny blask.

- Zrobiłeś to na złość mnie!

- Możesz sobie myśleć, co zechcesz - odpowiedział syn jadowym tonem. - Ale kiedy znowu przyjdzie ci do głowy, żeby postawić mi ultimatum, pomyśl o tym, że moje życie należy wyłącznie do mnie i mogę z nim zrobić, co mi się żywnie spodoba...

Margery dostrzegła ciepłe spojrzenie Octavii i wyczuła, że matka Williama zaakceptowała ją bez zastrzeżeń, natomiast z ojcem rzecz się miała zgoła odmiennie.

- Jak śmiałeś wejść do salonu, w którym przebywają twoja matka i siostry, ubrany jak barbarzyńca, którym pewno się stałeś?

Margery stała w milczeniu i głowa pękała jej od natłoku myśli. Choć niejednokrotnie zastanawiała się, dlaczego William ją poślubił, nigdy nie przyszło jej do głowy, że mógł to zrobić dla zemsty. Jak straszliwie się pomyliła, przypisując mu szlachetne intencje! Myliła się, myśląc o nim jak o wybawcy, jak o człowieku, który ją ocalił, a czasem nawet jak o kochającym mężu. tego motywacja była całkowicie egoistyczna.

Zapagnęła stąd uciec. Uciec od tych ludzi. Z tego domu. Chciała biec i biec bez końca. Biec tak długo, aż zostawi daleko za sobą Anglię i jej mieszkańców. Biec, dopóki nogi będą ją niosły, a ból w piersiach przestanie być nie do wytrzymania. Dopiero wówczas mogłaby się zatrzymać. I dopiero kiedy fizyczny ból osłabiłby ^{Uc}zucia, byłaby w stanie pomyśleć o tym, co jej zrobił William.

Po chwili uświadomiła sobie, że wymiana ostrych słów między mężem a jego ojcem nadal trwa.

- Nie mogę uwierzyć, że naprawdę to zrobiłeś! - grzmiał Charles. - To niewybaczalne!

- To przecież ty sam oświadczyłeś, że zyczysz sobie, abym się ożenił.

- A niech cię szlag! Nie mów, że nie zrozumiałeś, co miałem na myśli. Przecież wyraźnie napisałem, że poczyniłem już przygotowania do twoich zaręczyn z lady Jane Penworthy.

- Zapomniałeś tylko o jednym drobiazgu. O tym, że ja wcale nie chciałem lady Jane Penworthy za żonę.

- Tylko tę nieokrzesaną... - Charles niedbale machnął ręką w stronę Margery - ...niekulturalną, niewykształconą dzikuskę? Tylko spójrz na nią. Zbrukałaby swą obecnością święte mury Westminsteru... Plami angielską ziemię! - Księżę zbliżył się do syna. - Niech cię piekło pochłonie!

Octavia stanęła między mężem i synem.

- Dość już tego! Jeśli żaden z was nie ma dość oleju w głowie, żeby zakończyć tę kłótnię, ja położę jej kres. Pozwólcie sobie przypomnieć, że jest Wigilia i gościmy rodzinę. Powściągnijcie wreszcie swoje języki.

William nie zwrócił uwagi na słowa matki, wyminął ją i stanął przed ojcem.

- Nie pozwolę ci kierować moim życiem. Już nie. Już nigdy nie. Możesz nie apróbować ani mnie, ani kobiety, którą pojąłem za żonę, ale to ja dokonałem wyboru.

- I niewątpliwie nie popisałeś się, mój chłopcze. Ja wybrałbym lepiej, nawet gdybym był pijany do nieprzytomności.

Margery nie musiała patrzeć na zgromadzonych w pokoju ludzi, żeby czuć na sobie ich spojrzenia. Słyszała za plecami ich niespokojne, gorączkowe szepty. Twarz jej płonęła. Dotychczasowe życie nie przygotowało jej, żeby stawić czoło takiej sytuacji. Nawet wtedy, gdy zerwano z niej sukienkę, nie czuła się tak straszliwie poniżona.

Podniosła wzrok na męża, który w tej samej chwili odwrócił

się w jej stronę. Spojrzała w dobrze sobie znane błękitne oczy i wyczytała z nich prawdę. Podeptał serce, które złożyła u jego stóp.

A więc to prawda. Wszystko prawda. Rozpaczliwie chciała mieć pewność i teraz ją miała; znalazła potwierdzenie w jego oczach. Will wyrwał ją z indiańskiej niewoli po to tylko, żeby zakuć ją w stokroć cięższe i bardziej brutalne okowy, zwane cywilizacją. Została poślubiona temu człowiekowi, przykuta do niego nierozzerwalnymi więzami, krepującymi silniej niż jakakolwiek znana jej dotychczas forma niewoli.

Jakaż była głupia! Myślała o nim jak o wybawcy, podczas gdy on wykorzystał ją tylko po to, żeby zadać ból swej rodzinie. Miała być narzędziem zemsty, miała wzbudzić wstępl i nienawiść. I jeśli sędzić po minie jego ojca, Willowi w pełni się to udało. Jeszcze nikt nigdy nie patrzył na Margery z taką odrazą i nienawiścią. Nawet najbardziej niemiłosierni Komańcze nie nienawidzili nikogo bez powodu.

Przymknęła oczy i przypominała sobie, że William przedstawił ją imieniem nadanym przez Crowów. Teraz rozumiała, dlaczego to zrobił. Chciał, żeby uwierzyli, że urodziła się wśród dzikusów, a nie, że została tylko przez nich wychowana. Pomimo cierpienia poczuła wściekłość, że tzy napływają jej do oczu. Żałowała, że nie ma dokąd pójść. Że nie ma gdzie się ukryć. Czy już nigdy nie będzie miała żadnego miejsca na ziemi, w którym mogłaby się schronić? Czy już nigdy nie znajdzie miejsca, które mogłaby nazwać domem?

Zatęskniła nagle za dzikim krajem, którego niebo i wody zdołałyby może uleczyć jej rany. Jak ptak wsadzony do klatki, została wyrwana ze swego naturalnego, dzikiego środowiska. Będzie musiała nauczyć się walczyć, i to ciężko, aby bronić swojej osobowości. Musi czerpać siłę do walki ze wspomnień⁰ przebijających pokrywą śnieżną zielonych pędach, o prowadzącej watahę wilczy, której oczy czujnie badają przestrzeń,^a uszy są nastawione, aby wychwycić choćby najcichszy niepokojący szmer. I ona także musi kierować się instynktem, od-

wiecznym kobiecym instynktem, odziedziczonym po pokoleniach poprzedniczek.

W chwili kiedy Margery zaczęła się obawiać, że załamanie się i wybuchnie płaczem, matka Williama podeszła i stanęła przy niej. Objęła ramiona dziewczyny i odwróciła się w stronę męża i syna. Dotyk Octavii sprawił, że Margery poczuła przyptyw siły, spłynął na nią spokój, jakby nieprzeliczone pokolenia kobiet wyciągnęły ku niej ręce poprzez wieki, aby ofiarować jej najbardziej pierwotną moc, samą istotę odwiecznej dzikości, kobiecą siłę przetrwania wszystkiego, która przeprowadzi ją przez nadchodzące trudne dni.

- Dość! Jak wam nie wstyd?- Głos Octavii zabrzmiał ostro i czysto. - Nieważne, kim jest ta dziewczyna i skąd pochodzi. Jest człowiekiem i żoną Williama. I tak ma być traktowana.

Charles rzucił Margery spojrzenie pełne jadu i nienawiści. -

- Człowiekiem? Niewątpliwie przesadzasz. Jest ssakiem. Niczym ponadto, jak ośmielał się przypuszczać.

- Wszyscy jesteśmy ssakami... ale tylko niektórzy z nas zdołali wznieść się na wyższy poziom rozwoju dzięki temu, że zostali obdarzeni zdolnością odczuwania uczuć wyższych. - Octavia wodziła wzrokiem od Williama do Charlesa. - Wstyd mi za was... Za was obu. Jak możecie być tak okrutni? Ta dziewczyna niewątpliwie potrafi czuć i jej uczucia właśnie zostały wdeptane w ziemię. Czy nie potraficie znaleźć w sercach ani krzty dobroci? Nawet w Wigilię?

Wzięła ze stołu srebrną czarkę wypełnioną płynem, który! nazwała korzennym świątecznym winem. Podała ją Margery.

- Wypij. To cię rozgrzeje i co ważniejsze, być może zdoła spłukać gorycz tych okrutnych słów.

Margery nie spojrzała na Willa. Wzięła puchar. Dwie identyczne czarki Octavia podała mężowi i synowi.

- A teraz wzniesiemy świąteczny toast: za powrót naszęgłs syna i za powiększenie rodziny o kolejną córkę.

Charles rąbnął swoim kielichem w ziemię. Wino rozprysła

się na wszystkie strony, a puchar potoczył się po podłodze i znieruchomiał u stóp rzeźbionej oświetlonej choinki. Ojciec odwrócił się do syna.

- Przeklinam dzień, w którym przyszedłeś na świat. Do końca moich dni będę robił wszystko, co w mojej mocy, abyś i ty żałował, że się urodziłeś.

- W takim razie możesz się uspokoić, ojcze. Nie musisz tracić na to ani czasu, ani pieniędzy. Bo jak daleko sięgam pamięcią, zawsze żałowałem, że jestem twoim synem.

- Niezależnie od twoich uczuć do mnie, jestem jednak twoim ojcem i w związku z tym nie dopuszczę, abyś kontynuował te błżeństwa. Jutro pošę po adwokata. Co się stało, to się odstanie.

- Charles, jutro jest Boże Narodzenie - przypomniała Octavia.

Mąż spojrział na nią i burknął coś o następnym dniu.

- Pojutrze jest drugi dzień świąt.

- Na Boga, to małżeństwo zostanie unieważnione i to szybko! I nie przeszkodzi mi w tym ani Boże Narodzenie, ani wszystkie moce piekielne! - Głos Charlesa aż trząsł się z wściekłości i wznosił się niemal do krzyku.

Natomiast głos Williama był cichy i spokojny.

- Obawiam się, że nawet potęga i bogactwo księcia Warrenton nie będą w stanie unieważnić tego małżeństwa. Niezależnie od tego, jak bardzo tego chcesz, nie uda ci się nic zrobić.

- Dlaczego sądzisz, że nie uda mi się z tym skończyć? Ty lepiej niż ktokolwiek inny powinieneś wiedzieć, że zawsze stawiam na swoim.

- Jeśli ma ci to sprawić satysfakcję, to proszę, próbuj. Ale Prędej czy później będziesz musiał spojrzeć prawdzie w oczy i przyznać, że nikt, nawet ty, nie jest w stanie unieważnić tego małżeństwa.

- A czemuż to?

- Bo zostało skonsumowane... i to nieraz, pozwolę sobie dodać.

Wszyscy obecni gwałtownie wciągnęli powietrze. Octavia zaczęła machać ręką, jakby chciała przegnać te słowa z powietrza.

- A żeby oszczędzić ci kłopotu szukania potwierdzenia moich

słów... - William wyciągnął z kieszeni dokument i pokazał ojcu. - Oto jak najbardziej oficjalne świadectwo ślubu, wystawione przez pastora, legalnie sprawującego obowiązki duszpasterskie.

- Ty sukinsynu! - Charles cisnął dokument na ziemię.

William spokojnie podniósł świadectwo ślubu i ponownie schował je do kieszeni.

Spojrzał na Margery. Wydawało się, że wyczuł ból dziewczyny, bo odwrócił oczy i popatrzył w inną stronę. Ona tymczasem pomyślała o Danie. Zastanawiała się, jak radziłby jej się zachować w zaistniałej sytuacji. Wzięła głęboki oddech w nadziei, że uda jej się w ten sposób opanować gwałtowne bicie serca. Starła się pamiętać, że Will jest pijany i żądny zemsty, a to nie sprzyjało przejmowaniu się doznaniem innych ludzi i trudno było oczekiwać, że w tym stanie mąż się nad nią ulituje.

Nagle William odwrócił się na pięcie i wymaszerował /. pokoju, zostawiając żonę ze swoimi rodzicami.

- Dokąd idziesz? Jeszcze niczego nie ustaliliśmy. Jeszcze nie skończyliśmy! - zawołał za nim ojciec.

- Owszem, skończyliśmy! - krzyknął od drzwi Will. Następne jego słowa pozbawiły Margery resztek nadziei. - Jako posłuszny syn dałem wam synową. Tym samym moje obowiązki wobec was i przyszłości rodowego tytułu zostały wypełnione. Mogę wracać do Ameryki.

- Prędzej trafisz do piekła!

- Kiedy już tam będziesz, zarezerwuj mi miejsce! - William zsalutował ojcu.

- Wracaj w tej chwili! - Głos Charlesa trząsał się z wściekłości.

William nie zatrzymał się.

- Rozkazuję ci wrócić!

William szedł dalej.

- Ty sukinsynu!

- Cóż, wszyscy twierdzą, że jestem do złudzenia podobny do ojca.

- Zapomniałeś o czymś! - zawołał Charles, rzucając Margery pełne nienawiści spojrzenie. - Jeśli chcesz, możesz sobie iść, ale zabieraj ze sobą tę swoją dziką żonę.

_ Moja żona zostaje - rzucił krótko Will.

- Do wszystkich diabłów! Chyba nie chcesz jej nam zrzucić na kark? Wypędzę ją, jak tylko zamkną się za tobą drzwi.

- Nie zrobisz tego. Żona Williama zostanie - oświadczyła Octavia tonem kończącym wszelką dyskusję.

- Ona jest dzika, Octavio. Jest poganką. - Charles mówił do żony zniżonym głosem.

- Najwyraźniej nie pamiętasz słów Pisma Świętego: „Nie zapominajcie przyjmować obcych z otwartymi ramionami: niektórzy mogą być aniołami w przebraniu”.

- Aniołami? Jak możesz przyrównywać ją do anioła? To żmija, która tylko czeka, żeby wbić w ciebie zęby jadowe.

- To żona Williama. Moja synowa. Dopilnuję, by była traktowana z należytym szacunkiem.

Rozległ się odgłos otwierania drzwi. Wszyscy - Charles, Octavia i Margery - odwrócili się i patrzyli, jak William Woodville, wicehrabia Linwood, jedyny syn i spadkobierca księcia Warrenton, odchodzi z życia Margery.

Octavia pobiegła za nim.

- Williamie! -zawołała. -Zaczekaj, proszę. To Wigilia. Czy nie możesz odłożyć wyjazdu o kilka dni?

- Nie, mam, nie mogę.

- Pożegnajmy się przynajmniej, jak Bóg przykazał.

Will zatrzymał się. Odwrócił się powoli. Nigdy nie potrafił odmówić żadnej prośbie matki. Octavia podeszła do niego.

- Błagam, nie odchodź dzisiaj. Zostań choć na kilka dni.

- Wiesz przecież, że nie mogę, mam. Przyjazd tutaj był błędem. Pomyłką. Teraz to zrozumiałem.

- Tylko kilka dni, Will. To z pewnością nie będzie takie straszne. Tak dawno cię nie widziałam.

Spojrzał na matkę i pogładził ją po policzku.

- Wiesz, że nigdy niczego nie umiałem ci odmówić, ale właśnie teraz musi nastąpić ten pierwszy raz.

- Proszę, zostań. Błagam cię. Są święta.

William poczuł, że oczy mu wilgotnieją, a serce ściska się boleśnie. Niczego bardziej nie pragnął, jak objąć matkę i powiedzieć, że zostaje. Ale nie mógł.

- Nie mogę. Gdybym został, pewnie jeden z nas zamordował by drugiego. Nie pozwolę mu się zniszczyć. Wiesz o tym- Zawsze wiedziałas.

Octavia westchnęła.

„A co z nią? Co z twoją żoną? - Skinieniem głowy wskazała wielki salon. Spojrzenie Willa pobiegło we wskazanym przez matkę kierunku i spoczęło na poblądłej, pozbawionej wyrazu twarzy Margery. W wielkich oczach dziewczyny była niepewność. Serce ścisnęło mu się boleśnie. Nigdy dotychczas świadomie nikogo nie skrzywdził.

Ale nie mógł się poddać. Wyszczrzył zęby w uśmiechu, choć zaciśnięte szczęki wyrażały pełną determinację.

- Lepiej jej będzie tutaj... beze mnie.

- Jak możesz tak mówić, Williamie? Ona jest twoją żoną.

- Bardzo jej z tego powodu współczuję.

- Nie możesz jej tu tak po prostu porzucić. Zostań choć parę dni. My jesteśmy dla niej kompletnie obcymi ludźmi. Ona cię potrzebuje.

Will nie spuszczał wzroku z twarzy Margery. Wreszcie odezwał się, a w jego niskim głosie zadrżała nutka żalu.

- Nie mogę jej dać tego, czego potrzebuje.

- Jesteś jej to winien... przynajmniej te kilka dni. Daj jej czas, żeby się oswoiła, żeby do nas przywykła.

- Ona mnie nie potrzebuje. Ma w sobie odwieczną mądrość i instynkt przetrwania. Nie została ucywilizowana przez społeczeństwo i wtłoczona w różne konwencjonalne role. Jest dzikim stworzeniem, kierującym się naturalnym instynktem, który nie został stłamszony przez kulturę i wiedzę. Wiele możecie się od niej nauczyć, równie dużo jak ona od was. Ona sama nie zdaje sobie jeszcze z tego sprawy, ale niewola była nie tylko źródłem jej cierpienia, lecz i siły przetrwania. Wyrwana ze skorumpowanego świata, dorastała w dziczy, obdarzona zdrowym rozsądkiem i duszą skora do radości. Ma głęboką intuicję i jest mistrzynią sztuce adaptowania się do nieustannie zmieniających się warunków życiowych.

- Będzie zupełnie inna, kiedy powrócisz. Jeśli ją teraz opuścisz, nigdy... Will objął matkę.

- Nie mogę zostać. A co do Margery... nie musisz się o nią martwić. Posłuchaj opowieści o jej życiu, a zrozumiesz. Dlatego nie jestem w stanie dać jej tego, czego potrzebuje. W tej chwili najbardziej potrzebuje kochającej rodziny.

- I sądzisz, że znajdzie ją tutaj, pomimo wrogości twego ojca?

- Wiem, że ją tutaj znajdzie, bo znam ciebie i siostry. Jak tylko wyjadę, odpowiednio zbesztasz ojca i będzie znów odgrywał rolę kochającego męża i ojca. A potem zajmiesz się Margery. Straciła ogromną część swego życia. Byłbym szczęśliwy, gdyby udało jej się ją odzyskać. No i czeka ją wiele nauki, jeśli ma zostać cywilizowaną kobietą. Nie mogę jej tego wszystkiego dać. - Zamilkł na chwilę. - Tego wszystkiego nie byłbym w stanie jej dać, nawet gdybym mógł, bo jakaś część mojej osobowości żałuje tego, co zrobiłem. Powinienem być pozostawić ją w dziczy. Ale skoro tego nie zrobiłem, jestem odpowiedzialny za to, by nauczyła się żyć w niewoli. - Pocałował matkę w policzek. - Dbaj o nią, mamó. Dbaj o nią, jakby była twoją rodzoną córką.

Tym razem, kiedy Will wyszedł z pokoju, Octavia nie pobiegła za nim. Przywołała natomiast gestem do siebie niewysokiego ciemnowłosego mężczyznę, który stał przy fortepianie.

- On odchodzi, Guy. Co mam zrobić? - zapytała, kiedy podszedł do niej Guy Montgomery.

- Może tak będzie lepiej. Nie nauczył się jeszcze żyć ze swoim cierpieniem.

- Wiem i nie mogę znieść myśli, że będzie gdzieś daleko, sam ze swoim bólem. Jedź z nim, Guy. - Octavia westchnęła głęboko. Nagle poczuła się strasznie wyczerpana. Położyła rękę na ramieniu Guya. - Rozumiesz go lepiej niż ktokolwiek inny-

Guy spojrzął na drzwi, rozważając najwyraźniej prośbę Octavii. Potem kiwnął głową.

- Zawsze byłeś dla niego kimś o wiele więcej niż tylko gubernierem. Byłeś dla niego raczej ojcem. Ciebie posłucha. Guy. Opiekuj się nim i jeśli zdołasz, pomóż mu pozbyć się demonów, które go opętały...

Głos Octavii załamała się; sięgnęła po chusteczkę do nosa.

- Idź. Idź szybko. I proszę... pisz do mnie, Guy. Daj mi znać, o nim, bo wiem, że on do mnie nie napisze.

- Napiszę najszybciej, jak się da - odpowiedział Guy i pośpieszył za Williamem.

Charles nalał sobie drinka, wychylił i natychmiast nalał powtórnie.

- On już nie jest moim synem - oświadczył, gdy tylko Octavia wróciła wolnym krokiem do salonu.

Margery stała w miejscu, nie wiedząc, co ma ze sobą zrobić, dokąd iść. Przyglądała się, jak ojciec Williama dopija drinka i opuszcza salon, zostawiając Octavię i Margery samym sobie.

Dziewczyna spojrzała na teściową i dostrzegła w jej oczach zmęczenie. Octavia serdecznie popatrzyła na synową, ale po chwili przysło opanowanie, które udało jej się utrzymać przez cały wieczór.

W milczeniu osunęła się na krzesło i cicho zapłakała.

Margery stała bez ruchu. Słuchała szlochania teściowej i czuła się całkowicie bezradna i samotna. Zastanawiała się, co z nią teraz będzie. Teraz, kiedy William odszedł.

Jej serce zalał smutek. Światło zniknęło z jej życia. William odszedł.

Przypominała sobie, że odszedł z własnej woli, a przedtem wykorzystał ją do swoich egoistycznych celów. Nie wolno jej za nim płakać. Powinna płakać nad tym, co jej zrobił. Nad jego oszustwem. Zdradą...

Usiadła obok matki Williama. Pragnęła ją pocieszyć, ale nie miała pojęcia, w jaki sposób. W końcu położyła rękę na ramieniu Octavii.

Kobieta jeszcze raz pociągnęła nosem i podniosła głowę, otarła oczy chusteczką.

- No, już mi trochę lepiej. Jestem jak bobrowa czapka. Pięknieję w wilgoci.

- Dobrze jest płakać?

- Tak mówią. - Octavia uśmiechnęła się do dziewczyny, i Jest takie powiedzenie: im więcej łez na policzkach, tym mniej zmarszczek na twarzy... Ale czasem myślę, że nic nie jest warte tych wszystkich łez, które wylewamy. - Jeszcze raz pociągnęła nosem, po czym sięgnęła po dłoń Margery. - Moje biedne kochane dziecko. Pewnie jesteś przerażona i osamotniona. Jest już po północy, mamy Boże Narodzenie i przysięgam ci, że jesteś najpiękniejszym prezentem świątecznym, jaki mogłam dostać.

Octavia odetchnęła głęboko i wstała. Spojrzała z góry na Margery.

- Nie wiem, co powiedzieć. Zdaję sobie sprawę, że nasze zachowanie mogło ci się wydać dziwne, ale uwierz mi, proszę, że zazwyczaj się tak nie zachowujemy. Will i ojciec nigdy nie mogli dojść ze sobą do ładu, a najwyższą cenę za ich konflikt płacili często najzupełniej niewinni ludzie. Nie jestem w stanie zmienić tego, co ci zrobił mój syn, ale dołożę wszelkich starań, żebyś czuła się tu dobrze. Wiem, że pewnie trudno ci w to teraz uwierzyć, ale to prawda. Jestem przekonana, że z czasem pokochasz Anglię i swoją nową rodzinę. My naprawdę nie jesteśmy tacy straszni.

- Ojciec Willa...

- To skończony osioł... Przykro mi to mówić przy naszym pierwszym spotkaniu, ale dlaczego miałabym ukrywać prawdę? Potrafi być kochany i uroczy, ale kiedy rzecz dotyczy syna, robi się uparty ponad wszelką miarę. Skłamałabym, gdybym twierdziła, że z Charlesem pójdzie ci łatwo. Jest uparty, zawzięty i nie przebiera w słowach. Mówię ci o tym od razu, bo najlepiej będzie, jeśli postarasz się go unikać. Przynajmniej do czasu, gdy poczujesz się na tyle pewnie, aby stawić mu czoło.

Octavia umilkła i spojrzała w twarz Margery. Zauważyła zmieszanie i ślady łez na jej policzkach.

- Och, moje drogie, kochane dziecko! Jestem pewna, że doświadczyłaś w życiu cierpień ponad miarę. Porozmawiamy*

kiedy dojdiesz do siebie. Zastanowię się, co zrobić, żebyś zobaczył³ przyszłość w jaśniejszych barwach. Jesteś żoną Willa, czyli ^{moj} kolejną córką. Chodź ze mną. Chciałabym, żebyś poznała resztę rodziny. Pociągnęła Margery za rękę.

Dziewczyna wstała, ale nie zrobiła ani kroku do przodu, zaparła się nogami. Spojrzała w dół, na swoją sukienkę. Zastanawiała się, czy Octavia zdoła zrozumieć jej uczucia, czy domyśli się, że Margery ani myśli wyjść do tych wszystkich odświętnie wystrojonych ludzi, wyglądając tak, jak wygląda.

Octavia położyła jej dłoń na czole.

- Och, jaka ja jestem bezmyślna! Oczywiście nie masz ochoty na żadne spotkania, dopóki się nie odświeżysz. A poza tym jest już tak późno, że pewnie wszyscy dawno się położyli. Chodź, zaprowadzę cię do twojego pokoju.

Margery ruszyła za nią po schodach na piętro. Octavia poleciła pokojówce Doty, żeby przygotowała dla dziewczyny narożny pokój.

- Idź do pokoju Emily i postaraj się znaleźć jakąś nocną koszulę, która pasowałaby na Margery.

Doty pochyliła głowę i spieszenie poszła korytarzem, aż podskakiwał jej na głowie biały czepeczek.

- Przez kilka dni będziesz musiała korzystać z garderoby Emily. Obawiam się, że w czasie Bożego Narodzenia niewiele strojów zdołamy dla ciebie znaleźć. Ale zaraz po świętach weźmiemy się za kompletowanie twojej garderoby.

- William kupił mi w Nowym Orleanie angielskie ubrania.

- Jutro przejrzymy twój kufer.

Octavia poprowadziła ją korytarzem w przeciwną stronę niż ta, w którą odeszła Doty. Otworzyła drzwi i zaprosiła Margery do dużego narożnego pokoju o wielu oknach.

- Stąd jest wspaniały widok na okolicę. To jeden z moich ulubionych pokojów. Mam nadzieję, że tobie także się spodoba. Wejdz i posiedź przy mnie, dopóki Doty nie wróci. Chciałabym, żebyś mi o sobie opowiedziała. Wiem tylko tyle, ile powiedział "ill, czyli niemal nic.

Serce Margery zaczęło głośno walić. Czy matka Willa odrzuci ją, kiedy się wszystkiego dowie?

Octavia musiała dostrzec przerażenie w oczach dziewczyny.

- Nie proszę o to, żeby wprawić cię w zakłopotanie, ale żeby ci pomóc. Im więcej będę wiedziała o tobie, o twojej przeszłości, o twoich przejściach, o tym, co wiesz, a czego nie wiesz, tym lepiej zdołam cię nauczyć tego, co wiedzieć powinnaś. Twoja angielszczyzna jest całkiem niezła... zadziwiająco dobra, zważywszy na to, że wyrastałaś w dziczy.

Margery nie wiedziała, od czego zacząć, ale ponieważ było Boże Narodzenie, postanowiła rozpocząć od opowieści o ojcu Marcu. A kiedy już zaczęła mówić, rozmowa w naturalny sposób zesłała na jej doświadczenia życiowe. To było dla dziewczyny całkowicie nowe przeżycie. Dotty zdążyła przyjść i wyjść, zanim wreszcie opowieść Margery dobiegła końca. Obie, teściowa i synowa, były zapłakane.

Octavia podała jej swoją chusteczkę i kazała „wydmuchać nos”.

Margery posłusznie dmuchnęła, choć uważała tę czynność za dziwną i bezsensowną, czego jednak nie powiedziała teściowej.

Kiedy chciała zwrócić chusteczkę, Octavia dała jej gestem znak, że może ją zatrzymać.

- Moje dziecko, nie jestem w stanie cofnąć tego, co już w życiu wycierpiałaś, ale przysięgam, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żebyś już nigdy nie czuła się niechciana czy niekochana. - Zamilkła na chwilę i potrząsnęła głową. - Will ma szczęście, że go tu nie ma, bo dopadłabym go i spuściłabym mu takie lanie, jakiego nie dostał nawet w czasach, kiedy biegał w krótkich spodenkach. Wbrew temu, co mi powiedział, jestem przekonana, że dla ciebie byłoby o wiele lepiej, gdyby został przynajmniej przez pewien czas.

Octavia wstała, wygładziła suknię i spojrzała na zegar.

- O Boże, jak późno! Pewnie jesteś kompletnie wyczerpana. Za długo rozmawialiśmy. Wybacz mi.

_ Ma pani prawo znać moją historię.

_ Pytałam nie dlatego, że mam do tego prawo, ale z troski o ciebie. Idź już do łóżka i wyśpij się porządnie. Jutro znowu porozmawiamy.

- Jutro jest Boże Narodzenie.

_ Czy wiesz, czym jest Boże Narodzenie?

Margery kiwnęła głową.

- Jestem chrześcijanką. Ojciec Marc uczył mnie o Bożym Narodzeniu, a i Dan sporo mi o tym opowiadał na statku.

- Dan? Ach tak, lord Waverly. Przyjaźnił się z Willem od namłodszych lat. Zawsze bardzo lubiłam Daniela. To taki rozsądny chłopak. Jest miły, prawda?

- Jest moim przyjacielem. Bardzo mi pomógł. Będę za nim tęsknić.

- W takim razie zaprosimy go do nas z wizytą. - Z tymi słowami Octavia wyszła, zostawiając Margery samą, aby rozgościła się w narożnym pokoju, który w przyszłości miał należeć do niej.

Dziewczyna rozebrała się i wsunęła przez głowę białą, miękką nocną koszulę. Koszula pachniała prześlicznie, jak zresztą wszystko w tym domu.

Położyła się do łóżka i zgasiła światło. Leżąc w ciemnościach, analizowała wydarzenia tego niezwykle długiego dnia. Polubiła matkę Williama, ale od ojca postanowiła trzymać się z daleka. Reszty rodziny jeszcze nie poznała, musiała więc na razie „strzymać się z opinią. Teraz, kiedy podjęła już decyzję co do swojego stosunku do tych ludzi, pozwoliła sobie pomyśleć⁰ Williamie i jego zdradzie.

Pierwsze promienie słońca przedarły się już przez zasłony w oknach, kiedy Margery przymknęła wreszcie oczy i zasnęła.

Można kochać kogoś bez wzajemności, taki ból da się przeżyć. Ale kochać kogoś, kto zdradził... To jest niewybaczalne, to coś bardzo głębokiego i niewiarygodnie dojmującego, jak utrata obu rąk albo całkowita ślepotą. *

Rana zagoi się z czasem... ale człowiek do końca życia Pozostanie kaleką.

Zastanawiała się nawet przez chwilę, czy przeżyje to, że Win zawiódł jej zaufanie, ale w momencie, kiedy wydawało jej się, że tego nie zniesie, serce, które - jak sądziła - pękło, zaczęło znowu bić. Wsłuchiwała się w jego uderzenia, coraz mocniejsze coraz bardziej miarowe. Jeszcze niedawno każde drgnienie jej serca wołało jego imię; teraz został tylko zimny, twardy kamień.

Kamienie nie czują...

17

INie był takim zimnym sukinsynem bez serca, za jakiego się uważał.

Zimny sukinsyn bez serca odszedłby od niej i nie zawracałby nią sobie dalej głowy. A Will o niej myślał. Prawdę mówiąc, myślał o niej bez przerwy. O Margery. O żonie, którą porzucił.

Kiedy nie udało mu się pozbyć myśli, że opuszczając ją, popełnił błąd, rozumiał, że pomimo ciemnych barw, w jakich sam siebie odmalowywał, nie jest egoistycznym łajdakiem. Poczł zadowolenie, że sumienie, o którym myślał, że zniknęło już dawno temu, pozostało jednak nietknięte. Natomiast uwierało go podejrzenie, że zrobił coś, czego będzie bardzo żałował.

Guy, siedzący w powozie naprzeciwko, odchrząknął. Will spojrzł na niego.

- Dlaczego postanowiłeś ze mną jechać? - zapytał. - Tylko mi nie mów, że na skutek próśb mojej matki. Zawsze bez trudu udawało ci się wpływać na jej przekonania i skłaniać ją do zmiany opinii.

Guy wybuchnął śmiechem.

- Wybrałem się z tobą, bo przez całe życie czekałem na taką okazję. Choć raz w życiu chcę zrobić coś pod wpływem impulsu, coś, co niesie jakiegokolwiek ryzyko. Chcę pójść drogą, której nie

znam, otworzyć drzwi, których nigdy nie otwierałem. Che? wreszcie zobaczyć, co jest za tymi drzwiami.

- A co spodziewasz się za nimi znaleźć? Ciemność? Rozpacz?

- Nie wiem. Może różany ogród?

- Może tak, a może nie.

- Wiem, że pewnie nie jesteś w stanie zrozumieć takiej tęsknoty. Ty zawsze kierowałaś się instynktem, korzystałaś z oferowanych ci przez życie szans. I zjechałaś połowę świata. Nie chcę obudzić się pewnego dnia i stwierdzić, że jestem starym człowiekiem, któremu życie przeszło koło nosa.

William zrozumiał.

- W takim razie musimy zabrać twoje manatki. Gdzie teraz mieszkasz?

- Od dwóch lat, od kiedy moja siostra Elizabeth owdowiała, mieszkam z nią w jej londyńskim domu. Wstąpimy tam po drodze.

Will skinął głową i spojrział w okno, za którym pojawiły się już pierwsze szare cienie zmierzchu. Na horyzoncie widać było zarysy wież i dachów Londynu. Pewnie już niedługo będą w mieście.

Zamknął oczy i próbował się odprężyć, ale sen nie przychodził. Przyszły natomiast nieproszone myśli o Margery. O dzielnej i niewinnej Margery, pełnej radości życia dziewczynie, która obdarzyła go miłością. O kobiecie, którą opuścił.

Czy ona kiedykolwiek zrozumie? Czy znajdzie w swym sercu wybaczenie? Powinien był wszystko jej wytłumaczyć. Zasługiwała na to. Był jej to winien.

Niestety, przyszło mu to do głowy dopiero teraz. Było już za późno. I drugiej szansy nie będzie. Przeklinał w duchu samego siebie i zastanawiał się, jak Margery mogła to odebrać. Ale przede wszystkim skręcał się ze wstydu, że dopuścił, aby niszcząca rywalizacja z ojcem zmieniła go w człowieka obojętnego, niezważającego na uczucia innych.

Stukot kopyt końskich na miejskim bruku wyrwał go z zamyślenia. Otworzył oczy. Musieli już dość dawno wjechać do

Londynu, bo zobaczył przed sobą maszty zakotwiczonych w porcie statków. _ Żałujesz tego, co zrobiłeś? A może tego, co powiedziałeś? -

zapytał Guy.

_ Ani jedno, ani drugie. Żałuję tego, czego nie powiedziałem. Żałuję, że nie przeciąłem tego nabierającego wrzodu.

_ „Jeśli twoje oczy będą szeroko otwarte, staniesz się jako bogowie, poznasz dobro i zło” - zacytował Guy. - Skoro raz jadłeś z drzewa wiadomości, nie ma już dla ciebie odwrotu.

- To spóźniona refleksja. Może mi tylko uświadomić, gdzie byłem, ale nie może mi dać wskazówki, dokąd iść.

- Rozumiem, uginasz się pod brzemieniem decyzji. I szukasz przewodnika.

- Zawsze byłeś jasnowidzem. - Will uśmiechnął się smutno.

- To nietrudne. Robisz wrażenie tak zagubionego, jak stu-procentowy Anglik pozbawiony swego parasola. Chcesz o tym pogadać?

- Nie.

- Może i masz rację, że polegasz wyłącznie na własnym zdaniu. - Guy pokiwał głową. - Mówi się, że kto trzyma gębę na kłódkę, przeciwko temu nikt nie będzie świadczył.

Will nie odpowiedział. Uczucia, które go opanowały, były dla niego zbyt nowe, zbyt świeże i dojmujące, by chciał wydobyć je na światło dzienne i poddać racjonalnej analizie.

Guy oparł głowę o ściankę powozu, przymknął oczy.

- Jeśli będziesz kiedyś chciał porozmawiać... jestem przy tobie - powiedział i cicho westchnął.

- Wiem.

Guy otworzył jedno oko.

- Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, iż kłopoty nie znikną tylko dlatego, że będziesz próbował je ignorować. Problem, jak śmietana, zawsze wypływa na powierzchnię.

- Więc porozmawiamy, kiedy śmietana już wypłynie.

Guy roześmiał się i zamilkł.

Win stał przy burcie statku, patrząc na coraz bardziej oddalające się nabrzeże, dopóki Londyn nie stał się tak szary i odległy jak mgła. Ogarnęło go straszliwe przygnębienie. Wiedział, że przekroczył pewną granicę... że nie może już cofnąć tego, co rozpoczął.

Przekroczył ten niewidzialny próg i nie podjął żadnych działań - minęła chwila, kiedy mógł jeszcze zawrócić. Pozostało mu już tylko w uszach odległe echo kroków, przypominające o drodze, na którą nie wszedł, o drzwiach, których nie otworzył.

18

Kiedy Margery otworzyła rano oczy, pokój był zalany jakimś dziwnym, tajemniczym światłem. Wstała z łóżka i na bosaka, potykając się o poły nocnej koszuli, podeszła do okna i rozsunęła zasłony, żeby zobaczyć po raz pierwszy w świetle dziennym świat, w którym teraz przyjdzie jej żyć. Zaskoczyło ją, że wszystko dookoła jest takie ciche i białe.

Miękki śnieg okrywał grubą warstwą pola i sady i padał nadal, spokojnie i cicho spowijał białą dachy bocznych skrzydeł domu i pokrywał srebrzystym pyłem gałęzie kasztanowców. Pod drzewami dostrzegła ślady ptasich łapek, tworzące wzór, który przypominał jej starożytne malowidła w jednej z jaskiń w Yellowstone.

Gdziekolwiek spojrzeła, było białe i spokojnie. Świat zamarł w bezgranicznie cierpliwym oczekiwaniu na wiosnę. Jak moje życie, pomyślała. Ale czy kiedykolwiek przyjdzie taka chwila, kiedy lodowaty całun zacznie topnieć? Czy uda jej się doczekać Wiosny?

Po chwili do pokoju weszła najmłodsza siostra Willa, Emily, ^a za nią wsunęła się jej matka. Towarzyszył im zastęp służących, które dźwigały wannę i konwie z gorącą wodą, co natychmiast przypomniało Margery o torturach, jakie przeżyła w St. Louis.

- Zaczynamy dzień od kąpieli - oznajmiła Octavia. - Ja

muszę zejść na dół, żeby wydać ostatnie dyspozycje, ale Emily zostanie z tobą i postara się, żeby wszystko poszło gładko. Teściowa wyszła.

- A niech to wszyscy diabli! - zawołała Margery, nie odrywając oczu od wanny wypełnionej parującą wodą.

Emily spojrzała na nią z niedowierzaniem i wybuchnęła takim śmiechem, że aż przewróciła się na łóżko. W tym momencie Margery nabrała przekonania, że polubi tę siostrę Willa. Włosy Emily miały niemal ten sam kolor co warkocze Margery, ale były poskręcane w drobne loczki. Ruchy niewysokiej, pełnej wdzięku dziewczyny były równie szybkie i lekkie, jak delikatnej sarenki. Margery nigdy nie spotkała nikogo tak pogodnego i skorego do śmiechu. W oczach Emily błyszczała radość życia i coś jeszcze, co Margery uznała za skłonność do psot.

- Gdzie się nauczyłaś takich wyrażań? - wykrztusiła Emily, kiedy udało jej się na tyle opanować rozbawienie, że była w stanie mówić.

- Od Williama.

- Mogłam się domyślić - powiedziała Emily. - To było zawsze ulubione powiedzonko Willa. Ale uważaj, kiedy go używasz. - Dziewczyna spojrzała na wannę. - Jeśli się nie pospieszysz, to woda ci wystygnie.

Po chwili Margery siedziała w wannie, a po paru minutach było już po wszystkim. Teraz poszło o wiele łatwiej niż za pierwszym razem. Zaczęła protestować dopiero wtedy, kiedy Emily przekopała się przez jej kufer i naszykowała rzeczy, które Margery miała włożyć.

Jeszcze nigdy nie widziała, żeby ktokolwiek ubrał się w tyle rzeczy naraz. Nie była pewna, czy na jej ciele jest dość miejsca, żeby to wszystko pomieścić. I jakim cudem zdoła zapamiętać, co się na co wkłada i od czego należy zacząć?

- No, już. Ubieraj się! - zawołała Emily.

Margery przyglądała się garderobie niezwykle podejrzliwieTM. Miała przeczucie, że zaraz zostanie poddana jakiemś nowemu rodzajowi tortur.

1 okazało się, że instynkt jej nie omylił. To były rzeczywiście narzędzia tortur, szczególnie urządzenie zwane gorsetem, przyrząd do zadawania mąk piekielnych, wykonany z ości wieloryba. Kiedy została w to ubrana, nie była w stanie oddychać.

- O, do diab...!

Emily pozostała niewzruszona.

- Nikt nie jest w stanie w tym oddychać, ale gorsety są modne, więc musisz się z nimi oswoić.

- Dlaczego?

Emily wyglądała na kompletnie zaskoczona tym prostym i logicznym pytaniem.

- Boże! Nie wiem dlaczego. To po prostu coś, co robimy...

bez zastanowienia.

Zdaniem Margery, która uważała zawsze, że wszystkie ludzkie działania muszą mieć jakiś cel, ta odpowiedź była pozbawiona sensu. Rozpalamy ogień, żeby się ogrzać; jemy, żeby zaspokoić głód: szukamy schronienia, żeby nie zmoknąć na deszczu. Ale dlaczego mamy bez żadnej potrzeby nosić ubrania, które sprawiają nam cierpienie? Doprawdy, ci Anglicy są nader dziwni...

Kiedy Margery została wreszcie ubrana, a jej włosy upięte na czubku głowy, wszyscy orzekli, że dziewczyna, choć ma kłopoty z oddychaniem, jest jednak najpiękniejszą i najbardziej pełną gracji istotą, jaka kiedykolwiek pojawiła się w Midlands, a nawet w okolicy!

- Mama nie uwierzy własnym oczom! - zawołała Emily. Wzięła bratową za rękę i poprowadziła po schodach na dół.

^anim Emily i Margery stanęły u szczytu schodów, cała rodzina zgromadziła się już wokół choinki. Rozdawano dzieciom świąteczne skarbonki z pieniędzmi. Wśród ich radosnych okrzyków, Margery została przedstawiona pozostałym krewnym Willa. Tę nieznaną jej jeszcze część rodziny stanowiły trzy starsze siostry - Elizabeth, Caroline i Marianne - oraz ich mężowie: Wicehrabia, markiz i książę. Wszyscy oni nie mogli się nadziwić

urodzie Margery. Potem poznała ich dzieci oraz kilkoro kuzynów którzy przyjechali na święta z wizytą.

Margery rozejrzała się po pokoju i z ulgą stwierdziła nieobecność tego starego osła, Charlesa.

- Charles zje śniadanie z wujem. Biedny Rand cierpi na spowodowany pogodą dokuczliwy katar - oznajmiła wszem i wobec Octavia i rzuciła synowej znaczące spojrzenie, jakby czytała w jej myślach.

- To znaczy, że i John nie przyjdzie - mruknęła rozczarowana Emily.

Margery przypomniała sobie, że Will opowiadał jej kiedyś o swym kuzynie Johnie, który był lekarzem. Uznała, że Emily mówi właśnie o nim.

- Nie, John nie przyjdzie, ale Charles wróci na obiad - wyjaśniła Octavia.

Margery kompletnie nie zależało na tym, żeby teść wrócił do domu, ale kiwnęła głową. Zbliżyła się do choinki. Jeszcze nigdy w życiu nie widziała niczego równie pięknego. Caroline i Mariannę stanęły przy niej.

- Czy w Ameryce także są choinki? - zapytała Mariannę, pochylając się, żeby wyjąć kciuk z buzi swej dwuletniej córeczki.

- Nie wiem.

- To musi być bardzo przykre nie pamiętać takich rzeczy - uznała Caroline.

- Wcale nie musi być przykre - stwierdziła Mariannę. - Człowiek przecież nie może tęsknić za czymś, czego nie pamięta.

- To prawda? - zapytała Emily. - Naprawdę jeszcze nigdy nie widziałaś choinki?

- Nie pamiętam, żebym ją kiedykolwiek widziała - szepnęła Margery, nie odrywając oczu od drzewka.

- To całkiem możliwe, przecież i w Anglii choinki pojawiły się całkiem niedawno. Nie zapominajcie, że to przecież nasz książę Consort przywiózł tę tradycję z Niemiec - powiedziała Elizabeth, która nadeszła w tym momencie. Huśtała na biodrze pulchne roześmiane dziecko.

- To prawda, zapomniałam - mruknęła Caroline. - Wydaje mi się, że choinka na Boże Narodzenie to nasza narodowa odwieczna tradycja.

- Elizabeth wie najlepiej, bo jest z nas najstarsza i tylko ona może to pamiętać - oświadczyła Emily i wszystkie siostry wybuchnęły śmiechem.

- Nie jestem aż taka stara - obruszyła się Elizabeth i zwróciła się do Margery: - Musiałaś przeżyć bardzo ciężkie chwile.

- Tak, czasem było mi naprawdę bardzo trudno.

- Czy zawsze wierzyłaś, że kiedyś przyjdzie dzień, w którym zostaniesz uratowana? - zapytała Elizabeth, biorąc dziecko na ręce.

- Nie jestem pewna, czy naprawdę w to wierzyłam, czy tylko pragnęłam tego tak bardzo, że starałam się to w siebie wmówić. Wielokrotnie byłam o krok od utraty nadziei.

Caroline chciała coś powiedzieć, ale właśnie podeszła do nich Octavia.

- Już prawie dziesiąta.

- Czas przejść do jadalni na śniadanie - szepnęła Emily do Margery. - Ale minie jeszcze ładnych parę minut, zanim moje siostry zdołają wyzwolić się od dzieci i będą mogły zasiąść do stołu.

Margery rozejrzała się i stwierdziła, że przed siostrami stoi nie lada zadanie. Dwoje spośród czworga małych Chatsworthe'ów wisiało na Elizabeth, która rozpaczliwie starała się powstrzymać swoje pociechy przed dokuczaniem trzem małym zapłakanym córeczkom Landsdowne'ów, czepiających się spódnicy mamy, Karolinę. Mariannę de Burgh podała dziecko niani, a jej mąż, książę Chillinghurst, starał się rozdzielić swoich dwóch synów, którzy bili się o zabawkę z choinki. Dwóch najstarszych de "Urghów usiłowało przeszkadzać innym dwóm kuzynom, którzy w tym rozgardiaszu wycinali papierowe figurki. Wśród tego Pandemonium biegały w kółko pozostałe dzieci, machając przykazanymi do patyków kolorowymi wstążkami. Jakby mało było Podnoszonej przez dzieci wrzawy, w pobliżu ujadały trzy psy¹ głośno trzaskały polana na huczącym od ognia kominku.

Kiedy wreszcie dzieci zostały wyprowadzone z pokoju zapanował jaki taki porządek. Nawet ogień zaczął płonąć spokojniej, tylko od czas do czasu głośniejsze trzasnęło suche polano.

Trzy minuty po dziesiątej Emily i Margery wkroczyły do pokoju śniadaniowego, małego, typowo kobiecego pomieszczenia, którego ściany utrzymane były w pastelowych odcieniach zieleni i brzoskwiniowego różu i ozdobione białymi sztukateriami oraz złoceniami. Z miejsca, w którym siedziała, Margery widziała zarówno swe odbicie w wielkim, zawieszonym nad zastawionym stołem kryształowym lustrze, jak i krytą kopułą oranżerię, która łączyła się z pokojem śniadaniowym i wielką jadalnią. Gdyby ktoś ją zapytał, powiedziałaaby, że woli patrzeć na oranżerię z półnagim posągami, który górował nad fontanną, otoczoną przez gęstwinę egzotycznych roślin.

Pojawiły się potrawy i Margery musiała przyznać, że jej pierwszy posiłek z rodziną męża nie przebiegał tak gładko, jak by sobie życzyła. Przy wejściu do pokoju śniadaniowego Emily szepnęła jej na ucho, że „zimne zakąski stoją na bufecie”, cokolwiek to miało znaczyć.

Kiedy usadowili się przy stole, Octavia naląka kawę, a siedząca po jej prawej stronie Elizabeth gorącą czekoladę. Margery przyglądała się stołowi. Potrawy, które Emily określała słowami: chrupiące bułeczki, ciasteczka owsiane, ciasto i placuszki jęczmienne, były ułożone wokół różnych wymyślnych rodzajów chleba, przy czym jeden z nich był, ku ogromnemu zaskoczeniu Margery, zielony. Był też ogromny wybór masła, marmolad, miódów i konfitur.

Obok jej nakrycia stał srebrny kieliszek na jajko i mała łyżeczka. Kiedy dziewczyna zastanawiała się, co ma z nimi zrobić, podszedł do niej lokaj i zapytał, co chciałaby zjeść na śniadanie.

- Zjem, co pan tylko ma - odpowiedziała, nie wiedząc, co jest do wyboru.

Margery nie miała zielonego pojęcia, co zamówić, za to nie

miała wątpliwości, że zrobiła coś nie tak, bo Emily prawie się skręcała, próbując opanować wybuch śmiechu.

Emily krztusiła się ze śmiechu, podczas gdy kuchmistrz nakładał na talerze „co pan tylko ma” i wręczał je lokajowi, który stawiał przed Margery kolejne talerze. Ta patrzyła ze zgrozą na pojawiające się przed nią raz za razem talerze pełne rozmaitych potraw. Emily podawała nazwy niektórych: sznycel, kotlet mielony, bekon, kiełbaski, świeże owoce, duszone grzyby, wędzony śledź, kurczaki, potrawka z królika, pieczone kuropatwy, gołąb, bekas, przepiórki, pulpety, pasztet z dziczyzny, grzanka ze szpikiem, curry z baraniny i nóżki wołowe w sosie pomidorowym.

Margery, która nigdy w życiu nie uczestniczyła w podobnym przyjęciu, bezradnie patrzyła na piętrzące się przed nią jedzenie, a potem przeniosła równie bezradne spojrzenie na cały zestaw szklanek, talerzyków i sztućców. Nigdy w życiu nie dano jej tak bogatego wyboru. Skąd miała wiedzieć, co z tym fantem zrobić? Przypomniała sobie radę Daniela: „Nie spiesz się. Przyjrzyj się, co robią inni, i idź za ich przykładem”. Spróbowała zastosować się do tej rady. Efekt był żałosny. Nie spieszyła się. Obserwowała uważnie, jak Octavia trzyma w rękach nóż i widelec i w jaki sposób kroi leżącą przed nią na talerzu grubą okrągłą kiełbaskę. Ale kiedy Margery spróbowała zrobić to samo, kiełbaska wyskoczyła z jej talerza i rozrzuciła grzyby z półmiska po całym obrusie, przy czym jeden spadł na podłogę, a drugi wylądował na talerzyku z pieczywem wicehrabiego Downleya. Po czym złośliwa kiełbaska jakby dostała skrzydeł, przeleciała nad stołem i uderzyła w kieliszek z jajkiem, •łajko odbiło się raz od stołu i wskoczyło do filiżanki z gorącą czekoladą Emily. Natomiast kiełbaska przeleciała po talerzu •narkiza Handleya, co zrobiło na nim takie wrażenie, że binokle opadły mu do zapiekanki. Kiedy markiz grzebał w zapiekance, Zeby wyłowić binokle, niezmordowana kiełbaska przewróciła Pojemniczek z solą, wysypując zawartość na kolana Caroline Landsdowne, i wreszcie znieruchomiała.

- A niech to wszyscy diabli! - powiedziała Margery.

Nikt nie roześmiał się otwarcie, ale wszyscy raptownie sięgnęli po serwetki, jakby naraz zaczęli się dławić. Pierwszy zdołał zapanować nad sobą książkę Chillinghurst.

- Myślę, że jest to jakiś sposób na opróżnienie talerza.

Kredensowy i lokaj rzucili się, żeby doprowadzić stół do porządku, a Octavia zmieniła temat, starając się odwrócić uwagę biesiadników od tego, co się stało.

- Powiedz mi, Margery, jakie potrawy jadal Indianie, wśród których mieszkałaś? - zapytała.

- Bizony.

- Bizony? - powtórzyła Octavia.

- Widziałem te bizony na obrazku - oświadczył Simon, markiz Handley - To wielkie zwierzęta z rogami i garbem na karku.

- Ja też je widziałam - wtrąciła Mariannę. - Na szkicach Willa.

- Nic innego nie jedliście? - pytała dalej Octavia. - Wyłącznie bizony?

Margery kiwnęła głową.

- Czasami trafił się królik, ale bizony są głównym pożywieniem Crowów.

- I nie nudziło ci się tak ciągle jeść to samo? - zainteresowała się Elizabeth.

- Są różne części bizona i mnóstwo sposobów ich przyrządzenia.

- Jakie są najlepsze części bizona? - dopytywała się Emily.

- Najwyżej cenione są: język, mózg, surowa wątroba, nerki i deser przygotowywany z jagód zmieszanych z krwią.

Trzy osoby pospiesznie wstały od stołu.

19

Charles zaskoczył wszystkich, przywożąc ze sobą na obiad swego bratanka, Johna.

Margery wraz z resztą rodziny siedziała w gotyckiej bibliotece. Był to wielki pokój z obiegającą go na wysokości pierwszego piętra galerią, na której rozstawiono stoliki i krzesła. Trzech zięciów - Simon, Hugh i Robert - siedziało przy jednym ze stolików i grało w karty, rozmawiając półgłosem. Na dole ulokowały się kobiety: Margery z Octavią i jej córkami. U ich stóp bawiły się najmłodsze dzieci.

Wszyscy podnieśli wzrok, kiedy do sali wszedł Charles z Johnem. Kiedy Charles spostrzegł Margery, skierował się wprost na galerię, żeby porozmawiać z zięciami, ale John zamienił tylko kilka słów z mężczyznami i zszedł na dół, żeby powitać panie. Ucałował wszystkie po kolei, po czym spojrzał na Margery.

- A więc to ty jesteś żoną Williama?

Margery zeszywniała. Zastanawiała się, czy Charlesowi udało się nastawić go przeciwko niej, zanim jeszcze mieli okazję się spotkać.

- Tak, ja...

- Jakież to zaniedbanie z mojej strony! - zawołała Octavia. - John, pozwól, to twoja nowa kuzynka, Margery.

- Zawsze twierdziłem, że William ma piekielne szczęście.

Któż inny mógłby, podróżując po dzikich krajach, wrócić do domu z tak piękną kobietą. - Pochylił się nisko nad dłonią Margery. - Już jestem oczarowany.

- Chciałeś chyba powiedzieć: zawojowany - wtrąciła się Emily. - Nigdy jeszcze nie słyszałam, żebyś był równie szarmancki, Johnie.

- Zdaje się, że John rozminął się z powołaniem - oznajmiła Caroline. - Jest chirurgiem, a powinien zostać poetą.

- Boże uchronaj! - zawołała Elizabeth. - Jeden nawiedzony artysta w rodzinie to najzupełniej wystarczy. - Mrugnęła do Margery. - Ty chyba nie jesteś artystką, prawda?

- Nie umiałabym nawet narysować prostej linii. - Margery roześmiała się.

Mariannę pochyliła się i pogłaskała ją po dłoni.

- W takim razie pasujesz doskonale do kobiet z naszej rodziny. Nie- ma wśród nas specjalnych talentów artystycznych.

- I tak właśnie powinno być - oświadczyła Octavia. - Mamy powyżej uszu humorzastych, nadwrażliwych mężczyzn, którzy wolą się dąsać, niż zjeść porządny posiłek.

- Ojej! - zawołał John i złapał się za koszulę na wysokości serca.

Wszyscy się roześmiali. Margery polubiła go natychmiast.

Reszta dnia upłynęła bardzo przyjemnie. Dzieci zostały odesłane z niańkami na górę i Hugh zawiadomił, że wczorajszy śnieg już niemal całkiem stopniał. Tylko tego potrzebowali mężczyźni, żeby natychmiast przejść do zbrojowni. Wrócili stamtąd, dźwigając taką ilość broni, że nie byliby chyba w stanie z niej wypalić. Wyszli na dwór, żeby postrzelać do rzutków.

Obiad był bardzo swobodny i spożywany wyłącznie w kobiecym gronie, jako że panowie nadal przebywali na dworze¹. Późnym popołudniem starsze dzieci zajmowały się różnymi grami, a kobiety odpoczywały w bawialni, zajmując się pogadusz-kami i szyciem.

Kiedy panowie wrócili do domu, wszystkie panie były już w swoich pokojach i przebierały się do kolacji.

Wystrojona Emily zapukała do drzwi Margery i zawołała, że czas zejść na kolację. Margery denerwowała się przed kolejnym spotkaniem z Charlesem, ale Emily paplała wesoło i zdawała się w ogóle tego nie zauważać.

Margery starała się włączyć do rozmowy z nią, ale upadła na duchu, jak opada na dno rzeki dziurawe kanoe, kiedy dostrzegła, że przyszły do jadalni ostatnie. Wszyscy już siedzieli, łącznie z Charlesem, który zajął swoje miejsce u szczytu stołu.

Octavia utkwiała wzrok w mężu, który bez słowa wpatrywał się we wchodzące do pokoju dziewczęta. Emily wskazała Margery przeznaczone dla niej miejsce i sama usiadła obok.

W tym momencie Charles zagrzmiał tak donośnym głosem, że szmer rozmów przy stole urwał się, jakby nożem uciął.

~ To spotkanie rodzinne. Co robi tutaj ona?

Octavia zdawała sobie sprawę, że Margery musi czuć utkwione w sobie spojrzenia całej rodziny. Nawet ze swego odległego miejsca dostrzegła, że oddech synowej staje się urywany i pewnie zrobiło jej się gorąco z zażenowania, bo krwisty rumieniec oblał jej policzki. Niewątpliwie dziewczyna nie miała pojęcia, jak zareagować. Zdaniem Octavii, Margery miała w zaistniałej sytuacji trzy możliwości: mogła powiedzieć coś w swojej obronie, przeprosić albo wstać i wyjść. Octavia postanowiła wziąć sprawę w swoje ręce.

- O kim mówisz, kochanie?

- Doskonale wiesz, o kim mówię. O tej dzikiej Indiance...

Powinna jeść ze służbą albo sama w kuchni.

Octavia przyjrzała się zgromadzonym przy stole.

- Nie widzę tu żadnej dzikiej Indianki. Są tylko członkowie najbliższej rodziny.

- Nie próbuj mnie zagadywać, Octavio. Muszę ścierpieć jej obecność w Emberly Hall, ale nie mam zamiaru znosić jej obecności przy tym samym stole. Nie życzę sobie, aby jadała

z nami. Nie chcę mieć jej przed oczami, kiedy podnoszę jedzenie do ust.

Spojrzała na synową, która najwyraźniej rozumiała każde słowo i miała pełną świadomość, że nie jest mile widzianym gościem. Jeśli Octavii nie uda się utrzymać mężowi nosa, dziewczyna niewątpliwie nie będzie chciała stać się przyczyną rodzinnych niesnasek. Podejrzewała, że synowa postanowi pójść po najmniejszej linii oporu, zastosuje się do polecenia teścia i zejdzie mu z oczu. Octavia nie odezwała się, kiedy Margery odsunęła krzesło i wstała. Milczała także i wtedy, kiedy dziewczyna zmierzała w stronę drzwi, zbyt zawstydzona i upokorzona, by podnieść na kogokolwiek oczy.

Dopiero kiedy Margery sięgała już do klamki, zdecydowała się okazać synowej poparcie. Wstała. Krzesło miękko przesunęło się po rozłożonym na podłodze tureckim dywanie.

- No cóż, Charles, twojemu życzeniu stanie się zadość. - Odłożyła serwetkę na krzesło, wzięła swój talerz zupy i ruszyła ku drzwiom.

- Octavio!

Zatrzymała się dopiero wtedy, kiedy stanęła u boku Margery. Odwróciła się i spojrzała na męża.

- Tak, kochanie?

- Dokąd idziesz?

- Zjeść obiad w kuchni z Margery, żebyś nie musiał patrzeć na nią przy każdym kąsie brany do ust.

Charles zaczął coś mówić, ale jego głos utonął w szmerze przesuwanych po dywanie krzesel. Octavia dostrzegła kątem oka, że wszystkie cztery jej córki także wstały od stołu. Wzorem matki wzięły swoje talerze i opuściły pokój, zostawiając przy stole swych równie osłupiałych jak Charles mężów.

Octavia tylko raz obejrzała się za siebie i dostrzegła, że Margery zrównała się z Emily, która szła na końcu.

- Powinnaś była zabrać swoją zupę - powiedziała Emily' zerkając na puste ręce bratowej.

- Dlaczego?

, Mama twierdzi, że bunt zawsze robi większe wrażenie, jeśli używa się rekwizytów.

Kiedy usadowiły się już wygodnie przy kuchennym stole, fjaroline zapytała matkę, co ma zamiar zrobić, żeby zmienić siosunek ojca do Margery.

Octavia popatrzyła na córkę i uznała, że czas wprowadzić córki w plan, który obmyśliła.

- Mam zamiar pokazać mu, jak bardzo się myli.

- A w jaki sposób chcesz tego dokonać? - Ręka Elizabeth zatrzymała się w połowie drogi do ust.

- Udowodnię mu, że Margery może być damą w każdym calu... jak najbardziej wyrafinowana, szlachetnie urodzona rodowita Angielka.

- Naprawdę chcesz podjąć takie wyzwanie? - Mariannę sapnęła.

- Oczywiście, głuptasku. A dlaczego nie miałabym tego zrobić?

- Mamo, nie możesz tego zrobić Margery.

- Czego?

- Nie możesz zrobić z niej tego, kim nie jest - stwierdziła

Mariannę.

- A skąd mamy wiedzieć, kim jest, jeśli nie spróbujemy tego sprawdzić?

- Co chcesz z nią zrobić? - zainteresowała się Caroline.

- Zrobię z niej damę, a potem zabierzemy ją do Londynu i wprowadzimy na salony podczas nadchodzącego sezonu.

Caroline o mało nie upuściła szklanki.

- To by było okrutne.

- Wiesz, Caroline, nie pojmuję twojego toku rozumowania.

Co w tym okrutnego?

- Upokarzanie jej wobec śmietanki towarzyskiej.

- Pokazanie towarzystwu, jaką Margery jest damą, nie będzie upokarzające.

- Czy masz świadomość, ilu rzeczy musisz ją nauczyć, zanim będzie ją można wprowadzić do towarzystwa? - zapytała Eli-

zabeth, która zawsze uchodziła za osobę niezwykle praktyczną .. Będziesz musiała nauczyć ją jeździć konno, tańczyć, prowadzić konwersację, chodzić, dyskutować na aktualne tematy, kłaniać się, odpowiednio tytułować ludzi... to niemożliwe.

- Nie ma rzeczy niemożliwych - oznajmiła Octavia takim tonem, jakim, jej zdaniem, musiał przemawiać Bóg do Mojżesza dając mu tablice z Dziesięciorgiem Przykazań.

- Nie mogę w to uwierzyć! - Mariannę odchyliła się na krzesło i wybuchnęła śmiechem.

- Uwierz. - Głos Octavii był niezwykle stanowczy.

- A co będzie, jeśli ci się nie uda, mamó? Co będzie, jeśli nie zdołasz jej wystarczająco przygotować i Margery popełni jakąś okropną gafę, która wprawi ją w zażenowanie... która nas wszystkie wprawi w zażenowanie? - zapytała Mariannę.

- Ty i Hugh będziecie mogli się nas wyprzeć! - zawołała rozbawiona Emily.

- Emily, to nie pora na impertynencje! - Octavia ucięła wiszącą w powietrzu sprzeczkę.

- Słabo mi - jęknęła Mariannę i dotknęła ręką czoła.

- Emily, podaj siostrze szklaneczkę brandy ojca.

Emily zerwała się na równe nogi.

- Nie potrzebuję żadnej brandy! - zawołała Mariannę.

Emily usiadła.

- Może uda ci się przygotować Margery na tyle, żeby wypróbować jej umiejętności podczas polowania u wuja Randa w lutym - podsunęła pomysł Caroline.

- W lutym! - krzyknęła rozzwierając Mariannę i chwyciła się za głowę. - Gdzie jest ta brandy?

Emily w jednej chwili znów była na nogach.

- Zaraz przyniosę. Doskonale wiem, gdzie ojciec ją trzyma-

- Tak? A skąd ty to tak świetnie wiesz? - Octavia uniosła brwi-

- Podglądałam go - mruknęła Emily, wpatrując się w czubki swoich butów.

- Emily Justine! Jeśli nie chcesz zostać wykluczona z grona swoich siostr, musisz się nauczyć być ostrożna. Nigdy, przenigdy

• wolno ci podglądać... chyba że najpierw dobrze się rozejrzysz. \o a teraz idź podwędzić ojcu brandy.

Emily uśmiechnęła się do matki olśniewająco i wybiegła z pokoju. Octavia zerknęła na Margery, która siedziała w milczeniu z potwornie przerażoną miną. Pogładziła rękę synowej.

_ Moje drogie dziecko. Nie ma powodu do paniki. Wierzę <n ciebie i nie mam najmniejszych wątpliwości, że z moją pomocą zabłyśniesz w towarzystwie.

Pomimo optymistycznych słów teściowej, która chciała dodać jej otuchy, Margery nie wierzyła w ani jedno jej słowo.

W połowie rejsu Will nie miał już najmniejszych wątpliwości, że pozostawienie Margery w Anglii i samotny powrót do Ameryki były cholernym błędem. Stwierdził również, że jego rozumowanie było głupie. Czas nie zmienił jego uczuć.

Z każdym dniem coraz pełniej uświadamiał sobie, czego się wyrzekł. Jakie dziwne bywa niekiedy życie. Oto on, który był przekonany, że zrobił coś, co zatruje życie ojcu, zatruł je sam sobie. Starał się zranić ojca, a zranił siebie.

Był oszołomiony i zaszokowany tym odkryciem. Tęsknił za nią. Za tą dziką dziewczyną zachowującą się w nieokrzesany sposób. Za tą niecywilizowaną istotą, która więcej nauczyła go o człowieczeństwie, niż mógłby się dowiedzieć z miliona manifestów.

Nawet w tej chwili nie mógł wyjść z podziwu, jak bardzo zaczęło mu na niej zależeć, jak bardzo podziwiał jej zrozumienie i mądrość. Ciągle miał przed oczami ciche, spokojne ruchy i nieśmiałą postawę Margery. Czuł, że miał rację, nie chcąc podzielić się z Guyem swymi uczuciami, bo ciągle jeszcze były one zbyt nowe, zbyt delikatne, zbyt oszałamiające, by ujawnić je komukolwiek obcemu.

Dobrowolna banicja zrodziła w Willu wszechogarniająca, tęsknotę za tym, by być z żoną. To niemożliwe do spełnienia pragnienie zrodziło zaś karę: poczucie całkowitego osamotnienia-

Im bardziej pragnął Margery, tym kara była dla niego cięższa. ■ lico jedno podnosiło go na duchu, a mianowicie świadomość go, jakim człowiekiem jest jego matka. Wiedział, że Margery nie będzie maltretowana. Wiedział też, że Octavia przygarnie to pisklę do swego gniazda tak, jakby było jej własnym. Margery to wyzwanie, któremu potężny instynkt macierzyński Octavii nie zdoła się oprzeć. Wkrótce jego żona będzie się pławić w macierzyńskiej trosce, ile dusza zapragnie.

Ale to bynajmniej nie oznaczało, że pojmie, dlaczego Will od niej odszedł, że zrozumie, iż nie powinna z tego powodu cierpieć. Nie zmniejszyło to także jego bólu. Jak na ironię zaczął się cieszyć z własnego cierpienia, czekał na nie, bo właśnie z tej męki czerpał siłę, pozwalającą mu ją znieść. Odnosił wrażenie, że to natężenie bólu przekracza wszystko, co człowiek jest w stanie przeżyć.

Guy nie czuł się najlepiej, więc podczas całej podróży prawie nie opuszczał swojej kabiny. Trapiła go gorączka i całkowicie stracił apetyt. Z każdym dniem stawał się chudszy, bledszy i słabszy. Wychodził na pokład tylko przy pięknej pogodzie, kiedy mógł pławić się w ciepłych promieniach słońca.

Tego dnia Will znalazł go w takim ciepłym, zacisznym miejscu.

Guy wyciągnął się obok szalupy ratunkowej, oparł głowę na woju lin i wygrzewał wątłe ciało w słońcu.

Usłyszał kroki nadchodzącego Willa, otworzył oczy i zerknął na niego z ukosa.

- Zawsze wiedziałeś... - przerwał na chwilę, bo złapał go atak kaszlu - ...gdzie mnie znaleźć.

Will zmarszczył czoło. Pomimo wysiłków Guy nie zdołał przed nim ukryć śladów krwi na chusteczce, którą zasłaniał usta.

- To żadna sztuka - odpowiedział w końcu Will. - Wystarczy Posłuchać, skąd dochodzi kaszel i ciężki oddech. Wydaje mi się, że jest coraz gorzej. Kiedy dotrzemy do Bostonu, muszę ci znaleźć lekarza.

- Nie rozmawiajmy o moich dolegliwościach. Powiedz, dla-

czego przyszedłeś. Żeby zabić czas pogawędką czy też może wreszcie śmietana wypłynęła na wierzch?

- Masz rację, wypłynęła. - Will uśmiechnął się szeroko.
- Panie, miej nas w swojej opiece.
- Chcesz posłuchać czy nie? - Will nie był w nastroju do żartów.

- Owszem i to pomimo twojego ponurego głosu.
- No więc, jak już mówiłem, zastanawiałem się...
- Nigdy nie byłeś mistrzem w przechodzeniu do sedna. Od kiedy wyruszyliśmy w tę podróż, byłeś pogrążony w myślach. Powiedz, o czym tak rozmyślałeś? O żonie?

- Chyba nie muszę nic mówić. - Will potrząsnął głową. - Mam przecucie, że znasz nawet odpowiedź na moje problemy.

- Może i znam, ale chcę to usłyszeć od ciebie. Spowiedź dobrze robi na zboląłą duszę i nie tylko.

- Mam poczucie winy... uginam się pod jej ciężarem. Czy to cię dziwi?

- Nie i, co ważniejsze, sądzę, że i ciebie to nie dziwi. Mam rację? Will kiwnął głową.

- Wiedziałem, że będę czuł się winny. Nawet tego dnia... jeszcze zanim dojechaliśmy do Londynu, już poczułem pierwsze ukłucie wyrzutów sumienia, taki niepokój jak w chwili zbliżania się choroby.

To była prawda, bo od tego dnia w Londynie, kiedy po raz pierwszy zaczął żałować tego, co zrobił, jego myśli były nieustannie przy Margery. Wyłącznie przy niej. Tęsknota za nią spalała go jak ognie piekielne, a on z radością przyjmował tę tęsknotę-To była jego kara, jaką musiał ponieść za zło, które jej wyrządził-Znajdował jakieś dziwne ukojenie w świadomości, że wina musi zostać ukarana. Czerpał z tego satysfakcję.

Pomimo choroby morskiej najbardziej doskwierała mu zupełnie inna dolegliwość: ból serca.

—Zależy ci na niej - stwierdził Guy, jakby Will wypowiedział na głos swoje myśli.

- Tak.

, Czy to miłość?

_ Lubię myśleć, że tak, ale nie jestem do końca pewien, sjiżywam to w myślach miłością, ale wtedy jakiś głos z głębi serca stawia mi pytanie, czy to naprawdę miłość... czy też wyrzuty sumienia.

_ Czasem łatwiej zrozumieć cudze uczucia niż własne.

_ Nie zdawałem sobie sprawy, że to może zabrać tyle czasu, pierwszym uczuciem był żal. Żałowałem nie tyle tego, co zrobiłem, ile sposobu, w jaki to zrobiłem. Stopniowo zacząłem zdawać sobie sprawę, że mój żal i wyrzuty sumienia przekształciły się w poczucie winy. Kiedy o niej pomyślałem... o tym, co było między nami, czułem się... sam nie wiem, jak to nazwać. Zażenowany, to dobre słowo na początek.

- Nie wiesz więc, czy twoje uczucie to miłość, czy też litość?

Will spojrział Guyowi prosto w oczy.

- Jeśli to litość, nie mogę wrócić.

- A jeśli to miłość? Co wtedy?

- Jeżeli wrócę, to właśnie z tego, a nie z żadnego innego powodu. Jeśli wrócę, to dlatego, że będę wiedział bez najmniejszej wątpliwości, że ją kocham, że kocham ją od dawna.

- Ale jeszcze nie masz tej pewności?

- Nie. - Will milczał przez chwilę. Po namyśle zapytał: - Powiedz mi, Guy, skąd mam wiedzieć, jaki jest powód drążącej mnie tęsknoty? Czy to miłość? A może poczucie winy?

- Tylko ty sam możesz odpowiedzieć na to pytanie.

Will zerwał się na równe nogi, odwrócił się plecami i włożył ręce do kieszeni. Mógł ukryć przed przyjacielem wyraz twarzy, ale nie był w stanie ukryć frustracji w głosie.

* Nie mogę! Gdyby to było możliwe, to chyba doszedłbym J^{uz} do jakichś wniosków, nie sądzisz? Mówię ci, że to niemożliwe. Nie mam pewności. Czy kiedykolwiek będę miał?

- Po prostu pewnego dnia będziesz wiedział. Kiedy przyjdzie czas. Nie wcześniej.

- Czas! Zawsze czas. - Will zdawał się wypluwać słowa. -

"Vc może właśnie czas jest tym, czego już nie mam.

V-Jkazało się jednak, że czasu Will miał aż w nadmiarze, bo zanim dotarli do Bostonu, Guy poważnie się rozchorował. Kiedy tylko Will ulokował go w hotelu, natychmiast wyruszy} na poszukiwanie lekarza.

Po badaniu Will był wstrząśnięty diagnozą.

- Gruźlica? Jest pan pewien?

- Ja jestem, a jeśli pan ma wątpliwości, proponuję, aby zasięgnął pan opinii innych lekarzy. W Bostonie, na szczęście, praktykuje kilku doktorów.

Will przyprowadził do Guya jeszcze trzech, ich diagnoza była identyczna: gruźlica.

Co gorsza, niewiele mogli poradzić. Zalecali jedynie dobre odżywianie, aby chory odzyskał siły i przestał tracić na wadze.

W pierwszej chwili Will odsunął od siebie myśli o Margery, bo najważniejsza była troska o stan zdrowia Guya, ale kiedy tylko ten stał się nieco silniejszy, myśli Willa zaczęły ponownie obsesyjnie wracać ku żonie. Bardzo szybko doszedł do wniosku, że to, co powiedział przyjaciel, było prawdą. Odkrył, że poczucie winy wynikało z jego uczucia do dziewczyny, a nie odwrotnie.

Nie miał tylko pewności, jakie właściwie są te jego uczucia do żony. Jednego był pewien: musi wrócić do Anglii i spotkać się z Margery, żeby się o tym przekonać. Nie powinien być jej zostawiać. Wróci, kiedy tylko pozwoli na to zdrowie Guya.

Natychmiast po podjęciu tej decyzji postanowił powiadomić o niej przyjaciela. Biegł przez całą drogę do hotelu.

Kiedy wszedł na trzecie piętro, jego entuzjazm wyparował. Nawet z drugiego końca długiego korytarza widział, że drzwi są uchylone. Był w połowie drogi, gdy dobiegł go głęboki baryton doktora Rutherforda C. Bernarda.

- Mówiłem, że pana stan jest na tyle dobry, aby mógł pan wieść normalne życie. Ale nie mówiłem, że może pan wskoczy⁰ na pokład pierwszego statku, jaki się panu nawinie. Moim zdaniem, to nienormalne, że człowiek, który niemal przyplą^{clm} życiem pierwszy rejs statkiem, koniecznie chce znów wejść na

noldad. Wilgotne morskie powietrze nie jest dobre dla pana płuc. Teśli pan to zrobi, popełni pan samobójstwo. Czy tego właśnie pan chce? _ Przecież nie mogę zostać w Bostonie na zawsze.

- I wcale tego panu nie zalecam. Boston jest drugim po Nowym Jorku ogniskiem gruźlicy w Stanach Zjednoczonych. Nie mamy pewności dlaczego, ale podejrzewamy, że to skutek klimatu. Niech pan jedzie na Zachód, jak pan planował. Tam jest sucho. Wilgotne powietrze na wybrzeżu jest dla pana niemal równie niebezpieczne, jak przemierzanie Atlantyku statkiem. Podróż na Zachód pomogła już ludziom w pana sytuacji. Wielu z nich po przyjeździe postanowiło się tam osiedlić.

Will stał przez chwilę pod drzwiami. Wydawało mu się, że jego życie to długa lina. Na jednym jej końcu była wspólna przyszłość z Margery. Na drugim przerażenie, że nigdy nie uda mu się tego osiągnąć. On sam znalazł się teraz pośrodku.

Wszedł do pokoju niezdecydowany jeszcze, w którą stronę pójdzie. Przywitał się z Guyem i zaczął rozmawiać z lekarzem, jakby nie słyszał ani słowa z ich rozmowy. Po wyjściu doktora usiadł przy łóżku przyjaciela, tak jak ten siadywał wielokrotnie przy jego łóżku, kiedy Will był jeszcze chłopcem.

- No i co nasz pocziwy doktor miał do powiedzenia?

- Powiedział, że jeśli tak dalej pójdzie, to za tydzień będę miał dość sił, żeby odbyć rejs dookoła świata. Myślę, że będziemy mogli dostarczyć cię do Anglii przed końcem lata.

Will nie przeoczył mimowolnej gry słów. „Dostarczyć cię”... Tak, Will może wrócić, ale Guy doskonale zdawał sobie sprawę, ^ on już Anglii nie zobaczy.

Will niczego bardziej nie pragnął, niż wsiąść na pierwszy ^statek płynący do Anglii. Tyle miał do zrobienia; wyrządził tak ^{wie}le zła, które powinno zostać naprawione. Zdawał sobie ^sprawę, że przyjdzie mu za to zapłacić wysoką cenę. Ale nie Przypuszczał, że tą ceną może być życie przyjaciela. Przez

chwile czuł się rozdarty między dwoma światami: między mrokiem i jasnością; między niebem a ziemią; między kobietą a przyjacielem.

W końcu uznał, że nie ma wyboru. Rozwiązanie było tak czyste jak sumienie Margery. Przecież od chwili, kiedy usłyszał słowa doktora Bernarda, doskonale wiedział, co musi zrobić. Życie jest o wiele cenniejsze niż szczęście, bardziej święte niż miłość.

- Słyszałeś, co powiedziałem? - odezwał się Guy.
- Słyszałem.

- Nie robisz wrażenia szczególnie podnieconego perspektywą powrotu do domu.

Will wzruszył ramionami.

- Dopiero co tu przyjechałem. Dlaczego miałbym być podniecony perspektywą powrotu do domu?

- A twoja żona? Czyżby twoje uczucia dla niej się zmieniły?
- Niezależnie od tego, jakie są te moje uczucia, Margery będzie tam, kiedy wrócę.
- Co chcesz przez to powiedzieć? Że nie masz ochoty wracać?
- Nie, nie mam tylko ochoty wracać tam teraz.
- Nie rozumiem.
- Myślę, że muszę być absolutnie pewien swojej decyzji, zanim wrócę, w przeciwnym bowiem razie mogę narobić jeszcze większego bałaganu niż dotychczas. Nadal chciałbym zrealizować nasze dotychczasowe plany.

- Co proponujesz? Dalszy pobyt w Bostonie? Otwarcie sklepu z artykułami żelaznymi?

Will roześmiał się na tę propozycję.

- Możesz sobie sam otworzyć sklep z artykułami żelaznymi, ja wyruszam do St. Louis. Chcę znów malować. Chcę jeszcze raz pojechać na Zachód i przekonać się, czy moja przyszłość jest tam, czy też w Anglii, przy żonie.

- Jesteś pewien, że tego właśnie chcesz? - Spojrzenie Guya było śmiertelnie poważne.

- Jeszcze niczego w życiu nie byłem równie pewien.

_ Jesteś przekonany, że nic nie wpłynęło na twoją decyzję? _
Nic nie miało na mnie wpływu. Nic poza niepewnością co do moich uczuć.

- Czy jeśli zmienisz zdanie... powiesz mi o tym?
- Powiem.
- Słowo honoru?
- Słowo honoru - odpowiedział Will.

INastępnego popołudnia Octavia siedziała w bawialni z Margery i zastanawiała się, jaki obrać tryb postępowania. Wiele rzeczy musiała powiedzieć synowej, ale doświadczenia życiowe Margery nie ułatwiały jej zadania. Westchnęła i spojrzała na śliczną żonę Williama, a jej serce wezbrało współczuciem na myśl o tym, co ta dziewczyna musiała znieść, co jeszcze nadal musi znieść.

Octavia modliła się o mądrość. Jak sprawić, aby dziewczyna zrozumiała Williama, jej ukochane dziecko, które tylko ona jedna była w stanie zrozumieć? Już miała zacząć mówić, mając nadzieję, modląc się, aby spłynęły jej na usta stosowne słowa, kiedy zdała sobie sprawę, że ta młoda kobieta wcale nie musi rozumieć postępowania Williama.

Margery o wiele bardziej potrzebowała rodziny niż męża. Brakowało jej raczej miłości i poczucia bezpieczeństwa niż zrozumienia. Potrzebowała czasu, by pojąć otaczający ją świat. Potrzebowała czasu, by odkryć, kim jest. Powinna być rozpieszczana i przyzwyczajana do życia w luksusie. Powinna uwierzyć, że jest śliczna i wyjątkowa.

Octavia przypomniała sobie, że William także mówił jej coś w tym duchu tuż przed odjazdem. Może jej syn lepiej znał żonę, niż Octavia początkowo sądziła. I niewykluczone, że wyjazd"

m»za to najlepsze, co mogło się zdarzyć, bo niewątpliwie odejście Williama pozwoli Margery stać się taką kobietą, jaką było jej przeznaczone zostać.

Jedno tylko niepokoiło Octavię: nieśmiałość dziewczyny. Jfje przetrwa nawet pięciu minut, jeśli będzie bez dyskusji wykonywać wszelkie polecenia, nie zważając na własne uczucia i wolę.

- Kochasz mojego syna?

To pytanie miało wstrząsnąć Margery i niewątpliwie osiągnęło zamierzony cel.

- Ja... kochałam go, kiedy się pojawił. Teraz nie jestem już tego taka pewna. Octavia wstała i stanęła na

wprost synowej.

- Powiedz mi, co czujesz.

- Co masz na myśli?

- Zostałaś opuszczona przez męża, którego kochałaś. Co czujesz?

- Początkowo byłam smutna i zraniona. Teraz próbuję zrozumieć jego uczucia, próbuję zrozumieć, dlaczego uznał, że musi mnie opuścić.

- Rozumiem.

- To niewłaściwa odpowiedź?

- Nie ma właściwych odpowiedzi, moje dziecko. - Octavia Westchnęła. - Powinnaś być wściekła, Margery. Powinnaś być bardzo, bardzo zła na Williama za to, co zrobił.

- Ale rozumiem, dlaczego to zrobił..

- Naprawdę? - Octavia uniosła brwi. - To by było zupełnie niebywałe, zważywszy na to, że ja, jego matka, która wychowywałam go od dnia narodzin, nie rozumiem. - Machnęła ręką. - Och, rozumiem oczywiście jego konflikt z ojcem, ale 'stnieją inne sposoby rozwiązywania problemów. Nie tylko sieczka. Nie twierdzą, że William nie został zraniony. Został, ¹ to bardzo głęboko. Nie twierdzą też, że Charles nie jest despotą niezdolnym do wybaczenia, ordynarnym, upartym i głupim jak kut, bo niewątpliwie jest. Chcę tylko powiedzieć, że William

zawsze miał wybór: mógł zostać tutaj i obstawać przy swoim prawo do bycia sobą albo uciec. To nie twoja wina, że wybrał ucieczkę

Octavia zamilkła na chwilę i zamyśliła się głęboko, po czym potrząsnęła głową.

- A przywiezienie cię tutaj, żeby utrzymać ojcu nosa, by było niewybaczalne. Mogę jedynie powiedzieć na jego obronę, że bardziej mu na tobie zależy, niż można by sądzić. Podejrzewam że szybko to zrozumie i wróci. A ty do tego czasu musisz wielu rzeczy się nauczyć, czeka cię mnóstwo pracy.

- Jakiej pracy? - zapytała Margery, podnosząc wzrok na wchodzące do pokoju Caroline i Elizabeth, które usiadły bez słowa.

- Moja droga, taki łagodny i pokorny, niemal służalczy stosunek do mężczyzny do niczego cię nie doprowadzi. Jeśli będziesz traktować w ten sposób Williama czy jakiegokolwiek innego mężczyznę, przegryzie wędzidło i już nigdy nie będziesz w stanie nim kierować. Jeśli zaczniesz tak postępować, nie będzie odwrotu. Natomiast jeśli na początku okażesz stanowczość i niezależność, potem będziesz mogła być uległa i grzeczna do woli, nie tracąc gruntu pod nogami. Kobieta musi być jak ziarno piasku w ostrydże. Nie uda ci się stworzyć perły, jeśli będziesz spokojna i zawsze ze wszystkim zadowolona.

- To zabrzmiało jak plan batalii, mamo. - Elizabeth roześmiała się.

- Bo małżeństwo to jest właśnie pole walki. Walki dwóch osobowości. I dlatego właśnie kobieta powinna dobrze poznać zasady strategii i taktyki, zanim wyjdzie za mąż. Przepraszam za to porównanie, ale mężczyźni są jak psy: jeśli zostaną dobrze wytresowani, będą do końca życia wiernymi towarzyszami. Ale jeśli tresura będzie nieumiejętna, będą ujadać, warczeć, a nawet gryźć przy każdej sposobności.

Oczy Margery rozjaśniły się. Uśmiechnęła się i zaczęła się zastanawiać nad słowami teściowej.

- Mamo, kiedy po raz pierwszy przyszło ci do głowy, że stosunki pomiędzy kobietami i mężczyznami to gra nie fair? - zapytała Elizabeth.

- Miałam siedemnaście... a może osiemnaście lat... Nieważne, to było podczas pierwszego balu, kiedy zostałam wprowadzona w świat. Tańczyłam właśnie z Geoffreyem Tutberrym, kiedy nagle uświadomiłam sobie, że nie ma żadnego logicznego uzasadnienia, dlaczego kobiety mają zawsze oddawać prowadzenie mężczyznom.

- Wiele zrobiłaś, żeby stosunki między kobietami i mężczyznami przestały być tak nierównoprawne, ale nadal to mężczyźni prowadzą w tańcu. - Caroline uśmiechnęła się do matki.

- Wiem, ale jeszcze się nie poddałam!

- Pastor chyba nie byłby zachwycony twoimi słowami - stwierdziła Caroline. - Uznałby, że nie doceniasz roli męża.

- Rola męża jest zdecydowanie błędnie przez mężczyznę pojmowana i to od Adama począwszy - odparła stanowczo Octavia. - Pismo Święte mówi: „I poznał Adam żonę swą, Ewę, i kobieta poczęła”. Z przykrością stwierdzam, że bardzo wielu mężczyzn nadal wie o swych żonach tyle samo co biblijny Adam.

- Mama ma rację - oświadczyła Caroline. - Posłuszeństwo i pokora wcale nie należą do obowiązków żony. Żona jest równa mężowi, nie jest jego własnością. Octavia patrzyła na córkę, mrugając z niedowierzaniem.

- To zabrzmiało w moich uszach niemal jak poezja, Caroline... już nie mówiąc o tym, że to święta prawda.

- Dziękuję, mamo.

Octavia nie odzywała się przez chwilę. Patrzyła na Margery, żeby sprawdzić, jak dziewczyna reaguje na ich słowa. Już pierwszy rzut oka upewnił ją, że jej nowa podopieczna nie tylko pełni akceptuje ich punkt widzenia, ale nawet uśmiecha się tą samą myśl, że mogłaby być niezależna i decydować o swoim życiu. Jakaż to wspaniała żona dla Williama! Jest przecież powszechnie znaną prawdą, że mężczyźni uwielbiają urozmaicenie. Właśnie dlatego tak wielu bierze sobie kochanki. Mądra żona potrafi być zmienna. Wówczas mężczyzna będzie się pławił w szczęściu, że jest panem swego rodzaju duchowego haremu.

Octavia uśmiechnęła się. Jaką wspaniałą rzeczą jest niezależność! Margery, to kochane stworzenie, to naprawdę rzadki skarb. Jej umysł był jasny i olśniewający jak letni dzień. Była prawa uczciwa i tak chętna do nauki, że Octavia jeszcze nigdy w życiu nie widziała podobnej gotowości. Kiedy synowa zostanie zaopatrzona w broń, która pozwoli jej przeżyć w świecie zdominowanym przez mężczyzn, stanie się taką żoną, że zapewni sobie i Williamowi szczęście i zadowolenie aż do końca ich dni.

Elizabeth i Caroline zostały odwołane do dzieci, które obudziły się i piszczaly z głodu. Octavia nadal myślała o Margery. Doszła do wniosku, że jeśli jej zamiary co do synowej nie powiodą się i dziewczyna pozostanie nadal taką bierną i bezwolną istotą jak teraz, to William weźmie sobie kochankę już dwa tygodnie po powrocie.

- Chciałabym, żebyś coś dla mnie zrobiła.
- Oczywiście.
- Chciałabym, żebyś postarała się rozzłościć na Williama za to, co ci zrobił.
- Rozzłościć? Jak mogłabym się na niego złościć? Uratował mnie z niewoli.
- To nie oznacza, że musisz za to płacić swoim osobistym szczęściem. Nie proszę cię o to, żebyś była na niego zła za to, co zrobił dobrego, tylko za zło, które ci wyrządził. Musisz nauczyć się to rozdzielać. Sądzisz, że uda ci się na niego rozgniewać?
- Postaram się. - Margery wyglądała na rozbawioną.
- Dobrze. Chcę, żebyś była na niego zła, bo to najzupełniej naturalna reakcja, kiedy ktoś nas skrzywdzi. Wściekaj się. Później będziesz mogła wybaczyć. A teraz pomyśl o kilku sprawach. Przypomnij sobie, w jak arogancki sposób się d^o ciebie odnosił, jak wykorzystał do własnych celów. Nie był w stosunku do ciebie uczciwy, Margery. Kupił cię, potem traktował cię jak swoją własność, jak rzecz, którą się posiada. A to znaczy, że zniżył się do poziomu dzikusów, od których ci? kupił. Przywiózł cię do Anglii, nie uprzedzając, nie starając się

orzygotować na to, że ma zamiar opuścić cię natychmiast po przyjeździe. Kochanie, zostawił cię tutaj, wśród obcych, nie zadając sobie nawet trudu, żeby przedstawić rodzinie. Nie został na wet tak długo. I ty mówisz, że go rozumiesz? Że go kochasz? Tak nie może być! Tak po prostu nie może być. _ Nie chcesz, żebym go kochała?

- Możesz go kochać, ale najpierw naucz się na niego złościć; najpierw naucz się dbać o siebie i przeciwstawiać się tym, którzy chcą cię wykorzystać. Musisz zawsze pamiętać, moje dziecko, że nawet wielokrotnie złamane serce nie przestaje bić.

Octavia wstała i wygładziła jedwabną suknię.

- Zostawię cię na parę minut. Kiedy wrócę, sprawdzimy, czy udało ci się wystarczająco rozzłościć.

Ruszyła do drzwi, ale zatrzymała się z ręką na klamce i posłała Margery pełen zrozumienia uśmiech.

- A kiedy już zaczniesz się złościć, pozwól też sobie na wściekłość w stosunku do innych, którzy cię zranili i wykorzystali. Wiele złego spotkało cię w życiu i musiałaś się nauczyć znosić to wszystko, żeby przetrwać. Rozumiem, dlaczego wykształciłaś w sobie pokorę i posłuszeństwo, ale teraz już nie musisz być taka. Już nie musisz sprzedawać swego ciała, żeby przeżyć. Nie musisz już wszystkiego znosić. Masz inne możliwości.

- Spróbuję.

- Zrób wszystko, co w twojej mocy, dziewczyno. Poślubiłaś Williama na dobre i na złe. Jeśli nie chcesz, żeby było tylko na złe, musisz nauczyć się sama dbać o siebie. A kiedy się tego nauczysz, gwarantuję ci, że poczujesz się bez porównania lepiej.

Z tymi słowami Octavia wyszła z pokoju.

to jej odejściu Margery siedziała w tępym milczeniu. Rozumiała słowa teściowej. Ale nie rozumiała, dlaczego zostały wypowiedziane. To nie miało sensu. Dlaczego ta kobieta wystąpiła przeciwko własnemu synowi? Synowi, którego wyraźnie uwielbiała! Dopiero po chwili Margery pomyślała, że być może

Octavia stara się zapewnić szczęście nie tylko jej, ale i \y i liamowi.

Zacęła myśleć o tym, że przez całe życie robiła to, czego chcieli inni. Taką wymyśliła sobie strategię przetrwania. Była dobra, posłuszna, lojalna, wierna, oddana. Zachowywała się jak psy w wiosce Crowów. Pokorne psy często były źle traktowane. Natomiast te, które warczały i szczyrzyły zęby, budziły szacunek. Czy na tym właśnie polegał sekret? Czy trzeba warczeć i szczyrzyć kły, jak radziła Octavia?

Pomyślała o stadach wilków, które szły niekiedy za Indianami od obozu do obozu, krążąc wokół wioski. Wilki często staczały między sobą walki, dopóki jeden nie uznał się za pokonanego. Kładł się wówczas na ziemi i odslaniał gardło. W większości wypadków taki gest poddania się zadowalał pragnienie zwycięstwa drugiego i pokonany mógł, podkuliwszy ogon pod siebie, oddalić się chyłkiem. Margery uświadomiła sobie, że w stosunku do Indian, którzy ją pojмали, zachowywała się zawsze jak taki poddający się wilk; odslaniała gardło, a nie kły. A kiedy człowiek odslania gardło w geście poddania się, ludzie bywają bardziej okrutni niż wilki. Zwycięzca rzadko pozwala pokonanemu podkulić ogon pod siebie i oddalić się chyłkiem.

Teraz wydawało jej się to jasne i oczywiste. Była winna, bo poddawała się i bez sprzeciwu przyjmowała wszelkie kary i okrucieństwa, jakie ją spotykały. Przypomniała sobie, jak pokornie stała ze zwieszoną głową, kiedy William klócił się z ojcem, a potem zostawił ją bez słowa pożegnania. Octavia miała rację, jego postępowanie było niewybaczalne. A co ona zrobiła? Starła się zapomnieć o swoim zranionym sercu, żeby tylko uniknąć bólu. Na tę myśl poczuła taką wściekłość na siebie, że miała ochotę się kopnąć. Przeniosła jednak złość na właściwą osobę, czyli na Williama, który ją w taki paskudny sposób potraktował. Im więcej o tym myślała, tym bardziej była wściekła.

Kiedy Octavia wróciła, niosąc tacę z herbatą, Margery siedziała z rękami zaciśniętymi w pięści.

Octavia postawiła tacę na stoliku, naląła dwie filiżanki herbaty i jedną z nich podała Margery. Zaciśnięte w pięści ręce dziewczyny nie uszły jej uwagi. Usiadła na wprost synowej i wzięła drugą filiżankę.

_ Jesteś już zła?

- Tak. Bardzo zła.

- Znakomicie! A na kogo jesteś zła?

- Na Komanczów, Czejenów, Crowów, na swoich rodziców i na Williama.

- Pierwsze trzy słowa to nazwy plemion indiańskich?

-Tak.

- Dlaczego jesteś zła na rodziców?

- Bo nie zaopiekowali się mną należycie; bo zostałam porwana, pozbawiona dzieciństwa i życia, które miało się stać moim udziałem; bo nie odnaleźli mnie i nie zabrali do domu; bo musiałam tyle wycierpieć.

- Świetnie! - zawołała Octavia. Odstawiła filiżankę i usiadła na samym brzeżku fotela, co zwykła robić w chwilach szczególnego podniecenia. - Teraz musimy przede wszystkim podzielić twoje pretensje na dwie grupy: sprawy, w których możemy jeszcze coś zdziałać, i te, na które nie mamy najmniejszego wpływu. Do grupy spraw, w których nie mamy już nic do powiedzenia, musimy zaliczyć Indian i twoich rodziców. Do drugiej Williama, bo nad nim niewątpliwie możemy popracować.

- Ale przecież jego tu nie ma.

- To prawda, ale... będzie - odpowiedziała Octavia z uśmiechem. - Powiedz mi, dlaczego masz pretensję do Williama?

- Bo potraktował mnie nie lepiej od wszystkich innych, ^u których byłam poprzednio w niewoli; bo ożenił się ze mną ^z egoistycznych pobudek; bo porzucił mnie tu dla dokonania zemsty; bo nie powiedział mi prawdy.

- Chcesz wyznaczyć mi coś jeszcze?

- Chciałabym, żeby tu z nami był.

- Dlaczego?

- Żebym mogła... - Margery umilkła i zerknęła na Octavię.

- Teściowa uśmiechnęła się i upiła łyk herbaty.
- Co byś zrobiła, Margery, gdyby znalazł się teraz z nami tu w tym pokoju?
 - Uderzyłabym go w twarz.
 - Obiecujący początek.
 - To, co ze mną zrobił, było paskudne. Wykorzystał mnie.
 - Podpisuję się pod tym obiema rękami. Pytanie tylko, co z tym fantem zrobić?
 - Nie wiem.
 - Moim zdaniem, możemy siedzieć tu i albo wściekać się, albo użalać się nad sobą, ale możemy też poszukać sposobu, żeby uporać się z tą złością, i wziąć sprawę w swoje ręce.
 - Jakie sprawy?
 - Możemy zrobić z ciebie ozdobę towarzystwa. Nie będziesz miała czasu, żeby zamartwiać się z powodu Williama, moje dziecko. Będziesz zbyt zajęta. Mnóstwa rzeczy musisz się nauczyć. Nie masz pojęcia, jak wiele zostało ci odebrane w chwili, gdy zostałeś porwana. Musisz odnaleźć pełnię życia. Jesteś młoda. Będziesz miała jeszcze mnóstwo czasu, żeby uporać się z Williamem. Jesteś jego żoną, a ta pozycja daje ci zarówno prawo, jak i szansę, żeby zmusić go, by się w tobie zakochał... jeśli w tej sprawie jeszcze się nie poddałeś. - Octavia pochyliła się, ujęła twarz dziewczyny i pocałowała J3. w czoło.
 - Wydaje mi się, że powinnam ci podziękować.
 - Podziękować? Za co? Za kolejną ucieczkę syna?
 - Moje drogie, kochane dziecko, przecież to nie przez ciebie on uciekł. William szuka samego siebie, jak świątobliwy człowiek, który wyrusza na pustynię, aby tam pościć. Znajdzie to, czego poszukuje. A my w tym czasie będziemy bardzo zajęte' żeby doskonale cię do jego powrotu przygotować.
- W przypiływie energii, jakiej nie czuła już od lat, Octavia przemierzyła różnym krokiem pokój i z całej siły uderzył³ w przycisk dzwonka.
- Po chwili do pokoju niemal wpadła Lucy, której niesforn^e

- fude włosy rozwiewały się we wszystkie strony, a piegi zdawały się wyskakiwać z jej bladej skóry. Dygnęła szybko.
- Pani dzwoniła, milady?
 - Tak, Lucy, dziękuję. Poszukaj, proszę, Emily i przyślij ją do mnie. A potem odszukaj panią Singleton i powiedz, że jest mi natychmiast potrzebna.
 - Tak, milady. - Lucy ponownie dygnęła i kolejny niesforny lok wymknął się z niewoli spinek.
 - I zrób coś ze swoimi włosami. Wyglądasz, jakby piorun w miotłę strzelił.
 - Tak, psze pani. - Lucy pospiesznie opuściła pokój.
 - Wiesz, czuję się, jakbym odmłodziła! - powiedziała Octavia do synowej. - Tej rodzinie był potrzebny ktoś taki jak ty: ktoś, wokół kogo mogłaby się skonsolidować. I, na Boga, żeńska część rodziny już się skonsolidowała.
- Podczas tej przemowy do pokoju weszła Emily i stanęła przy drzwiach z otwartymi ze zdziwienia ustami.
- Mamo? Dobrze się czujesz?
 - Wejdz, Emily, i zamknij za sobą drzwi. W życiu nie czułam się lepiej.
- Bogu dzięki, córka usłuchała, ale podejrzliwe spojrzenie nie zniknęło z jej oczu. Octavia natychmiast wyśmiała jej obawy.
- Nie bądź taką głupią gąską! Twoja matka nie postradała zmysłów. Jesteś o krok od wstąpienia w szeregi odwiecznego zgromadzenia znanego jako Kobiety Wspierające się w Obliczu Wyzwania.
 - Nigdy nie słyszałam o takim stowarzyszeniu.
 - A więc usłyszałaś o nim teraz. To rodzaj rytuału, przekazywanego z matki na córkę, z pokolenia na pokolenie, a ty właśnie jesteś tą szczęśliwą córką, która otrzymuje ode mnie pałeczkę.
 - Co mam zrobić? - Emily rzuciła matce sceptyczne spojrzenie.
 - Musisz tylko uważnie obserwować... i zbierać siły do czasu.

kiedy poczujesz się wyrzucona poza nawias albo zmuszona do walki o swoje kobiece prawa.

- A jakie są te kobiece prawa?
- Prawo do bycia sobą, do opowiadania się za tym, co uważasz za słuszne, w co wierzysz, do stawienia czoła przeciwnikowi. Innymi słowy, musisz się nauczyć, jak się o samą siebie zatroszczyć, żeby pewnego dnia nie wpaść w rozpacz, że ktoś chce za ciebie podejmować decyzje dotyczące twojego życia. Uwierz mi, nie ma nic gorszego, niż być zmuszoną do czołgania się, kiedy mamy ochotę rozwinąć skrzydła i wznieść się w niebo.
- Och, kochana moja. - Emily z westchnieniem opadła na fotel obok Margery. - Ojciec tak naprawdę nie ma zamiaru zrobić ci nic złego.
- Nie zrobi... nigdy nie zrobi, ale musi się porządnie okopać na swoich pozycjach, bo czeka go rewolucja.
- Wyrzuci nas wszystkie z domu... albo każe nas zamordować we śnie.
- Wielkie nieba! Ja naprawdę w głębi duszy jestem tchórzem podszyta. Powiedz, Emily, czy wolałabyś być pędzącym na przedzie koniem, któremu wiatr rozwiewa grzywę, czy też raczej wlokącym się na końcu, który łyka kurz wzniesiony kopytami poprzednich?
- Wolałabym być po twojej stronie, mamó. Chciałabym być tak silna jak ty. Nie chcę być słaba i głupia, ale... nie chciałabym także, żeby ojciec się na mnie złościł.
- Czy kiedykolwiek widziałaś, jak stawałam do walki z twoim ojcem?
Emily energicznie kiwnęła głową.
- Mnóstwo razy.
- A czy widziałaś, choćby raz, żeby ojciec podniósł na mnie rękę czy wyrzucił mnie z domu?
- Nie.
- Jesteś z nami albo przeciw nam. Jaka jest twoja decyzja, Emily?

HB

_ Jestem z wami, - Twarz Emily przybrała wyraz przygnębienia. - Teraz już nigdy nie wyjdę za mąż. _ Co za bzdury! Dlaczego wygadujesz takie głupoty? - Bo ojciec uzna mnie za zdrajczynię i nie da mi ani posagu, ani błogosławieństwa.

_ Gadanie! Twój ojciec to człowiek jaskiniowy, relikw z czasów, kiedy mężczyźni polowali i dźwigali ciężary. Nie zwracaj na niego uwagi. Wystarczająco dużo odziedziczysz po mnie i po swojej babce. A poza tym zawsze istnieje możliwość ucieczki z ukochanym. Zresztą nie ma sensu zawracać sobie tym głowy. Twój ojciec zdecydowanie będzie wolał zdobyć kolejnego szlachetnie urodzonego zięcia, niż trzymać w domu córkę, która stała się niezależna. Emily pociągnęła nosem.

- Podejrzewam, że już w to wpadłam, czy tego chcę, czy nie.

Gdzie mam się zapisać?

Octavia spojrzała na Margery, która ze zdziwieniem przysłuchiwała się rozmowie matki i córki.

- Wyglądasz na tak zagubioną jak kot w biurze rachmistrza, ale nie przejmuj się. Panuję nad sytuacją. Kiedy zakończę pracę nad tobą, będziesz mnie uważała za czarodziejkę.

- Co chcesz z nią zrobić, mamó? - Emily sapnęła.

- Zmienić ją, oczywiście. Uczynić z niej osobę niezależną. A kiedy skończę, w całej Anglii nie będzie piękniejszej, bardziej czarującej i lepiej wykształconej kobiety. Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej jestem przekonana, że Caroline miała rację: Margery powinna wziąć udział w lutowym polowaniu

u wujka Randa.

- Ale zostało bardzo mało czasu - jęknęła Emily.

- Nonsens. Nie wolno ci nie doceniać siły determinacji własnej matki. Zobaczysz, że Margery zostanie przez uczestniczące w polowaniu kobiety uznana za śmiertelnego wroga, bo wszyscy obecni tam kawalerowie będą przeklinać dzień, w którym Poślubiła innego.

Wyraz przygnębienia zniknął z twarzy Emily.

- A czy kiedy skończymy pracę z Margery, będziemy mogli, zająć się mną?

- Oczywiście, że tak - odparła Octavia z uśmiechem, objęła wzrokiem rozjaśnioną buzię córki i pełną lęku twarz Margery. Wzięła synową za rękę i podniosła z fotela. - No chodź, mała mamy przed sobą mnóstwo pracy. Kiedy William wróci...

- On nie wróci. - Margery potrząsnęła głową.

- Nonsens. Wróci, a wtedy ktoś będzie miał dla niego nie lada niespodziankę.

Ktoś będzie miał nie lada niespodziankę, owszem, ale tym kimś nie będzie William.

Kiedy Margery zwymiotowała po raz czwarty, wiedziała już, że będzie miała dziecko.

Za piątym razem uwierzyła i Octavia.

Margery strasznie bała się reakcji teścia. Ten lęk rzucał cień na ogarniającą ją euforię. Będzie miała dziecko Willa! Ale nie chciała, żeby Charles się o tym dowiedział. Błagała Octavię, żeby nic mężowi nie mówiła.

- Przecież on i tak wcześniej czy później się o tym dowie.

- Proszę, niech to będzie później. Chciałabym mieć czas, żeby przyzwycząić się do myśli o dziecku, zanim będę zmuszona go bronić. Octavia pokiwała głową ze współczuciem.

- Rozumiem. Twoja prośba ma sens. Zatrzymamy to na razie^w tajemnicy. Oczywiście, będę musiała porozmawiać ze służbą, ale nie obawiaj się. Są w stosunku do mnie absolutnie lojalni.

Octavia wyszła, żeby zamienić kilka słów ze służącymi,^a pozostawiona w pokoju śniadaniowym Margery opadła ze zmęczeniem na elegancki hellenistyczny fotel.

- Kiedy spodziewasz się dziecka?

Margery podskoczyła i położyła rękę na sercu. Odwróciła się¹ i spojrzała na stojącą za jej plecami rozpromienioną Emilię.

- A niech to wszyscy diabli!

Emily obeszła fotel i z szerokim uśmiechem usiadła obok bratowej.

- Nie powinnaś tak zaskakiwać ludzi, Emily. Przestraszyć mnie. Przepraszam za te słowa, które mi się wymknęły.

- Już słyszałam je w twoich ustach. I nie martw się. Ja też tak czasem mówię. - Emily spuściła wzrok. - Przepraszam, że cię wystraszyłam.

- Już w porządku. Po prostu nie słyszałam, jak weszłaś.

- Wcale nie weszłam. Cały czas tu byłam. Schowałam się za fotelem. Podśluchałam waszą rozmowę. Dlatego wiem, że spodziewasz się dziecka.

Margery spojrzała na szwagierkę z wyrzutem. Ta zrobiła odpowiednio skruszoną minę.

- Wiem, mama zawsze mówiła, żebym nie podglądała, dopóki dobrze się wokół nie rozejrzę.

- Ale dotrzymasz tajemnicy, prawda? - Margery złagodniała.

- Oczywiście. Nie pisnę nikomu ani słówka.

Dwa dni później John, kuzyn Williama, wpadł z krótką wizytą, przywożąc ze sobą dawno niewidzianą sąsiadkę i przyjaciółkę rodziny, Lydię Lancaster.

Margery została przedstawiona ślicznej ciemnowłosej dziewczynie, po czym Lydia wyszła w towarzystwie Johna i Charlesa, żeby podziwiać nowego wafacha, którego Charles kupił z myślą o zbliżającym się polowaniu.

Jak zwykle ignorował Margery i nie poprosił, żeby się do nich przyłączyła.

Po ich wyjściu Margery wyznała Emily, że Lydia jest piękniejszą kobietą, jaką w życiu widziała.

- Aż trudno mi uwierzyć, że Will znał ją od dziecka i si? w niej nie zakochał.

- Lydia była zaręczona z naszym bratem, Jamesem - po^{*ien} działa Emily.

Twarz Margery zeszywniała.

- Z waszym bratem? Słyszałam o Jamesie, ale nie miałam pojęcia- że on i Lydia... to znaczy, słyszałam, że on nie żyje, ale nie wiem, na co umarł.

- Za dużo gadam - mruknęła Emily z taką miną, jakby powiedziała coś bardzo niestosownego.

Emily spojrzała na matkę i to Octavia odezwała się do Margery.

- James był naszym najmłodszym synem. Zginął podczas jednej z pierwszych bitew wojny krymskiej.

- Przykro mi. Will nigdy mi o nim nie opowiadał. Wszystko, co wiem, słyszałam od Dana.

- Nic dziwnego. Dla Willa to nadal jest niezabliźniona rana... do dziś trudno nam o tym mówić.

- Przepraszam, że przypominałam wam tak smutne wydarzenia.

- Nie zadręczaj się tak bardzo. Gdyby na świecie istniała wyłącznie radość, nigdy nie nauczylibyśmy się ani cierpliwości, ani odwagi.

Margery nie wspomniała już o Jamesie.

Lydia i John wrócili do domu po kilku minutach, ale Charles pozostał na dworze. Zatrzymali się na chwilę, żeby zamienić kilka słów z Octavią, po czym John usiadł obok Margery.

- Słyszałam, że za kilka tygodni przyjedziesz do Wiltshire Manor na polowanie na lisa.

- Tak, nie mogę się już doczekać.

- Polowałaś już kiedyś?

- Nie.

- Nawet w Ameryce?

- U Indian kobiety nie polują.

- Zatem będzie to dla ciebie całkiem nowe doświadczenie, dobrze jeździsz konno?

- Koniuszy twierdzi, że nie najgorzej trzymam się na końskim Szrbiecie, ale nie da się ukryć, że kobiece siodło stanowi dla "Niie nie lada wyzwanie. - Margery odwróciła wzrok i starała^{sl}, aby w jej głosie brzmiało rozczarowanie.

- Oczywiście teraz nie możesz zbyt wiele jeździć.

Margery szybko spojrzała na Johna.

- Więc ty wiesz?

Popatrzył na nią z wszystkowiedzącym uśmiechem i zachwytem w oczach.

- Octavia wspomniała o tym przed chwilą, ale uznałem, że lepiej będzie o tym nie mówić, dopóki sama tego nie zrobisz. Teraz musisz mi pozwolić złożyć ci gratulacje. Dziecko stanie się dla ciebie kolejną wielką przygodą. Wiem, że się cieszysz.

- Tak, bardzo! - Margery uśmiechnęła się. - Choćby z tego powodu, że dzięki temu będę mogła uniknąć tego okropnego polowania. Nie przepadam za jazdą konną.

John odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

- Nie dziwię się, że Will się z tobą ożenił. Jesteś naprawdę cudowna, wiesz?

Dobry humor opuścił Margery.

- On nie ożenił się ze mną z powodu mojego poczucia humoru. Ożenił się ze mną dla zemsty.

- Słyszałem o tym, ale nie wierzę.

- Nie wierzysz? Dlaczego?

- Nie wierzyłem ani przez chwilę. Świetnie znam swojego kuzyna. W dzieciństwie byliśmy ze sobą bardzo zżyci. I wiem doskonale, że Will nie ożeniłby się z tobą wyłącznie dla zemsty. Musiało być coś jeszcze, jakiś całkiem inny powód.

- Zapomniałeś, że przyjechał tu ze mną po to, żeby mnie zostawić.

- Założę się, że ten pomysł przyszedł mu do głowy dopiero później, już po podjęciu decyzji o ślubie.

- Naprawdę w to wierzysz?

- Jestem święcie przekonany.

- Dziękuję, że mi to powiedziałeś.

- Cieszę się, że to zrobiłem, szczególnie jeśli dzięki temu łatwiej ci będzie to znieść.

- Nie będzie łatwiej, może zmniejszy tylko upokorzenie.

J\ilka tygodni później wszyscy udali się do Wiltshire Manor, domu wuja Randa, na wielkie polowanie na lisa. Margery nie mogła jeździć konno, nie włożyła więc swej nowej modnej amazonki, która stała się już nieco przyciasna. Miała na sobie suknię z miękkiej wełny w niebiesko-zieloną kratę i ciemnozieloną jedwabną lamówką. Bardzo szeroka spódnica i trzema falbanami wymagała wielu halek, aby pięknie się układała.

Przy wejściu Margery zatrzymała się na chwilę, aby przywitać się z ojcem Johna, Randem, który był w równym stopniu serdeczny i miły, jak Charles był gwałtowny i gburowaty. Po rozmowie z Randem, Margery została przedstawiona sąsiadom. Zatrzymała się na moment, żeby przywitać się z Lydią, a potem wyszła na podwórze i stanęła obok Octavii, podziwiając szkarłatne kurtki jeźdźców. Teściowa wzięła ją pod rękę.

~ Chodź. Pojedziemy otwartym powozem, to będziesz mogła lepiej się przyjrzeć. Widok myśliwych, przemierzających galopem okoliczne wzgórza w pogoni za przebiegłym lisem, jest naprawdę godny uwagi.

Margery wiele słyszała o angielskich lisach i nie mogła się już doczekać, żeby zobaczyć, na ile różnią się od lisów amerykańskich. Szła za Octavią, bardzo podniecona swym pierwszym polowaniem. Kiedy tylko usadowiły się w odkrytym powozie, zabrzmiał dźwięk rogu na znak, że jeźdźcy mają ruszać.

Margery wyraziła rozczarowanie, że nie zobaczyła lisa.

- Może będą przejeżdżać obok nas i uda ci się go dostrzec - pocieszyła ją teściowa. Jechały w milczeniu. Margery wsłuchiwała się w odgłos końskich kopyt i ujadanie psów.

- To chyba niezłe miejsce na postój - stwierdziła Octavia i dała woźnicy znak, żeby się zatrzymał. - Mamy stąd dobry widok na pola i skraj lasu. Tam się będzie kierował lis, jeśli okaże się sprytny.

Margery czekała, słuchała i patrzyła. Czuła takie samo napięcie, jak w wiosce Crowów podczas polowania na bizona, tylko że

tam kilku myśliwych ścigało stado liczące setki bizonów, podczas gdy tu wielu myśliwych goniło za jednym lisem.

- Czy mogę wysiąść? - zwróciła się po kilku minutach do teściowej.

- Oczywiście. - Octavia skinęła głową. - Nie mam nic przeciwko temu.

Margery wysiadła i przeszła się trochę, żeby rozprostować nogi. Wracała już do powozu, kiedy szczekanie zbliżających się psów wyrwało ją z zadumy.

Po chwili dostrzegła żalosne małe stworzonko, pędzące ile sił w nogach przez niskie wzgórze. Tuż za nim biegły psy, a nieco dalej galopowali jeźdźcy. Końskie kopyta wzbijały kłęby kurzu, który wiatr rozwiewał nad polami.

- Czy to jest lis?

Octavia spojrzała we wskazanym przez synową kierunku i skinęła głową.

- Ależ on jest zupełnie taki sam jak w Ameryce! Nie miałam pojęcia, że będą polować na takie małe zwierzątko. Czy tu, w Anglii, lisy są zjadane?

- Nie, polowanie na lisa to sport.

Margery zmarszczyła czoło. Jeszcze nigdy w życiu nie słyszała o polowaniu dla sportu. Indianie także polowali, ale wykorzystywali najmniejszy kawałek upolowanego zwierzęcia. Polowanie było warunkiem przetrwania, a nie sportem. Dziewczyna odwróciła się w stronę Octavii.

- To nie w porządku, żeby ścigać takie piękne zwierzę bez żadnego powodu. Tylko po to, żeby się przyglądać, jak umiera.

- Cóż, zawsze byłam tego samego zdania i właśnie dlatego nigdy nie byłam mistrzynią w polowaniu.

Margery nie odpowiedziała, bo właśnie w tym momencie lis wykonał ostry skręt w lewo i zaczął biec w jej stronę, najwyraźniej zmierzając w kierunku znajdującego się za jej plecami lasu. Kiedy się zbliżył, dostrzegła, że zwierzątko zwalnia i zdradza wyraźne oznaki wyczerpania.

Sfora psów siedziała mu już na karku.

Margery nie zastanawiała się, co robi. Narastające w niej od pewnego czasu napięcie pchnęło ją do przodu. Na pole, którym biegł walczący o życie lis. Psy były tuż-tuż.

- Schowaj gdzieś tę swoją rudą dupę! - krzyknęła niespodziewanie Margery.

Sześć metrów od niej lis zachwiał się i upadł, ciężko dysząc.

- Wielkie nieba! - zawołała Octavia.

Margery puściła się biegiem, nie zważając na wołanie teściowej. Dopadła lisa na kilka sekund przed psami. Zaczęła się rozpaczliwie rozglądać za czymś, czym mogłaby odgonić sforę, a nie znalazłszy niczego, zrobiła jedyne, co w tej sytuacji przyszło jej do głowy: uniosła spódnicę i schowała pod nimi zwierzątko.

Przerwanie polowania spowodowało ogólną konsternację.

Psy otoczyły ją kołem, ujadały i warczały, szarpały spódnicę i próbowały wsadzić łby pod halki. Dziewczyna oganiała się od nich parasolką.

- Idźcie precz! Wyoście się stąd, głupole!

John, który podjechał do Margery jako jeden z pierwszych, miał trudności w utrzymaniu się w siodle. Tak zanosił się od śmiechu, że mało nie spadł. Potem nadjechał Charles z Randem, za nimi Lydia, Emily i tuzin kolejnych osób, przeważnie mężczyzn.

Wszyscy patrzyli na Margery i śmiali się. Wszyscy poza Charlesem, który kazał jej wracać do powozu.

- Nie rusz się stąd, dopóki nie odwołacie psów - oświadczyła stanowczo i zdzieliła parasolką w łeb kolejnego psa, który próbował wśliznąć się jej pod spódnicę. - Idź precz, ty diabelskie nasienie!

Taka sytuacja trwała przez dobrą chwilę: Charles wygłaszał grzmiące tyrady i miotał groźby, Margery ignorowała go, odganiając parasolką psy i stojąc w miejscu, jakby wrosła w ziemię.

W końcu teść zagroził głosem trzęsącym się z furii, że wsadzi synową na pierwszy statek płynący do Ameryki.

Ale Margery nie ustąpiła.

- Albo natychmiast się ruszysz, albo, przysięgam na Boga przrzucę cię przez ramię i osobiście wrzucę do powozu.

- Charles! - mitygował go Rand.

- Nie wtrącaj się! - warknął Charles. Zsiadł z konia i ruszył ku Margery.

- Będziesz musiał zrobić to również ze mną- ostrzegła Octavia, która pojawiła się nagle u boku synowej..

Charles zatrzymał się i wpatrywał się w nie z furją, a jego twarz stawała się z każdą chwilą bardziej purpurowa.

- Ostrzegam cię, Octavio.

- Tak, kochanie, wiem.

- Nie przystoi kobiecie być upartą i buntowniczą.

Przez chwilę mąż i żona bez słowa mierzyli się wzrokiem. Margery na widok wyrazu oczu teścia uznała, że Octavia nie ma szans. Charles nie cofnąłby się w tej chwili nawet na wyraźny rozkaz królowej Wiktorii.

- Powiniennem był słuchać ojca. Przestrzegał mnie przed poślubieniem kobiety wykształconej i miał rację. Mężczyzna żonaty z kobietą, która może sobie poradzić jedynie z podanym na stół obiadem, jest o wiele szczęśliwszy niż ten, który zwiąże się z pannicą znającą grekę!

- Nie powiem ci, że jesteś głupi jak but, Charlesie, ale jedno z nas jest głupie i to zdecydowanie nie jestem ja! - oświadczyła Octavia, nie spuszczając męża z oka.

Bez słowa odwrócił się na pięcie i pomaszerował do swojego wierzchowca. Wsiadł i tak gwałtownie szarpnął wodze, żeby zawrócić, iż o mało nie przewrócił biednego zwierzęcia. Wbił ostrogi w końskie boki i oddalił się galopem.

Rand obserwował rejteradę brata, a potem spojrzął na Johna.

- Wiesz, synu, kobietom z reguły udaje się zmusić najdzielniejszych nawet mężczyzn do ucieczki z podkulonym ogonem.

Obaj roześmiali się, a Octavia spojrzała na synową.

- Przepraszam - szepnęła Margery, czując się paskudnie.

- Kiedy już raz coś postanowisz, Margery, nie wycofuj się i nie przepraszaj.

- Dziękuję, że mi pomogłaś.

- Kobiety są zobowiązane do solidarności. To absolutnie niezbędne, jeśli wziąć pod uwagę, że mężczyźni mają za sobą prawo.

- Mam nadzieję, że nie będziesz miała przeze mnie przykrości.

Czy on przejdzie do porządku dziennego nad tym, co się stało? Jak sądzisz? Octavia spojrzała w kierunku, w którym odjechał mąż.

- Będzie musiał jakoś nauczyć się z tym żyć. Mężczyzna nigdy nie wybaczy kobiecie, że jest od niego mądrzejsza.

- Może i jesteśmy głębsi od kobiet, ja jednak zdołałem pojąć, że to już koniec polowania na dzisiaj. - Rand puścił oko do Margery. - Powiedz, Octavio, co twoja synowa jadana śniadanie? Chciałbym sobie zamówić miseczkę tego samego.

- Gwoździe - oświadczyła Octavia. - Mniej więcej pół kilograma gwoździ.

Rand wybuchnął śmiechem i odjechał, a prowadzący polowanie odwołał psy. Po chwili Margery i Octavia zostały już tylko w towarzystwie

Lydii, Emily i Johna. Emily zsiadła z konia.

- O rany, strasznie żałuję, że nie pojechałam z wami powozem. Jeszcze nigdy w życiu nie widziałam, żeby ktoś wykazał się taką odwagą.

- I głupotą - dodała Octavia, odwracając się twarzą do Margery. - Co byś zrobiła, gdyby jednemu z psów udało się dostać pod twoje spódnice?

- Chyba jednak bym się ruszyła - odpowiedziała Margery, budząc ogólne rozbawienie. Cofnęła się o krok i spojrzała na małego rudego liska, który nadal ciężko dyszał. - Co mam z nim zrobić? - zapytała Johna.

- Zostaw go. Odpocznie przez chwilę, wróci do sił i radośnie Pobiegnie swoją drogą.

- Jesteś pewien?

- Jeśli chcesz, to wróć tu później i sprawdzę.
- Dziękuję - szepnęła Margery i odwróciła się, żeby wsiąść do powozu.
- A tak na marginesie, czy mogłabyś powtórzyć to, co za wołałaś do lisa? - krzyknął za nią John.
- Powiedziałam mu, żeby schował swoją rudą du...
- Margery! -jęknęła Octavia. -Gdzie twoje maniery?! Dama nie używa takich słów. - Potem zwróciła się do Johna: - Niech no tylko Will wróci do domu! Już ja natrę mu uszu za to, że ją tego nauczył. To wręcz niewyobrażalne, żeby uczyć młodą wrażliwą dziewczynę takiego języka. To niesłychane!
- To nie tylko Will tak mówił - wtrąciła Margery. - Daniel także.
- W takim razie jestem podwójnie zła.
- Szeroko uśmiechnięty John skrzyżował ramiona i pochylił się w siodle ku Margery.
- Czy jesteś absolutnie pewna, że jesteś mężatką?
- Oczywiście, że tak. A dlaczego pytasz?
- Bo gdybyś nie była już zajęta, sam chętnie poprosiłbym cię o rękę.
- Powinieneś to ponownie rozważyć - oświadczyła Margery. - Bo mam zamiar być niezależna.
- John roześmiał się, natomiast Octavia wyjęła synowej z ręki parasolkę i dzieliła go nią przez głowę.
- Gdzie twoje maniery, grubianinie! Ta kobieta, z którą próbujesz flirtować, to przyszła matka moich wnucząt!
- Przepraszam, ciociu... - John zerknął na Margery i mrugnął do niej porozumiewawczo. - I ciebie także.
- Przepraszam przyjęte - stwierdziła Octavia. - A teraz pomóż mi wsiąść do powozu. To będzie część twojej kary, ty leniwy arogancie.

23

Will i Guy przez dwa miesiące podróżowali z gromadą Czejenów i Will nie mógł wyjść z podziwu, jak szybko przyjaciel zaadaptował się do koczowniczego życia. Guy napomykał niejednokrotnie, że chciałby tu spędzić resztę życia, bo tylko tu może się nauczyć, czym jest prawdziwa wolność.

W miarę jak przyjaciel coraz częściej o tym mówił, Will zaczął wierzyć, że Guy rzeczywiście może się tu osiedlić. Gdyby naprawdę tak zrobił, Will mógłby wrócić do domu, do kobiety, którą poślubił.

Proponował, żeby rozejrzeli się za miejscem, w którym mogliby wybudować chatę dla Guya, i coraz bardziej się bał, że nigdy odpowiedniego miejsca nie znajdą. Nie ulegało wątpliwości, że decyzja o podróży na Zachód okazała się dla Guya zbawienna. Ale pomimo coraz czerstwiejszego wyglądu przyjaciela, Will^{n>e} przestawał się przejmować stanem jego zdrowia.

Niewykluczone, że stan Guya rzeczywiście się poprawił, jednak jego kaszel stawał się coraz cięższy. Ilekroć Will pytał^o to przyjaciela, nieodmiennie padała odpowiedź:

- Od drobnego kaszelku jeszcze nikt nie umarł.
- Obaj wiemy, że gruźlica to jednak coś więcej niż drobny kaszelek
- W takim razie nazywaj ją lekkim kaszelkiem, żeby poprawić

mi trochę humor. Może nie chcę, żeby nieustannie mi przynominano, że umieram?

Guy umiera?

Willowi taka możliwość nawet przez myśl nie przeszła. Uznał co w tej chwili wydało mu się szalenie naiwne, że jeśli nie popłyną statkiem do Anglii, to Guy bez wątpienia wyzdrowieje

Tej nocy Will jeszcze długo po zaśnięciu przyjaciela siedział przy ognisku, poruszał żar patykiem i wpatrywał się w płomień. Tuż przed świtem złamał patyk i wrzucił go do ognia. Po chwili rozłożył swoje legowisko i wreszcie się położył. Nadal nie mógł zasnąć, więc leżał na plecach z rękami założonymi pod głowę i wpatrywał się w rozgwieżdżone niebo.

Zastanawia! się, czy jest coś, nad czym nie ma kontroli, coś w odległym wszechświecie, ponad tymi gwiazdami, co kieruje jego życiem -jego i Margery - i co zsyła na niego kolejne ciosy. Myślał o tym, bo wydawało mu się, że nieszczęście ściga go nieustannie jak Hioba.

Czyżby gdzieś tam w górze zostało zapisane, że on i Margery mają spędzić życie osobno?

Zamknął oczy. To bez znaczenia. Nic poza własną śmiercią nie zdoła go powstrzymać od powrotu do żony.

Margery i Emily szybko zostały bliskimi przyjaciółkami. Nic więc dziwnego, że pomagając Margery poznać Anglię i angielskie obyczaje, Emily chciała przy okazji dowiedzieć się wszystkiego o przeszłości bratowej. Bo siedemnastoletniej damie życie z dzikusami w dziewiczym, nieznanym kraju wydawało się niezwykle fascynujące.

- Nie byłabym specjalnie zdziwiona, gdyby pojawiła się któregoś dnia wymalowana w barwy wojenne i z pióropuszem na głowie - powiedziała kiedyś Octavia, pijąc herbatę z Margery i Lydią.

Margery zastanawiała się później, czy aby Emily nie kryje się swoim zwyczajem za którymś z foteli i nie podsłuchuje słów matki.

Jtewnego marcowego popołudnia Margery poczuła jakiś znajomy, cudowny zapach i podążając za nim, dotarła do kuchni. Zastała tam Octavię pogrążoną w rozmowie z kucharką, która pochylała się nad misą pełną jakiejś żółtawej masy. Margery nie miała pojęcia, co to może być ani jak się nazywa. Kucharka wyjęła nieco żółtej masy i obtoczyła w cukrze, który wypełniał inną miskę. Potem, kiedy kulka była już całkiem oblepiona słodkim proszkiem, wrzuciła ją na płaską patelnię.

Zafascynowana Margery nie mogła oderwać oczu od kuchark' która zręcznie umieściła patelnię na kuchennej płycie, zdejmując równocześnie drugą ręką inną patelnię. Podeszła bliżej, przyciągnięta ciepłym, upojnym aromatem. W tych okrągłych pachnących przedmiotach było coś dziwnie znajomego.

- Co to jest? - zapytała.

- Ciasteczka - odpowiedziała kucharka. - Ma pani ochotę spróbować sama je upiec?

Widząc, że wicehrabina kiwa głową, kucharka odsunęła się, żeby zrobić jej miejsce. Margery wzięła trochę żółtawej masy, nazywanej przez kucharkę ciastem. Toczyła ją w dłoniach, aż uformowała idealną kuleczkę i obtoczyła ją w cukrze, który, jak się dowiedziała od Octavii, był wymieszany z cynamonem. Położyła kuleczkę na patelni i nagle spojrzała na teściową.

- Wydaje mi się, że już to kiedyś robiłam.

Octavia przytuliła ją do siebie.

- Jestem pewna, że już to robiłaś. Matki bardzo lubią piec ciasteczka wraz z dziećmi. Pewnie pomagałaś kiedyś swojej mamie.

Margery nie pamiętała, czy kiedyś piekła z mamą ciasteczka, ale na samą myśl o tym zrobiło jej się ciepło na sercu.

Wyszła z kuchni i snuła się po domu, aż zawędrowała do oranżerii, która ze swymi ogromnymi oknami i egzotycznymi roślinami była jej ulubionym pomieszczeniem. Wydawało jej się, że w tym pokoju udało się zamknąć całe ciepło i radość lata.

Podeszła do okna. Ciągle jeszcze nie mogła się nadziwić, jak bardzo ta okolica różni się od krajobrazów Yellowstone. Octavia zwykła określać taką pogodę jak dzisiejsza ponurą. Margery zdążyła już się zorientować, że pod tym słowem kryją się długie godziny ciężkiej mgły i uporczywego deszczu, który zmienia drogi i pola w grzęzawisko, a małe rzeczulki w niebezpieczną topiel. Pozostałości zeszłorocznych kwiatów leżały oklapłe na ziemi, powiędłe i porzucone. Nawet ptaki, które przycupnęły na nagich gałęziach kasztanowca, wydawały się cierpliwie czekać na wiosnę. Siedziały, jakby nie miały nic lepszego do roboty,

^jwrócone tyłem do wiatru, a deszcz monotonicznie spływał po ich piórach.

Margery wróciła z oranżerii do swojego pokoju i zastała w nim stojącą przed lustrem Emily, która przebrała się w wyciągniętą i głębi kufra skórzaną sukienkę bratowej.

- Mam nadzieję, że nie gniewasz się, iż ją przymierzyłam. - Głos Emily brzmiał inaczej niż zwykle, jakby mówiła przez nos. - Musisz mi wybaczyć. Po prostu nie mogłam oprzeć się pokusie dotknięcia tych śmierzdzących skór. - Dziewczyna wyjęła z kieszeni chusteczkę i głośno wytarła nos. Zabrzmiało to niemal jak głos trąbki, wzywającej żołnierzy do ataku. Schowała chusteczkę i spojrzała na bratową z poczuciem winy.

- Oczywiście, że nie mam nic przeciwko temu - odpowiedziała Margery z uśmiechem.

- Pokaż mi, jak się wplata pióra we włosy - poprosiła Emily i wręczyła bratowej garść piór.

- Skąd je wzięłaś? - zapytała Margery, patrząc na wymiętoszone pióra.

- Wyrwałam z miotełki do kurzu.

Margery uśmiechnęła się do siebie i podprowadziła dziewczynę do toaletki. Zaplotła jej włosy, zręcznie wplatając pióra w długie warkocze, i wybuchnęła śmiechem na widok zachwyconego spojrzenia, jakim Emily objęła swoje odbicie w lustrze.

- Uważasz, że wyglądam... egzotycznie?

- Niezmiernie egzotycznie.

- Dziękuję! - zawołała Emily, podskakując z podniecenia. - Idę pokazać się mamie.

Margery ruszyła za nią, ale cofnęła się, kiedy spostrzegła, że bratowa wita się z przyjaciółkami, który przyszły do niej z wizytą.

Trzy przerażone dziewczyny o mało nie zemdlały na widok Emily.

- Wyglądasz jak dzika! - zawołała Josephina.

- Na twoim miejscu nie pokazywałabym się nikomu w takim stanie - poradziła Jane.

- Powinnaś być ostrożniejsza w doborze przyjaciół, w wiadomość o tym rozniesie się w towarzystwie, będziesz spalona Emily, która najwyraźniej miała już powyżej uszu ich gadaniny wyprosiła je z domu. A po ich wyjściu zalała się łzami. Margery szybko zbiegła ze schodów.

- Przykro mi. Nie przypuszczałam, że coś podobnego może się wydarzyć.

- To nie twoja wina. - Emily szlochała. - Powinnaś lepiej dobrać sobie przyjaciółki.

- Ludzie z towarzystwa wyśmiewają to, czego nie potrafią zrozumieć.

- Przepraszam! - zawołała Emily i wbiegła po schodach na górę.

Po chwili Margery usłyszała, że trzaskają drzwi jej pokoju.

Uwa tygodnie później zaproponowano Margery, żeby wraz z całą rodziną pojechała do kościoła. Kiedy Charles dowiedział się, że i ona ma jechać, stwierdził, że wobec tego on zostanie w domu.

- W takim razie pomodlimy się za twoją pełną zawziętości duszyczką, kochanie - oznajmiła Octavia i najspokojniej w świecie wyszła z domu.

- Może jednak zostanę - zaproponowała Margery. Jej teściowa stanęła jak wryta.

- Zostaniesz? Dlaczego?!

- Żeby on mógł pojechać do kościoła z rodziną.

- Nonsens. Charles jest taki nieugięty, bo się boi.

- Czego?

- Mężczyźni robią się nerwowi na myśl o kobiecej solidarności, moja droga. Nie chodzi o to, że jedziesz z nami do kościoła. Chodzi o nasze trójprzymierze.

- Cywilizowany świat jest okropnie skomplikowany.

- To prawda. Szkoda, że nie urodziłam się dzikuską - zażartowała Emily.

„Jesteś dzikuską - odpowiedziała Octavia i spojrzała na I „^ę takim wzrokiem, że Emily z chichotem i łopotem spódnicy wskoczyła pospiesznie do powozu i wcisnęła się w sam kąt.

Kiedy po zakończeniu mszy wyszły z kościoła, Octavia zaszalała chwilę, żeby porozmawiać z pastorem. Margery i jej bratowa ruszyły naprzód, bo Emily miała nadzieję spotkać Lydię, którą chciała zaprosić na herbatę. Lydia zdążyła jednak odjechać, zanim one wyszły z kościoła. Zatrzymały się na chwilę - żeby przywitać się z Johnem i Randem, po czym skierowały się do powozu.

- O. Emily! Jak się cieszę, że cię widzę! - Dobiegł ich okrzyk z mijanego właśnie powozu, w którym siedziały Frances Overmyre i Sarah Freeman. Obie zauważyły Margery, ale się z nią nie przywitały. - Chodź do nas na chwilę. Musimy cię o coś zapytać.

Margery zatrzymała się, a Emily podeszła do powozu Overmyre"ów. Margery nie słyszała, o czym rozmawiano, ale sądząc po minie Emily i rzucanych na nią ukradkowych spojrzeń obu dziewcząt, to ona, Margery, była przedmiotem rozmowy. Po chwili dobiegł jej uszu podniesiony głos Emily.

- Nic mnie to nie obchodzi! Jeśli wy dwie reprezentujecie ten rodzaj przyjaciół, których mogę stracić, to ta strata nie będzie zbyt wielka. Zdyszana i zaczerwieniona z gniewu dziewczyna podeszła do

Margery i wzięła ją pod rękę.

- Chodź, mama już pewnie na nas czeka.

- Mówiły o mnie - bardziej stwierdziła niż zapytała Margery.

- Właściwie to mówiły o mnie. Najwyraźniej dotarły do nich relacje o moim występie z piórami we włosach. Sarah twierdzi, że w całej okolicy nie mówi się o niczym innym, tylko o tym, że staję się taką samą dzikuską jak moja bratowa.

- 1 co jej powiedziałaś?

- Że pewnie ma rację, bo i moja mama uznała niedawno, że jestem dzikuską.

IVlargery jedynie do wtorku udało się utrzymać w tajemnica przed Charlesem, że będzie miała dziecko. Emily wypapjała wszystko podczas obiadu. Książę zareagował na tę nowinę atakiem furii. Wbił w synową lodowate spojrzenie i wycedził okrutne, raniące słowa.

- Może mi powiesz z łaski swojej, czyje to dziecko? Margery, która jeszcze przed chwilą była głodna jak wilk natychmiast straciła apetyt. W pierwszej chwili chciała pod wpływem szoku zerwać się z miejsca i uciec z jadalni. I prawdopodobnie to właśnie by zrobiła, gdyby nie podniosła wzroku na uważną, pełną oczekiwania twarz teściowej. Ten wyraz twarzy był dla niej wstrząsem. Spodziewała się raczej złości, przykrości czy wręcz furii.

Szybko pojęła, że Octavia czeka na jej reakcję, na to, w jaki sposób synowa spróbuje się bronić. Odnosiła wrażenie, że teściowa chce jej powiedzieć: już nigdy więcej nie ruszę ci na ratunek, bo najwyższy czas, żebyś nauczyła się sama o siebie walczyć.

I Margery zdała sobie sprawę, że ucieczka to zdecydowanie nie najlepszy sposób obrony własnej niezależności, a w ciągu ostatnich trzech miesięcy nauczyła się przede wszystkim, że musi być silna i stanowcza. Musi stać się kobietą zdolną „zatrzymać lawinę”, jak często i trafnie mawiała Octavia.

Margery postanowiła udawać spokój i opanowanie, których bynajmniej nie czuła.

- Jeszcze nie podjęłam decyzji, kto jest ojcem, ale kiedy zdecyduję, będziesz pierwszym, który się o tym dowie.

- Myślisz, że w to uwierzę?! Pewnie nie marzysz o niczym innym, jak wymusić na mnie akceptację wnuków, co do których pochodzenia mam poważne wątpliwości. Na szczęście doskonale znam Williama. - Charles zwrócił się do żony: - Nie zgadzam się, żeby rodziła tutaj, w tym domu. Czy zastanowiłaś się, ^{co} ludzie o tym pomyślą?

Margery siedziała bez ruchu, sztywno wyprostowana i milczała jak grób. Bała się nawet odetchnąć. Cała niezależność, wbijana

w głowę przez Octavię, ulotniła jak dym przez otwarte okno, ^J, do kontraktaku ruszył dawny odruch dostosowywania się do oczekiwań otoczenia.

Wbiła wzrok w kryształowy kandelabr, a kiedy zaczął się jej zamazywać przed oczami, zaczęła szybko mrugać. Nie wydała żadnego dźwięku, ale poczuła, że łzy spływają jej po policzkach. Wiedziała, że Octavia patrzy na nią i czeka, aż synowa sama upora się z nową falą emocji. To element nauki samodzielności i nawet jeśli oznacza to płacz przy stole w jadalni, trudno, niech i tak będzie.

Octavia odstawiła szklanekę z wodą.

- Pomyślą, że urodziła dziecko pod nieobecność męża. To się dość często zdarza, Charlesie.

- Nie w moim domu. W moim domu to się nie zdarza.

- To co, twoim zdaniem, powinnam zrobić? Wyprowadzić ją na dwór i pozwolić, żeby urodziła na klombie przed domem? Charles zerwał się na równe nogi i cisnął serwetkę na talerz.

- Jeśli o mnie chodzi, może sobie rodzić w stajni. Skoro Will nie chce tu mieszkać, to i ona nie powinna.

- Przyjdzie dzień, Charlesie, że pożałujesz tych słów.

- Nigdy! - ryknął i wypadł z pokoju.

Octavia spojrzała na Emily, która siedziała przy stole ze skruszoną miną.

- Przepraszam, mamu. Nie chciałam narobić kłopotów, ale byłam taka podniecona! Octavia uśmiechnęła się i nakryła ręką dłoń córki.

- Rozumiem. Wszyscy jesteśmy podnieceni. To błogosławieństwo dla tego domu. Żałuję tylko, że nie mogę zawiadomić Williama. Ale sam jest sobie winien. To kara za to, że w samą Wigilię rozwiął się w mroku nocy jak duch, że zniknął stąd... jak za podszeptem diabła.

Spojrzała na Margery.

- Wiem, co teraz myślisz, ale nie masz racji. Niezależnie od tego, jakiego osła zrobił z siebie Charles, nie wolno ci zapomnieć,

it to jest twój dom, Margery. I z pewnością nie czas teraz n myśl o wyjeździe. Musisz myśleć tylko o dziecku.

-Ale jestem tu osobą niepożądaną...

- Bzdura! Powinnaś już się zorientować, że to stały sposób mojego męża, żeby zrobić komuś przykrość. Najlepszą metoda postępowania z takim człowiekiem jest odgryzanie mu się. jaj-to przed chwilą zrobiłaś. Trzeba mu się stanowczo przeciwstawić, kiedy staje się już absurdalnie śmieszny. Żadna z nas nie rodzi się kobietą. Kobieta dopiero się stajemy. Jeśli będziesz siedzieć i cierpliwie czekać, żeby mężczyzna podał ci władzę na srebrnej tacy, będziesz tak czekać aż do końca swoich dni. Innymi słowy, nigdy się tego nie doczekasz. Władza to jest coś, co trzeba sobie wywalczyć, nie otrzymuje się jej w prezencie. Nieźle dostałam po krzyżu, zanim to pojął.

- Nie rozumiem.

- A jak ci się wydaje, w jaki sposób przeżyłam te wszystkie lata małżeństwa? Powiem ci. Kiedy mąż po raz pierwszy się na mnie rozdarł, uciekłam z płaczem do swojego pokoju. A następnego dnia wróciłam pędem do mamusi.

- Uciekłaś od ojca i przeniosłaś się do babci? - Oczy Emily były okrągłe ze zdumienia.

- Tak.

- I co dalej? Przyjechał po ciebie?

- Nie, ku mojemu ogromnemu rozgoryczeniu, nie przyjechał.

- To jak doszło do tego, że znowu się zesłiście?

- Wróciłam do domu... a raczej zostałam odesłana do domu. I to po ostrej reprimendzie.

- Co ci babcia powiedziała? - Emily położyła łokcie na stole i podparła brodę rękami.

- Powiedz, co powiedziała? - poprosiła Margery i przybrała taką samą pozę jak Emily.

Miny dziewcząt, zachłannie czekających na dalszy ciąg opowieści, widocznie rozbawiły Octavię, bo uśmiechnęła się szeroko.

- Powiedziała, żebym znalazła w sobie hart ducha. I to ja*

jszybciej, bo jeśli jeszcze raz dopuszczę do tego, by Charles dusił mnie do ucieczki, to moje życie zmieni się w piekło. , Babcia użyła słowa piekło?!

_ Tak, ale to wcale nie oznacza, że i tobie wolno go używać.

Emily przybrała skruszoną minę i Octavia podjęła opowieść.

- Nigdy nie zapomniałam, w jaki sposób matka mnie usadziła. Nie zapomniałam również jak opowiedziała mi o sobie i moim ojcu. Była to bardzo podobna historia do tej, którą teraz wam opowiadam.

- Naprawdę? - Margery niemal osłupiała.

- Naprawdę. Powiedziała, że muszę się zdobyć na odwagę, żeby stanąć we własnej obronie, i na jeszcze więcej odwagi, by nie zrezygnować, dopóki do Charlesa nie dotrze, że nie mam zamiaru być skomlącą u jego stóp ofiarą. Powiedziała, że jeśli nie nauczę się sama bronić, to mogę się od razu rzucić pod koła rozpędzonego powozu, co będzie mniej bolesne niż długie lata małżeństwa z mężczyzną, który zachowuje się jak rozjuszony niedźwiedź.

- I wtedy wróciłaś do ojca?

- Tak.

- Ucieszył się na twój widok? - Margery umierała z ciekawości, żeby poznać więcej szczegółów.

- Ucieszył się? Wielkie nieba, nie! Był równie grubiański jak zwykle, może nawet bardziej. Posunął się nawet do stwierdzenia, że nawet nie zauważył mojej nieobecności.

- Niemożliwe! - Emily aż sapnęła z przejęcia.

- Ależ tak. - Octavia pokiwała głową.

Margery pochyliła się do przodu tak bardzo, że jeden z jej łoków wpadł do szklanki z wodą. Niecierpliwie wycisnęła zeń wodę.

- I co zrobiłaś?

- Wzięłam wazon z różami i rozbiłam mu go na głowie. To był śliczny wazon. Jeden z moich ulubionych.

- Rąbnęłaś ojca w łeb wazonem z różami?!

- Tak. I stwierdziłam, że nawet jeśli nie zauważył mojej

nieobecności, mogłam się założyć o każde pieniądze, że mój powrót nie umknął jego uwagi.

Margery wybuchnęła śmiechem. Wyobraziła sobie ociekającego wodą teścia z włosami przyklejonymi do czaszki i różami zwisającymi z uszu. Obraz był tak komiczny, że nie była w stanie się powstrzymać.

Octavia i Emily śmiały się wraz z nią do rozpuku.

- Szkoda, że to już koniec tej historii. - Margery westchnęła, kiedy przestały się śmiać i zaległa cisza.

- Ależ to wcale nie koniec - odparła Octavia.

- Jest dalszy ciąg?

- Muszę przyznać, że w ciągu pierwszych kilku lat małżeństwa niejednokrotnie żałowałam, że nie wyszłam za Ruperta.

Emily, której oczy zaczęły już przybierać nieprzytomny wyraz, jakby była nieco śpiąca, poderwała głowę i spojrzała na matkę z ponownie wyostrzoną uwagą. Margery zapomniała o swych niedawnych przykrościach i obie zapytały jednym głosem:

- Kto to jest Rupert?

- Rupert był moją pierwszą miłością. Zginął w czasie wojny z Napoleonem. Rozpaczalam bardzo długo i postanowiłam, że nigdy nie wyjdę za mąż... i pewnie nie wyszłabym, gdyby ojciec nie wydał mnie za Charlesa.

- Jakże to romantyczne! - zawołała Emily, ocierając łzy. - Biedny Rupert, tak młodo zginął. Jakże to bezduszne ze strony dziadka, że wydał cię za innego i pozbawił chwały dotrzymania wiary Rupertowi i połączenia się z ukochanym we wspólnym grobie.

Margery nie odezwała się. Próbowwała zrozumieć, dlaczego dotrzymanie wiary nieboszczykowi miałyby być romantyczne i chwalebne. Najwyraźniej to jakiś angielski obyczaj. Już przed przyjazdem tutaj zdążyła się zorientować, że Anglicy mają przedziwne obyczaje. Może to kolejne z ich dziwactw?

Kilka miesięcy później dowiedziała się, że wojna z Napoleonem skończyła się przed czterdziestu trzema laty, czyli Octavia miała wówczas dziesięć lat, była więc zdecydowanie zbyt młoda, by

kochać się w Rupercie bądź kimkolwiek innym. Co oczywiście „je zmieniało fakt, że opowiedziana przez nią historia była niezmiernie interesująca i znakomicie ilustrowała istotę problemu. Margery uznała, że matka zrobiła to, co było konieczne.

Kiedy doszła do tego wniosku, jej synowie bliźniacy byli już na świecie, a wraz z nimi pojawił się potężny instynkt macierzyński. I dopiero w tym momencie uświadomiła sobie w pełni, jak niezwykłą kobietą jest Octavia.

Po urodzeniu synów, Roberta Charlesa i Williama Daniela, Margery była tak zajęta, że nie miała czasu na rozmyślanie o mężu i jego zdradzie. Zdarzały się jednak chwile, kiedy zadawała sobie pytanie, dlaczego jednemu ze swych najśladziejch chłopczyków dała imię po awanturczym ojcu.

Narodziny dzieci w niczym nie zmieniły sytuacji Margery w Emberly Hall. Nadal, jak co rano, natychmiast po wstaniu z łóżka dostawała długą listę zajęć, które musiała wykonać, zanim położy się spać. Poza spędzanymi z dziećmi godzinami, były jeszcze przymiarki u krawców i lekcje dobrych manier, godziny spędzane przy pianinie i tamborku do haftowania, nie wspominając już o jeździe konnej. Po późnym obiedzie malowała i przez cztery godziny uzupełniała edukację z guwernantką. Po miesiącach ćwiczeń uznano, że jest doskonale przygotowana...

Z wyjątkiem jednej dziedziny: tańca.

Nauczyciel tańca, pan Gerard, niejednokrotnie podnosił ręce na znak, że się poddaje. Kiedy Octavia popełniła błąd, zadając pytanie, dlaczego pan Gerard już po raz piąty chce złożyć rezygnację, usłyszała w odpowiedzi:

- Pani, nie da się jej nauczyć tańca. Ona zachowuje się tak, jakby brała udział w wyścigach. Ciągłe próbuje prowadzić,

zamiast pozwolić, by to partner ją prowadził. Liczy na głos. Łatwiej byłoby nauczyć tańca twojego, pani, konia, niż synową.

_ Niech się pan bardziej postara, panie Gerard. Jestem przekonana, że lady Margery wkrótce pojmie, o co w tańcu chodzi. Nauczyciel pochylał się nisko nad dłonią Octavii.

- Podejmuję to monumentalne wyzwanie jedynie dla pani. - Westchnął ciężko. - Spróbuję. Dał znak akompaniatorce, żeby zaczęła grać, i zwrócił się do

Margery:

- Proszę, lady Margery, jeszcze raz. Proszę spróbować zapa miętać, że jest pani piórkiem, które lekko płynie w powietrzu. Nie jest pani barką, którą trzeba pchać po Tamizie. Piórko... raz, dwa, trzy... piórko, raz, dwa, trzy...

Raz za razem okrażali pokój, a Margery powtarzała sobie jak zaklęcie: piórko... raz, dwa, trzy...

Starła się ze wszystkich sił zrobić przyjemność Octavii i wkrótce udało jej się niemal sobie wmówić, że istotnie jest piórkiem.

W tym momencie pan Gerard oznajmił, że Margery porusza się w tańcu niemal tak lekko jak dryfujące w powietrzu piórko.

- Wielkie nieba! Złapała! Wreszcie złapała!

Rozpromieniona Margery zwróciła się w stronę teściowej, która najwyraźniej była bardzo przejęta nowiną.

- A więc jesteś już gotowa, żeby wyruszyć na podbój Londynu, kochanie.

vrdy tylko Charles, który nie chciał nawet spojrzeć na swoich nowo narodzonych wnuków, dowiedział się, że wybierają się do Londynu, żeby podjąć przygotowania do rozpoczynającego się sezonu, oznajmił stanowczo, że nie jedzie.

- Będzie nam ciebie brakowało, kochanie - stwierdziła spokojnie Octavia.

- Czy to znaczy, że pojedziesz beze mnie?!

- Oczywiście. Nie widzę powodu, żebym miała stracić sez tylko dlatego, że ty nie masz ochoty wziąć w nim udziału.
- Ale... ale...
- Tak, kochanie?
- Nie możesz przecież pojechać beze mnie! Kto cię będzie eskortował?
- John. Jestem pewna, że będzie uszczęśliwiony, mogąc cię zastąpić.
- Octavio, Londyn nie jest bezpiecznym miejscem dla samotnej kobiety. Nie możesz...
- Będę ostrożna, kochanie. - Octavia podniosła dwa palce jak do przysięgi i pocałowała męża w policzek.
- Kiedy powtórzyła rozmowę Emily i Margery, córka robiła wrażenie zaniepokojonej.
- Jeszcze nigdy nie byliśmy w Londynie bez taty.
- Emily, nie przejmuj się bredniami ojca. Mężczyźni chcieliby, żebyśmy my, kobiety, wierzyły, że ziemia jest płaska i jeśli oddalimy się za daleko od domu, to spadniemy w przepaść. To oczywiste bzdury. Nie spadniesz.
- Kilka dni później przybyły do Londynu.
- Trzy dni zajęło im urządzenie się w miejskim domu przy St. Charles Street. Margery zajęła śliczny pokój oddalony zaledwie o kilkoro drzwi od pokoju dziecięcego, nie była więc za daleko od synów, mimo że byli pod opieką dwóch pielęgniarek i niani.
- Tydzień po przyjeździe do Londynu Octavia, Emily i Margery spotkały w teatrze Caroline i Roberta. Caroline przedstawiła Margery księżnej Grenville i jej ślicznej ciemnowłosej córce, Annabelli, księżnej Dunford, która przyjechała z wizytą ze Szkocji.
- Po odejściu księżnych podeszła do nich lady Ashford.
- Widziałam, że rozmawiałas z córką księcia Grenville.
- Tak - odparła Octavia - To piękna kobieta. O ile dobrze zrozumiałam, jej mąż, książę, jest Amerykaninem.
- Owszem - potwierdziła lady Ashford i zamilkła na chwilę - jakby się nad czymś zastanawiała. - Wiesz, coś mi się przyP^o

■nnało. Słyszałam opowieści... oczywiście, było to ładnych parę lat temu, że rodzice księcia zostali zamordowani przez Indian, i a jego bracia rozjechali się we wszystkie strony. .. To straszne - szepnęła Emily.

- Owszem, ale to jeszcze nie wszystko - ciągnęła lady Ashford.

- Słyszałam, że miał jeszcze siostrę i dziewczynka została porwana przez Indian. - Urwała i pogładziła dłoń Margery. - Tak jak ty, kochanie. Czy możesz uwierzyć, że coś takiego mogło się zdarzyć dwukrotnie?! Słyszałaś o czymś podobnym?

- Niestety, to dość częste przypadki. Oczywiście nie sposób dokładnie określić ich liczby, ale idą w setki. Niejednokrotnie spotykałam inne branki. .

Lady Ashford była zdumiona. Margery najwyraźniej tym stwierdzeniem wiele zyskała w jej oczach.

- Och, moje biedactwo. Proszę, przyjdź do mnie w czwartek na herbatę. Chciałabym, żebyś mi o tym szerzej opowiedziała.

W tym momencie światła na widowni przygasły, kładąc kres rozmowie. Margery życzyła lady Ashford miłego wieczoru i odeszła wraz z rodziną do swojej łoży.

Podczas przerwy nie zeszła na parter z Octavią i Emily. To była jej pierwsza wyprawa do teatru i czuła się nieco przytłoczona wspaniałością złoceń i kandelabrow. Siedząc sama, podsłuchiwała rozmowę dwóch kobiet w sąsiedniej łoży.

- Bardzo współczuję Octavii, że musi ciągnąć ze sobą takie brzemie.

- Słyszałaś, ona podobno wplata we włosy pióra, jak Indianka?

- Nie!

- Ależ tak! Słyszałam to z ust lady Penworthy, która z kolei dowiedziała się od lady Marberly. W tym momencie Margery przyszedł do głowy pewien pomysł.

A ydzień później Margery stroiła się na swój pierwszy bal. Miała najpiękniejszą suknię, jaką kiedykolwiek widziała, z białozielonego jedwabiu, szeleszczącego przy każdym ruchu. Głęboko

wycięty dekolt obramowany był różowymi satynowymi różycami, które zdobiły także dół sukni.

Rzuciła ostatnie spojrzenie w lustro i przypomniała sobie zasłyszana w teatrze rozmowę. Zdecydowanym ruchem wyjęto wpięte we włosy różowe różyczki i rzuciła je na toaletkę. Podbiegła do swego kufra i grzebała w nim przez dłuższą chwilę zanim udało jej się znaleźć pióra.

Wróciła do lustra z wybranymi białymi puszystymi piórami i kilkoma dłuższymi, mieniącymi się zielenią. Wplotła je we włosy wraz z kilkoma różyczkami.

Już! Skoro i tak uważają ją za dzikuskę, dlaczego miałyby to ukrywać.

IVAargery już w chwili, kiedy weszła na salę balową, odniosła niebywały sukces, wszyscy uznali ją za prześliczną. Pióra we włosach nikomu nie przeszkadzały, bo - jak poinformowała ją Octavia - uznano powszechnie, że jest pełna wdzięku, opanowana i otwarta, słowem: porywająca i świeża.

- Jest niebywale intrygująca dzięki swej egzotycznej rezerwie - orzekła wdowa po księciu Dudley. - Kiedy weszła do pokoju, wydawało mi się, że powiew świeżego, chłodnego powietrza wdarł się przez uchylone drzwi do dusznej, zadymionej palarni. - Objęła Margery i poklepała ją po ramieniu. - Te pióra są fantastyczne! Jesteś sprytną dziewczyną, zagrałaś nimi na nosie śmietance towarzyskiej. Wszyscy mieli zamiar szeptać o nich za twoimi plecami, a ty tymczasem całkowicie pozbawiłaś ich spodziewanej radości.

- Przykro mi, wasza wysokość.

- A mnie nie! Nie ubawiłam się tak od czasu, kiedy lady Marsley wylała pełną szklankę jakiegoś napoju na suknię lady Caroline Lamb.

- Kiedy to było, wasza wysokość? - dopytywała się Emily - zawsze ciekawa pikantnych ploteczek.

- Mniej więcej czterdzieści... może nawet pięćdziesiąt lat temu-

JS astępnego wieczoru Octavia, Emily i Margery wybrały się do opery - Stały jak wryte, bo natychmiast po wejściu zostały otoczone przez damy z towarzystwa, z których każda miała we włosach pióra. Wkrótce pióra zostały uznane za przebój sezonu. Trzy tygodnie po przyjeździe do Londynu Margery towarzyszyła teściowej i bratowej podczas przyjęcia u księżnej Shrewsbury, które miało się odbyć w ogrodzie. Dotychczas cały czas padało, ale tego dnia deszcz ustał i zrobiło się gorąco. Londyn był duszny i wilgotny.

Jeszcze zanim dotarli na przyjęcie, Margery zdała sobie sprawę, że popełniła błąd w doborze stroju. Suknia była śliczna, z bładniebieskiego jedwabiu, ale miała długie rękawy i gorset ściśnięty ponad miarę, co w połączeniu z upałem i faktem, że nic nie miała tego dnia w ustach, sprawiło, że czuła się nie najlepiej. Kiedy znalazły się w ogrodzie, w którym nie było przewiewu, kłębił się natomiast tłum ludzi, zrobiło jej się słabo.

- Chcesz wyjść? - zapytała Octavia.

- Nie, może wystarczy, że usiądę gdzieś i łyknę świeżego powietrza.

- Przy końcu tej alejki jest altanka. Posiedź w niej przez chwilę. Będziesz z dala od tłumy, no i jest tam przewiew, bo altanka wychodzi na śliczny staw.

Margery przeprosiła i ruszyła alejką w stronę altanki.

Pospieszył za nią Freddy Hardcastle, markiz Harrington, który nie został jej jeszcze przedstawiony.

Ledwo Margery weszła do altanki i rozłożyła wachlarz, żeby ochłodzić twarz, Freddy usiadł przy niej i to niestosownie blisko.

- Ma pani ochotę na towarzystwo? - zapytał.

- Proszę wybaczyć, ale wolałabym zostać sama. Nie czuję się najlepiej - odpowiedziała. - Przyszłam tu, żeby odetchnąć świeżym powietrzem.

- W takim razie zdecydowanie powinienem zostać. Nie byłoby najlepiej, gdyby pani zasłała, nie mając pod ręką nikogo, kto by się mógł panią zająć.

- Poradzę sobie sama.
- Owszem, obito mi się o uszy, że należy pani do niezależnych kobiet. Pewnie dlatego, że nie ma pani przy sobie mężczyzny, który mógłby się o panią zatroszczyć.
- Nie potrzebuję mężczyzny, który by się o mnie troszczył
- Freddy zdjął rękawiczki, położył je obok siebie na ławeczce i zaczął wodzić palcem po nagim ramieniu Margery.
- Kobieta zawsze potrzebuje mężczyzny, który by się nią zajął, chyba pani rozumie, co mam na myśli. Pani mąż już tak dawno wyjechał. Kobieta taka jak pani musi się czuć samotna.
- Margery stanowczo odsunęła jego rękę.
- Dzięki rodzinie Williama i moim dwóm synom nie odczuwam samotności.
- Ale istnieją pewne... potrzeby, których rodzina ani dzieci nie są w stanie zaspokoić.
- Margery zerwała się z ławeczki. Była już niemal w drzwiach altanki, kiedy Freddy stanął przed nią i zagroził jej drogę.
- Próbowała obejść go z lewej strony.
- Zrobił krok w lewo i znów zagroził jej drogę.
- Próbowała obejść go z prawej.
- Znów zrobił krok i po raz trzeci stanął jej na drodze. Spojrzał z góry w głęboki dekollet jej sukni.
- Jest pani piękną i podniecającą kobietą. Czy zdaje pani sobie sprawę, co czuje mężczyzna, który patrzy na panią tak jak ja teraz?
- Owszem, czuje ból - odpowiedziała Margery i z całej siły uderzyła go w twarz.
- Freddy zachowywał się, jakby nic się nie stało i nadal prawił jej komplementy. I nagle, zanim Margery zorientowała się, ^{co} on zamierza zrobić, powiodł palcem wzdłuż wycięcia dekolletu-
- Ma tam pani coś, co mnie bardzo interesuje - wymruczał-
- Margery uśmiechnęła się czarująco i cofnęła się o krok.
- A tutaj mam coś, co jeszcze bardziej pana zainteresuje. - Uniosła spódnice, odsłaniając długą nogę.

- Wiedziałem, że jest pani kobietą stworzoną dla mnie. I c/jedziałem ^{lo} J^{uz} w chwili, gdy panią ujrzałem. - Uśmiechnął się do niej porozumiewawczo i puścił ją.

Nie odezwała się, tylko jeszcze wyżej uniosła spódnice. Freddy przełknął z trudem ślinę. Wyciągnął do niej rękę, ale odskoczyła i wyjęła zza podwiązki nóż. Spódnice opadły.

Rzucił się na nią. Upadli na ziemię, mocując się ze sobą. Był wyższy i cięższy, ale szybka i zwinna Margery, po chwili 1 znalazła się na górze.

Zanim Freddy zdołał ją z siebie zepchnąć, przyłożyła mu nóż do szyi. I - Posłuchaj, ty obleśny półgłówku, niedobrze mi się już robi od tego obmacywania. Dotknij mnie raz jeszcze, a poderżnę ci gardło od ucha do ucha i bramę wjazdową do posiadłości księżnej uwieńczyę twoim skalpem.

Freddy wydal jakieś zduszone stęknienie. Margery zastanawiała się, czy będzie jeszcze próbował jakichś sztuczek, ale nie miała się czego obawiać. Wstrząs wywołany dotykiem ostrza noża sprawił, że Freddy był bliski omdlenia i mógł już tylko leżeć bez ruchu i ciężko dyszeć. Oczy niemal wyszły mu z orbit; był błyśnięty jak ściana. Margery, chowając nóż za podwiązkę, uświadomiła sobie, że wokół nich zebrał się spory tłumek gapiów. Nie zwracając na nich uwagi, wstała i uwolniła Freddy'ego.

- Po barbarzyńcy nie można spodziewać się niczego poza barbarzyńskim zachowaniem - oznajmiła lady Lovett w przesterzeń, nie kierując swojej uwagi do nikogo w szczególności.

- Owszem, Freddy rzeczywiście zachował się jak barbarzyńska bestia, prawda? - stwierdziła dumnie Octavia, która była świadkiem całego zajścia.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a niektórzy nawet zaczęli bić brawo. Freddy pozbierał się z ziemi i umknął ukradkiem. Emily, Lydia i Octavia stanęły u boku Margery.

- To był wspaniały wyczyn - stwierdziła z uznaniem Lydia.

W tym momencie pojawił się John i uważnie przyjrzał się Margery.

- Właśnie dowiedziałem się, co się wydarzyło. Jak się czujesz?
- Znakomicie. - Dziewczyna spojrzała w dół na swoją suknię na której widać było smugi brudu i żdźbła trawy. - Jestem w zdecydowanie lepszej formie niż moja suknia.

- Suknia padła ofiarą walki w słusznej sprawie - skomentowała Lydia. - Jak żyję, nie widziałam nic podobnego.

- Ja też - pisnęła Emily. - Pokażesz mi, jak to się robi? Jak Boga Kocham! Pokazałaś temu staremu zboreznikowi, gdzie jego miejsce!

Octavia o mało nie zemdląca z wrażenia.

- Emily, gdzie ty się nauczyłaś takich słów?!

- Ja...

- Podśledzałam! - dokończyły za nią zgodnym chórem Lydia i Margery i wszyscy zaczęli chichotać.

Po chwili, już w powozie, kontynuowali rozmowę.

- Przepraszam za to, co się stało - powiedziała Margery. - Obawiam się, że pozbawiłam was szans na następne zaproszenia do ludzi z towarzystwa.

- Nonsens! - zawołała Octavia. - Kiedy jest się ulubienicą wyższych sfer, stają się one niezwykle tolerancyjne. - Pochyliła się i uścisnęła dłoń synowej. - A poza tym jeszcze nigdy w życiu nie widziałam nic równie wspaniałego i nie byłam z nikogo tak dumna. Szkoda tylko, że William nie mógł tego zobaczyć.

Kiedy padło imię Williama, serce Margery przestało na chwilę bić. Jakby wyczuwając zmianę nastroju dziewczyny, nikt się nie odezwał. Milczenie przerwała dopiero Octavia.

- Bardzo bym chciała wybrać się kiedyś do Ameryki i zobaczyć tych twoich Crowów.

- Ja też! - zawołała Emily. - Pokażesz mi, w jaki sposób obezwładniłaś Freddy'ego? Johnie, zdobędziesz dla mnie taki nóż, jaki ma Margery?

- A po co? Żebyś ganiała z nim biednego Freddy'ego? - John roześmiał się z całego serca.

- Biednego Freddy'ego?! Też coś! - prychnęła gniewnie Lydia.

L Freddy zasłużył sobie w pełni na to, co go spotkało - 'wiadczyła Emily. - Zawsze rozgląda się lubieżnym wzrokiem, eby przydybać jakąś kobietę na osobności i raczyć ją swoimi •orośnymi cytatami z Owidiusza.

- A ty skąd możesz wiedzieć o Owidiuszu? - Octavia pytająco uniosła brwi. Emily zamilkła. - Zresztą nieważne. Wiem skąd. Emily. musisz wreszcie skończyć z tym podsłuchiowaniem.

_ To jak mam się czegośkolwiek dowiedzieć?

Octavia zawahała się na chwilę.

- Cóż, jeśli już koniecznie musisz podsłuchiwać, to naucz się podstawowej zasady.

- Jaka to zasada?

- Nie daj się przyłapać.

Cały powóz zatrząsł się od śmiechu.

Dziesięć dni później Charles zmarł, rażony atakiem apopleksji.

Margery, Emily i Octavia wróciły właśnie do londyńskiego domu po złożeniu szeregu wizyt, kiedy nadszedł John i przekazał im złą wiadomość. Natychmiast wyruszyły do Emberly Hall.

Charles został pogrzebany dwa dni po ich powrocie. Octavia starała się trzymać formę, przynajmniej przy ludziach, ale ilekroć wychodziła ze swojego pokoju, widać było na jej twarzy ślady łez.

Rodzina była w żałobie, wszyscy chodzili w czerni.

- W tych żałobnych sukniach wyglądam, jakbym zanurzyła twarz w mące - żaliła się Emily matce.

- Czerń i dla mnie nie jest specjalnie twarzowa - stwierdziła Margery.

- Przejdźcie się trochę po ogrodzie. Drzewa są już w pełnym rozkwicie. Słońce i świeże powietrze dobrze wam zrobią. Policzki się wam nieco zaróżowią - poradziła Octavia.

Podczas spaceru Margery wyznała szwagierce, jak bardzo jej przykro z powodu niechęci, jaką żywiła do teścia.

- Nie ma powodu, żebyś się czuła winna, Margery. Kochałam ojca, ale zdaję sobie sprawę, że daleko mu było do doskonałości. Sam był przyczyną swoich problemów z rodziną. Zawsze był zdecydowanie zbyt surowy w stosunku do Willa, a po śmierci

Jamesa stał się jeszcze gorszy. Nie był w stanie pogodzić się z tym, że Lydia i Will... - Emily zakryła ręką usta. - Pomówmy o czym innym. Mam już dosyć rozmów o zmarłych. Mam dosyć żałoby, a najbardziej ze wszystkiego mam dosyć czerni.

Już po raz drugi Emily o mało nie zdradziła czegoś, co dotyczyło wzajemnych stosunków Lydii, Jamesa i Willa. Margery postanowiła nie drażnić w tej chwili tematu i nie prosić szwagierki, żeby powiedziała coś więcej. Lepiej poczekać i zapytać Octavię.

Znakomita okazja ku temu nadarzyła się wieczorem, kiedy siedziały same w bibliotece, pisząc bileciki z podziękowaniami za wyrazy współczucia i dobroć, jaką okazywali im przyjaciele i członkowie rodziny w pierwszych tygodniach po śmierci Charlesa. Octavia odłożyła na chwilę pióro i zaczęła rozcierać

sobie

palce.

- Poprzednio robiłam to po śmierci Jamesa. Zdażyłam już zapomnieć, jakie kurcze łapią człowieka w dłoniach od tego

pisania.

- To musiały być dla ciebie potwornie ciężkie chwile... nawet

nie jestem w stanie wyobrazić sobie bólu po śmierci dziecka.

- To była koszmarna udreka... wiele czasu minęło, zanim zdołałam się jako tako pozbierać. Do dziś bywają chwile, kiedy ból jest tak świeży jak w dniu, kiedy otrzymaliśmy tę potworną wiadomość. Został pogrzebany na polu walki. Nie odesłano ciała do domu. Przez to było nam jeszcze trudniej się z tym pogodzić. Nie było namacalnego, fizycznego dowodu, że naprawdę odszedł, nie było grobu, który można oblewać łzami i pokrywać kwiatami, co przynosi pewną ulgę w cierpieniu.

Margery odłożyła pióro i wzięła głęboki oddech.

- Muszę cię o coś zapytać. Możesz powiedzieć, że to nie moja sprawa albo że nie chcesz o tym mówić. Masz do tego Prawo. Ale to pytanie dręczy mnie już od pewnego czasu. Muszę je żądać. Mam nadzieję, że zrozumiesz.

Octavia wpatrywała się w swoje palce. Nagle przestała je rozcierać i spojrzała na synową.

- Być może rozumiem więcej, niż ci się zdaje.
- Wiesz, do czego zmierzam?
- Podejrzewam. To dotyczy Lydii i Jamesa, prawda? Lydii Jamesa i Williama.
- Tak.
- Czy Emily z tobą o tym rozmawiała?
- Nie. Kilkakrotnie zbliżała się do tej sprawy, ale za każdym razem w porę gryzła się w język i zmieniała temat.
- Octavia uśmiechnęła się niemal z rozbawieniem.
- Ona jest taka spontaniczna. Czasem bierze to górę nad jej rozsądkiem. Pytałaś ją o to?
- Nie, nie chciałam jej stawiać w niezręcznym położeniu. Wolałam poczekać i zapytać ciebie.
- Dobrze zrobiłaś. Wątpię, czy Emily zdołała do końca zrozumieć całą tę sytuację. Chciałam utrzymać to przed nią w tajemnicy, ale Charles wrzeszczał tak głośno, że nie dało się tego przed nią ukryć.

Margery nie odezwała się ani słowem.

- James był naszym młodszym synem, nie mógł więc odnieść dziczyc tytułu. Myślę, że czuł się z tego powodu pominięty, w jakiś sposób oszukany, jakby samo życie odarło go z honorów i zaszczytów. Uwielbiał brata, zresztą William był w stosunku do niego niezwykle opiekuńczy, a jednak zawsze czuł wewnętrzną potrzebę, by nieustannie udowodniać sobie i innym swoją wartość. Zależało mu, by uważano go za co najmniej równego Williamowi, jeśli nie lepszego. Kiedy Lydia i James ogłosili, że mają zamiar się pobrać, miałam nadzieję, że to go uspokoi, odwróci jego uwagę od wewnętrznych problemów i skieruje jego energię na bardziej, jakby to powiedzieć, produktywne tory. Myliłam się. Ani miłość do Lydii, ani zaręczyny nie zdołały zmniejszyć jego potrzeby udowodniania własnej wartości. Kiedy wybuchła wojna krymska, dostrzegł w niej okazję okrycia się chwałą i wyrośnięcia ponad swą życiową pozycję drugiego syna. Nigdy nie zapomnę dnia, kiedy wpadł do domu jak burza i oświadczył, że idzie na wojnę. James doskonale wiedział, czego chce, i był przekonany,

y, wojna da mu szansę realizacji marzeń. Zaciągnął się natychmiast. Trzy i pół miesiąca później dostaliśmy zawiadomienie, że zginął.

- Tak mi przykro. Wiem, że to musiało być dla was wszystkich straszne...
- Owszem. Charles zamknął się w bibliotece i usiłował zapisać się na śmierć. William winił siebie za to, że nie zdołał wyperśwadować bratu tego pomysłu. A Lydia, oczywiście, miała złamane serce. Kiedy dotarła do niej ta wiadomość, wpadła w szał... zaczęła rzucać wszystkim, co popadło, niszczyła, co było pod ręką. Wreszcie rodzina posłała po Johna, który dał jej jakieś środki nasenne. Potem zamknęła się w sobie. Nie wychodziła ze swojego pokoju. Prawie nic nie jadła. Schudła tak bardzo, że rodzice zaczęli się obawiać o jej zdrowie. Ale najbardziej przerażał ich fakt, że nie była w stanie płakać. Nie mogła dać ujścia rozpaczy.
- Nie umiem jej sobie wyobrazić w takim stanie.
- Rozpacz robi z ludźmi dziwne rzeczy.
- Ale stopniowo wyszła z tego?
- Nie, z każdym dniem było z nią gorzej... aż do czasu, kiedy ojciec Lydii przyjechał do nas, żeby spotkać się z Williamem. Był zrozpaczony i błagał, żeby Will spróbował z nią porozmawiać. W dzieciństwie bardzo się przyjaźnili, Lydia była mu bliższa niż którakolwiek z sióstr. Lord Lancaster pokładał ogromne nadzieje w tej przyjaźni i wierzył, że zdoła ona uleczyć jego córkę. Ale potrzebował pomocy Williama.
- Co William miał, jego zdaniem, zrobić?
- Prosił, żeby spędził z Lydią trochę czasu i spróbował wyciągnąć ją z otchłani, w którą sama się pogрузzyła. Chciał, żeby Will pomógł jej zaakceptować śmierć Jamesa, sprawił, by przestała jej zaprzeczać. Chciał, żeby wreszcie zaczęła płakać, dała wyraz rozpaczy i dzięki temu z czasem przeboleła stratę.
- I do tego niezbędna była pomoc Willa?
- Tak, ale wówczas jeszcze nikt z nas nie zdawał sobie sprawy, jak wpłynęła na niego śmierć Jamesa. Gdybyśmy wie-

dzieli, że Will nie może sobie poradzić z własnym cierpieniem nie oczekiwaliśmy, że znajdzie ratunek na ból Lydie. Ale nie wiedzieliśmy i zaczął jeździć do Lancasterów. Z czasem udało mu się wyciągnąć Lydię z domu. Chodzili razem na długie spacerunki, ale nie pozwalała mu wspominać o Jamesie. Kiedy wymówił jego imię, natychmiast wracała do domu i przez kilka dni nie chciała widzieć Willa. Pewnego dnia był bardziej natarczywy. Zaprowadził ją do altanki nad stawem Lancasterów i zaczął mówić o Jamesie. Chciała uciec, ale jej nie wypuścił. Trzymał ją jak schwytaną w pułapkę zwierzę i mówił, mówił, mówił o Jamesie, dopóki Lydia się nie załamała. Wreszcie zaczęła płakać. A kiedy już raz zaczęła, nie mogła przestać. Will usiadł obok niej i przytulił ją. Płakała na jego ramieniu, aż zmoczyła mu całą koszulę. Była złamana rozpaczą, a Will cierpiał, że to on doprowadził ją do takiego stanu. Starał się jej pomóc, przynieść jej ukojenie. Od tego to się zaczęło. A gdy się ocknął, kochali się na podłodze altany.

- Will i Lydia? Octavia kiwnęła głową.
- Chyba nikt nie był tym tak zaskoczony jak właśnie oni oboje.
- Jak się dowiedziałaś?
- Will nam powiedział.
- A jak zareagował jego ojciec?
- Jak to Charles. Obarczył Willa winą za śmierć Jamesa i oskarżył o sprowadzenie na brata najgorszej hańby przez to, że odebrał dziewictwo dziewczynie, z którą James chciał się żenić.
- Ale dlaczego? Przecież James już nie żył. Ojciec nie był w stanie tego zrozumieć?
- Nie chciał zrozumieć. Uważał, że Will powinien być p^o wstrzymać brata, nie dopuścić, żeby zaciągnął się do wojska.
- Jak Will to wszystko przyjął?
- Był zdruzgotany. Stracił resztkę siły psychicznej, która mogłaby mu pozwolić podźwignąć się po śmierci brata. Teraz już ciągle oskarżał sam siebie.
- A Lydia?

_ Zniknęło to coś, co nie pozwalało jej uzewnętrzniać żalu po utracie Jamesa. Rozpaczała, jakby dopiero teraz dotarła do piekła, że poległ. Uznawała swój udział w tym, co się stało, i nigdy nie obwiniała Willa. Stopniowo zaczęła dochodzić do siebie. Nigdy nie uważała tego, co zaszło, za zdradę czy hańbę. Raczej za coś, co było niezbędne dla jej powrotu do zdrowia. \,ie czuła się ani winna, ani nieczysta. Powiedziała później, że jest zadowolona z tego, co się stało, że cieszy się, iż to był William, bo jednak stanowi jakby część swego brata. Przyjęła na siebie większą część odpowiedzialności, bo to przede wszystkim jej rozpacz przywiodła do niej Willa.

- A William? Zaraz potem wyjechał?
- Nie od razu. Zawsze był człowiekiem honorowym, pojechał więc do niej, by postąpić zgodnie z nakazem honoru. Odebrał jej dziewictwo. Lydia była dziewczyną szlachetnie urodzoną. Poprosił ją o rękę. Odpowiedziała: „Najdroższy Wiliamie, nie mogę zabrać ci całej reszty życia. Już i tak dałeś mi z siebie więcej, niż miałam prawo oczekiwać”.
- I wtedy wyjechał do Ameryki.
- Tak, wkrótce potem. Najpierw zaczęły go dręczyć koszmarne sny. Widział Jamesa z odstrzeloną połową ciała, pływającego w morzu krwi. Tak był tymi snami umęczony, że próbował nie kłaść się w ogóle, pił tylko bez przerwy, dopóki nie był tak odretwiarty i wyczerpany, że przestawał cokolwiek czuć. Zaczął sobie wyobrażać, że ma na rękach krew Jamesa. Pewnej nocy zamknął się na strychu. Siedział tam przez trzy doby, nic nie jedząc i nie pijąc, nic poza whisky. Posłałam po Johna. Musiał wyważyć drzwi. Kiedy weszliśmy do środka, całe poddasze było pokryte malowidłami. Wszystkie na wpół wykończone obrazy były portretami Jamesa. I wszystkie namalowane były czerwoną farbą, jakby Will maczał pędzel we krwi. Znalazł kufer, do którego zapakowałam rzeczy Jamesa. Wszystko powyciągał, Nie zniszczył niczego poza koszulami. Gorsy poznał śladami pędzla umazanego w szkarłacie. John zamknął Willa w pokoju w obawie, że może sobie zrobić coś złego. Kiedy wszedł tam

następnego dnia, okazało się, że Will uciekł. Zostawił króci, informację, że musi wyjechać, by znaleźć odpowiedzi na kilka pytań.

- Sądził, że znajdzie je na Dzikim Zachodzie?
- Moim zdaniem, uczeplił się nadziei, że odległość i czas pozwolą mu zrozumieć, dlaczego James musiał umrzeć i dlaczego jemu nie udało się uchronić brata przed tym losem.

Octavia spojrzała na Margery i położyła rękę na jej dłoni.

- A ty? Jak ty się na to zapatrujesz?
- Rozumiem cierpienie, nawet jeśli nie jest wyrażone słowami. Znam mękę koszmarnych snów, które rozdzierają serce, i znam udrękę zmagania się z przeszłością. Znam bezsilną rozpacz, która przychodzi, gdy zaakceptujemy swój los, i znam beznadziejność, kiedy dochodzimy do wniosku, że nie jesteśmy w stanie niczego zmienić. A jeśli chodzi o to, co zaszło między Lydią a Willem... nie winię żadnego z nich. Oboje zapłacili bardzo wysoką cenę za to, co utracili.

- Jesteś mądra ponad swój wiek. Niewiele żon byłoby w stanie wykazać tyle zrozumienia.

- Może dlatego, że kiedy słyszę jedno słowo, rozumiem dwa.

27

IN astał wyjątkowo piękny poranek i Margery szybko się ubrała. Emily była z wizytą u wujka Randa. Margery zamierzała poprosić teściową, żeby pojechała razem z nią odebrać dziewczynę i przywieźć ją do domu. Chodziło nie tyle o to, że Margery potrzebowała towarzystwa teściowej, ile o to, żeby wyciągnąć Octavię z domu.

Już sięgała po czepek, kiedy została zawiadomiona, że na dole czeka na nią gość. - Jakis dżentelmen, milady. - Lucette zachichotała i na jej policzkach pojawiły się dołeczki.

Margery zeszła na dół. Nie miała pojęcia, kto może składać jej wizytę. Stała pod drzwiami salonu, wyprostowała się i dopiero weszła do środka.

Zobaczyła Daniela pogrążonego w rozmowie z Octavią.

Przez chwilę stała w drzwiach jak wryta, wreszcie zawołała:

- Daniel!

Spojrzał na nią, wstał i na jego uradowanej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Margery rzuciła mu się w ramiona.

- Nie wierzę własnym oczom! Naprawdę tu jesteś - powie działa i cofnęła się o krok, żeby mu się przyjrzeć, jakby chciała skonfrontować wspomnienia z rzeczywistością. - Po prostu nie jestem w stanie uwierzyć. Naprawdę przyjechałeś!

- Mnie także trudno w to uwierzyć. Miałem w Londynie c do załatwienia i nagle wpadło mi do głowy, żeby w drog? powrotnej do domu wpaść do ciebie z wizytą.

Trudno powiedzieć, które z nich było bardziej zaskoczone-czy Margery, spotykając się z nim po raz pierwszy od chwili przyjazdu do Anglii, czy też Dan na widok zmian, jakie w niej zaszły.

Odsunął ją na całą długość ramienia, żeby się jej lepiej przyjrzeć.

- Od początku wiedziałem, że będzie z ciebie piękność, ale rzeczywistość przeszła moje najśmielsze oczekiwania. Jak ty się zmieniłaś!

- Zawdzięczam to teściowej - powiedziała dziewczyna, uśmiechając się do Octavii. - Jest wspaniała!

- Co do tego nigdy nie miałem najmniejszych wątpliwości. To niezwykła kobieta. - Twarz Daniela nagle złagodniała. -Przykro mi z powodu śmierci księcia.

- Dziękuję. To był szok dla nas wszystkich - odparła Octavia. - Mogę tylko dziękować Bogu, że to się stało tak szybko i że nie cierpiał.

- Tak, to prawdziwe błogosławieństwo. Udało się pani zawiadomić Willa?

- Nie, wróci do domu, kiedy do tego dojrzeje. Śmierć ojca niczego nie zmienia.

- Przypuszczam, że nie.

- Jak się czuje pańska matka?

- Odkąd wróciła od mojej siostry z Sussex, kompletnie przestała sypiać. - Daniel roześmiał się. - Julianę jest od trzech tygodni dumną mamą córeczki, a moja matka od tej chwili nie zmrużyła oka.

- Och, zapomniałam. Muszę ci koniecznie coś pokazać! - zawołała Margery, zerwała się na równe nogi i wybiegła z salonu.

Wróciła po chwili, niosąc na rękach obu synów.

- Pozwól, że ci przedstawię Williama i Roberta - powiedziała z dumą.

Daniel chyba po raz pierwszy w życiu zaniemówił. Podziwiał chłopców przez chwilę, a potem Margery posadziła ich na podłodze. Dorosli rozmawiali z ożywieniem, a dzieci bawiły się u stóp mamy, ciągnęły Daniela za spodnie i wydłubywały perełki zdobiące pantofelki Octavii. Kiedy Robbie zaczął marudzić, Margery zadzwoniła po nianię Goodpenny, żeby zabrała chłopców do dziecięcego pokoju.

- Słyszałem w Londynie, że zapanowała tam ostatnio dziwaczna moda, na skutek której mężczyźni zaczynają się obawiać o własne życie - powiedział Dan i puścił oko do Octavii.

- Doprawdy? Co to za moda? - zainteresowała się Octavia.

- Podobno damy zaczęły nosić noże zatknięte za podwiązkę.

- Och! - wyrwało się Margery.

- Ciekaw jestem, jak to się stało, że przyszedł im do głowy taki pomysł.

- Też jestem ciekawa - mruknęła Margery.

Daniel został zaproszony na obiad, a potem wyszedł z Margery na przechadzkę.

- Ciągle nie mogę się przyzwyczaić do zmian, jakie w tobie zaszły. Will zbaranieje na twój widok. Miałas od niego jakieś wiadomości?

- Czyżbyś spodziewał się odpowiedzi, że miałam?

- Nie, raczej nie. Nie napisał?

- Ani słowa.

- Więc nie ma pojęcia o narodzinach synów?

- Nie.

- Co będzie z wami... to znaczy... kiedy on wróci?

- Nie mam pojęcia. To zależy przede wszystkim od tego, czy on w ogóle zdecyduje się wrócić.

- Wróci na pewno.

- Mogę ci tylko pozazdrościć optymizmu, ale, szczerze mówiąc, niewiele mnie to obchodzi.

- Nie obchodzi cię, bo nauczyłaś się żyć bez niego?

- Moje życie jest pełne wydarzeń, a teraz, kiedy mam synów, także bogate. Nie potrzebuję już Williama, żeby wypełnić sobie

świat. Mężczyźni są jak Ziemia, a my, kobiety, jak Księżyc. Widzicie zawsze tylko jedną stronę, więc jesteście przekonani że znacie nas doskonale. Ale jest w nas o wiele więcej, choć wy pewnie nigdy nie będziecie w stanie tego dostrzec.

- Wcale mnie nie dziwi, że jesteś kobietą o wielu obliczach. Od początku zdawałem sobie sprawę, że jesteś silna, ale musiało się zdarzyć coś, dzięki czemu teraz stało się to oczywiste dla wszystkich.

- Moja teściowa mawia, że kobiety są jak herbata. Tylko wrzucone do wrzątku mogą pokazać, jakie są mocne.

Daniel roześmiał się i Margery spojrzała na niego uważnie. Z przyjemnością słuchała jego śmiechu, patrzyła na znajome kasztanowe włosy i wesołe oczy. Zdała sobie sprawę, jak bardzo brakowało jej Dana.

- Nigdy nie zapomnę, co dla mnie zrobiłeś. Zawsze będę uważać twoją przyjaźń za skarb. Chyba nie poradziłabym sobie tak dobrze, gdybym nie robiła tego dla ciebie.

- Za nic nie wziąłbym na siebie odpowiedzialności równie chętnie jak za to, kim się stałaś, ale nie mogę. To zawsze w tobie tkwiło, ja pomogłem ci jedynie to odnaleźć. Zdaję sobie sprawę, że nie było ci łatwo.

- Niełatwo byłoby przejść przez to w samotności. Gdyby nie Octavia, nie wiem, co by się ze mną stało.

- Przetrwiałabyś. I sędzę, że Will doskonale o tym wiedział.

- Wątpię, czy zaprzętał sobie głowę myśleniem o mnie. W jakikolwiek sposób. - Głos Margery stał się o wiele chłodniejszy.

- Moim zdaniem, bardzo się mylisz.

- Nie wiem, na jakiej podstawie nabrałeś takiego przekonania. To już prawie dwa lata... nie czujemy wpływu czasu, jeśli serce nas nie ciągnie.

- O czym sercu mówisz? Jego czy swoim?

- Jego, oczywiście.

- Oczywiście. - Daniel roześmiał się. - A dlaczego przypuszczasz, że jego serce nie ciągnie?

Margery spojrzała na Daniela ze szczerym zdumieniem.

- Z tego prostego powodu, że podrzucił mnie jak szczeniaka na progu ojcowskiego domu i pognał z powrotem do Ameryki z największą prędkością, na jaką pozwalały jego długie nogi.

- Jego uczynki mogły nie mieć nic wspólnego z jego uczuciami do ciebie. Wątpię nawet, czy w pełni zdawał sobie sprawę z własnych uczuć. Był zbyt pochłonięty swoim bólem, by uświadomić sobie, że sprawia ból innym. Ale jestem głęboko przekonany, że w tej chwili Will już doskonale wie, że byłaś dla niego o wiele ważniejsza, niż sądził.

- Dlaczego, na litość boską, mi to mówisz?

- Byłem z wami na statku, pamiętasz? Obserwowałem nastroje Williama, piekielne chwile, kiedy starał się trzymać z dala od ciebie, pełne udręki noce, kiedy alkohol nie był w stanie zabić jego pragnienia, by do ciebie biec.

Margery była szczerze rozbawiona jego słowami.

- Ależ przyszedł do mnie... mam dwóch synów na dowód tego.

- Kochasz go?

- Kiedyś kochałam - odpowiedziała bez namysłu.

- A teraz już nie?

- Nie wiem. - Wzruszyła ramionami. - Chyba musiałabym znów się z nim spotkać, żeby móc uczciwie odpowiedzieć na to pytanie. Ale nawet gdybym odkryła, że nadal go kocham, nie powiedziałabym mu o tym. Tym razem nie byłabym tak łatwowierna, naiwna, taka bez pamięci zakochana. Widziałam w nim swego zbawcę, rycerza w lśniącej zbroi, pępek świata. Z nim wiązałam wszelkie nadzieje.

- A on cię skrzywdził.

- Złamał mi serce. Ale teraz, kiedy patrzę wstecz, myślę, że wyszło mi to na dobre. Daniel zaczął się śmiać.

- Wiesz, teraz, kiedy widzę rezultat, muszę przyznać, że chyba rzeczywiście wyszło ci to na dobre. Myślę, że i on to dostrzeże... jeśli dasz mu szansę.

- Nie jestem już tą samą dziewczyną co dawniej. Gwiazdy

zniknęły z moich oczu. Jestem silniejsza, bardziej zdeterminowana, umiem już stać na własnych nogach. Sam fakt, że Wiljam jest moim mężem, nie daje mu do mnie żadnych praw i to wbrew temu, co stanowi prawo.

- Widzę, że czeka go po powrocie ciężka batalia i to bez żadnej pewności zwycięstwa. I coś mi się zdaje, że właśnie tego mu trzeba: czegoś, o co można walczyć, w co się wierzy, motywacji do życia. Jeśli żona i dwaj synowie nie będą dla niego wystarczającą motywacją do życia, to chyba nie ma już dla niego nadziei, prawda?

- Nie, nie ma - odpowiedziała.

- Wiele o tobie słyszałem.

- Naprawdę? Co ci mówiono?

- Lady Ashford rozpowiada na prawo i lewo, że znasz siostrę księcia Dunford, że razem byłyście w indiańskiej niewoli. Nigdy mi nie mówiłaś, że przyjaźniłaś się z jakąś inną branką.

- Nic podobnego! Nic takiego jej nie mówiłam. - Margery pobladała.

- Nie?

- Nie. Wspomniała podczas rozmowy, że siostra księcia została uprowadzona przez Indian, i uważała, że to bardzo dziwne, iż coś podobnego mogło się wydarzyć dwóm osobom. Wytłumaczyłam jej, że spotkało to setki osób i że od czasu do czasu spotykałam inne branki. O siostrze księcia nawet nie wspomniałam. Żadna z dziewcząt, które spotkałam, nie wiedziała, kim jest i skąd pochodzi, podobnie jak ja. Nie mam pojęcia, dlaczego lady Ashford rozpowiada takie rzeczy.

- Wiek! - Daniel roześmiał się. - To skutek zaawansowanego wieku. Starsi ludzie uważają często, że muszą nieco ubarwiać swe opowieści, żeby ktokolwiek zechciał ich wysłuchać. Smutne, ale prawdziwe. Jestem pewien, że nic złego nie miała na myśli.

- Też tak sędzę. Mogę tylko ufać, że to nie dotrze do księcia. Taka historia... cóż, to mogłoby obudzić w nim nadzieję, a ja nie chciałabym narazić go na rozczarowanie.

- Wątpię, by coś z tego do niego dotarło. Przecież mieszka w Szkocji. Rzadko przyjeżdża do Anglii.

- Może się dowiedzieć od rodziny księżnej.

- Grenville'owie niewątpliwie nie uwierzyliby w ani jedno słowo lady Ashford. Kiedyś powiedziała księciu, że jest bliźniaczą siostrą królowej Francji.

Daniel zawrócił zwirowaną alejką.

- Znów znaleźliśmy się przed domem. Czas minął zbyt szybko.

Weszli po schodach i stanęli u drzwi. Margery odwróciła się do Daniela.

- Wejdiesz?

- Nie, muszę już jechać. Ale obiecaj mi, że gdybym kiedykolwiek był ci potrzebny, to po mnie pošlesz.

Margery uśmiechnęła się, wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

- Mój drogi Danielu. Zawsze będziesz bardzo bliski memu sercu. Oczywiście, że pošlę po ciebie.

- Nie proszę o więcej - powiedział i odszedł.

Stała na schodach i patrzyła w ślad za odjeżdżającym gościem. Potem weszła do domu i uderzyło ją, że lwią część popołudnia zamowiali na dyskusję o jej ewentualnym powtórnym związku z człowiekiem, który pewnie zapomniał, że ktoś taki jak Margery w ogóle chodzi po świecie.

IN ie było dnia, żeby o niej nie myślał, nie było nocy, w której nie odwiedzałyby go w snach...

William nie miał najmniejszej wątpliwości, że porzucenie Margery było najbardziej pożałowania godną pomyłką jego życia. Uświadomienie sobie tego uczyniło jeszcze trudniejszą decyzję o rezygnacji z powrotu. Nie mógł mieć Margery, nikt jednak nie był w stanie odebrać mu jego marzeń i wspomnień.

Zdawał sobie sprawę, że marzenia nigdy nie zastąpią rzeczywistości, były jednak tak realne, jak to tylko możliwe. I to musiało mu wystarczyć. Przynajmniej na razie. Ilekroć o tym myślał, ilekroć fantazjował na ten temat, wydawało mu się, że wszystko da się naprawić i w magiczny sposób odbudować ich związek. Ale na jawie nie był już tak naiwny.

Chciał wrócić... od początku chciał wrócić. To pragnienie nie przestawało płonąć w nim z namiętną siłą. Nie mógł go w sobie zdławić. Połączenie się z Margery było tuż-tuż, w zasięgu ręki, mogło nastąpić nawet jutro, tylko że to jutro jakoś ciągle nie nadchodziło. Był jak wędrowiec na pustyni, który widzi przed sobą oazę, ale unosi się ona zawsze przed nim, migotliwa i tajemnicza, poza jego zasięgiem; wizja na piasku, igraszka światła, złudzenie wody. Margery.

Will starał się myśleć wyłącznie o chorobie Guya, ale nie był

w stanie. Ogień, który zapłonął w nim, kiedy trzymał Margery w ramionach, trawił go teraz bez litości. Nie zaznał chwili spokoju. Nigdy, nawet kiedy leżał owinięty kocem na chwilę przed brzaskiem i czekał na sen, ona była przy nim, słyszał jej spokojny oddech w otaczających go ciemnościach, czuł zapach jej włosów w aromacie wiatru i morza, widział pełne ciepła oczy, wyrażające mądrość setek minionych pokoleń.

Will uznał, że jedynym sposobem, by o niej nie myśleć, jest być wiecznie zajęтым. Dlatego byli wraz z Guyem w ciągłym ruchu, nigdzie nie zatrzymywali się na dłużej. Wędrowali od jednej indiańskiej wioski do drugiej, a Will wypełniał kolejne szkicowniki rysunkami, szukając w sztuce ucieczki zarówno przed bolesną przeszłością, jak i przed uśmiechem Margery.

Aż do dnia, kiedy sam los postanowił zainterweniować i Will już nie mógł dłużej uciekać.

Rozbili obóz w pobliżu grupy Indian z plemienia Ogallala Siuksów, za którymi wędrowali już niemal od tygodnia. Zapadły ciemności, ale ani Will, ani Guy jeszcze nie spali. Will siedział przy ognisku. Dźgnął je patykiem, żeby ożywić przygasające płomienie. W niebo wzbił się słup iskier, ogień trzasnął jakby w proteście. Siedzący po drugiej stronie Guy podniósł głowę, gdy usłyszał

hałas.

- Myślisz o niej.

- Mógłbyś mi oszczędzić tego rodzaju uwag? Już się z tym uporałem, mam to za sobą. - Will z ponurą miną ponownie dźgnął kijem ognisko.

- Może już czas, żebyś wrócił do tego, co zostawiłeś za sobą? Ja też zaczynam tęsknić za domem.

- Sądziłem, że ci się tu podoba? Wydawało mi się nawet, że zaczynasz rozważać możliwość pozostania tu na zawsze.

- Istnieje taka ewentualność. - Guy zaniósł się kaszlem. Ostatnio kaszlał coraz mocniej i zawsze pojawiała się krew.

Zamknął oczy, czekając, by minęło poczucie słabości. Zdrowe kolory, które w lecie powróciły na jego twarz, zniknęły wraz

z pojawieniem się silnych krwotoków. Od tygodni traci wadze, a jego skóra stała się nienaturalnie blada, jak u ducha. Przed tygodniem powróciła gorączka. Twarz Guya była woskowo blada i zawsze pokryta zimnym potem. A przed dwoma dniami Will spostrzegł, że usta przyjaciela nabierają lekko fioletowego zabarwienia. Po raz pierwszy od wyjazdu na Zachód Will zaczął się obawiać, że Guy może umrzeć.

- Jesteś chory. Chyba powinniśmy wrócić do St. Louis. - Z rozmachem cisnął kij do ognia i zamilkł.

Przyjaciel nie odpowiedział, więc Will powtórzył swą propozycję. Tym razem doczekał się odpowiedzi.

- Umrę w St. Louis. Niezbyt się do tego śpieszę.

- Nie mów tak. Nie możesz wiedzieć, ani gdzie, ani kiedy umrzesz.

- Ale wiem. Wiem od chwili, gdy przejeżdżaliśmy tamtędy w drodze na Zachód. Pamiętasz to górujące nad rzeką Missouri urwisko? To, na którym rozbiliśmy obóz?

- Tak.

- Przypomnij sobie, już wtedy mówiłem ci, że to odpowiednie miejsce na grób.

Will kiwnął tylko głową na znak, że pamięta. Nie był w stanie wydobyć z siebie głosu.

- Naprawdę tak myślałem. Starałem się odwlec powrót, bo wiedziałem, że wtedy mój czas dobiegnie kresu.

- W takim razie nie wracamy.

- Rozbraja mnie ten rodzaj logiki... mówisz, jakbyś nadal był małym dzieckiem. - Guy uśmiechnął się. - Zawsze rzucałeś życiu wyzwanie. Nie chciałeś pogodzić się z porażką. Byłeś optymistą, święcie przekonany, że jeśli coś się zepsuje, na pewno uda się to naprawić.

- Nie jestem już dzieckiem... i nie jestem optymistą. Stałem się realistą. Realistą do szpiku kości.

- W takim razie powinieneś pogodzić się z rzeczywistością. Nie mamy na nią wpływu, żaden z nas nie jest w stanie niczego naprawić czy załatwić. Zrobiłem, na co miałem ochotę. Zoba-

...em nieznaną mi dotąd część świata. Rzadko kto ma tyle szczęścia. Może to dziwne, ale jestem gotów umrzeć. Zaczyna mnie męczyć już ten kaszel, zaczyna mnie męczyć samo życie. Czas wracać. Możemy ruszać już jutro. Jestem przygotowany. Kiedy Guy zasnął, Will pograżył się w ponurych rozmyślaniach. Próbował myśleć o ojcu, ale nie mógł przypomnieć sobie jego twarzy. Miał przed oczami jedynie pełne życia oczy

Margery.

Zdawał sobie sprawę, że popełnia błąd, już w chwili, kiedy uświadomił sobie, jak nierozważną podjął decyzję. Był przerażony tym, co jej zrobił. Jakie to dziwne, że choć on opuścił Margery, to pamięć o niej nie opuściła go ani na chwilę.

Nie musiał się zastanawiać, czy to obłąd. Wiedział, że tak. Każda smągła twarz Indianki wydawała mu się jej twarzą, każdy rysowany profil jej profilem.

- Nie rób sobie wyrzutów.

Głos Guya sprowadził Willa na ziemię.

- Myślałem, że śpisz.

- Nigdy długo nie śpię. Mówiłem poważnie. Nie chciałbym, żebyś sądził, że ty tu w czymś zawiniłeś.

- Popełniłem błąd, że pozwoliłem ci z sobą jechać. Gdybym wiedział, że się rozchorujesz...

- Nikt nie był w stanie tego przewidzieć, nawet twoja matka. Myślę, że tak się stało, bo był to jeden z elementów jakiegoś szerszego planu, i szczerze mówiąc, jestem dumny, że stanowią ten element, choć niezbyt znaczący.

- Nie określiłbym śmierci jako coś niezbyt znaczącego.

- No cóż, nie pierwszy raz nasze opinie bardzo się od siebie

różnią.

- Co mi próbujesz powiedzieć?

- Że często musimy popełniać błędy, żeby dokonać wielkich odkryć.

- To znaczy?

- Na przykład tyle, że gdybym został w Anglii, nie zobaczyłbym żadnej z tych wspaniałych rzeczy. Albo tyle, że gdybyś nie

popęłnił błędu, zostawiając Margery w Anglii, pewnie nie odkryłbyś, że ja kochasz.

- Czyżbym ci kiedyś powiedział, że ją kocham?

Guy roześmiał się, ale śmiech przeszedł wkrótce w atak kaszlu. Był wyczerpany i powinien odpocząć, ale miał ochotę na rozmowę.

- Wcale nie musisz mi mówić, że ją kochasz. Poznałem cię, kiedy miałeś siedem lat. To ja nauczyłem cię wszystkiego, co wiesz. I chyba mogę bez obaw stwierdzić, że znam cię lepiej niż ktokolwiek inny, no, może poza twoją matką. Widywałem cię już dawniej zakochanego, ale tym razem to coś całkiem innego.

Will poczuł nawrót dawnego lęku. Minęło dużo czasu, odkąd pomyślał ostatnio o Bess... o Bess, czarnookiej córce młynarza. O swej pierwszej miłości.

- W jakim sensie to coś innego?

- Tamto to była miłość młodzieńca rozpalonego ogniem pierwszej namiętności. Teraz jesteś dorosłym mężczyzną. Twoje uczucia są o wiele głębsze.

- Nie miałem doświadczenia.

- Brak doświadczenia to tłumaczenie, które czyni nasze błędy łatwiejszymi do zaakceptowania - powiedział Guy ze śmiechem.

Will wziął do ręki filiżankę, którą postawił wcześniej obok siebie na ziemi, i wylał resztkę herbaty do ogniska. W niebo buchnęła para i kłęb ciemnego dymu. Wstał.

- Nie chcę już o tym rozmawiać.

Odwrócił się. Dla niego rozmowa została zakończona. Ale nie pamięć o Margery.

IN astępnego dnia zwinęli obóz. Bez dalszych rozmów podjęli decyzję o powrocie do St. Louis. Siuksowie już od pewnego czasu zaczęli dawać o sobie znać. Guy od dawna napomykał, że powinni się przenieść w bardziej przyjazne okolice. Aż do tego dnia Will odmawiał.

Ilekróć później wracał we wspomnieniach do tego czasu, nie był w stanie zrozumieć przyczyn własnego uporu. Powód musiał tkwić w jego pękającej z bólu głowie, powód, z którym się zmagał, starając się przed samym sobą usprawiedliwić własne zachowanie.

Z rzeczywistością musiał się zmierzyć późnym popołudniem, kiedy wsiedli z Guyem na konie. Obozowali w niewielkiej odległości od wioski Siuksów, w której Will pracował nad serią szkiców portretowych wodza, Żelaznej Pięści. Kiedy opuszczali obóz, natknęli się na grupę Siuksów pod wodzą Głodnego Wilka, najstarszego syna Żelaznej Pięści. Will nie zdążył się nawet odezwać, kiedy Głodny Wilk uniósł

strzelbę. Will i Guy natychmiast popędzili konie do galopu, by ocalić

życie, a grupa wojowników puściła się w ślad za nimi.

Kilometr od obozu koń Willa zmęczył się i zaczął zwalniać. Will dał ręką znak Guyowi, żeby pędził naprzód, ale wieloletni przyjaciel zawrócił i jechał u jego boku. Nagle Will poczuł palący ból w udzie. W tej samej chwili jego koń potknął się i zrzucił jeźdźcę na ziemię. Will ciężko zwałił się plecami na kamienistą ziemię. Powietrze uciekło mu

z płuc.

Natychmiast znalazł się przy nim Guy i pomógł mu wstać. Po nogawce Willa ściekała strużka jasnoczerwonej krwi.

Siuksowie byli już niemal o krok, kiedy Guy pomógł przyjacielowi wspiąć się na siodło. Pognali, co koń wyskoczy.

Nie zwolnili tempa, nawet kiedy byli już pewni, że Głodny Wilk zaniechał pościgu. Zatrzymali się i rozbili obóz dopiero po zapadnięciu całkowitych ciemności. Guy wydobył kulę i przypalił ranę rozżarzoną do czerwoności ostrzem noża. Przez trzy dni Will leżał nieprzytomny, trawiony gorączką.

Czwartego dnia temperatura spadła.

Kiedy odzyskał przytomność, ogarnęły go wspomnienia, przed którymi nie było już ucieczki. Musiał się przyjrzeć temu, co zrobił ze swoim życiem.

- Wiesz - powiedział do Guya pewnej nocy - pierwszy raz w życiu zrozumiałem, że muszę stawić czoło temu, przed czym zawsze starałem się uciec. I zrozumiałem wreszcie, że Jariés zginął nie dlatego, iż nie byłem w stanie go zatrzymać. Zrozumiałem także, że ojciec może mnie zranić tylko wtedy, jeśli mu na to pozwolę.

Guy o mało nie wypuścił z rąk królika, którego obracał nad ogniem.

- Nawet nie marzyłem, że kiedykolwiek usłyszę z twoich ust te słowa, Will.

- Przez całe życie uciekałem tak szybko, że nie miałem czasu, by to zrozumieć. Może ta rana była tym właśnie, czego najbardziej potrzebowałem.

- Na pewno uniemożliwiła ci ucieczkę, to nie ulega wątpliwości.

- Unieruchomiła mnie, więc mogłem tylko leżeć i myśleć.

- Może prześpij się teraz przez chwilę? Myśleć możesz i jutro.

- Jutro zwijamy obóz. Nie spocznię, póki nie znajdziemy się w bezpiecznej odległości od Głodnego Wilka.

- Chyba nie jesteś jeszcze w formie do podróży.

- Nie jestem w formie do niczego poza podróżą. - Will potrząsnął głową i powiedział z naciskiem: - Pamiętam, powiedziałeś kiedyś, że lepiej stać w miejscu, niż biec na spotkanie z diabłem. Może przez całe życie właśnie to robiłem: biegłem na spotkanie z diabłem. Teraz moje serce jest spokojne jak sadzawka krystalicznie czystej wody.

- Jak zawsze poeta.

- Zwykle mówisz: „Nie wyszło ci”.

- Właśnie, pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają. Zmienia się jedynie nasza percepcja. A teraz prześpij się. Musimy dobrze wypocząć, jeśli mamy ruszyć o świcie.

Will już niemal usypiał, kiedy dobiegły go słowa przyjaciela:

- Jeśli ci szczęście dopisze, będziesz w domu na Boże Narodzenie.

- Na Boże Narodziny - szepnął Will i oczy mu się zamknęły. Nagle poczuł się nieludzko zmęczony. Noga pulsowała bólem.

^nie chciał myśleć ani o bólu, ani o Bożym Narodzeniu. Bo i jedno, i drugie uświadamiało mu, że jego przyjaciel wkrótce umrze.

I tak się stało.

Guy zmarł trzy dni po przyjeździe do St. Louis. Jedyne, co Will mógł jeszcze zrobić dla swego gubernera i przyjaciela, było pogrzebanie go na górującym nad rzeką Missouri urwisku.

Musiał zostać w St. Louis jeszcze przez trzy tygodnie z powodu infekcji nogi. Dopiero potem był w stanie wsiąść na pokład statku do Nowego Orleanu. Tydzień później płynął już do Anglii.

Na miesiąc przed Bożym Narodzeniem dotarł do Londynu i po prawie dwuletniej nieobecności postawił stopę na angielskiej ziemi.

Długie dwa lata czekał na spotkanie z nią, z najdroższą, przeklętą, oszałamiającą kobietą. I wreszcie ta upragniona chwila nadeszła.

Nie zawiadomił o swoim przyjeździe. Chciał zrobić im niespodziankę.

Chciał także znaleźć lekarza. Od czasu, gdy został zraniony w nogę, odczuwał także drętwienie ramienia. Nie mógł doszukać się związku pomiędzy postrzałem uda a drętwieniem ramienia, postanowił się więc przebadać. Pragnął wykluczyć możliwość, że zdarzy się coś, co mogłoby pokrzyżować plany pojednania z żoną.

Doktor Arch MacAllister był podobno osobistym lekarzem królowej, więc Will uznał, że skoro jest dość dobry dla starej Wiktorii, będzie dobry i dla niego.

W pogodnym nastroju wkroczył do poczekalni doktora MacAllistera. Wkrótce jego nastrój zmienił się diametralnie.

Will wstał, kiedy lekarz wszedł do gabinetu. MacAllister był hałaśliwym starym Szkotem z siwymi krzaczastymi brwiami i tubalnym głosem.

- Jaki ma pan problem z ramieniem?
- Czasem drętwieje.
- Kiedy to się zaczęło?
- Kilka miesięcy temu Indianie postrzelili mnie w nogę. Zaraz potem to się zaczęło. - I uprzedzając kolejne pytanie doktora, opowiedział o wypadku w Ameryce.

Doktor MacAllister zmarszczył czoło.

I Nie widzę żadnego związku, ale upewnię się po zbadaniu ,na. Proszę zdjąć koszulę i usiąść na tamtym stole.

Nagi do pasa Will usiadł na stole, a lekarz obmacywał i opukiwał jego plecy.

- Proszę mi powiedzieć, kiedy zaboli.

Will siedział spokojnie i czekał, aż lekarz skończy bawić się w doktora, pozwoli mu się ubrać i iść do domu. Nagle poczuł ostry, kłujący ból, od którego niemal zgiął się wpół.

- Co pan robi, do diabła?! Wbija pan we mnie rozżarzone igły?! ~ Bolało?

- Jak cholera! Zapomniałem już, że lekarze przepadają za takimi demonstracjami. Ma pan cholerną rację: bolało. Chce pan, żebym dał panu po pysku, żeby pokazać, jak bardzo bolało? Co pan ze mną zrobił?

- Powiem panu, jak skończę.

Po zakończeniu badania doktor MacAllister usiadł i w małym skórzanym notesie zapisał kilka informacji.

- Może się pan ubrać.
- Dziękuję, doktorze.
- Czy takie drętwienie zdarzało się panu przed tym postrzałem w nogę?
- Nie przypominam sobie.
- Proszę mi opowiedzieć o tym postrzale. Jak to się stało, co pan z tym zrobił, jak się pan czuł... proszę niczego nie pomijać.

Will zrelacjonował najdrobniejsze szczegóły wypadku, opowiedział też, jak po postrzale koń potknął się i upadł, zrucając go na ziemię.

- A więc spadł pan z konia już po zranieniu? Czy to był ciężki upadek?
- Czy to był ciężki upadek?... Jeśli pyta pan, czy ziemia była twarda, to owszem.
- Czy po upadku zauważył pan jakąś zmianę?
- Tak, do diabła! Wszystko mnie bolało, a krew z rany płynęła jak rzeka. Byłem tak oszołomiony, że przez kilka minut nie mogłem się poruszyć.

- Taaak. Pomówmy o tym drętwieniu.
- Nie ma o czym mówić. Po prostu czuję drętwienie, to wszystko. Nie mogłem oddychać, w głowie mi się kręciło i najwyżej trzy minuty dzieliły mnie od oskałpowania.
- Ale ponieważ nadal ma pan włosy na głowie, możemy porozmawiać o tym wypadku. Czy kiedy ramię drętwiało, odczuwał pan jakiś ból?
- Oczywiście, przecież mówiłem już, że zostałem postrzelony w nogę.
- A gdzie jeszcze?
- Bolały mnie plecy - odpowiedział Will po chwili namysłu.
- Plecy, tak. Nic mi pan nie mówił o ranie postrzałowej w okolicy kręgosłupa. Sądząc po bliźnie, to stara rana. William kompletnie o niej zapomniał.
- Zostałem postrzelony w dzieciństwie przez kolegę. Na polowaniu. To był wypadek. Zdarzył się dawno temu. Miałem czternaście czy piętnaście lat... może nawet mniej.
- Był pan pod opieką lekarską, jak sądzę?
- Tak. Ojciec przywiózł mnie do Londynu.
- Nie zauważyłem śladów po szwach chirurgicznych. Czy kula została wydobyta?
- Nie. Obawiano się, że zostanę sparaliżowany.
- I nie miał pan z tym żadnych kłopotów... do czasu kolejnego postrzału?
- Żadnych.
- Przed chwilą, kiedy poczuł pan silny ból, ucisnąłem bliznę po tym starym postrzale. Podejrzewam, że kiedy spadł pan w Ameryce z konia, kula, która uwięzła w kręgosłupie, nieco się przesunęła. Dlatego wcześniej nie odczuwał pan drętwienia.
- W takim razie nie ma powodu do obaw.
- Myli się pan, i to bardzo - stwierdził lekarz z niewzruszoną miną. - Niestety, są powody do obaw. To drętwienie i przejściowy paraliż będą się powtarzać, za każdym razem potrwa to nieco dłużej, aż wreszcie nastąpi całkowity paraliż, który już się nie cofnie. Straci pan władzę nad lewą stroną ciała.

- _ Na zawsze?
- Do końca życia. Koniecznie trzeba wyjąć kulę z pańskiego lo-egostupa. Im szybciej, tym lepiej.
- To zabrzmiało niezwykle poważnie.
- Bo sytuacja jest poważna, mój chłopcze. Trzeba natychmiast usunąć tę kulę. Mogę zapisać pana na koniec tygodnia i...
- ~ Nie zgadzam się na operację.
- Will i doktor MacAllister przez dłuższy czas spierali się w kwestii operacji, w końcu jednak zwyciężył upór pacjenta. Lekarz musiał uznać swą przegraną.
- Skoro nie zgadza się pan na operację, musi pan bardzo uważać - powiedział tylko.
- To znaczy?
- Nie jeździć konno. Nie robić nic, co obciąża kręgosłup. Żadnych gwałtownych ruchów. Żadnego podnoszenia ciężkich przedmiotów. Innymi słowy, nie wolno panu robić nic, co obciążałoby kręgosłup lub narażało plecy na jakiegokolwiek urazy. Jeśli ta kula poruszy się jeszcze raz...
- Will przez kilka minut siedział w milczeniu. Wreszcie w pełni dotarł do niego sens słów lekarza. Odetchnął głęboko i powiedział: - Rozumiem. Będę uważać.

INastępne trzy dni Will poświęcił na uzupełnianie swej garderoby. W przeciwieństwie do poprzedniego przyjazdu do domu, tym razem zależało mu, żeby zrobić dobre wrażenie.

Tydzień po przyjeździe Williama do Londynu jego powóz, wyładowany kuframi z nową garderobą i prezentami dla wszystkich członków rodziny, ruszył w stronę domu.

Kiedy Will wjechał w żelazną bramę Emberly Hall i minął szpaler drzew, jego oczom ukazał się w oddali dom, wyglądający tak samo jak przed laty, kiedy wracali z Jamesem ze szkoły na święta Bożego Narodzenia. Po raz pierwszy w życiu przyszło mu do głowy, jakie to szczęście, że są rzeczy, które się nie zmieniają.

Poranna mgielka jeszcze nie całkiem się uniosła, kiedy powóz

zajechał przed frontowe wejście. Ufryzowany, wypomadowany doprowadzony do połysku, odziany jak z igły i wypachniony niczym pierwszy londyński dandys Will miał swe wielkie wejście Octavia schodziła właśnie po schodach, kiedy do domu wkroczył jej syn. Jego widok tak nią wstrząsnął, że Will obawiał się przez chwilę, iż na jego oczach padnie zemdlona. Ale matka nie należała do osób skłonnych do omdleń.

- William - szepnęła. - Tyle czasu... kochany, najdroższy Will. Tak strasznie za tobą tęskniłam.

Rozłożył szeroko ramiona, przytulił ją do piersi i pocałował jej włosy.

- Ja także za tobą tęskniłem, mamo. Bardziej, niż sądzisz.

Octavia odsunęła się i zaczęła go oglądać tak zachłannie jak niegdyś, przed wielu laty, w dniu jego narodzin. Zdawał sobie sprawę, że matka pragnie się upewnić, iż jest silny i zdrowy.

- Wszystko w idealnym porządku - powiedział i przyszło mu do głowy, że jest pewna część jego ciała, która od tak dawna nie była używana, iż nie można mieć pewności, czy będzie funkcjonowała prawidłowo. Ale tą właśnie częścią matka nie powinna być zainteresowana, więc postanowił o niej nie wspominać.

Kiedy Octavia napatrzyła się już na syna i uznała, że może być zadowolona z wyniku oględzin, zaczęła się rozglądać.

- Gdzie Guy?

- Nie żyje.

- Nie żyje? Guy? Co się stało?

- Rozchorował się już w drodze do Ameryki. I przez cały czas właściwie umierał na gruźlicę.

- Nie wiedziałam.

- Nie chciał, żeby ktokolwiek się dowiedział.

- Kiedy zmarł?

- Przeszło trzy miesiące temu.

- Najdroższy Guy, jakie to przykre, że musi spoczywać w obcej ziemi.

- Szczerze mówiąc, był zafascynowany Ameryką. Pochowałem go w miejscu, które sam wybrał na ostateczny spoczynek.

Kiedyś mi powiedział, że gdyby los nie skazał go na śmierć, nie wróciłby do Anglii. Jest tam, gdzie chciał być. Był przygotowany na śmierć. Musimy się pogodzić z jego odejściem. Octavia ciężko westchnęła.

- Zawsze uważałam jego obecność za pewnik. Nawet mi przez myśl nie przeszło, że mogłoby go zabraknąć. Przecież nie był jeszcze stary.

- O ile pamiętam, to właśnie ty tłumaczyłaś mi kiedyś, że śmierć nikogo nie faworyzuje, zabiera zarówno młodych, jak i starych.

- Do pewnych rzeczy masz zadziwiającą pamięć.

- Do pewnych rzeczy? Masz na myśli te mało ważne?

- Wołałabym tego nie komentować. Wreszcie Will odważył się zadać pytanie, które już od dawna

nie dawało mu spokoju. Pytanie, o którym czasem zaczynał wątpić, czy kiedykolwiek będzie je miał szansę zadać. Wypowiadał słowa powoli, jakby rozkoszował się ich dźwiękiem, jakby je smakował.

- Gdzie moja żona? Gdzie Margery?

- Margery... wyszła. Nie ma jej tutaj. Powiedziała to nieco zbyt lekko. William spojrzał na matkę

podejrzliwie.

- Wyszła? Co to znaczy: wyszła? Dokąd? Na jak długo? Z kim?

- Chodźmy do salonu. Napijemy się pysznej herbaty.

- Co tu się dzieje? Co ty ukrywasz, mamo? Nie ma jej tutaj?

- Widzę, że dwuletnia wędrownica w niczym nie zmniejszyła twojej wrodzonej niecierpliwości. - Octavia westchnęła.

- Gdzie ona jest? Na długo wyjechała? Co przedsięwzięto,

by ją odnaleźć?

- Powiedziałam, że wyszła, Williamie. Nie, że zniknęła bez śladu. Will wpatrywał się w matkę bez słowa.

- Uspokój się - powiedziała. - Gdyby syn marnotrawny przysłał rodzinie wiadomość o swym powrocie, zastałby zabitego na swą cześć tłustego cielca.

- Do diabła z tłustym cielcem! Gdzie moja żona?!
- Octavia uniosła brwi.
- Żona? To ty masz żonę, Williamie? A może chodzi ci o tę dziewczynę, którą porzuciłeś?
- Mamo, to nie jest temat do żartów.
- Cóż, synu, w moim wieku człowiek nie rezygnuje z żadnej szansy, żeby się odrobinę rozerwać. A zanim pęknie z złości pozwól sobie powiedzieć, że Margery nie jest...
- W tym momencie do salonu wkroczyła Emily z małym chłopczykiem na rękach. Kiedy spostrzegła Willa, krzyknęła i stanęła jak wryta, gapiąc się na niego, jakby zobaczyła ducha.
- Will?! Nie mogę uwierzyć, że to ty! Kiedy przyjechałeś do domu? Dlaczego nie zawiadomiłeś, że wracasz? Dlaczego nie pisałeś? Zostaniesz na Boże Narodzenie?
- Jak zwykle gadasz jak najęta - powiedział Will i szeroko otworzył ramiona.
- Podbiegła do niego, ale uświadomiła sobie, że z dzieckiem na rękach nie może rzucić się bratu na szyję, musiała więc poprzestać na pocałunku w policzek.
- Jaka wspaniała niespodzianka! Witaj w domu, braciszku.
- Will zaczął się przyglądać dziecku, które nie odrywało od niego wzroku.
- Kiedy wyszłaś za męża?
- Za męża? - Emily spojrzała na brata całkowicie skonsternowana.
- Tylko mi nie mów, że to nieślubne dziecko.
- Ja nie jestem mężatką, a on nie jest nieślubnym dzieckiem - odpowiedziała zarumieniona po uszy Emily i spojrzała na matkę-Will zdrętwiała.
- W takim razie czyje to dziecko?
- Robbie? - Emily spojrzała na chłopczyka, którego trzymała na biodrze. - To syn Mar... Och! - Zakryła sobie ręką usta, a jej oczy zrobiły się okrągłe jak spodki.
- Margery? To dziecko Margery? Mojej żony?
- Emily kiwnęła tylko głową.

_ A skąd ona, do licha, go wzięła? Octavia spojrzała na syna z wyraźnym rozdrażnieniem. _ Na litość boską, Williamie! Jak możesz zadawać takie głupie pytania? Skąd je wzięła? Najnormalniej w świecie... Urodziła je.

- A kto jest jego ojcem?... Czy ona wie przynajmniej, kto jest ojcem? - Pięści Willa same się zacisnęły.

Octavia spojrzała synowi prosto w oczy.

- O ile dobrze pamiętam, Margery wspominała, że jego ojcem jest jakiś brutal, który ożenił się z nią z niewłaściwych powodów, kochał się z nią tylko dlatego, żeby nie dało się unieważnić małżeństwa, a potem wrzucił ją bezceremonialnie, ale za to z wielkim hukiem do obcego kraju, do domu całkowicie obcych, dziwacznych ludzi, zostawił i odszedł w siną dal. Wydaje mi się, że powinieneś znać kogoś, kto świetnie pasuje do tego opisu, prawda?

Emily wybuchnęła śmiechem, na co Will nie zwrócił nawet uwagi. Załała go fala gwałtownych uczuć. Jego syn... ta maleńka, doskonała istotka ludzka była jego synem.

- Mój syn - szepnął. - Chcesz powiedzieć, że to jest mój syn?

Octavia kiwnęła głową i przeniosła spojrzenie na Robbiego.

- W każdym pulchniutkim, upartym calu, choć muszę stwierdzić, że nie zasługujesz ani na tak wspaniałego syna, ani na tak cudowną żonę. Zachowałeś się jak kompletny osioł, mam na dzieję, że nie masz mi za złe tych słów. Cóż, pewnie to od ciebie niezależne. Twój ojciec także był kompletnym osłem, a przedtem jego ojciec. Najwyraźniej w rodzie Woodville'ów rodzą się same osły. - Spojrzała na Robbiego i westchnęła głęboko. - Podejrzewam, że to tylko kwestia czasu, a i ty wyrośniesz na osła.

Will patrzył na matkę z głupim, rozanielonym uśmiechem.

- Dlaczego miałbym mieć pretensję, że nazwałaś mnie osłem? W pełni na to zasłużyłem. - Znów zerknął na syna i wyciągnął ku niemu ramiona. - Daj mi go na ręce.

Emily chciała podać bratu Robbiego, ale chłopczyk miał już swój rozum i nie zamierzał mieć nic wspólnego z tym wielkim obcym człowiekiem. Twarz dziecka zmarszczyła się jak suszona

śliwka. Wydał z siebie ryk, którego echo dotarło chyba aż do Brighton, i tak mocno objął rączkami szyję Emily, że dziewczyna ledwo zdołała wydobyć z gardła zduszony szept.

- On nie jest przyzwyczajony do obcych.
- Nie jestem obcy. Jestem jego ojcem! - zawołał Will, czerwony jak burak.
- Jego o tym przekonaj! - Octavia wskazała głową Robbiego.
- Później go przekonam. Teraz chcę się zobaczyć z żoną i jeśli natychmiast mi nie powiecie, gdzie ona jest, zacznę rozbierać ten dom na kawałki, kamień po kamieniu, aż wreszcie ją znajdę.

Octavia usiadła. Westchnęła z bólem.

- Oto dlaczego matki przedwcześnie siwieją.
- Czekam.
- Ona też czekała. Tyle że znacznie dłużej.
- Wiem i mam zamiar jej to wynagrodzić.
- Bardzo trudno odzyskać stracone lata. To niemal niemożliwe.
- Mamo, chcę się zobaczyć z Margery. I to natychmiast.
- Pozwól przynajmniej, że ją uprzedzę o twoim powrocie.

Ona...

- Sam powiadomię ją o swoim powrocie i chciałbym to zrobić bez świadków. Gdzie ona jest?
- W kuchni. Przygotowuje śniadanie dla Robbiego.
- Nie ma już w tym domu służby? A może moja żona jest w tym domu pomywaczką?

Emily zachichotała i Will posłał jej gniewne spojrzenie.

- Przepraszam - mruknęła.
- Margery jest traktowana jak członek rodziny, bo jest członkiem rodziny - oznajmiła Octavia. - Lubi gotować i robi to dość często. Nie widziałam powodu, żeby odmawiać jej tej przyjemności, ale jeżeli życzysz sobie, by została uwięziona we własnym pokoju, natychmiast wydam odpowiednie dyspozycje.
- Dlaczego wszyscy tu bez przerwy dowcipkują sobie z poważnych spraw?
- Może dlatego, że są na ciebie wściekli, a w ten sposób

udaj^c im się powstrzymać od wystrzelenia ci prosto między oczy, -o byłoby adekwatną reakcją na to, co zrobiłeś, ty zatwardziały grzeszniku.

" - Dziękuję za miłe słowa, mamo. - Will potrząsnął głową. potem długimi krokami przemierzył pokój i zniknął za załomem korytarza.

i[^]zy nie powinniśmy za nim pójść? - zapytała Emily, odprowadziwszy brata wzrokiem.

- Chyba słyszałaś, że Will chce być sam.

- Ale... co z Margery? Może ona potrzebuje naszego wsparcia?

Octavia uniosła brwi ze zdziwieniem i uśmiechnęła się szeroko, jakby przypomniawszy sobie coś zabawnego.

- Jestem pewna, że nasza Margery doskonale da sobie radę sama. A Willowi dobrze robi, jeśli żona zedrze mu skalp.

- Mamo!

- Och, uspokój się, Emily. Ile razy mam ci powtarzać, żebyś nie brała wszystkiego tak śmiertelnie poważnie? Podaj mi filiżankę herbaty i wlej do niej odrobinę brandy.

- Brandy przed śniadaniem?

- I po śniadaniu też, jeśli będę miała ochotę. No już,

pospiesz się.

- Zazwyczaj nie dolewasz brandy do herbaty.

- Zazwyczaj nie natykam się pod drzwiami na Williama z twarzą ostrą jak brzytwa. Podaj mi wreszcie tę herbatę i przestań o tym gadać.

Will stanął w kuchennych drzwiach i zaczął się rozglądać. Dostrzegł wreszcie Margery, swoją żonę, kobietę, której obraz przez długie dwa lata torturował jego mózg. Wyglądała inaczej niż w chwili rozstania, inaczej, niż się spodziewał.

Była o wiele piękniejsza niż w jego wspomnieniach. Już jako Indianka była niebrzydka. Teraz miał przed sobą kobietę olśniewającą.

Ta granatowa suknia była dla niej wprost stworzona. Jakaż ta Margery była doskonała! Dojrzałość i macierzyństwo najwyraźniej jej służyły. Dobiegała przecież trzydziestki, ale jej twarz i ciało, choć już nie młodzieńcze, cechowało absolutne piękno, w którym harmonijnie łączyły się witalność i energia młodości z dojrzałością, jaką zdobywa się wraz z radościami i cierpieniami, które przynosi nam życie.

Nie okazała na jego widok ani zaskoczenia, ani radości. Ta jej powściągliwa reakcja, zbijająca z nóg uroda, wyrafinowany chłód wielkiej damy, oszołomiły Williama całkowicie. Sprawily, że oniemiał. Wpatrywał się w żonę. Chłonał oczami jej urodę i rozpaczliwie szukał w głowie odpowiednich słów, by uratować podniosłą chwilę ich spotkania.

Margery obrzuciła go przelotnym spojrzeniem i ponownie

skupiła uwagę na stojącym na kuchni rondelku. Sięgnęła po łyżkę wazową i naląła coś, co wyglądało na owsiankę, do dziecięcej miseczki. Will gorączkowo zastanawiał się, co powiedzieć... szukał

„łów... jakichkolwiek słów... - Witaj

- wykrztusił w końcu.

Zignorowała go całkowicie.

Zmarszczył czoło. Nie tak to sobie wyobrażał. Gdzie ten pełen głębokiej czci wyraz jej oczu? Gdzie nieprzytomne rzucenie się w jego ramiona? Gdzie zduszone z przejęcia okrzyki? Gdzie szalona radość z jego powrotu? Gdzie obsypywanie go pocałunkami na oślepek? Czyżby jeszcze do niej nie w pełni dotarło, że to naprawdę on, jej waleczny bohater powrócił wreszcie do domu?

Najwyraźniej świetnie dawała sobie radę bez niego i Willa zaczynało to trochę złościć. Mogła choć trochę pocierpieć - jak on cierpiał - albo przynajmniej odrobinę tęsknić. A ona patrzyła przez niego, jakby był przezroczysty. Jej dystans, rezerwa wyprowadziły go z równowagi. - Widzę, że nie ucieszyłaś się zbyt na mój widok? Margery wzięła miseczkę z owsianką i ruszyła w stronę stołu. Przeszła obok kosza z owocami. Minęła stół! Do diabła! Dokąd ona zmierza? Szła w jego stronę.

Will uśmiechnął się szeroko. Margery idzie ku niemu. Za chwilę znajdzie się w jego ramionach. Tam, gdzie jej miejsce. Stała tuż przed nim. Zrobił ruch, jakby chciał ją objąć.

Nie zdążył jeszcze nawet jej dotknąć, kiedy chlusnęła owsianką na sztywno wykrochmalony gors jego koszuli. Śliska breja zaczęła w szarawych grudkach spływać w dół po koszuli i spodniach Willa. Spojrzał w dół i właśnie w tym momencie obrzydliwa maź kapnęła z pluskiem na czubek nowiutkiego lśniącego buta.

Nim podniósł głowę, żeby spojrzeć Margery w oczy, wsadziła

mu na głowę miseczkę po owsiance i z całej siły rąbnęła w nią drewnianą chochlą, którą następnie rzuciła mu na nogi. Nim zdążył w jakikolwiek sposób zareagować, wyminęła go i najspokojniej w świecie wyszła z kuchni.

Oslupiały William przez dobrą minutę stał bez ruchu z miseczką po owsiance na głowie. W uszach mu dzwoniło. Wpatrywał się w nowiutkie, całkiem zniszczone ubranie i w drewnianą chochlę balansującą na czubkach butów. Nie do wiary, że to ta sama kobieta, którą kupił... za którą dał kilka mustangów. Ta, która była niegdyś posłuszna i pokorna i patrzyła na niego z niemą adoracją w oczach. Która przyszła nago do jego łóżka, żeby się z nią kochał.

Otworzył kiedyś muszlę ostrygi i znalazł perłę. Teraz perła zniknęła. Została mu tylko pusta muszla.

Margery znalazła teściową i bratową w salonie.

- Will wrócił - powiedziała Emily - Poszedł cię szukać.
- I znalazł.
- Pokłóciliście się? - zainteresowała się dziewczyna.
- Emily, to nie twoja sprawa - przerwała jej matka. - Ale skoro już poruszyłaś tę sprawę, to może jednak uda nam się czegoś dowiedzieć. No, pokłóciliście się? - zwróciła się do Margery.
- Nie.
- Nie pokłóciliście się? - Octavia była najwyraźniej ogromnie zaskoczona.
- Nie.
- Więc co robiliście, skoro się nie kłóciliście? Co się wydarzyło? Co powiedziałaś? - strzelała pytaniami Emily.
- Nic nie powiedziałam.
- Jeśli ty nic nie powiedziałaś, to zdradź nam, co powiedział William? - Tym razem nie wytrzymała Octavia.
- Powiedział: witaj.

- Witaj? - powtórzyła osłupiała Octavia. - Tylko witaj? To wszystko?

- Tak.

Emily spojrzała pytająco na matkę, ale Octavia robiła wrażenie zaabsorbowanej czymś, co zobaczyła przez okno.

~ I wyszłaś z kuchni zaraz po tym, jak Will powiedział witaj? - dopytywała się Emily.

- Nie od razu, ale wkrótce.

Octavia odwróciła się od okna, a na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- Gdzie jest teraz William?

- Pewnie w kuchni.

- Co on tam robi? - wyrwało się Emily.

- Kiedy widziałam go ostatnio, był cały w owsiance Robbiego.

- Ale przecież on nigdy nie lubił owsianki?! - Emily była ogromnie zdziwiona, bo brat od dziecka nie brał jej do ust.

- I teraz za to cierpi - mruknęła Margery i uśmiechnęła się, kiedy Robbie złapał ją za palec.

W tej chwili rozległo się stukanie do drzwi wejściowych. Usłyszały, że lokaj otwiera i coś mówi. Po chwili do salonu weszli Lydia i John.

- Przepraszam, że tak wcześnie przyjechaliśmy - natychmiast zaczął się usprawiedliwiać John.

- Przyjechaliście w samą porę - odparła Octavia.

- Dowiedzieliśmy się o powrocie Williama. - Lydia rozejrzała się po salonie.

- To prawda. Przyjechał przed chwilą! - zawołała Emily.

- I gdzie jest? - John wyraźnie zaadresował pytanie do Margery.

- Chyba w kuchni- odpowiedziała ta z niewzruszonym spokojem.

- Nie mogę się doczekać, żeby go zobaczyć! - John ruszył do drzwi.

- Ja też nie mogę się doczekać, żebyś go zobaczył - mruknęła do siebie Margery.

Wszyscy ruszyli za Johnem do drzwi. Nawet Margery, ^{crioX} ona nie zamierzała iść do kuchni. Nie była gotowa, żeby stanąć oko w oko z Willem. Jeszcze nie teraz.

próbował doprowadzić się do porządku. Był niemal rozbawiony, starając się usunąć z ubrania śliską maź. Po tych wszystkich reakcjach, jakie sobie wyobrażał... Owsianka...

Wy tłumaczył sobie, że Margery była wściekła, bo zostawiając ją przed dwoma laty, zranił jej uczucia. To zrozumiałe. Właściwie go nie znała. Nie widziała go od dwóch lat. Urodziła jego dziecko. Całkiem sama. Musiała mu się za to jakoś odplacić, to oczywiste. Do diabła, pokazała rogi, pomyślał Will, a teraz, kiedy mamy to już poza sobą, możemy zacząć wszystko od początku.

Udało mu się strzepnąć z ubrania większość owsianki i opuścić kuchnię. Przebierze się i znów jej poszuka. Muszą porozmawiać.

Był już w holu i zmierzał do prowadzących na piętro schodów, kiedy otworzyły się drzwi salonu i stanął oko w oko z matką, siostrą, Lydią i Johnem, za plecami których majaczyła sylwetka jego żony.

Był święcie przekonany, że wystarczyłoby, aby on i Margery spędzili nieco czasu razem, a doszliby do porozumienia. Coś mu jednak mówiło, że przypuszczalnie nie będzie to takie proste, bo wyraz oczu żony świadczył, że zdecydowanie nie jest już dawną nieśmiałą, potulną dziewczyną. Dostrzegł w jej oczach pewność siebie, wiarę we własne siły i coś, co go przerażyło: siłę, która pozwoli jej dać sobie radę bez niego, pewność, że jest w stanie sama sobie ze wszystkim poradzić.

To było niebezpieczne. I żywo przypominało mu kogoś, kogo doskonale znał.

Powoli, płynnym ruchem odwrócił się i objął wzrokiem matkę-

Octavia nie patrzyła na niego. Odwróciła się, żeby spojrzeć na synową. Jej oczy były pełne dumy. Will znał z autopsji

otz, spełniające ją teraz uczucie. Wielokrotnie go doświadczał, kiedy obraz po ukończeniu okazywał się lepszy, niż się początkowo spodziewał. Will nazywał to poczuciem spełnienia. John i Lydia wpatrywali się w niego z głupimi minami. Omiótł wzrokiem twarze zgromadzonych w holu osób i zatrzymał spojrzenie na twarzy żony. Wiedział, że koniecznie powinien coś powiedzieć, ale nic mu nie przychodziło do głowy. Zdawał sobie sprawę, że nie byłoby dobrze, gdyby podczas kolejnego spotkania zaczął bełkotać jak idiota albo wydusił z siebie coś równie durnego jak witaj. Podejrzewał, że Margery nie byłaby również zachwycona, gdyby powiedział jej, że ślicznie wygląda albo że bardzo dojrzała. Albo jak bardzo jej pożąda. ~ Mama... mama... mama... - marudził Robbie i zaczął się wiercić.

Margery uśmiechnęła się do synka tak słonecznym uśmiechem, że aż w całym holu pojaśniało; takim ciepłym uśmiechem mogłaby każdego owinać sobie wokół palca. Will poczuł ukłucie gorącej zazdrości i natychmiast się za nie znienawidził. Jak on, dorosły mężczyzna, może odczuwać zazdrość o własnego syna?

- Mamusia jest tutaj - powiedziała Margery niskim, pięknie modulowanym głosem i wyciągnęła ramiona, w które Robbie wtulił się natychmiast. - Już pora na twoje śniadanie, mój mały mężczyzno. Gdzie niania?

- Niania nie! - oznajmił Robbie z głębokim przekonaniem i wyraźną wprawą. Widać nie pierwszy raz wypowiadał tę kwestię.

Odpowiedź malca wywołała uśmiech na twarzy Williama. Uśmiech, który zniknął natychmiast, kiedy stwierdził, że Margery z synkiem na rękach odwraca się i zamierza najwyraźniej wyjść z pokoju, nie dając nawet znaku, że zauważyła obecność męża, nie mówiąc nawet do widzenia. Nie mógł pozwolić jej w taki sposób odejść, to by było zbyt

łatwe. - Nie masz zamiaru odezwać się do mnie?
Margery zatrzymała się i odwróciła powoli.

- A powinnam?
- Tak, do kata! Jeśli nie przeprowadziłaś rozwodu, to nadal jestem twoim mężem. A kiedy mąż wraca z wyprawy, to żona zazwyczaj się z nim wita.
- Musisz mi w takim razie wybaczyć. Nie jestem przyzwyczajona do roli żony, trudno więc, żebym знаła zwyczaje obowiązujące w małżeństwie.
- Rozumiem, muszę ponieść karę. Każesz mi płacić za to, że cię zostawiłem.
- Mylisz się. Zrobiłeś to, na co miałeś ochotę. Nie byłam wówczas w stanie cię zatrzymać... tak jak teraz ty nie jesteś w stanie zatrzymać mnie.
- Dlaczego nie odezwałaś się ani słowem, kiedy przywitałem się z tobą w kuchni?
- Nie odezwałaś się do mnie ani słowem, kiedy mnie zostawiałaś. Nie widzę więc żadnego powodu, dla którego ja miałabym odzywać się do ciebie, kiedy zdecydowałaś się wrócić.
- William aż kipiał ze złości. Z najwyższym trudem zmusił się, żeby przejść do porządku dziennego nad jej lodowatym powitaniem i nad owsianką, ale tego już za wiele!
- Chce znać powody?
- Dobrze, na Boga, poda jej powód, a nawet kilka! Otworzył usta, żeby wygłosić długą perorę, która udowodniłaby Margery niezbitcie, że jej obowiązkiem jest z nim rozmawiać. I nie wyduślił z siebie ani słowa.
- Nie mógł wymyślić nawet jednego jedyne go powodu, oczywiście poza tym, że była jego żoną, co, jej zdaniem, najwyraźniej nie było zbyt istotne.
- Do wszystkich diabłów! - Kipiąca w nim wściekłość znalazła ujście w głośnym okrzyku.
- Williamie! Nie przy dziecku! - upomniała go Octavia.
- Przepraszam. - Wsadził ręce w kieszenie uwalanego owsianką ubrania i wyglądał tak żałośnie jak zbity pies. Niczego nie pragnął bardziej, niż cofnąć czas i od nowa odegrać scenę powrotu do domu.

Wszystko spartaczył! Okropnie spartaczył, ale to dlatego, że I na chwilę pozbył się swojej zbroi. Nigdy, nawet w najgorszych uoszarach sennych, nie przewidywał takiej reakcji Margery. I Całymi miesiącami marzył o jej delikatności i subtelności; i pragnął znów zobaczyć płonąca w jej oczach miłość; przypominał sobie jej pragnienie, by być dla niego idealną żoną; a nade wszystko tęsknił do wyrazu jej oczu tej nocy, kiedy przysła do niego naga i spragniona tylko i wyłącznie jego. Chciałby zmienić kierunek, w którym zaczęły obecnie zmierzać ich stosunki, chciał pobyc z nią gdzieś tylko we dwoje, z dala nawet od ich dziecka.

Ale to nierealne. Nie sposób cofnąć czasu. Stał, całkiem sam, wrzucony w bolesne tu i teraz. Nikt się nie poruszył. Nikt się nie odezwał.

Jedynym dźwiękiem w holu było powolne, niemal uroczyste tykanie zegara, które uświadamiało mu tylko, że z każdym uderzeniem traci bezcenny czas.

Cisza zaczęła doprowadzać go do szału. Miał ochotę coś rozbić o podłogę, uderzyć pięścią w drzwi albo zacząć walić głową w mur. Spójrz tylko na nią, pomyślał, stoi tu, opromieniona urodą, taka królewska, taka opanowana: Madonna z dzieciątkiem.

Nie był w stanie się poruszyć, stał w miejscu bez ruchu i czuł się jak Judasz Iskariota. Robbie znów zaczął się wiercić i marudzić. Margery mocniej przytuliła synka, pocałowała go w noski i zaczęła mu szeptać różne czułe słówka. Chłopczyk uspokoił się na krótko, ale po chwili zaczął głośno płakać.

- Przepraszam - powiedziała Margery, nie kierując przeprosin do nikogo w szczególności. Odwróciła się, przytuliła mocniej do siebie Robbiego i wyszła z pokoju. Will spojrzął na Emily, potem na matkę. Wyraźnie unikał wzroku Johna i Lydii,

- Cóż, muszę przyznać, że nie tak wyobrażałem sobie powrót do domu.

- Ona się zmieni - powiedział John. Podszedł i poklepał

kuzyna po plecach. - Dobrze znów widzieć cię w domu, Williamie. Jak się czujesz po powrocie na angielską ziemię?

- Jakbym trafił do piekła. Jeśli coś się zmieni, to za parę dni dam ci znać.

Wszyscy się roześmiali, bardziej z potrzeby rozładowania napięcia niż z rozbawienia.

Will podszedł do Lydii, ujął obie dłonie dziewczyny i pocałował ją w policzek.

- Piękna jak zawsze. Co u ciebie?

Lydia spojrzała na Johna i zarumieniła się. Will pytająco uniósł brwi. John i Lydia? Świetnie. Dlaczego nigdy o tym nie pomyślał? Stanowili wspaniałą parę.

John uśmiechnął się do niej uspokajająco. Lydia odetchnęła głęboko.

- Dziękuję, Will. Jak to dobrze, że znów jesteś w domu. Przyjechałeś z wizytą czy zostaniesz na stałe?

- Po tym, co tu zastałem, powinienem zostać na stałe - powiedział, spoglądając na drzwi, za którymi zniknęła Margery.

- Jestem skłonna się z tobą zgodzić - mruknęła Lydia.

John odchrząknął.

- Słyszałeś o ojcu?

Will poczuł, jakby dostał pięścią w brzuch. „Słyszałeś o ojcu?” Natychmiast zrozumiał, co John chciał mu powiedzieć. Sam nie był pewien własnych uczuć. Potrząsnął głową.

- Nie, nikt mi nic nie powiedział, ale domyślam się, że chcesz mnie zawiadomić o śmierci ojca.

- Nic Willowi nie mówiłam, bo nie chciałam mu psuć radości powrotu do domu - wtrąciła Octavia.

- Przepraszam - wymamrotał John. - Powinienem być siedzieć cicho.

- Wszystko w porządku - zapewnił Will. - Moja radość z powrotu do domu i tak została zepsuta niemal natychmiast. Dowody widać wyraźnie na moim ubraniu.

Wszyscy spojrzeli na poplamiony strój Williama.

- Kiedy ojciec umarł? Na co?

~ Później ci opowiemy. Dopiero przyjechałeś. Nie mówmy da razie o smutnych sprawach. - Emily pogłaskała brata po rękę. - Usiądź. Chciałabym, żebyś mi opowiedział wszystko o swojej podróży. Przywiozłeś ze sobą tyle samo rysunków co poprzednio? Gdzie byłeś? Miałeś jakieś przygody? Dlaczego postanowiłeś wrócić? - Zamilkła i puściła rękę brata. - Możemy odłożyć tę rozmowę na nieco później.

Wszyscy zaczęli się śmiać, jakby taka przerwa była im bardzo potrzebna, by rozładować napięcie. Uśmiechnął się nawet Will, który zaraz przeprosił i poszedł do swego dawnego pokoju, żeby się przebrać.

Zmieniając ubranie, prawie nie zwracał uwagi na to, co robi. Był całkowicie wytracony z równowagi. Nie mógł się oswoić z myślą, że ma syna.

Wyjechał jako mąż, powrócił jako ojciec.

Ojciec... Zobaczył przed oczami twarz apodyktycznego człowieka, który wszystko krytykował, który zawsze wołał towarzysstwo bratanka niż własnego syna. Lodowate przerażenie ścisnęło serce Willa: a jeśli stanie się podobny do ojca i zmarnuje życie własnego dziecka?

31

Octavia rozcierała skronie, żeby pozbyć się dokuczliwego bólu głowy.

Will wrócił i choć była niebotycznie szczęśliwa, że ma go znów w domu, powrót syna mógł się bez trudu zmienić w katastrofę. Już sama obcość między Willem i Margery była wystarczającym problemem. A przecież on dowiedział się dotychczas o istnieniu jednego tylko syna. Jak zareaguje na wieść, że ma i drugiego?

Nic dziwnego, że rozboleła ją głowa. Jej życie zaczęło przypominać garnek z gotującą się wodą, która w każdej chwili może wykipieć. Rola żony przypomina zajęcie na pół etatu. Rola matki to praca w pełnym wymiarze godzin. Rola swatki jest wyczerpująca. Ale rola mediatora, który ma załagodzić wszelkie rodzinne konflikty, to istny koszmar!

- Dobrze się czujesz, mamó?

Octavia odwróciła się, żeby powitać córkę. Kochana, słodka Emily. Ile zostało jeszcze czasu, zanim i ona się zakocha? Kiedy będzie potrzebowała pomocy Octavii, by wygładzić zmarszczki, które zmacą gładką powierzchnię jej życia?

- Zupełnie dobrze, kochanie. Trochę mnie tylko boli głowa.

- I trochę się martwisz. Właściwie to się dziwię, że głowa boli cię tylko trochę.

_ Mówiąc prawdę, to nie trochę. W tej chwili boli porządnie, a może być jeszcze gorzej.

- Co masz zamiar z tym wszystkim zrobić?

Octavia zamyśliła się.

- Jeszcze nie wiem. Bez przerwy łamię sobie nad tym głowę. William zawsze będzie synem i dziedzicem Charlesa. Nic tego nie zmieni. Ale jeśli Willowi i Margery nie uda się dojść do porozumienia i nie zaczną żyć jak mąż z żoną, to ich małżeństwo będzie tylko wspomnieniem.

- Mogę jakoś pomóc?

- Przede wszystkim musimy przy każdej okazji zostawiać ich samych...

- ...w cztery oczy - dokończyła Emily.

- Tak, w cztery oczy. Ale to oznacza także zajmowanie się Robbiem i Willem. To delikatna sytuacja i trzeba podchodzić do niej z taktem, w przeciwnym razem możemy bardziej zaszkodzić, niż pomóc.

Emily zaprzysięgła swoje oddanie sprawie aż po grób.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy. Przysięgam... - Podbiegła do drzwi i już od progu zawołała: - Nie martw się, mamó! Wszystko będzie dobrze. Jestem pewna.

Octavia uśmiechnęła się w reakcji na młodzieńczy optymizm córki. Ale może się okazać, że Emily ma rację. Może wszystko się ułoży. - Ale przyjdzie mi za to zapłacić jeszcze kilku takimi migrenami.

Następny ból głowy nadszedł tego samego dnia.

William wrócił z konnej przejażdżki z Johnem. Wyszli ze stajni i zmierzali w stronę domu. Ramię Willa znów zdrętwiało i machinalnie zaczął je rozcierać. Zapomniał o tym kompletnie, kiedy dostrzegł siedzącą w parku na kamiennej ławeczce Lydię, która czytała coś Robbiemu, choć chłopczyk robił wrażenie o wiele bardziej zainteresowanego ssaniem własnego kciuka niż lekturą.

Will spojrzął na syna. Nadal nie był w stanie uwierzyć, że ta małeńka istotka jest częścią jego.

- Witaj - powiedział.

Robbie wyjął palec z buzi z głośnym cmoknięciem i zaczął nim wodzić po książce, zostawiając na jej stronicy wilgotny ślad aż wreszcie wskazał jeden z obrazków.

- Koń.

- Dwa konie - poprawił Will, pokazując dziecku następną zwierzę na obrazku. Przeszył go dziwny, rozkoszny dreszcz, kiedy jego dłoń otarła się lekko o delikatną skórę synka.

- Ile masz lat?

Robbie podniósł w górę dwa wilgotne paluszki.

Lydia roześmiała się i pochwyliła jego paluszki w dłoń.

- On ma do perfekcji opanowaną sztukę mijania się z prawdą. Dopiero w czerwcu będziesz miał dwa lata, ty mały oszuście. Połaskotała Robbiego, który zanosił się od śmiechu. Will ruszył w stronę domu, ale zatrzymał się, kiedy zauważył, że John został z tyłu.

- Idziesz?! - zawołał kuzyna.

- Będę za chwilę. Chcę porozmawiać trochę z Lydią.

Wzrok Williama przeniósł się z Johna na dziewczynę. Mimo wolnie przyszła mu na myśl ich próba ognia. Ucieszył się, że Lydia ułoży sobie życie, i z aprobatą skinął głową. Posłała mu ciepły, pełen zrozumienia uśmiech. Ich przyjaźń przetrwała najtrudniejsze chwile i najcięższe próby. Will poczuł satysfakcję, że przed laty byli w stanie wytłumaczyć sobie to, co zaszło pomiędzy nimi. To tylko najlepiej świadczyło o Lydii, że była w stanie zostawić za sobą przeszłość i nie dopuściła, żeby zniszczyła ona jej życie. Żałował, że on nie potrafił się na to zdobyć w stosunku do ojca. Oboje z Lydią zgrzeszyli i zawinili wobec Jamesa, ale zorientowali się w porę, co robią, i zdołali się wycofać. Ich przyjaźń okazała się silniejsza niż niewierność. Teraz, patrząc wstecz, rozumiał, że popchnęła ich ku sobie właśnie przyjaźń, tyle że, przepełnieni bólem, dopuścili, by przekroczyła granice i poszła o krok dalej. Byli wówczas młodzi

i nierozsądni. Czas zmienia spojrzenie na pewne sprawy. Rzucił Lydii jeszcze jedno spojrzenie i zrozumiał, że dziewczyna doskonale wie, o czym on myśli. We wzroku ich obojga było wybaczenie.

Ruszył znów w stronę domu. Pomyślał, że nie może być chyba lepszego mężczyzny dla Lydii niż John, a po tym, co przeszła, zasługiwała na to.

Wszedł na górę. Przechodząc obok pokoju dziecięcego, zajrzał do środka. Robbie bujał się na koniku na biegunach, który niegdyś należał do niego. Will był zaskoczony, że małe nóżki dziecka mogą się poruszać w tak zawrotnym tempie. Potarł zdrętwiałe lewe ramię i ruszył dalej.

IVlargery stała w oknie swojego pokoju i przyglądała się, jak Will rozmawia z Robbiem w ogrodzie. Zastanawiała się nad zmiennymi kolejami losu. Nie sądziła, że nadejdzie kiedyś taka chwila. A jednak przyszła. William razem ze swoim synem. Nareszcie.

Przyglądała się Willowi. Był szczuplejszy niż w jej wspomnieniach, może na skutek postrzału w nogę. Octavia już wcześniej poprosiła Johna, żeby obejrzał ranę. Oczywiście Margery usiłowała udawać całkiem obojętną, udało jej się jednak złapać Johna i wypytać go na osobności. Zapewnił ją, że rana całkiem się już wygoiła.

Na widok Willa mocniej biło jej serce. Nie zapomniała, co czuła, leżąc w jego ramionach, doświadczając potęgi jego namiętności, żaru jego pożądania. Na samą myśl o tym jej ciało stało się gorące i wilgotne. Jeśli miała kiedyś jakiegokolwiek wątpliwości co do tego, czy coś jeszcze do niego czuje, teraz wszystko było jasne. Jej uczucia nie zmieniły się.

Zmieniła się natomiast ona.

- O czym myślisz? - dobiegł zza jej pleców głos Octavii. Margery odwróciła się i teściowa stanęła obok niej przy oknie. -

Niewiele się zmienił, prawda? Jest trochę szczuplejszy i nie, utyka, ale poza tym jest taki jak przedtem.

- Myślisz, że tym razem zostanie?
- A chciałabyś, żeby został?
- Tak by było najlepiej. Robbie i Willy potrzebują ojca.
- A ty, Margery? Potrzebujesz męża?
- Nie. Mogę być w pełni zadowolona z życia, nie mając u boku mężczyzny.

Octavia uśmiechnęła się, najwyraźniej zadowolona z odpowiedzi.

- Ale nie jesteś stanowczo przeciwna temu, by Will wrócił do twojego życia?
- To zależy.
- Od czego?
- Od tego, co go skłoniło do powrotu. Od jego planów. Od jego uczuć do mnie. Od tego, czy jest gotów należycie wypełniać rolę męża i ojca.
- To wszystko?

Margery wahała się przez chwilę, czy powiedzieć Octavii i reszcie. W końcu to matka jej męża. Ale także kobieta, która nauczyła ją niezależności.

- Nie. Najważniejsze jest to, czego ode mnie oczekuje. Nie jestem już tą samą łagodną i potulną, do nieprzytomności zakochaną dziewczyną, którą odrzucił. Kupił mnie, ale nie jestem jego własnością. Nie dam się zamknąć w wiejskiej rezydencji, podczas gdy on będzie hulał w Londynie. Nie będę tolerować kochanek. Nie będę żoną despoty.

- Brawo!
- Nie sądzisz, że żądam zbyt wiele?
- Nonsens. Choćbyś nawet chciała, nie możesz zrobić nic równie okrutnego jak on, kiedy cię porzucił. Temu łajdakowi dobrze zrobi, jeśli przez pewien czas będzie musiał chodzić po rozżarzonych węglach, aby zasłużyć na szansę ponownego ułożenia sobie z tobą życia.

Margery westchnęła i odsunęła się od okna.

_ Może się jeszcze okazać, że ta nasza rozmowa jest całkiem bezprzedmiotowa. Może on wcale nie chce ze mną żyć. Najwyraźniej nie był do mnie zbyt przywiązany, skoro mógł mnie tak zostawić. I wątpię, aby jego uczucia się zmieniły.

- Nigdy nic nie wiadomo.
- To prawda, ale jedno wiem na pewno. Jeśli William Woodville naprawdę chce mnie mieć za żonę, będzie się musiał nieźle namęczyć. Dawniej bardzo łatwo mu ze mną poszło. To się już nie powtórzy.
- Świetnie. Tak właśnie należy postępować. O wszystko, co warto mieć, warto też walczyć. Biedny William, sam nie wie, co go czeka.
- Owszem, nie ma zielonego pojęcia.

William wszedł do salonu. Pod oknem siedziała jego matka z tamborkiem do haftowania w ręku. Podniosła na niego wzrok.

- Na Boga, Williamie, co robisz w domu w tak piękne popołudnie?
- Szukam Margery.
- Rozmawiałeś już z nią?
- Nie, ale bynajmniej nie dlatego, że nie próbowałem. -William skrzywił się. - Uwierz mi, cały czas wyłazę ze skóry, żeby z nią porozmawiać.
- Naprawdę? A w czym problem?
- Z reguły nie udaje mi się jej znaleźć, a jeśli już mi się to uda, jest otoczona rodziną i przyjaciółmi. Nie mogę przydybać jej samej.
- Teraz jest sama - mruknęła Octavia, udając bardzo zajęta haftem.
- Co?!
- Powiedziałam, że teraz jest sama.

Czasami William miał ochotę potrząsnąć matką za jej kręćtwa. Tak jak na przykład w tej chwili.

- Dziękuję za pomoc. Może byłabyś jeszcze tak uprzejTM i zdradziła mi, gdzie ona jest? A może nie wiesz?
 - Oczywiście, że wiem.
 - To dlaczego nie powiedziałaś mi od razu?
 - Na litość boską, Will! Matki wiele potrafią, ale nie umieją czytać w myślach. Jeśli chciałeś się dowiedzieć, gdzie jest Margery, to czemu nie zapytałeś?
 - Mamo, przecież to była pierwsza rzecz, którą zrobiłem po wejściu do pokoju!
 - O, przepraszam. Wcale mnie nie pytałeś, czy wiem, gdzie jest Margery. Powiedziałaś, że jej szukasz.
 - Skoro wiedziałaś, że jej szukam, to można logicznie wnioskować, że nie wiem, gdzie ona jest, i w tej sytuacji powinnaś niepytana podać mi tę informację.
 - W twoim rozumowaniu są dwa błędy. Po pierwsze i najważniejsze: kobiety nie są istotami kierującymi się logiką. Działamy pod wpływem instynktu i emocji, a nie logiki. A po drugie, nigdy nie udzielam żadnych informacji niepytana. Wiedza to siła... czyli coś, czego kobiety nie mają w nadmiarze...
- Octavia mówiła coś jeszcze, ale Will przestał słuchać. Jak to się stało, że dobiegł lat męskich, piastując błędne przekonanie, że obowiązkiem matki jest troska o dzieci? Był nieprawdopodobnie wstrząśnięty, kiedy odkrył, że jego własna matka nie jest typem macierzyńskiej kobiety. Macierzyńska kobieta trzęsłaby się nad nim od chwili jego powrotu, otaczałaby go opiekuńczymi skrzydełkami. Macierzyńska kobieta idealizowałaby go; uważałaby za swój święty obowiązek i największy przywilej usunąć samą siebie w cień, a jego wysunąć na pierwsze miejsce. Zrobiłaby wszystko, co w jej mocy, aby połączyć go z Margery. I to im szybciej, tym lepiej.
- Patrzył na Octavię, jakby jeszcze czekał, że matka jednak rozwinnie zaraz opiekuńcze skrzydła. Czekał daremnie. Stał jak wryty i obserwował z przerażeniem, jak z jej ramion opada szata ideału, w którą stroił ją całe życie. Mrugał, jakby chciał się

upewnić, że to naprawdę jego matka, ucieleśnienie wdzięku ; czaru* nieustrudzona opiekunka umiłowanego potomstwa.

To była niewątpliwie ta sama kobieta, bo złote grzebienie jak zwykle podtrzymywały jej włosy, broszka z brylantami jak zwykle zdobiła jej pierś, błękitne oczy nadal były najpiękniejsze na świecie i jak zawsze patrzyły na niego z oddaniem i bezgraniczną miłością. A jednak była inna. A może to on się zmienił?

- Dobrze się czujesz, Williamie?
 - Tak mamo, zupełnie dobrze, jeśli wziąć pod uwagę, że właśnie przeżyłem ogromną stratę.
 - Jestem pewna, że znajdziesz sposób, żeby się z tego otrząsnąć. Zawsze byłeś pomysłowym chłopcem.
 - Pomożesz mi, mamo?
 - Myślę, że nie potrzebujesz mojej pomocy, Williamie. W końcu bardzo długo obywałeś się bez niej.
- Will skinął głową, zacisnął zęby i ruszył do drzwi.
- Chyba jest w kuchni.
 - Dziękuję! - zawołał i zamruczał do siebie, spieszenie przemierzając hol. - Do diabła, jeśli własna matka odmawia człowiekowi pomocy, to czy w ogóle na kogokolwiek można liczyć?
- Po chwili dobiegły go dźwięki pianina. Mijając pokój muzyczny, zobaczył, że Emily gra, a Robbie siedzi obok niej na taborecie.

Margery i Wills piekli w kuchni ludziki z ciasta imbirowego. Margery układała na blaszce figurki z ciasta, a stojący na krześle Wills robił im twarze z jagód czarnej porzeczki.

- Jak skończysz buzię, będziemy mu musieli dorobić koszulę. Zobacz. - Margery wzięła trzy jagody i odpowiednio je ułożyła. - Widzisz? Teraz ma koszulę zapinaną na guziki. Jeden... dwa-trzy... z trzema guziczkami.

- Guziczki! - Wills dotykał palcem guzików przy własnej koszuli.

Margery pochyliła się i ucałowała synka. Kiedy podniosła głowę, dostrzegła stojącego w drzwiach Willa. Stał z bardzo zdziwioną miną i rozcierał ramię.

- Jakim cudem on tak szybko się tu znalazł? Margery rozejrzała się, ale nikogo nie dostrzegła.

- O kim mówisz?

- O Robbiem. Jak on mógł tak szybko tu przyjść?

- Nie rozumiem. Co to znaczy, że tak szybko przyszedł?

- Przed chwilą przechodziłem obok pokoju muzycznego i widziałem, że Robbie gra z Emily na pianinie.

- Robbie rzeczywiście bardzo lubi grać.

William spojrzął na Willsa, a potem zerknął w głąb korytarza.

- Tu się dzieje coś dziwnego, ale nie po to tu przyszedłem - stwierdził.

- Nie?

- Mogę się do was przyłączyć? - Wszedł do kuchni i stanął obok Willsa.

Margery starała się nawet na niego nie patrzeć i nadal wycinać ciasteczka, ale obecność wyjątkowo przystojnie dziś wyglądającego i zdecydowanie zbyt blisko stojącego Willa nieco ją rozpraszała. Pod tym względem pamięć jej nie zawiodła: naprawdę był tak szalenie przystojny jak w jej wspomnieniach. Wbrew własnej woli zaczęła rozmyślać o tym, w jaki sposób on ją postrzega, i nie chodziło jej wyłącznie o wygląd, ale i o inne zmiany, jakie zaszły w niej w ciągu ostatnich dwóch lat. Duma popychała ją do tego, by udowodnić mu, jak bardzo dojrzała, ilu rzeczy się nauczyła, na ile tematów może rozmawiać. Ale tkwiąca w niej kobieta radziła poczekać. Uwaga, wołał głos rozsądku. Niczego mu nie ułatwiał. Mężczyźni cenią tylko to, co zdobywają z trudem. Udało jej się odezwać chłodnym, beznamiętnym tonem.

- Skoro i tak już wszedłeś, to odpowiedź na twoje pytanie jest raczej zbyteczna, prawda?

- Pomogę Robbiemu robić ludziki.

Margery chciała poprawić Willa i już otworzyła usta, żeby mu uświadomić, że to nie Robbie, a Wills, ale synek był szybszy.

- Robbie nie! - zawołał malec, prostując się gwałtownie na krześle. Złapał pełną garść ciasteczek i przycisnął je do piersi. - Moje ciasteczka! Margery uśmiechnęła się i pogładziła go po policzku.

- Oczywiście, kochanie. To twoje ciasteczka. Ale chyba damy jedno Robbiemu?

- Nie! Moje ciasteczka.

- Co się tu, do cholery, dzieje?! - krzyknął Will, przenosząc wzrok z żony na syna i z powrotem.

W jego głosie była taka wściekłość, że Margery odwróciła się, żeby uważnie mu się przyjrzeć. Kiedy ich spojrzenia się

spotkały, poczuła dawną więź, potężne, magnetyczne przyciąganie.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.
- Podejrzewam, że jednak wiesz. Chciałbym się wreszcie dowiedzieć, jaką grę z mną prowadzisz.
- Nie miałam pojęcia, że w ogóle prowadzę z tobą jakąkolwiek grę. Piekę ciasteczka i choć nie należę do najlepszych kucharek, trudno to uznać za jakąkolwiek grę.
- Myślałaś, że jesteś taka dowcipna? Uznałaś, że robienie z męża balona to znakomita zabawa, i byłaś ciekawa, kiedy się wreszcie połapię, że robisz ze mnie durnia?
- Wcale nie próbuję zrobić z ciebie durnia. Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- O nim! - Wściekły Will wskazał ręką Willsa.

Chłopczyk rozplakał się.

Margery wzięła dziecko na ręce i przytuliła jego główkę do ramienia.

- No już, już, nie płacz - mruzczała uspokajająco.

Jak William miał czelność pomyśleć, że to nie jego dziecko?! Jak śmiał nawet pomyśleć, że nadałaby jego imię dziecku innego mężczyzny? Wpadła w furję.

- Wills jest twoim synem. Gdybyś uważniej mu się przyjrzała, zobaczyłbyś, że jest kropka w kropkę do ciebie podobny. Ale ponieważ najwyraźniej nasza obecność bardzo ci przeszkadza, zapewniam cię, że w ciągu kilku godzin możemy się wynieść z tej posiadłości.

- I dokąd pojedziecie?
- Choćby do londyńskiego domu.
- Który również jest moją własnością. Odziedziczyłem go wraz z tytułem książęcym.
- W takim razie zamieszkać u przyjaciół. A mam ich wielu.
- Nie wątpię.
- Nie muszę tego dłużej wysłuchiwać. - Margery odwróciła się, żeby opuścić kuchnię, ale Will złapał ją za rękę.
- Jak on ma na imię? I tym razem nie okłamuj mnie.

- Nigdy cię nie okłamywałam. Ma na imię Wills.
- Dlaczego więc twierdziliście wszyscy, że ma na imię Robbie? Rozmowę przerwał im głośny płacz dziecka. Dźwięk szybko się przybliżał. Po chwili do kuchni weszła Emily.

- Robbie chce do mamy. Kłapa pianina przycięła mu pałuszki.

Na widok Robbiego Wills mocniej zacisnął ramiona wokół matczynej szyi. Był zdecydowany nie dopuścić, aby brat wygryzł go z tak cudownego miejsca.

Margery pocałowała go w główkę.

- Idź do cioci Emily.

- Nie! - Dziecko jeszcze mocniej przywarło do matki. Margery usiadła na krześle przy kuchennym stole. Posadziła sobie Willsa na jednym kolanie i wyciągnęła rękę po Robbiego. Emily ze śmiechem posadziła dziecko na drugim kolanie bratowej. Ulokowawszy obu synów na kolanach, Margery zwróciła płonące furią oczy na męża, nie zwracając uwagi na jego osłupiałą minę.

- Ich jest dwóch? - Will skierował pytanie do siostry.

- To się nazywa: bliźnięta - odpowiedziała rozbawiona Emily. - Nie mów mi, że nigdy nie słyszałaś o bliźniakach.

- Dlaczego nikt mi nie powiedział? Mam prawo wiedzieć!

- Doprawdy? - Margery pytając uniosła brew. - A skąd się wzięło to twoje prawo? Przecież porzuciłeś mnie, kiedy ich nosiłam.

- Nie wiedziałem.

- Ani ja. Ale musiałeś przecież zdawać sobie sprawę, że mogłam zajść w ciążę.

- To mi nie przyszło do głowy...

- Nie, oczywiście, że nie przyszło ci to do głowy. O ile się nie mylę, to od lat jesteś w stanie skupić się wyłącznie na pewnym drogocennym drobiazgu: na sobie samym.

- To nieprawda. A nawet gdyby dawniej tak było, to teraz jest całkiem inaczej. Zmieniłem się.

- Nie zauważyłam najmniejszych symptomów zmian, jakie

rzekomo w tobie zaszły. Z tego, co widzę, jesteś nadal takim samym aroganckim i egoistycznym człowiekiem, jakiego pamiętam

Chłopcy uspokoili się na kolanach matki. Prawie równocześnie zsunęli się na podłogę. Emily wyciągnęła do nich ręce.

- Chodźcie tu do mnie. Co byście powiedzieli na przejażdżkę zaprzężonym w kucyka powozikiem?

Dzieci z entuzjazmem złapały ją za ręce. I cała trójka, nie oglądając się za siebie, wymaszerowała z kuchni. Will nie był w stanie oderwać od nich wzroku.

- Nie mogę jeszcze uwierzyć, że mamy bliźnięta.

- Ja mam bliźnięta - sprostowała Margery. - Ty niewiele miałeś z nimi do czynienia.

- Moja rola może i nie była zbyt wielka, ale jednak znacząca. Beze mnie niewiele byś w tej sprawie zdziałała - odparł z uśmiechem.

- Niewiele bym zdziałała bez mężczyzny.

- Jakiegokolwiek mężczyzny?

- Właśnie.

- Nawet tego nie próbuj!

- Nie przejmuj się. Dwoje dzieci mi wystarczy.

Wściekłość Williama nagle wyparowała. Teraz Margery podobą mu się znacznie bardziej. Niech go diabli, jeśli to nieprawda. Przez chwilę przyglądał jej się z namysłem.

- Nie mogę wyjść z podziwu, jak bardzo się zmieniłaś. Nie jesteś kobietą, jaką spodziewałem się zobaczyć. I w najmniejszym stopniu nie przypominasz kobiety, którą wyobrażałem sobie, że będziesz w przyszłości.

- Nic nie jest niezmienne, nawet ludzie.

- To prawda, ale chyba sama musisz przyznać, że w tym krótkim czasie poczyniłaś zadziwiające postępy. Pomimo starań nie udaje mi się dostrzec w tobie śladów dawnej dzikuski.

- Niektórzy są odmiennego zdania. - Margery roześmiała się.

- Tak? Dlaczego? - Will pytająco uniósł brew.

Uniosła spódnicę i pokazała mu tkwiący za podwiązką nóż. Rozbawiło ją malujące się na twarzy Willa osłupienie.

- Mam nadzieję, że nie pokazujesz tego na prawo i lewo.

- Nie, tylko wówczas, gdy chcę użyć noża.

- A zdarzyło ci się już go używać?

- Tylko kiedy byłam do tego zmuszona.

- To znaczy kiedy?

- W obronie własnej.

- Nie powinnaś w ogóle chodzić w takie miejsca, w których musiałabyś się posługiwać nożem w obronie własnej.

Roześmiała się z jego słów.

- Prawdę mówiąc, po raz pierwszy skorzystałam z niego na przyjęciu. - Rozbawienie zniknęło z głosu Margery. - I nie pytaj mnie już o to, bo nic więcej ci nie powiem.

- Mogę zapytać matkę lub Emily.

- Możesz robić, co zechcesz. Nie zdołam cię powstrzymać.

Podeszła do zlewu i opłukała ręce. Kiedy opuściła kuchnię, William pospieszył za nią.

- Dokąd idziesz?

- Muszę dokończyć przygotowywanie prezentów gwiazdkowych.

- To może poczekać. Musimy porozmawiać.

- Przecież nic innego nie robiliśmy - stwierdziła Margery,

zatrzymując się na pierwszym stopniu schodów.

- Mam na myśli prawdziwą rozmowę.

Will złapał ją za rękę i pociągnął za sobą. Weszli do sali

balowej, w której przy kominku została już ustawiona choinka.

Starannie zamknął za sobą drzwi.

- Czy Wills to zdrobnienie od: William?

- Tak.

- Nadałaś mu imię po mnie?

- Wbrew temu, co sądzisz, on naprawdę jest twoim synem

i przyszedł na świat jako pierwszy.

Will położył rękę na jej ramieniu.

- Wcale nie miałem na myśli...

- Owszem, miałeś! - Margery strząsnęła rękę męża z ramienia.

- Chciałbym ci podziękować za zaszczyt, jakim jest dla mnie

nazwanie pierworodnego syna moim imieniem, choć niczym sobie na ten zaszczyt nie zasłużyłem.

- Nie zrobiłam tego dla ciebie. Tak po prostu nakazuje tradycja.

- Za nic w świecie nie chciałbym, żebyś sądziła, że mam jakiegokolwiek wątpliwości co do swego ojcostwa. Nigdy w nie nie wątpiłem. Po prostu byłem wstrząśnięty odkryciem, że jest ich dwóch.

- Na pewno nie bardziej niż ja.

- Nic nie podejrzewałaś? - Will nie mógł się powstrzymać od uśmiechu.

- Nikt z nas nie spodziewał się bliźniąt. Nawet twój kuzyn, John.

- Przeżyłaś tu ciężkie chwile, prawda?

- Trudniejsze niż wszystkie lata niewoli. U Indian wiedziałam przynajmniej dokładnie, gdzie jest moje miejsce. Tu nie miałam nawet tego. Twój ojciec nienawidził mnie od pierwszej chwili.

- Był okrutny w stosunku do ciebie?

- Twoja matka do tego nie dopuściła. Robił cięte uwagi albo mnie unikał. Ilekroć byliśmy skazani na przebywanie w tym samym pokoju, starał się udawać, że mnie tam nie ma. Właściwie bardzo rzadko się z nim spotykałam.

- Nawet po urodzeniu chłopców?

- Szczególnie wtedy. Uważał ich za diabelskie nasienie. Nie chciał mieć z nimi nic wspólnego.

- Przykro mi.

- Dlaczego ci przykro? Przecież wiedziałaś doskonale, jak będę tu traktowana... jak twój ojciec zareaguje na synową dzikuskę.

- Ze wstydem muszę przyznać, że nie zastanawiałem się nad tym, co będzie dalej.

- Już mówiłam, że rzadko zdarza ci się myśleć o kimś poza samym sobą.

- Dawniej może i tak, ale przez ostatnie lata myślałem prawie wyłącznie o tobie.

- Chyba nie sądzisz, że w to uwierzę? Pewnie jeśli w ogóle o mnie pomyślałeś, to jak o brzemienu, które na szczęście udało ci się z siebie zrzucić.

- To nieprawda. Ale nawet gdyby tak było, to musisz chyba uczciwie przyznać, że jest ci teraz lepiej niż kiedyś. Ja przynajmniej wyrwałem cię z niewoli, dałem ci wolność.

- Nie musiałeś się ze mną żenić, żeby to zrobić.

- Nie przypominam sobie, żebyś przeciwko temu jakoś specjalnie protestowała.

- Bo myślałam, że chcesz, bym była twoją żoną... w pełnym tego słowa znaczeniu.

- Chcę. Uwierz mi, że naprawdę tego chcę.

- Teraz może i tak, ale nie wówczas.

- I właśnie za to proszę cię o wybaczenie. Nigdy nie chciałem cię zranić, nie chciałem sprawić ci bólu. Naprawdę byłem przekonany, że ci pomagam, że staram się poprawić twój los. I nie wierzę, że przynajmniej po części mi się to nie udało. Spójrz na siebie! Jesteś wytworną damą w każdym calu. Żyjesz otoczona luksusem, niczego ci nie brakuje.

- Poza mężem i ludzkim szacunkiem. Czy pomyślałeś kiedykolwiek, jak to wygląda z mojego punktu widzenia? Ten dom jest piękny, owszem, ale to nie jest mój dom. Ja jestem tu tylko gościem. Nie jestem u siebie. Pozostaję na łasce twojej rodziny. Każdy kęś, który podnoszę do ust, przyjmuję z ich ręki. Czy wiesz, jak to jest, kiedy kobieta zostaje opuszczona przez męża? Jeśli nie mam męża, który stanąłby w mojej obronie, staję się łakomym kąskiem dla wszelkiej maści dandysów z towarzystwa. Przeróżne plotki krążyły o pochodzeniu moich dzieci. Dobre kobiety spoglądały na mnie ze współczuciem; inne szeptały za moimi plecami, traktowały mnie jak porzuconą żonę, którą zresztą naprawdę byłam. I ty mi mówisz, że miałam wszystko, czego potrzeba do szczęścia?! Oszukujesz samego siebie!

- Ale teraz wróciłem i proszę... błagam cię, żebyś dała mi szansę naprawienia zła, które ci wyrządziłem.

- To nie takie proste.

- Dlaczego nie?
 - Bo za dużo wycierpiałam. Bo nie jestem pewna, czy jeszcze mi na tobie zależy. Bo nic, poza twoimi słowami, nie świadczy o tym, że się zmieniłeś. Bo ci nie ufam.
 - A jeśli udowodnię ci, że zasługuję na zaufanie? Jeśli udowodnię, że moje uczucia się zmieniły... jeśli pokażę ci, jak bardzo cię kocham, czy dasz mi kolejną szansę?
 - Nie jestem w stanie niczego ci obiecać.
 - Jeśli wierzysz w małżeństwo, to spróbujesz.
 - Jeśli mnie kochasz, to będziesz cierpliwy i dasz mi czas.
- Will położył ręce na ramionach Margery. Zamknęła oczy. Pozwoliła, by ogarnęła ją fala pożądania, pozwoliła sobie znowu poczuć dotyk Willa... ale tylko na chwilę. Potem przyszła świadomość, dlaczego nie wolno jej mu się poddać. Wstała. Podeszła do kominka, modląc się w duchu, by Will nie zauważył, jak bardzo jest poruszona jego bliskością, jego dotknięciem.
- Jeśli cię kocham?... Ty nawet nie masz pojęcia, że ani na chwilę nie mogłem o tobie zapomnieć! Nie mogłem przestać myśleć o tym, jak nam było razem, szczególnie wtedy na statku. To wówczas zostali poczęci nasi synowie. Cieszę się, że są owocem takiej szalonej namiętności. Tych dwóch synów zostało nam ofiarowanych jak błogosławieństwo. Dwie cudowne istotki zrodzone z połączenia naszych dusz. Jeśli cię kocham... Jesteś bohaterką moich niezliczonych marzeń sennych, matką moich dzieci i jeszcze masz wątpliwości, czy cię kocham... A czy mógłbym cię nie kochać?
- Margery poczuła, że topnieje pod wpływem tembru jego głosu, rytmu jego słów. Uwodził ją, próbował nagiąć do swojej woli. Był przebiegły. Ale ona już zmadrzała.
- Nie możesz wiedzieć, kiedy zostali poczęci nasi synowie.
 - Wiem. To była bardzo szczególna noc, inna od wszystkich. Noc, którą nosiłem w sobie przez cały czas rozłąki.
 - W takim razie możesz ją ponosić w sobie jeszcze przez pewien czas. - Margery ruszyła pospiesznie do drzwi, ale Will

zastąpił jej drogę. Zrobiła krok do tyłu, potem następny. Ale on zbliżał się do niej nieustępliwie. _ Nie - szepnęła. - Trzymaj się ode mnie z daleka. Słyszysz?

Zostaw mnie w spokoju!

_ Nie mogę. Muszę wiedzieć.

Tylko centymetry dzieliły go już od Margery. Oparł dłonie I o ścianę po obu stronach jej głowy. Czowała, jak napiera na nią jego ciepłe, mocne ciało, słyszała jego niski, drżący z pożądania głos.

- Muszę wiedzieć, co się stanie, kiedy cię pocałuję.

- Nie! - Margery szybko odwróciła głowę. Jej opór nie zniechęcił Williama. Powoli, delikatnie całował

jej ramiona, szczególną uwagę poświęcił wrażliwej skórze w okolicy ucha, a po chwili jego wargi powędrowały wzdłuż głębokiego wycięcia dekoltu pięknej lawendowej sukni.

Ciało Margery zaczęło się buntować przeciw jej woli. Zaciśnęła ręce w pięści i starała się myśleć o tym, że nie wolno jej pod żadnym pozorem pokazać Willowi, jakie wrażanie robi na niej on i to, co z nią wyczynia.

- Pragnę cię... już od tak dawna pragnąłem być z tobą sam na sam, tak jak w tej chwili. To była udręka. Budziłem się w nocy mokry od potu i przekonany, że leżysz tuż obok. I długo potem nie mogłem się pogodzić, że to był tylko sen.

- Po co mi to mówisz? Nie da się cofnąć czasu.

- Nie, nie da się wrócić w przeszłość, ale można, do cholery, ruszyć naprzód, w przyszłość.

Will mocniej przylgnął do ciała Margery i zaczął uciskać kolanem jej najintymniejsze miejsce. Nagle osłabła, poczuła, że jej nogi uginają się, nie są w stanie utrzymać ciężaru ciała. Kręciła głową na obie strony i powtarzała bez przerwy coraz cichszym szeptem:

- Nie... nie... nie...

- Twój rozum mówi nie, ale twoje ciało mnie pragnie. Pocałuj mnie, Margery. Pocałuj mnie tak jak kiedyś, kiedy ci na mnie zależało.

- Nie mogę... - Dalszy ciąg zdania uwiązł jej w gardle, kiedy Will nakrył ustami jej wargi. To był długi, głęboki pocałunek. Pocałunek, domagający się odpowiedzi, której nie wolno jej było udzielić. Wyczuła moment, w którym Will dowiedział się tego co miał nadzieję odkryć.

Jak mogłaby go odepchnąć?

A jednak to zrobiła. I uciekła z pokoju. Dogoniły ją słowa męża:

- Nie możesz uciekać w nieskończoność. Teraz, kiedy już wiem, nie zrezygnuję. Będę tu, będę tu już zawsze. Przez pewien czas możesz się jeszcze sprzeciwić, może ci się nawet uda trzymać mnie na dystans. Ale jedno nie ulega wątpliwości: nie zdołasz uciec przed samą sobą. Będziesz moja. I to wkrótce.

33

Obudziło go drętwienie ramienia.

Nawet w półśnie zaczął je rozcierać. Tego dnia było gorzej niż zwykle, bo odrętwienie przeszło w przejściowy paraliż, który objął całą rękę. Zanim przyszedł służący, żeby go ubrać, paraliż minął, ale odrętwienie utrzymywało się przez większą część dnia. Wieczorem przyjechał John i cała rodzina przeszła do salonu, żeby ku ogromnej radości Robbiego i Willsa zapalić świeczki na choince.

Will wpatrywał się z zachwytem w synów i bezwiednie masował ramię. John, który nigdy nie zapominał, że jest lekarzem, zwrócił na to uwagę.

- Dokucza ci to ramię?
- Dlaczego pytasz? - Will niechętnie oderwał wzrok od synów i spojrzał na kuzyna.
- Obserwowałem cię. Przez cały wieczór niemal bez przerwy masujesz sobie ramię. W ciągu ostatniej godziny nie przestałeś ani na chwilę.
- To nic takiego.
- Pozwól, że sam osądzę. Kiedy to się zaczęło? Co odczuwasz?
- To tylko lekkie drętwienie. Nic poza tym.
- Hmm... drętwienie. Nie bezwład?
- Do dzisiaj rana nie.

- A co się stało dziś rano?
Will powiedział mu.
- Chodźmy. - John położył mu rękę na ramieniu i wyprowadził z pokoju.
- Dokąd mnie prowadzisz?
- Do biblioteki. Chcę cię zbadać.
- Byłem już badany w Londynie.
- I?
- I co?
- Co powiedział lekarz?
Weszli do biblioteki i zamknęli za sobą drzwi.
- Pamiętasz wypadek na polowaniu...
- Kiedy zostałeś postrzelony w plecy?
Will potwierdził kiwnięciem głowy i John skrzywił się z niesmakiem.
- Pamiętam, oczywiście. Pamiętam doskonale tego idiotę De Witt Burforda, który cię postrzelił. Nie odróżniał jednego końca strzelby od drugiego. Miałeś piekielne szczęście, że cię nie zabił. Albo że nie zostałeś sparaliżowany.
- A jednak wkrótce to nastąpi.
Spojrzenie Johna nagle stało się niezwykle poważne.
- O ile pamiętam, kula utkwiała w kręgosłupie i nie została wyjęta.
- Tak, nadal tam tkwi. - Will opowiedział kuzynowi, co stwierdził londyński lekarz.
- To ma sens. Zdecydowałaś się na operację?
- Nie.
John próbował przekonać Willa, używając tych samych argumentów, które wysuwał jego kolega po fachu ze stolicy, i zakończył słowami:
- Nie wolno ci podejmować takiego ryzyka.
- Nie mam ochoty teraz o tym rozmawiać.
- Dobrze, ale zastanów się nad moimi słowami. I zastosuj się do wskazówek lekarza. Musisz bardzo na siebie uważać, Will. Żadnych konnych przejażdżek. Żadnych...

- Powiedziałem, że nie mam ochoty o tym rozmawiać.
- Dobrze. - John poklepał go po ramieniu. - Dołączmy do reszty towarzystwa.

Liwa dni przed Bożym Narodzeniem zaczął padać śnieg i okrył świat cudowną białą pierzynką. Wills i Robbie doprowadzali wszystkich domowników do szału nieustannymi prośbami, żeby wyjść na dwór i pobawić się na świeżym powietrzu. W końcu Margery nie była już w stanie wytrzymać ich jęków. - Posłuchajcie. Jeśli obaj będziecie bardzo grzeczni i bez grymasów pójdziecie się teraz przespać, to każę zaprzęgnąć kucyka do sań i pojedziemy na przejażdżkę.

Wills i Robbie pognali na górę, jakby goniła ich obawa, że nie dość szybko znajdą się w łóżeczkach.

Gdy się obudzili po drzemce, kucyk stał już zaprzęzony do sań. Kiedy wyjrzeni przez okno, zaczęli tak podskakiwać z podniecenia, że Margery i Emily przez dłuższy czas nie mogły ich ubrać. Wreszcie zostali ciepło opatuleni i wypadli z pokoju jak pociski.

- Tylko nie wsiadajcie do sań, dopóki nie przyjdę! - zawołała za nimi Margery i pospiesznie zdjęła z wieszaka ciepły wełniany płaszcz. - Jedziesz z nami, Emily?
- Nie, wolę, żeby Will się z wami zabrał.
- Nie sądzę, by miał ochotę na przejażdżkę.
- Nie masz racji. Właśnie poszedł na górę po płaszcz.
- Wydawało mi się, że gra z Johnem w bilard.
- Właśnie skończyli. John poszedł do mamy na herbatę.
Margery nie próbowała nawet ukryć irytacji.
- Jeśli Will nie pojawi się do czasu, kiedy będziemy gotowi, pojedziemy bez niego.

Emily wyszła za nią na dwór. Kiedy Margery zatrzymała się na chwilę, stojący obok sań chłopcy zaczęli niecierpliwie wołać, żeby się pospieszyła.

Robbie rzucił śnieżką w braciszka. Trafił w pierś. Na granatowym płaszczyku został biały okrągły ślad. Wills natychmiast złapał garść śniegu.

- Bądźcie grzeczni! Wills, nie rzucaj śnieżką w brata. Już idę! - zawołała Margery i ruszyła do nich, wciągając po drodze rękawiczki.

Ledwo przebrzmiały jej słowa, Robbie wskoczył do sań, a Wills za nim. Margery już miała zawołać, żeby natychmiast wysiedli, kiedy Wills rzucił śnieżkę. Śnieżna kula chybiła Robbiego, uderzyła natychmiast w zad kuczka.

Zwierzę zarżało, rzuciło łbem i ruszyło galopem.

Margery krzyknęła i rzuciła się biegiem za nimi. Mijając narożnik domu, dostrzegła Willa, który pędził przez głęboki śnieg, żeby zabiec kuczku drogę. W końcu się zatrzymała, z trudem łapiąc powietrze. Każdy oddech sprawiał jej ból. Nie miała najmniejszych szans, żeby dogonić sanie. Już tylko Will mógł je zatrzymać, zanim miną bramę wjazdową.

Z sercem w gardle przenosiła wzrok z męża na chłopców i z powrotem. Dzieliło ich już tylko kilkanaście metrów. Jeśli kucyk nie zmieni kierunku, Will zdoła go zatrzymać.

- O, mój Boże!

Margery odwróciła się, słysząc głos Johna, i spojrzała na niego. W tylnych drzwiach stała błada jak płótno Octavia, przyciskając ręce do piersi.

- Wydaje mi się, że Will zdoła zatrzymać kuczka, jeśli zwierzę nie skręci w inną stronę - powiedziała drżącym głosem do Johna.

- Modlę się tylko, żeby wskoczył do sań i złapał lejce, żeby nie próbował zatrzymać kuca własnym ciałem.

Margery dosłyszała w jego głosie wyraźny niepokój. Już miała zapytać o jego powód, ale w tej właśnie chwili kucyk dostrzegł nadbiegającego z przeciwka Willa i gwałtownie skręcił w lewo. Will, jakby wiedział, że ma tylko tę jedną jedyną szansę, skoczył w stronę zwierzęcia, zderzył się z nim i zdołał pochwycić uzdę.

Serce Margery przestało niemal bić. Puściła się biegiem przez głęboki śnieg. Po chwili wyprzedził ją John.

Will nie wypuścił uzdy z ręki, choć kucyk, zwalniając stopniowo, włożył go za sobą po śniegu przez kilka metrów. Margery i John dopadli sań niemal w tej samej chwili, kiedy wreszcie się zatrzymały. Will upadł w śnieg u stóp żony, zwijając się z bólu. Margery, nie tracąc chwili, porwała dzieci z sań i podała je Octavii i Emily.

Odwróciła się i spostrzegła klęczącego przy Willu Johna, -

Wielki Boże na wysokościach. Will! Czy musisz być taki cholernie uparty?!

Margery zakryła usta wierzchem dłoni, żeby stłumić okrzyk przerażenia, kiedy John wziął Willa na rękę. Z mocno bijącym sercem patrzyła, jak kuzyn niesie jej męża do domu.

Will leżał w łóżku. Nie czuł kompletnie nic, bo w miarę postępującego odrętwienia ręki ból zanikał. John zakończył badanie.

- Sytuacja staje się coraz poważniejsza. Wkrótce cała lewa strona zostanie całkowicie sparaliżowana.

- Sparaliżowana? - powtórzyła z niedowierzaniem Octavia. - Nie sądzę. William miał już w życiu o wiele poważniejsze wypadki i wychodził z nich bez szwanku.

- Ale wtedy nie miał jeszcze whitej w kręgosłup kuli - odpowiedział John bez namysłu.

- Masz na myśli ten stary postrzał? - Octavia popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- Jaki stary postrzał? - zaczęła natychmiast dopytywać się Emily.

Emily, Octavia i Margery stały po jednej stronie łóżka Willa, a John po przeciwnej.

- Sparaliżowany? Na zawsze? - Tym razem pytanie zadała Margery.

- Nie mogę stwierdzić tego na sto procent, ale obawiam się, że tak. - John ze smutkiem pokiwał głową.

Margery rozcierała sobie dłonie, jakby chciała je rozgrzać.

- Możesz coś dla niego zrobić?

- Operować... im szybciej przeprowadzimy operację, tym większa szansa na sukces.

- W takim razie operuj. Na co czekasz? - zawołała ze zniecierpliwieniem Octavia.

- Nie zgadzam się na operację - wyszeptał Will.

- Chyba nie mówisz poważnie, Will! - Margery aż zbrakło tchu. - Zrozumiałeś przecież, co mówił John. Jeśli wkrótce nie przeprowadzi operacji, może być za późno.

Will był zmęczony. Miał już dość walki z przeciwnościami losu, które ściagały go na każdym kroku. Nie warto. Całe jego życie było nieustanną walką: walką o miłość ojca, o odnalezienie własnej osobowości, o odzyskanie równowagi po śmierci brata, o odkrycie prawdziwych uczuć do żony, i wreszcie walką o zatrzymanie jej przy sobie. Był już nieludzko zmęczony.

- I tak może już być za późno.

- Ale istnieje jeszcze szansa. Byłbyś głupcem, gdybyś z niej nie skorzystał - nalegała Emily.

Will odwrócił od nich głowę.

- Jestem zmęczony. Nie mam ochoty na rozmowę. Dajcie mi odpocząć.

Octavia i Emily odwróciły się, żeby wyjść, ale Margery nawet nie drgnęła.

- Posiedzę tu z nim.

- Nie - zaprotestował Will głosem tak zimnym i wypranym z emocji, jak jego dusza w tej chwili. - Nie chcę cię tutaj. Żadnej z was tu nie chcę. Zostawcie mnie samego. Nie widzicie, że już mnie nic nie obchodzi? Jestem zmęczony. Nie mam już woli walki.

- To opium mówi przez niego - wyjaśnił John. - Pozwólcie mu teraz odpocząć. Jutro możecie do niego zajrzeć.

ILargery puściła Octavię i Emily przodem, a sama czatowała pod drzwiami pokoju Willa.

John wyszedł po chwili i zdziwił się na jej widok.

- Jeszcze tu jesteś?
 - Chcę z tobą porozmawiać.
 - Jeśli chcesz wiedzieć, czy jego stan jest poważny, to niestety muszę stwierdzić, że tak.
 - Nie o to mi chodziło. Zdaję sobie sprawę, że Will jest naprawdę w poważnym stanie, bo dobrze znam ciebie. Wiem, że traktujesz medycynę niezwykle serio, więc nie powiedziałbyś czegoś, czego nie byłbyś w stu procentach pewien.
 - Nie powiedziałbym. Szczególnie Willowi. Zawsze traktowałem go jak młodszego brata. - Wziął Margcry pod rękę i zeszli po schodach. - O czym więc chciałaś ze mną mówić?
 - Dziś po południu, kiedy Will upadł, zawołałaś: „Dlaczego jesteś taki piekielnie uparty”. Co to miało znaczyć? Wiedziałeś, w jakim Will jest stanie, zanim jeszcze próbował zatrzymać sanie? On też wiedział?
 - Odpowiedź na oba pytania jest jedna: tak.
- Margery zamilkła i zamyśliła się głęboko.
- Pewnie się zastanawiasz, dlaczego zatrzymał kucyka własnym ciałem, skoro zdawał sobie sprawę, że może się to dla niego skończyć paralizem?
 - A jak mogłabym o tym nie myśleć? Przecież uratował życie moim synom!
 - To także i jego synowie.
 - Nie potrafię myśleć o nich jako o jego dzieciach - mruknęła po chwili.
 - Jego dzisiejszy wyczyn to nie tylko świadectwo szlachetności, ale i ojcowskiej miłości. Uznał przecież, że życie dzieci jest ważniejsze niż jego własne.
 - Wiem i właśnie dlatego jestem taka zaskoczona. Skąd u niego tak silne uczucia rodzicielskie, skoro do minionego tygodnia nawet nie wiedział, że w ogóle ma dzieci?
 - Uważasz, że trzeba być z dziećmi, żeby je pokochać?
 - Nie wiem, ale tak mi się wydaje. To brzmi dość rozsądnie.
 - Uczucia rodzicielskie mają niewiele wspólnego z rozsądkiem. Powinnaś to wiedzieć najlepiej.

- Ja wiem, ale...
 - Jeśli dobrze pamiętam, powiedziałaś kiedyś, że nie wiesz, co byś zrobiła, gdyby dziecko, które nosisz pod sercem, umarło, pamiętasz?
 - Pamiętam.
 - Musisz mi w takim razie coś wyjaśnić. Dlaczego byłabyś tak wstrząśnięta? Przecież rozmawialiśmy o nienarodzonym jeszcze dziecku. Nie widziałaś go, nie byłaś z nim. Więc jak to możliwe, że już je kochałaś, choć go jeszcze nie znałaś?
 - Bo było moje, było częścią mnie.
 - Właśnie. I nigdy nie przeszło ci przez myśl, że Will może czuć w ten sam sposób?
- Margery zawstydziała się.
- Nie. Byłam tak zaprzętnięta doszukiwaniem się złych intencji, że nie byłam w stanie dostrzec dobrych.
 - Może dokładnie to samo robisz, jeśli chodzi o wasze wzajemne stosunki?
 - Nie wiem, co masz na myśli.
 - A nie sądzisz, że być może tak gorliwie doszukujesz się powodów, dla których nie powinno ci na Willu zależeć, iż nie zwracasz uwagi na powody, dla których powinno ci na nim zależeć?
- Margery westchnęła głęboko. Poczula się nagle bardzo zmęczona. Kiedy Willa nie było, wszystko wydawało się jej takie proste. Po jego powrocie obraz zmącił się jak woda w strumieniu, przez który przed chwilą ktoś przeszedł. Utraciła spokój. Wszystko stało się szalenie skomplikowane. Okazało się, że nie zna samej siebie. Jakaś część jej duszy pragnęła mu uwierzyć, wybaczyć i żyć z nim jak z mężem w pełnym tego słowa znaczeniu. Ale druga część jej osobowości nie była w stanie zapomnieć ani o tym, że ją opuścił, ani o tym z jak egoistycznych powodów ją poślubił.
- Mam taki zamęt w głowie. Sama nie wiem, co robić - wyznała.
 - Dlaczego nie próbujesz go pokochać albo chociaż udzielić

mu wsparcia? Will przeżywa teraz bardzo ciężkie chwile, a będzie jeszcze gorzej. On cię potrzebuje, Margery. Bardziej, niż sądzisz

- Spróbuję. Więcej nie mogę ci obiecać.
- W takim razie muszę się zadowolić tą obietnicą.
- Mam nadzieję, że uda mi się go namówić, by wyraził zgodę na operację. Ile mamy jeszcze czasu, zanim będzie za późno?
- Nie sposób przewidzieć, ale z każdym dniem tego czasu jest mniej.

Margery otarła łzy.

- Zobaczę, co da się zrobić. Przecież musi być jakiś sposób, żeby go przekonać.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz, bo jestem pewien, że jeśli ty tego nie dokonasz, nikomu się to nie uda.

Podeszli już do drzwi wejściowych. John wziął od lokaja płaszcz i kapelusz, po czym pocałował Margery w policzek.

- Wpadnę jutro, żeby sprawdzić, co z Willem. Jeśli będę potrzebny wcześniej, koniecznie daj mi znać.
- Oczywiście, Johnie. Dziękuję.
- Widzisz, ja go kocham. Jak brata.
- Wiem. Ja też go kocham. - Uśmiechnęła się przez łzy. - Choć raczej nie jak brata.

Po wyjściu Johna długo jeszcze stała przy drzwiach. Postanowiła nie dopuścić, by Will zniszczył samego siebie. Musiał być jakiś sposób, musiało być coś, na czym mu zależy, co obudzi w nim nadzieję, co da mu chęć do życia. Coś, co zmusi go do wyrażenia zgody na operację.

Ale co?

Nadeszły święta. Zjechały siostry Williama wraz z rodzinami i wszyscy starali się wlać odrobinę oleju do upartej głowy Willa. Z tym samym skutkiem co Octavia i Margery. Will nie chciał nawet słuchać racjonalnych argumentów. Jego upór i straszliwe konsekwencje, jakie ten upór mógł spowodować, zwarzyły radość, która powinna towarzyszyć świętom Bożego Narodzenia. Gdyby nie dzieci, pewnie w ogóle zrezygnowaliby ze świętowania. Jednak ze względu na Robbiego i Willsa oraz ich małych

kuzynów rodzina przestrzegąca wszystkich świątecznych tradycji, choć zabrakło świątecznego nastroju. Ramię Willa drętwiało coraz mocniej.

Wszyscy członkowie rodziny robili, co tylko mogli, żeby go przekonać, by wyraził zgodę na usunięcie tkwiącej w kręgosłupie kuli. Ale Will udowodnił, że „jego upór przekracza już wszelkie granice”, jak mawiała Octavia.

Kilka dni po świętach Margery była bliska kapitulacji. I właśnie wtedy spłynęło na nią objawienie. Stało się to pewnego szczególnie pięknego, słonecznego popołudnia po powrocie z konnej przejażdżki. Zsiadła z siodła i wprowadziła swoją klacz do stajni.

Stajenny Damascus użerał się z pięknym ogierem Napoleonem, który bardzo rzadko chodził pod siodłem, bo trzymano go przede wszystkim jako reproduktora. Zawsze pełen temperamentu Napoleon był tego dnia w wyjątkowo przykrym nastroju.

Margery wprowadziła klacz do boksu. Widziała, że Damascus wyczerpał już wszelkie sposoby perswazji, wykorzystał wszystkie możliwe pochlebstwa. Napoleon wyczuł to chyba, bo zaczął rzucać łbem do tyłu, żeby wyrwać wodze z rąk stajennego. Nagle i bez uprzedzenia Damascus zdzielił ogiera pięścią w łeb. Uderzenie było tak silne, że rozległo się echem w całej stajni. Napoleon natychmiast spokorniał, zaczął obwąchiwać i delikatnie trącać stajennego chrapami.

Margery zdębiała. Jeszcze nigdy nie widziała, by koń, który nie reagował na pieszczoty, dobroć, delikatność czy nawet próby przekupstwa, zrobił się potulny jak baranek, kiedy solidnie dostał po uszach.

A może takie postępowanie okazałoby się skuteczne także w odniesieniu do upartych jak osły mężów?

Nie miała pewności, ale postanowiła spróbować.

Margery szybko zmieniła strój i już po chwili wkroczyła do pokoju Williama z wielkim dzbanem gorącej wody. Postawiła dzban na stoliku przy łóżku, po czym podeszła do okna i rozsunęła ciężkie zasłony z adamaszku, żeby wpuścić do pokoju blade promienie zimowego, nisko wiszącego na niebie słońca.

- Nie otwieraj okna. I zasuń z powrotem story.
- Jeśli chcesz zasłonić okno, musisz wstać i sam to zrobić
- Wiesz przecież, do cholery, że nie mogę!
- W takim razie zostaną odsunięte... chyba że zdecydujesz się współpracować.
- Nie mam zamiaru zgodzić się na tę piekielną operację, jeśli to właśnie miałaś na myśli.
- Czyżbym coś wspominała o operacji?
- Gdzie się podziała ta słodka, uległa dziewczyna, którą poślubiłem?
- Nie chciałeś jej.

Wymamrotał coś pod nosem. Margery natomiast stała i zastanawiała się przez chwilę, gdzie się podział ten oszałamiająco przystojny mężczyzna, za którego wyszła za męża. Jego miejsce zajął zaniedbany, zarosnięty wilkołak ze zmierzwionymi włosami.

Ale niedługo już będzie tak wyglądał, postanowiła.

Bez słowa weszła do garderoby męża, w której zastała jego służącego.

- Philips, mój mąż wymaga natychmiastowej kąpieli, golenia i strzyżenia. Gdzie są niezbędne przybory?

Biedny Philips o mało nie wyskoczył ze skóry, żeby jej dogodzić. Margery podejrzewała, że to z wdzięczności, iż nie będzie musiał sam przystąpić do toalety pana. W ułamku sekundy podał jej wszystkie potrzebne przybory.

- Dziękuję, Philips.
- Proszę bardzo, proszę pani. Czy... to znaczy... czy... będzie mnie pani potrzebować?
- Nie, dziękuję, Philips. Chyba lepiej, żebym sama się za to wzięła. Jak sądzisz?

Służący przełknął ślinę, aż podskoczyło mu na szyi jabłko Adama.

- Niewątpliwie, proszę pani.

Po chwili Margery była znów przy łóżku męża. Will zerknął na nią, ale nie odezwał się ani słowem. Spokojnie ułożyła na

stoliku nożyczki, brzytwę, mydło, pędzel i grzebień. Rozrobiła mydło w miseczce do golenia i zbliżyła pędzel do twarzy męża.

Odwrócił głowę.

- Ja nie chcę...

Pędzel trafił wprost w półotwarte usta.

Krzuszył się i pluł, ale zanim pozbył się mydlin z ust, połowa twarzy była już starannie ogolona. Nie robił już Margery żadnych trudności, kiedy z niezmaconym spokojem obeszła łóżko dookoła, żeby z drugiej strony dokończyć dzieła.

Po godzinie Will był ponury jak chmura gradowa i wściekły do nieprzytomności, ale wyglądał bez porównania lepiej. Zdecydowanie bardziej przypominał mężczyznę, którego Margery poślubiła przed dwoma laty. Nie odważyła się jednak mu tego powiedzieć, w obawie, że mąż straci panowanie nad sobą.

- Teraz będzie ci się o wiele przyjemniej odpoczywało - powiedziała tylko.

- Odpoczywałem znakomicie, zanim się zjawiałś.

Margery zignorowała słowa Willa i wzięła się do poprawiania poduszek.

- Przestań! Czy nie jesteś w stanie zrozumieć, że nie chcę twojej obecności?!

Bez słowa podniosła miskę z wodą, żeby wynieść ją z sypialni.

- Nie życzę sobie twojej litości. Nie życzę sobie twojej wyrozumiałości. A już najbardziej sobie nie życzę, żebyś przychodziła tutaj i traciła czas na przekonywanie mnie, żebym się poddał operacji. Nie mam najmniejszego zamiaru się zgodzić i przyjmij to wreszcie do wiadomości. Chcę, żebyś stąd wyszła. Przestań mi matkować i przestań mnie pielęgnować! Wszystko mogę znieść, tylko nie to!

- Doskonale - oświadczyła Margery i wylała mu na głowę całą miednicę brudnej wody.

Win usiadł w łóżku i zaczął gwałtownie mrugać, żeby pozbyć się wody z oczu. Jak przez mgłę dostrzegł sylwetkę zmierzającej ku wyjściu żony.

- Nie waż się opuścić tego pokoju.

Margery wyprostowała się i stanęła, ale nie odwróciła się twarzą do Willa.

- Jeśli chcesz, żebym została, musisz poprosić mnie o to normalnym głosem, z szacunkiem.

- A to, co przed chwilą zrobiłaś, to był objaw szacunku?

- Miałam prawo się tak zachować. Wilkołaki nie zasługują na szacunek.

- Dobrze. Jesteś szczerą. A więc bądźmy w stosunku do siebie całkiem szczerzy. Od dnia wypadku przychodzisz tu codziennie i trzęsiesz się nade mną jak kwoka. Dlaczego?

- To mój obowiązek...

- To obowiązek służby. Dlaczego ty tu jesteś? I pamiętaj, mamy być w stosunku do siebie całkowicie szczerzy.

- W porządku. Jestem tu, bo przykro mi, że tak ucierpiełaś. Chciałabym trochę ci ulżyć.

- Dlaczego? Zależy ci na mnie?

- Tak.

- No, zaczynamy do czegoś dochodzić. Skoro ci na mnie zależy, to żywisz chyba do mnie jakieś uczucia. Mam rację?

- Ja...

- Tak czy nie?

- Tak.

- Skoro ci na mnie zależy i żywisz jeszcze do mnie jakieś uczucia, to chyba mam prawo oczekiwać, że dasz naszemu małżeństwu szansę. Mam rację?

- Nie wiem.

- Pozwól, że ujmę to w inny sposób. Co byś powiedziała, gdybym obiecał, że zgodzę się na operację pod warunkiem, że ty z kolei zgodzisz się na rok zostać moją żoną w pełnym tego słowa znaczeniu?

- Nie powinieneś używać swego stanu zdrowia jako karty przetargowej.

- Już go użyłem i czekam teraz na twoją odpowiedź. Operacja za obietnicę. Dobiliśmy targu?

- Ja...

- Decyduj, Margery. Doszliśmy do porozumienia czy nie? Zgadzasz się czy odrzucasz propozycję?

- Zgadzam się - powiedziała cicho i wyszła z pokoju.

Jeszcze długo potem Willa prześladował obraz Margery, nie mógł go usunąć z pamięci, stał mu przed oczami. Poczuł się jak brutal pozbawiony ludzkich uczuć. Sam nie był w stanie uwierzyć, że posunął się do przedstawienia jej takiej propozycji, że mógł wykorzystać swą chorobę, aby zmusić ją, by z nim została.

Odwrócił się na bok. Chciał zasnąć, ale w mokrej pościeli nie było mu zbyt wygodnie. Sen nie przychodził. Im dłużej rozmyślał, tym lepiej rozumiał, że potrzebował właśnie takiej miski zimnej wody, wylanej na łeb, by wydzwignąć się z otchłani uzalania się nad sobą.

- Margery... Margery... Margery... - powtarzał jak zakęcie, przypominając sobie, jaka była w chwili, kiedy ją poślubił. Słodka, potulna, gotowa na każde skinienie, pragnąca jedynie go zadowolić. Służka. Niewolnica, którą kupił i za którą zapłacił. Wspomnienia przestały mu się wydawać tak rozkoszne jak jeszcze przed chwilą.

Może dlatego, że w głębi duszy wcale nie pragnął słodkiej i potulnej służebnicy. Może właśnie pragnął kobiety, która ob staje przy tym, czego ona pragnie, kobiety, która nie wybiera najłatwiejszych dróg tylko dlatego, że tego właśnie się po niej oczekuje albo dlatego, że są one najłatwiejsze.

Kobiety takiej jak jego żona...

Zrozumiał, że bardziej mu się podoba obecna Margery: silna, niezależna, odważna i pewna siebie. Zapragnął nagle poznać jej rodzinę, gniazdo, z którego się wywodzi, bo przecież w znacznym stopniu po przodkach odziedziczyła cechy, które pozwoliły jej stać się taką kobietą, jaką jest. Przetrwiała, przetrzymała wszystko. Czy i to odziedziczyła po przodkach?

Zrozumiał też, że nie będzie w stanie wykorzystać jej współczucia, by ją przy sobie zatrzymać. Palił się ze wstydu, że taki pomysł w ogóle przyszedł mu do głowy. Wiedział już, co musi zrobić. Jeśli postąpi inaczej, nie będzie miał prawa uważać się za mężczyznę.

Następnego ranka Margery siedziała z Willsem i Robbiem w pokoju śniadaniowym, kiedy weszły Octavia i Emily. Teściowa przytасzczyła ze sobą ogromne pudło na kapelusze.

- Emily, zabierz dzieci na dwór, dobrze? Chcę coś pokazać Margery.

Kiedy dziewczyna wyszła z chłopcami z pokoju, Octavia usiadła na sofie obok synowej.

- Powinnam była już dawno ci to pokazać. - Zdjęła pokrywę i wyjęła kilka powiązanych czerwonymi jedwabnymi wstążeczkami pakietów listów.

Podawała je synowej.

- Co to jest?

- W dniu, w którym Will cię porzucił, poprosiłam Guya, żeby z nim pojechał. Wiedziałam, że Will do mnie nie napisze. Był zbyt obolały, bym mogła liczyć na korespondencję. Poprosiłam więc Guya, żeby informował mnie, co się z nim dzieje.

- I to są listy od niego?

- Tak.

- Dlaczego mi je dajesz? Przecież były pisane do ciebie.

- Bo są niezwykle przenikliwe. Guy znał zawsze Willa lepiej niż ktokolwiek inny. Potrafił dostrzec to, co kryło się pod jego maską.

Margery zabrała listy do swojego pokoju. Po obiedzie poszła na górę, żeby zabrać się do czytania. Kiedy zajrzała do stojącego na łóżku pudła, dostrzegła szkicowniki Willa, na których leżała jakaś kartka. Był to list od Octavii

Uważam, że powinnaś obejrzeć szkicowniki Willa. Podejrzewam, że będziesz zaskoczona. Ale najpierw przeczytaj listy Guya. Kiedy będziesz oglądać rysunki, pamiętaj, że są one dziełem człowieka, któremu łatwiej przychodzi wyrażać siebie w sztuce niż poprzez słowa. Zresztą sama będziesz wiedziała, co robić, bo zawsze byłam przekonana, że masz serce we właściwym miejscu.

Margery odłożyła list i przebrała się w koszulę nocną. Wskoczyła do łóżka i natychmiast wzięła się do lektury. Zajęło jej to całą noc, ostatni list odłożyła tuż przed świtem. Była oszołomiona tym, czego się dowiedziała.

Guy nie należał do ludzi, którzy szcędzą szczegółów. Listy były bardzo długie, niektóre pisał przez wiele dni. Kiedy Margery spojrzała na Willa oczami Guya, dostrzegła głęboko wrażliwego człowieka, który ją kochał i tęsknił za nią, który przez dwa lata nosił w sercu jej obraz. Z każdą stronką lepiej poznawała mężczyznę, który został jej mężem. Poznawała też dręczące go demony. Mogła się wczuć w jego ból, kiedy został odrzucony przez własnego ojca, nieustannie go krytykującego i wyraźnie faworyzującego Johna. Mogła wreszcie naprawdę zrozumieć potworne cierpienie po śmierci Jamesa.

Po przeczytaniu ostatniego listu Margery na powrót przewiązała cały pakiet czerwoną jedwabną wstążeczką i schowała do pudła.

Przez dłuższy czas siedziała zatopiona w myślach, potem sięgnęła po szkicowniki.

Strona po stronie, blok po bloku oglądała własne podobizny U dołu każdej strony umieszczona była data. Zrozumiała, że Guy pisał prawdę. Willowi musiało rzeczywiście bardzo na niej zależeć, skoro rysował ją tak często i w tak różnych pozach. Poczula gorzki i słodki zarazem ból, kiedy dostrzegła, że Will próbował sobie wyobrazić, jak Margery może wyglądać ubrana w najmodniejsze w Anglii suknie, spędzając czas jak na typową Angielkę przystało.

Ostatni szkicownik był najwyraźniej najświeższy, bo jego okładki nie były tak zniszczone i przybrudzone jak pozostałe. Notes zawierał serię jej portrecików w różnych stopniach zaawansowania ciąży. Ostatnie kilka stron przedstawiało ją z noworodkami w ramionach, potem chłopców raczkujących w dziecięcym pokoju, stawiających pierwsze kroki, po raz pierwszy siedzących na kucyku. Skąd on mógł to wszystko wiedzieć, skoro go tutaj nie było? Jakież to dla niego typowe, że poprzez rysunki starał się poznać ten okres jej życia, który utracił. Dla Margery stało się teraz oczywiste, że jej ciąża i narodziny bliźniąt były dla Willa o wiele ważniejsze, niż mogła wnosić z jego zachowania.

Win miał do siebie coraz większe pretensje o to, w jaki sposób potraktował Margery. Wiązało się to w oczywisty sposób z przedłużającą się nieobecnością żony. Drętwienie ramienia było tego dnia silniejsze niż kiedykolwiek. Zaczął się zastanawiać, kiedy ostatecznie straci władzę w ręce.

Drzwi skrzypnęły, uchyliły się i do jego pokoju wśliznęła się Emily.

- Śpisz?
- Nie, leżę i rozmyślam.
- Mam nadzieję, że o operacji. - Weszła do pokoju i przysiadła na łóżku brata.

Will dostrzegł w jej oczach troskę i miłość.

- Bardzo wcześnie zaczęłaś dziś obchód domu. Jesteś już po śniadaniu?

- Właśnie miałam zamiar zejść na dół. Pomyślałam jednak, że najpierw zajrzę do ciebie... na wypadek, gdybyś chciał, żeby coś ci przynieść.

- Dostałem już moje codzienne śniadanie. Owsiankę! Wiesz, że od dziecka nie znosiłem owsianki. Teraz przypominałem sobie dlaczego!

- Może uda mi się zwędzić dla ciebie grzanekę. - Emily roześmiała się.

- 1 kielbasę?

- 1 kielbasę. 1 jajka.

- To na co czekasz? Biegnij, zanim zjedzą wszystkie grzanki!

Emily wstała i ruszyła do drzwi, ale nagle zatrzymała się i odwróciła do brata.

- O co chodzi?

- Cieszę się bardzo, że już się lepiej czujesz.

- A lepiej się czuję? - Will pytająco uniósł brwi.

- Owszem. Jesteś w o wiele lepszej formie psychicznej. Ani razu się na mnie nie rozdarłeś.

- Naprawdę byłem taki okropny?

- Straszny. - Emily tak energicznie pokiwała głową, że wszystkie jej loczki zaczęły podskakiwać jak sprężynki.

- Od tej chwili zmieniam się w przykładowego pacjenta, obiecuję.

- Zgadzasz się na operację?!

Will zachmurzył się.

- Tak daleko jeszcze się nie posunąłem, na razie przestałem zachowywać się jak wilkołak.

- Cieszę się, że wreszcie wrócił mój kochany braciszek. Emily ucałowała Willa w policzek i zniknęła za drzwiami.

to śniadaniu Octavia spotkała na schodach Margery. - Jeśli szukasz chłopców, to wyszli na dwór z Emily.

- Chciałam zajrzeć do Willa.
- Wstrzymaj się na chwilę. Chciałabym coś ci pokazać, zanim się z nim spotkasz.

Margery wyszła za teściową z domu. Ruszyły zwirową alejka do nieużywanego domku gajowego. Octavia wyjęła z kieszeni klucz i otworzyła drzwi.

Margery weszła do środka. Kiedy jej oczy przyzwyczyły się do półmroku, zrozumiała, że to tu musiał przychodzić Will, kiedy znikał wszystkim z oczu. W pomieszczeniu stały obrazy i sztalugi, a w powietrzu unosił się zapach farb i terpentyny.

Octavia zapaliła lampę i ustawiła ją na stole.

- Rozejrzyj się tutaj. Spójrz na nie. - Wskazała ręką oparte o ściany obrazy.

Margery przyglądała się płótnom, z których wiele powstało na podstawie oglądanych przez nią wcześniej szkiców. Dwa rozpoczęte obrazy przedstawiały chłopców, na innym byli razem z Margery.

Ale jeden z obrazów przemówił do niej tak mocno, że łzy napłynęły jej do oczu. W rogu pokoju stały sztalugi z płótnem. Obeszła je dookoła, żeby spojrzeć na obraz, i aż wstrzymała oddech ze zdumienia. Will namalował ją z dzieckiem przy piersi. Nie było w tym portrecie nic seksownego ani wulgarnego, był natomiast niezwykle wzruszający. Najwyraźniej Will starał się pochwycić tę część ich życia, której nie znał.

- Dziękuję, że mi to pokazałaś - szepnęła do teściowej bliska płaczu.

Octavia zatrzymała się przy drzwiach, żeby zamknąć domek, a Margery natychmiast ruszyła na spotkanie z Willem. Nawet nie zdążyła jeszcze otworzyć ust, kiedy zaczął ją gorąco zapewniać, że ogromnie się cieszy z jej odwiedzin.

- Serce ciąży mi jak kamień, mam potworne wyrzuty sumienia i nie zaznam spokoju, dopóki nie poproszę cię o wybaczenie.

- A ja przyszedłam, żeby ci powiedzieć...

Potrząsała głową.

- Najpierw mnie wysłuchaj. Przez kilka dni zbierałem się na

odwagę, a od kilku godzin powtarzam sobie w kółko, co mam ci powiedzieć. Widzę teraz, że to ja ponoszę całą winę, i chcę cię przeprosić.

- Nie ma takiej potrzeby.

- Ależ jest! Straszliwie się myliłem, sądząc, że mogę cię mieć na własność jak jakiegoś potulnego psiaka, który czeka na powrót swego pana z kapturami w pysku. Wykorzystałem cię, nie uświadamiając sobie nawet, że to robię. Byłem pewnie tak bardzo pochłonięty własnym cierpieniem, że nie dostrzegałem, iż swoim postępowaniem przysparzam bólu innym. Ponownie błagam cię o wybaczenie. To, co ci zrobiłem... Boże! To, jak cię porzuciłem... to niewybaczalne.

- Nie żywię już o to do ciebie pretensji. Nie mam zamiaru kłamać, twierdząc, że nie były to dla mnie trudne chwile. Ale nigdy, ani przez moment nie pomyślałam, że było mi lepiej, zanim mnie znalazłeś. Pomimo wielu lat spędzonych wśród Indian, nigdy nie stałam się jedną z nich. Może dlatego, że mnie nie zaakceptowali. Kiedy wyjechałeś, twoja matka traktowała mnie jak własną córkę. Nauczyła mnie wszystkiego, czego nie mogłam się dowiedzieć z książek. Aż dziw bierze, jak łatwo przyswajałam sobie pewne rzeczy, jakbym już kiedyś miała

z nimi do czynienia.

- Ale to w niczym nie tłumaczy mojego postępowania.

- Naprawdę nie rozumiesz, co ci chcę powiedzieć? Dzięki temu, że przywoziłeś mnie do Anglii, nie tylko przywróciłeś mi kulturę, w której się urodziłam, ale obudziłeś też we mnie pragnienie... pragnienie poznania, kim jestem naprawdę, skąd pochodzę i kim jest moja rodzina. Kiedy byłam branką, nigdy nie odczuwałam takiej potrzeby. Pewnie dlatego, że podświadomie zdawałam sobie sprawę, iż moja sytuacja stałaby się przez to jeszcze trudniejsza do zaakceptowania. Gdy myślałam o utraconej rodzinie, to zawsze w kategoriach straty, zawsze litowałam się nad sobą i żałowałam tego, czego zostałam pozbawiona.

- Cieszę się, że to, co tak fatalnie się zaczęło, wyszło ci na dobre, ale mówimy o dwóch różnych sprawach. Ty mówisz

o korzyściach płynących z przyjazdu do Anglii, a ja o nikczemnym sposobie, w jaki posłużyłem się tobą, żeby odegrać się na ojcu. Nie miałem prawa zmuszać cię do małżeństwa i nie miałem prawa porzucić cię po przyjeździe do Anglii. Chcę, żebyś wiedziała, iż z całego serca żałuję tego, co zrobiłem. Nie mogę już tego zmienić. Nie mogę zmienić swojego braku zrozumienia i współczucia. Mogę natomiast zwrócić ci wolność, którą powinienem był zwrócić ci już wówczas. Chciałbym dać ci wszystko, czego tylko zapragniesz. Jeśli chcesz rozwodu, wyrażę zgodę. Nie musisz się martwić o dach nad głową i środki do życia. Nie będę się starał odebrać ci chłopców, choć mam nadzieję, iż nie wywieziesz ich tak daleko, bym nie mógł ich widywać. Chłopcy potrzebują ojca... kochającego ojca, który pokieruje nimi i nauczy ich dojrzałości. Mogę być dla nich takim właśnie ojcem...

Głos Willa załamał się. Margery była bliska płaczu, ale przysięgła sobie, że tego jednego za nic w świecie nie zrobi. Na szczęście Will znów zaczął mówić.

- Pozostaje kwestia Willsa, który jest moim spadkobiercą i dziedzicem tytułu książęcego. Trzeba nauczyć go roli, jaką będzie w przyszłości sprawował, a to oznacza, że będzie musiał przyjechać tutaj i zamieszkać ze mną. Oczywiście kiedy będzie starszy.

- A jeśli ja wcale nie chcę rozwodu?

- Wymienione przeze mnie warunki nie zmieniają się. Będę cię utrzymywał niezależnie od tego, gdzie zdecydujesz się zamieszkać. - Will umilkł na chwilę i wpatrywał się w twarz żony. Margery wyczytała z jego oczu, jak bardzo jest mu droga. W końcu potrząsnął głową i się roześmiał. - To dziwne, nie sądzisz? Na początku zrobiłem wiele rzeczy, które sprawiły ci ból; teraz moim życiowym celem jest uczynić cię szczęśliwą.

Margery chciała coś powiedzieć, ale nie dopuścił jej do głosu.

- Poczyniłem już z moim radcą prawnym pewne przygotowania. Na twojej toaletce leży koperta z jego nazwiskiem

i adresem. Skontaktuj się z nim, żeby przesyłał ci pieniądze tam, gdzie postanowisz zamieszkać. Margery podeszła do łóżka, pochyliła się i lekko pocałowała męża w usta.

- Taka długa przemowa i taka niepotrzebna. Już od ponad pół godziny próbuję ci powiedzieć, że moje uczucia do ciebie się nie zmieniły. Pokochałam cię, zanim jeszcze przywiozłeś mnie do Anglii. W czasie podróży to uczucie jeszcze wzrosło. Ale moja miłość domaga się wolności. Nie mogę być znowu twoją własnością.

- Nie musisz mi tego mówić.

- Nie rozumiesz? Zawsze pragnęłam wyłącznie jednego: żebyś mnie pokochał na tyle mocno, aby mieć do mnie zaufanie, aby wierzyć, że zostanę z tobą z własnej woli, a nie pod przymusem. Gdybyś powiedział mi o Anglii, gdybyś dał mi wybór, zostałabym tutaj z własnej woli.

Will patrzył na nią, jakby nie mógł uwierzyć w jej słowa. Margery zdawała sobie sprawę, że mąż prawdopodobnie pyta się w duchu, czy to możliwe, by go jeszcze kochała po tym, jak ją potraktował. Pewnie nie potrafi znaleźć żadnego racjonalnego powodu, dla którego miałaby choćby go lubić.

- Jak to możliwe? - zapytał - Jak możesz kochać kogoś, kto cię porzucił?

- Nigdy nie przestałam cię kochać, choć dotarło to do mnie dopiero po przeczytaniu listów Guya.

Znowu go pocałowała. Tym razem Will oddał jej pocałunek.

- Powiedz, te zgadzasz się na operację.

W Willa jakby piorun strzelił.

- A więc to dlatego? Te wszystkie cudowne słowa, które tak bardzo chciałem usłyszeć, to była jedynie gra.

- Nie...

Odepchnął Margery.

- Nie zgadzam się na operację i nie życzę sobie, żebyś się dla mnie poświęcała. Nie chcę twojej litości. Nie chcę, żebyś kłamała, że mnie kochasz, żeby wymusić na mnie zgodę. Jeśli

zostanę inwalidą, łatwiej uzyskasz rozwód. Nikt nie będzie miał do ciebie pretensji. Będę jedynie w połowie mężczyzną, mogę więc oczekiwać jedynie połowicznego życia.

- Jedno jest pewne: masz jedynie połowę mózgu. Jak można być aż tak głupim?!

Will widział, że żona jest naprawdę wściekła, i podziękował w duchu losowi, że tym razem na stoliku obok łóżka nie ma dzbanka z wodą.

Margery bez słowa odwróciła się na pięcie i wyszła z pokoju.

Trzasnęła drzwiami z takim impetem, że z przeciwległej ściany spadł obrazek przedstawiający stado owiec na pastwisku.

Ylary wróciła już po chwili, trzymając Willsa na jednym, a Robbiego na drugim biodrze. Dostojnym krokiem, jak na królewskiej paradzie, przemaszerowała przez pokój i z impetem posadziła dzieci na brzuchu Willa. Zbaraniał. Co ona znów wykombinowała? Nie miał zielonego pojęcia, ale zrobiło mu się ciepło na sercu na widok nieustępliwości, z jaką Margery walczy o to, na czym jej zależy. Nie odezwał się. Leżał bez ruchu, a dzieci zaczęły bawić się na jego brzuchu. Czekał na następne posunięcie żony.

- A teraz - zaczęła stanowczo, opierając ręce na biodrach - powiedz mi w obecności swoich synów, że jesteś zbyt wielkim osłem, by wyrazić zgodę na operację, która mogłaby dać ci szansę, byś był dla nich ojcem w pełnym tego słowa znaczeniu.

Will nie miał okazji się odezwać, bo Wills i Robbie w tej właśnie chwili otoczyli mu szyję rączkami i zaczęli pokrywać jego twarz głośnymi, wilgotnymi pocałunkami. Gdzieś, jakby z oddali, dobiegł go głos żony:

- Jeśli nie chcesz zrobić tego dla mnie, zrób to dla nich.

Will został przyduszony i zmuszony do kapitulacji przez swych nader aktywnych synków, nie był w stanie nic powiedzieć, zdołał wyzwolić jedynie jedną rękę. Sięgnął za wezłowie łóżka, wyciągnął białą chusteczkę i zaczął nią wymachiwać.

Po raz pierwszy od bardzo, bardzo długiego czasu usłyszał śmiech Margery... najprawdziwszy szczerzy śmiech.

Win

został zawieszony do Londynu.

Kiedy był w sali operacyjnej, Margery krążyła niespokojnie wraz z resztą rodziny po poczekalni. Mijały kolejne godziny i zaczynała się już niepokoić. Czy to musi tak długo trwać? A może to zły znak? Czy on wyzdrowieje?

Kiedy John wszedł do pokoju, wiedziała, że operacja dobiegła końca. Podbiegła, chwyciła kuzyna za ręce i zajrzała mu w oczy, szukając w nich pocieszenia.

- Will ma się dobrze. Operacja zakończyła się sukcesem. Wydaje mi się, że nie będzie już żadnych problemów. Powinien odzyskać pełną władzę nad całym ciałem. Potrzeba mu tylko trochę czasu i ogromnie dużo miłości. Margery popatrzyła na Johna z niekłamaną wdzięcznością. - Miłość miał zawsze - powiedziała.

Trzy tygodnie po operacji William całkowicie powrócił do zdrowia. Przez cały dzień był już na nogach, poza krótkim popołudniowym odpoczynkiem, który zalecił John. Kobiety pilnowały, by się do tego zalecenia stosował.

Pewnego późnego popołudnia Will, szukając matki, podszedł do drzwi salonu i usłyszał, że ta rozmawia z Margery. Stanął i zaczął się przysłuchiwać ich rozmowie, choć pamiętał porzekadło, że kto podsłuchuje, niczego dobrego o sobie nie usłyszy.

- Nie do wiary, jak dobrze się między nami układa - powiedziała Margery.
- To znaczy?
- Od czasu operacji tylko raz się pokłóciliśmy.
- O co wam poszło?
- O jakąś błahostkę... już nawet nie mogę sobie przypomnieć.
- To dobry znak. A powiedz mi, jak wyglądają między wami inne sprawy?
- Jakie inne sprawy?
- Mam na myśli pewne ogólnie przyjęte procedury, mające na celu poczęcie dziecka. Starłam się użyć na tyle przyzwoitego określenia tych spraw, by nie wywołać rumieńca na twojej twarzy i nie spowodować cię do głupich chichotów. Jak nu wyszło?

Will oparł się o drzwi i skrzyżował ramiona na piersi, starając się ze wszystkich sił opanować gwałtowną potrzebę wybuchnięcia głośnym śmiechem z powodu określenia, jakiego użyła matka. „Pewne ogólnie przyjęte procedury, mające na celu poczęcie dziecka?!“ Jak żyje czegoś podobnego nie słyszał. Zabrzmiało to niemal jak żargon lekarski, jak określenie jakiejś operacji.

Margery najwyraźniej także nie słyszała nigdy podobnego określenia, bo z salonu dobiegł jej serdeczny śmiech. Will był zaskoczony własną reakcją - nagłym, gwałtownym przyływem tęsknoty. Zamknął oczy i natychmiast ujrzał ją w chwili, kiedy przyszła do niego pierwszy raz. Jej uroda, jej nagość podziały na niego nawet w tej chwili. Żałował, że w salonie jest jego matka. Chciałby podejść teraz do Margery, wziąć ją w ramiona i szeptać jej do ucha słowa, które tak straszliwie pragnął powiedzieć. Chciałby usłyszeć jej urywany oddech, ciche pomruki, odgłos kroków... Odgłos kroków?

Otworzył oczy i zauważył zmiernego w jego stronę Johna. Co on, do diabła, robił tu o tej porze? Will dał mu ręką znak, żeby był cicho i przyłączył się do niego.

John stanął i w jego oczach pojawił się błysk zrozumienia. Zaczął się skradać na palcach, niemal rozplaszczony na ścianie. Wreszcie zapytał najcichszym szeptem, na jaki tylko mógł się zdobyć: - Chyba jesteś odrobinę za stary na zabawę w chowanego, nie sądzisz?

Margery powiedziała coś, czego Will nie dosłyszał. A niech to wszyscy diabli! Akurat w chwili, kiedy rozmowa zesłała na tak interesujące tematy, musiała mu umknąć najciekawsza wypowiedź!

Will chciał już jakoś zareagować na głupawą uwagę kuzyna, kiedy John spojrzął w dół i najwyraźniej dostrzegł coś niebywale zabawnego, bo zaczął się krztusić od śmiechu. Will wbił mu łokieć w żebra, kładąc kres niewczesnej wesołości, i zaczął się rozglądać za tym, co tak rozbawiło kuzyna.

Kiedy spojrzął w dół, dostrzegł własną, wyraźnie widoczną erekcję. Wzruszył ramionami.

- To dość pospolite zjawisko wśród normalnych mężczyzn.
- Fakt, to nie fenomen, ale w takim miejscu, w tych okolicznościach... na korytarzu, w środku dnia, w pełnym świetle? - John zachichotał i potrząsnął głową. - Masz kosmate myśli, co? I pomyśleć tylko: książę, pan na włościach, a w głowie mu tylko cudzołóstwo!

- Wcale nie cudzołóstwo. Chodzi o moją żonę.

Nagle zza drzwi salonu dobiegł głośny okrzyk Octavii:

- Chcesz powiedzieć, że od dnia powrotu Will nie był z tobą w łóżku?!

Will chciał za wszelką cenę usłyszeć odpowiedź Margery, niestety jednak w tej właśnie chwili John doznał przyływu aktorskiego natchnienia, położył rękę na sercu i zaczął robić teatralne miny, mające obrazować jego wstrząs i osłupienie.

Will chyba jeszcze nigdy w życiu tak bardzo nie marzył, żeby komuś przyłożyć.

- Nie masz nic lepszego do roboty?

- Nie.

Will chciał mu coś powiedzieć, ale zamilkł w pół słowa, kiedy zza drzwi dobiegł głos Margery.

- ...w każdym razie tak mi się wydaje - zakończyła.

Do wszystkich diabłów! Stracił całą jej wypowiedź. Spojrzął z wyrzutem na Johna. Margery znów zaczęła coś mówić, więc odwrócił się plecami do kuzyna i przyłożył ucho do drzwi.

- To, że Will stanął na nogi i jest na wyciągnięcie ręki, to czysta przyjemność, ale opieka nad chorym osobnikiem płci męskiej jest niezmiernie wyczerpująca.

- To rozumiałe, kochanie. Mężczyźni, kiedy mają jakiegokolwiek dolegliwości, są najgorszymi pacjentami na świecie. Są stokroć gorsi od dzieci.

- W pełni się z tobą zgadzam.

- Potrzebujesz porządnego odpoczynku. Po tych kilku ostat-

nich tygodniach, kiedy poświęcałaś się dla Willa, jesteś kompletnie wyczerpana.

- To była mordęga, ale udało się.

- Może i racja, choć niewiele ci to dało. Will powinien był przyjść do ciebie już dawno. Nie ma dla niego żadnego usprawiedliwienia... no, oczywiście poza... jakby tu powiedzieć... niemożnością.

- Niemożnością?

- No wiesz, kiedy pewna część męskiego ciała nie jest zdolna do... prawidłowego funkcjonowania.

John pochylił się i szepnął Willowi do ucha:

- A może powinienem wkroczyć teraz do salonu i uspokoić je, że jeszcze przed chwilą w holu widziałem na własne oczy, iż wspomniana część stała na baczność w pełnej gotowości?

- Chcę tylko jednego: żebyś stąd zniknął!

- Miałbym stracić taką frapującą rozmowę?!

- Wydaje mi się, że pod tym względem rzeczywiście masz słuszność - przyznała Margery. - Jestem bardzo zmęczona. Chyba pójdę za twoją radą i wcześniej położę się do łóżka.

- Miło mi to słyszeć. Jak się dobrze wyśpisz, świat zaraz nabierze jaśniejszych barw.

- Co ona powiedziała? - dopytywał się John.

- Nie możesz mówić ciszej?

Skrzypnęło krzesło. Zaszleściła suknia.

~ Co to było? - Ciszę przerwał głos Margery.

- Ktoś podsłuchuje pod drzwiami.

Na odgłos zbliżających się kroków Will i John spojrzeli na siebie i rzucili się do ucieczki. Wpadli w pierwsze lepsze drzwi. Trafili do pokoju muzycznego. Nie był to najszczęśliwszy wybór, bo tak się akurat złożyło, że obaj byli całkowicie pozbawieni talentów muzycznych.

- No to jesteśmy w kropce - stwierdził John, zamykając za sobą drzwi. - Co zrobimy, jak one tu przyjdą?

- Nie przyjdą. Dlaczego miałyby tu przychodzić?

- A jeśli?

- To zaczniemy grać. Weź skrzypce, a ja usiądę przy pianinie

- Will, ja nie mam pojęcia, za który koniec trzyma się skrzypce!

- W takim razie stanowimy dobraną parę, bo jeśli chodzi o pianino, to wiem tylko, jak się siedzi na taborecie.

Octavia i Margery mijają właśnie drzwi pokoju muzycznego. Octavia zatrzymała się.

- Słyszałaś?

- Co?

- Jakieś głosy. Dobiały z pokoju muzycznego. Myślisz, że to może być nasz podsłuchiwacz?

- To musi być on. Nikt poza nami dwiema nie zagląda do tego pokoju.

Octavia otworzyła drzwi i głośno wciągnęła powietrze.

- A wy dwaj co tu robicie?

- Kto tam jest? - Margery wspięła się na palce, żeby zajrzeć do pokoju ponad ramieniem teściowej.

Octavia przesunęła się, robiąc jej miejsce.

Will podniósł wzrok i spojrzał na stojące w progu żonę i matkę.

- Nabraliśmy z Johnem ochoty, żeby pomuzykować trochę przed obiadem.

- A od kiedy to staliście się takimi melomanami? - Octavia wodziła podejrzliwie zmrużonymi oczami od jednego do drugiego.

- W ostatnim czasie - zełgał Will i usłyszał za plecami jęk Johna.

- Rozumiem. Muzyka łagodzi obyczaje, kruszy skały i zgina wyniosłe dęby.

Will przełknął z trudem ślinę. Zabrzmiało to tak, jakby drewniany cebrzyk uderzył o dno suchej studni. Octavia przeniosła wzrok na Johna.

- Trzymasz skrzypce z niewłaściwej strony.

- Przy takim uchwycie gra jest trudniejsza, stanowi dla muzyka prawdziwe wyzwanie.

Will jęknął, kiedy John spojrzał z determinacją na skrzypce

i pociągnął smyczkiem po strunach. Tylko raz w życiu zdarzyło mu się słyszeć podobny dźwięk: kiedy ojciec przypadkowo ścisnął w drzwiach papugę matki. Zamknął oczy i jęknął ponownie. I pomyśleć, że wyraził zgodę, by ten człowiek go operował! Nie zdążył jeszcze przyjść do siebie po wstrząsie, gdy Octavia wzięła się za niego.

- Wyglądasz, jakbyś poczuł ulgę. Niesłusznie. Jeszcze nie udało ci się zejść z linii ognia.

- Naprawdę wyglądam, jakbym poczuł ulgę? - zapytał Will w nadziei, że uda mu się odwrócić uwagę matki, ale ta była zdecydowanie zbyt mądra, żeby się nabrać na taką starą jak świat sztuczkę.

- Przypuszczam, że o wiele łatwiej byłoby ci grać na pianinie, gdybyś miał dostęp do klawiatury. Podnieś kłapę, żaloszny oszuście.

Octavia odwróciła się do Margery, która nadal stała w drzwiach w niemym osłupieniu i obserwowała to dziwne przedstawienie.

- Chodź, kochanie. Zostawmy tych dwóch bęcwałów samym sobie.

- Wiesz, mam, miałaś rację. Głupich nie sieją. - Słowa Margery dobiegły Willa już zza zamkniętych drzwi.

Wieczorem Margery postanowiła, zgodnie z planem, wcześniej położyć się do łóżka. Zaraz po kolacji przeczytała dzieciom bajkę na dobranoc i dopilnowała, żeby zmówiły paciorek. Pocałowała synków, zgasła lampę i cichutko wysunęła się z ich pokoju.

W drodze do swej sypialni mijają pokój Willa. Stanęła, spojrzała na drzwi i przypomniała sobie, jacy cisi byli dzisiaj Will i John podczas kolacji. Uśmiechnęła się do siebie i pokiwała głową. Mężczyźni! Czasem są jak dzieci. Zapukała cichutko.

- Kto tam?

- Margery.

- Już śpię. Dokładnie tak samo mówili Wills i Robbie. Na tę myśl zrobiło jej się ciepło na sercu.

- Mogę wejść?
- Po co? Chcesz znowu kpić sobie ze mnie?
- Nie i nie cierpię rozmawiać przez zamknięte drzwi.
- Nie są zamknięte.

Weszła.

Will stał przy łóżku, nagi jak go Pan Bóg stworzył, co zdawało się w najmniejszym stopniu go nie krępować. Ją natomiast całkowicie wytrąciło to z równowagi. Na widok mięśni obciągniętych gładką skórą Margery wstrzymała oddech. Oczywiście widywała go już nagiego, przed przyjazdem do Anglii i podczas choroby, ale tym razem było jakoś inaczej. Tym razem jego męskość była prowokująca. Ogarnęła ją fala gorąca, jakby zanurzyła się w ciepłej sadzawce w pobliżu rzeki Yellowstone.

Will nie próbował nawet się okryć.

- Nie musisz pukać, kiedy do mnie przychodzisz. Jesteś moją żoną.

Margery słyszała jego słowa, ale nie była w stanie wymyślić żadnej odpowiedzi. Myśli jej się plątały. Jedyne, co do niej docierało, to nagość Willa, piękno jego jasnego, szczupłego ciała, linie mięśni, owłosienie, męskość.

Pomyślała, że o doskonałości można mówić nie wtedy, gdy człowiek jest kompletnie ubrany w najwspanialszy nawet strój, a dopiero wówczas, kiedy nie ma już czego zdjąć, kiedy widzimy ciało w jego najczystszej formie: całkowicie i zupełnie nagie.

Wpatrywała się w niego zachłannie. Znała siłę tych ramion, czułość i wrażliwość dłoni, znała wszystkie krzywizny twardych jak skała mięśni i tę najwrażliwszą część jego ciała, w dole brzucha. Will był jak góra, promieniująca energią i siłą, pełna ekspresji, tajemniczości, namietności i potęgi.

- Dobrze się bawisz?
- Tak. - Wszelkie myśli uleciały z głowy Margery, kiedy spojrzała mu w oczy.
- Nie czujesz się zawstydzona na widok nagiego mężczyzny?
- Jesteś moim mężem. Widziałam cię już nagiego.
- To było bardzo dawno.

- Mam dobrą pamięć.
- I nie chcesz zastąpić dawnych wrażeń nowszymi?
- Już raz przyszłam do ciebie i więcej tego nie zrobię.
- Dlaczego?
- Bo to niezgodne z angielskimi obyczajami.

- Czy wszystko, co robisz, jest zgodne z angielskimi obyczajami?
- Staram się, żeby tak było.
- Dlaczego?

- Wpajano we mnie, że angielski styl życia jest najlepszy na świecie, że to obowiązująca norma. W głębi duszy nie zawsze jestem o tym przekonana. Moje życie było dość skomplikowane. Chyba dzięki temu jestem bogatsza. Nie zamierzam wypierać się własnej przeszłości i stać się Aniołką do szpiku kości. Gdybym to zrobiła, dawna Margery przestałaby istnieć. Nie zamierzam wypierać się tego, kim jestem. Chcę wzbogacać swą osobowość o nowe elementy, dzięki czemu, mam nadzieję, stanę się pełniejszym człowiekiem. Będę przyjmować te składniki angielskiej tradycji, które mi się podobają, a odrzucać te, które mnie razią. I dlatego nie zawsze i nie wszystko mi się udaje. Bo nie zawsze wkładam w to serce.

- To chyba najmądrzejsze i najpiękniejsze słowa, jakie usłyszałem z twoich ust. Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że jest jeszcze w tobie ta kobieta, którą znałem i podziwiałem, której nie byłem w stanie zapomnieć.

- Jaka to kobieta?
- Po pierwsze, bezwzględnie szczerą. Kiedy mnie pragnęłaś, nie próbowałaś tego ukrywać.
- Teraz także tego nie ukrywam.
- Chcesz mi powiedzieć, że mnie pragniesz? Że nagle uznałaś, że jestem pociągający?

- A czy stałabym tu, pochłaniając cię wzrokiem, gdybym uważała, że jesteś brzydki i niezbyt pociągający? Patrzę, bo podoba mi się to, co widzę, i podobają mi się uczucia, które

budzi we mnie twój widok. Nigdy nie przestałam uważać cię za podniecającego i nigdy nie przestałam cię pragnąć.

- Jeśli to prawda, trudno mi pojąć dlaczego. Mam wątpliwości czy można pożądać takiego wychudzonego ciała o bladej, porzecznej bliznami skórze.

- A jeśli tak?

- To własne oczy cię okłamują. - Odwrócił się do niej plecami, oparł dłoń o framugę okna i wpatrzył się w ciemność.

Margery spojrzała najpierw na czerwoną bliznę, biegnącą wzdłuż kręgosłupa, a potem zaczęła liczyć rany. Wgłębienie, będące śladem po indiańskiej włóczni. Poszarpana blizna, którą pozostawiły pazury niedźwiedzia. Płaski, gładki ślad po oparzeniu. Okrągły otwór po kuli.

Bez zastanowienia podeszła bliżej. Stała tuż za nim. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego pleców. Drgnął. Poczwała, jak napinają się wszystkie jego mięśnie.

- Czasami myślę, że dłoń silniej reagują na urodę niż oczy.

Dłoń Margery zaczęły zsuwać się w dół ciała Willa. Dotarły do blizny i znieruchomiały na chwilę. A potem powędrowały jeszcze niżej, na twarde, krągłe pośladki.

- Twoje ciało jest majestatyczne, jest w nim tyle siły...

Zamknęła oczy. Jej głos stał się niski, hipnotyzujący.

- O ileż subtelniejsze są doznania dotykowe, kiedy się zamknie oczy i wyłącznie czuje.

Przytuliła policzek do ciepłych pleców.

- Czuję bicie serc całych pokoleń rzeźbiarzy, czuję ciepło ciała starożytnych Greków.

Ręce Margery objęły Willa, przesunęły się do przodu. Ujęła w dłoń członek, nie zważając na gwałtowne zaczerpnięcie oddechu, na szarpnięcie się ciała, na opuszczoną w dół głowę męża.

- Wyczuwam grę mięśni nawet wtedy, kiedy stoisz nierucho mo jak marmurowy posąg greckiego boga. Pragnę cię, Will. Tak bardzo, że jestem na krawędzi szaleństwa. Jeśli nie czujesz tego samego... jeśli mnie nie chcesz, to nie wiem, co ze sobą zrobić.

- Jeśli cię nie chcę... - Odwrócił się i porwał ją w ramiona. - Twoja szczerłość, twoja bezwzględna szczerłość zawsze mnie rozbrajała. Pamiętam, jak siedziałem nocą przy ognisku i słuchałem twojej rozmowy z Danem. Już wtedy ujmowała mnie twoja otwartość.

- Pragnąłeś mnie wtedy?

Pocałował ją delikatnie.

- Zawsze cię pragnąłem... od chwili, kiedy spojrzałem na ciebie pierwszy raz, Stałaś z opuszczoną do pasa sukienką z białej jeleniej skóry i choć byłaś potwornie zawstydzona, twoje cudowne piersi tak dumnie sterczały.

- Ja... - Zamknął jej usta pocałunkiem. Powiedział w ten sposób, co czuje, został dobrze zrozumiany, a Margery zarea gowała z entuzjazmem, bo takie porozumiewanie podobało jej się o wiele bardziej niż poprzednie.

Chłoneła jego smak, zapach, ciepło. Krew zmieniła się w niej w ogień i pulsowała w żyłach w szalonym rytmie, podyktowanym przez walące miotem serce, które o mało nie rozsadziło piersi i nie dawało się uspokoić. Czuła się jak pijana. Czas stanął w miejscu. Była tylko ta chwila, tylko nieskończoność. Był tylko żar jego ciała, napierające na nią twarde mięśnie, gorące, szeptane bez tchu słowa i jego język wyczarowujący najprawdziwszą magię.

Spinki wypadły z włosów Margery. Puszysta fala spłynęła na nich jak delikatnie, słodko pachnące błogosławieństwo. Suknia opadła na podłogę. Margery jęknęła, kiedy jej naga skóra zetknęła się z nagością Willa. Dotyk ciała męża odczuła jak pieszczotę.

Will wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka. Ułożył ją delikatnie i nakrył własnym ciałem.

- Całe życie czekałem na tę chwilę.

- Ja też. - Otworzyła się w odpowiedzi na prośbę jego dłoni. Nisko, w podbrzuszu, pulsowało pożądanie, jak opuchnięta, napięta rana.

- Kocham cię - szepnął i wszedł w nią powoli.

Nie była w stanie się odezwać. Mogła tylko za nim podążać.

jak liść rzucony w nurt rzeki, miejscami płynącej leniwie miejscami zaś skręcającej się w groźne wiry o piekielnej sile' miejscami pędzącej naprzód bez opamiętania, bez szansy na zatrzymanie czy zwolnienie zawrotnego tempa, a miejscami rzucającej się na oślep w dół wodospadu. Przez chwilę płynęła w powietrzu i zwijała się w spirale, nim opadła na dół i rozprysła się po powierzchni migoczącej gwiazdami jak nieboskłon, na którym, była tego pewna, bezpiecznie wylądowała. Woda tylko zmarszczyła się leciutko, a drobne fale zaniosą ją na spokojne, gładkie jak szklana tafla jezioro, po którym będzie dryfować... dryfować... dryfować... W otchłani spokoju zabrzmiał najdroższy, ukochany głos: - Spij ze mną. Dziś i zawsze. Jestem tu. Zawsze tu będę. Już nigdy cię nie opuszczę.

37

Obudziła się, gdy William zaczął kolejny raz się z nią kochać. Kiedy została już równie zaspokojona jak on. leżeli nadal spleceni, a dłonie męża nie przestawały pieścić jej ciała.

- Chcę cię zabrać do Londynu. Chcę zabierać cię wszędzie: do teatru, do opery, na balet, do najlepszych restauracji. Chcę ci kupować klejnoty i najwspanialsze suknie... i twój własny powóz z parą idealnie dobranych koni. Teraz wreszcie będę cię traktował jak ukochaną żonę i pokażę całemu cholernemu światu, jak bardzo cię uwielbiam. Chcę ci dać wszystko, o czym tylko zamarzysz.

- J już dałeś.

Margery pomyślała, że byłoby jej bardzo trudno rozstać się z bliźniętami. Nie dlatego, żeby martwiła się o ich bezpieczeństwo, ale że pierwszy raz spędziłyby noc z dala od nich. Powiedziała o tym Willowi.

- To im tylko wyjdzie na dobre. Uzupełnię ich edukację o wiedzę, że na mamie świat się nie kończy... choć dla mnie tak. — Pocałował ją delikatnie, objął i mocno do siebie przytulił.

- Ale oni są jeszcze tacy mali. Bez nich będę się czuła zagubiona. Komu będę czytać bajeczki na dobranoc?

- JMożesz je czytać mnie, mamusiu. - Will roześmiał się.

- naśmiewasz się z mojego zmartwienia. - Uszczypnęła go. —

Jesteś niegodziwym zboreźnikiem.

- Tylko przy tobie. I nie przypominam sobie, żebyś minionej

nocy miała coś przeciwko temu... ani dziś rano, o ile się nie mylę.
 - Pocałował Margery w czubek głowy. - Coś ci powiem. Jeśli mi obiecasz, że będziesz grzeczną dziewczynką, to będę się starał, i to ze wszystkich sił, dać ci następne dziecko... jeszcze młodsze od tych, które już masz.

Rozpłynęła się ze szczęścia na samą myśl o tym.

- Podoba mi się ten plan.

- A co konkretnie? Myśl o następnym dziecku, czy też moja obietnica, że będę pracował nad tym z największym poświęceniem?

- I jedno, i drugie. Choć to drugie jakby nieco bardziej. Kocham cię, Williamie.

- Williamie? Czy mam zacząć mówić do ciebie: Szybkonoga?

Margery nie odzywała się przez chwilę. Pogryzła się w zamyśleniu. Od pewnego czasu nie wracała pamięcią do tamtego okresu życia.

- Jak dziwnie mi teraz zabrzmiało w uszach to imię. Są chwile, kiedy mi się zdaje, że całe życie spędziłam tutaj, w Anglii.

- Może dlatego, że teraz żyjesz niemal tak jak w pierwszych latach dzieciństwa, zanim zostałaś branką.

- Ale to jednak dziwne, że choć większą część życia spędziłam, wędrując po prerii z różnymi plemionami, tak rzadko wracam myślą do tamtych czasów. Nie sądzisz, że to może być rodzaj samoobrony mózgu? Usuwanie bolesnych chwil w niepamięć.

- Pewnie tak. I nie ma najmniejszego powodu, byś miała wracać do przeszłości. Teraz żyjesz w Anglii, jesteś żoną i matką. Masz pełne, bogate życie. - Pocałował ją. - Jesteś kochana. Stałaś się kobietą, jaką miałaś się stać. Dlaczego więc mózg miałby podsuwać ci obrazy z przeszłości?

- I nie robi tego. Nawet teraz, kiedy staram się wracać do tego myślą, obraz jest niemal równie zamazany, jak wspomnienia o mojej rodzinie. Nawet imię Szybkonoga wydaje mi się teraz całkiem obce. Jakby ona już przestała istnieć.

- To nieprawda, że przestała istnieć. Nigdy nie istniała. Nigdy nie byłaś Indianką. Zawsze byłaś Margery. I zawsze byłaś moim przeznaczeniem.

- Twoim przeznaczeniem... Podobają mi się te słowa.

- A mnie bardziej się: podoba rzeczywistość. - Will pochylił się nad żoną. - Chodź tij i kochaj się ze mną.

Margery spojrzała na zegarek.

- Zrobiło się późno. Chyba powinniśmy wstawać. Wszyscy zaczną się zastanawiać, gdzie się podzieliśmy.

- Oni doskonale wiedzą, gdzie się podziewamy. No, chodź tu do mnie. Chcę się trochę kochać i nie masz najmniejszej szansy, żebym przedtem wypuścił cię z łóżka. - Pocałował ją. Raz. Dwa. Trzy razy. Za czwartym razem Margery jęknęła i zarzuciła mu ręce na Szyję.

Tupot biegnących stóp odbijał się echem w całym holu. Towarzyszyły mu głośne okrzyki i głos niani.

Trzasnęły drzwi. Na dworze zaszczekał pies i rozległy się piski i śmiech bliźniaków.

Will uniósł potarganą głowę.

- Co się tam, u licha, dzieje?

Margery roześmiała się i wyjrzała przez okno.

- W nocy spadł śnieg. Już zapomniawszy, co się działo, kiedy byłeś dzieckiem i w nocny spadł śnieg, a nikt z dorosłych nie chciał ci pozwolić pobawić się na dworze?

- Nie - stwierdził ponuro i spojrzał w dół na swoje ciało. - Pamiętam jedynie, że kiedy byłem już całkiem dorosły i chciałem kochać się z żoną, mój instrument nagle zawiódł.

- Cóż robić - mruknęła Margery. Wstała z łóżka i złapała Willa za rękę, żeby wyciągnąć go z pościeli. - To znaczy, że musimy wyjść na dwór i porzucić śnieżkami.

Dwa dni później Will dotrzymał obietnicy, że zabierze ją do Londynu i pokaże jej wszystkie atrakcje. Przez pierwsze dwa dni odwiedzali najbaidziej eleganckie pracownie krawieckie, w których zamówił dla Margery najnowsze paryskie modele. Trzeciego dnia odwiedzili trzy salony jubilerskie, w których Will kupił „więcej klejnotów”, niż zdołałabym włożyć na siebie przez

całe życie", jak mówiła później Margery. Czwartego dnia dostarczono im nowiutki powóz zaprzężony w parę siwków. Ale to nie wspaniały ekwipaż, a widok wysiadającego z powozu Dana zrobił na niej największe wrażenie.

Will uśmiechnął się, kiedy żona z rozpromienionymi radością oczami pocałowała gościa w policzek.

- Jakie to szczęście cię zobaczyć! Choć właściwie powinnam się na ciebie gniewać, że tak długo mnie nic odwiedzałeś.

Dan odsunął ją na długość ramienia, obejrzał od stóp do głów i gwizdnął przeciągle.

- Nowe szaty i nowe życie. I z jednym, i z drugim bardzo ci do twarzy.

- Zawsze byłeś pochlebcą. - Margery ujęła go pod rękę i wprowadziła do domu.

Dan został na kolacji i gawędzili we trójkę do późnej nocy. W końcu stwierdził, że musi już iść.

- Ale obiecaj, że jeszcze nas odwiedzisz. I to wkrótce - poprosiła Margery.

Will odprowadził gościa do drzwi i umówił się z nim na następny dzień na przejażdżkę konną.

Kolejne wieczory spędzali w teatrze, operze i balecie, a po przedstawieniach szli do najmodniejszych i najlepszych restauracji.

Gdy tylko rozeszła się wieść, że przyjechali do Londynu, zaczęły nadchodzić zaproszenia. Pewnego popołudnia Will wszedł do pokoju w chwili, kiedy Margery otwierała kopertę.

- Kolejne zaproszenie?

- Na bal u markizy Pemberton. - Margery kiwnęła głową i podała mu kopertę.

- Słabo znam markizę, a widzę, że jesteś już zmęczona, więc jeśli chcesz, możemy odmówić.

- Tak, chciałabym ten wieczór spędzić w domu.

- Jutro jest bal u księcia Norfolk?

- Tak.

- Myślę, że powinniśmy tam pojechać nieco wcześniej niż

zwykle. Zapowiada się wielka impreza, na której będzie cała śmietanka towarzyska.

Margery odłożyła zaproszenie markizy Pemberton na srebrną tackę, na której piętrzyły się już inne bileciki, i odwróciła się do Willa. Z przerażeniem zobaczył jej zapłakaną twarz z zapuchniętymi oczyma i czerwonym nosem.

- Kochanie, co się stało?

Łzy znów zaczęły płynąć, jakby tylko czekały na to, by Will zwrócił na nie uwagę.

- Och, Will, tak strasznie tęsknię za domem. Brakuje mi naszego wiejskiego życia. Brakuje mi spokojnych wieczorów w rodzinnym gronie. I chcę wreszcie znów zobaczyć dzieci.

Wziął ją w ramiona i pocałował w czoło.

- Jesteś całym moim życiem. Co uszczęśliwia cię, uszczęśliwia i mnie. Jeśli chcesz wracać do domu, to wracamy.

Margery zarzuciła mu rękę na szyję.

- To dla mnie ważniejsze niż wszystkie paryskie kreacje. Możemy wyjechać natychmiast?

Willa rozbawiło jej podniecenie. Pierwszy raz zobaczył w niej dziecko. Tak właśnie musiała wyglądać w Boże Narodzenie, z oczami rozjaśnionymi radością i pełnymi oczekiwania.

- Dziś już troszkę za późno, ale postawię służbę na nogi, żeby od razu wzięła się do pakowania. Wiesz co? Pójdziemy wieczorem na bal do Norfolka, a rano ruszamy do domu.

- A musimy iść na ten bal do księcia Norfolk? Nie moglibyśmy zostać w domu?

Mogli spędzać w domu nawet wszystkie wieczory, jeśli Margery miała na to ochotę. Will przywiózł ją do Londynu, bo sądził, że będzie wołała podniecające wielkowiejskie życie od tego, co wiele osób określało mianem monotonnej i nudnej wiejskiej egzystencji. Był bardzo zadowolony, że Margery, podobnie jak on, woli życie na wsi. Poczuł prawdziwą ulgę, że nie będzie musiał spędzać większej części roku w Londynie i oddawać się obowiązkom życia towarzyskiego wyższych sfer.

- Wiesz, chciałbym móc spełniać każde twoje życzenie, ale obiecałem komuś, że przyjdziemy.

W oczach Margery natychmiast zapłonęła ciekawość, zwęszyła tajemnicę.

- Komu? Will, proszę, nie każ mi czekać na niespodziankę!

Westchnął.

- Widzę, że już nigdy niczego nie będę mógł zachować w sekrecie. Daniel pytał mnie o ciebie i obiecałem mu, że będziemy na balu. Wydaje mi się, że byłby bardzo rozczarowany, gdybyśmy nie przyszli.

- Oczywiście, że pójdziemy. Obietnica to obietnica. A poza tym zawsze chętnie spotkam się z Danielem.

Ylargery i Will skończyli właśnie drugi taniec i szli przywitać się z Danielem, który dopiero teraz przyjechał, kiedy kamerdyner zaanonsował kolejnych gości:

- Księżę i księżna Dunford.

Margery przyglądała się przystojnemu księciu i jego pięknej żonie. Musiała gapić się na nich zbyt długo, bo Will zapytał:

- Znasz ich?

- Nie jestem pewna, ale odnoszę wrażenie, że księżnę już gdzieś poznałam. Pewnie spotkałyśmy się, kiedy poprzednio byłam w Londynie, z twoją matką. A ty ich znasz?

- Nie, nie słyszałem też o takim tytule.

Margery przyglądała się, jak kilka par podchodzi, aby powitać nowo przybyłych.

- Najwyraźniej nie są tak całkiem nieznani, skoro tak serdecznie się ich przyjmuje.

- Co... a tak, chyba tak.

- Wiesz, tego wieczoru, kiedy poznałam księżnę Dunford, wydarzyło się coś dziwnego. Lady Ashford podeszła tuż po odejściu księżnej i mówiła, że księżę pochodzi z Ameryki, jego rodzice zostali zamordowani przez Indian, a bracia rozproszyli się po całym kontynencie. Miał też siostrę, która została uprowadzona, jak ja. Biedna lady Ashford! Nie mieściło jej się

w głowie, że aż dwie osoby na świecie zostały porwane przez Indian.

- Jestem pewien, że od razu wyprowadziłaś ją z błędu.

- Oczywiście. - Margery znów popadła w zamyślenie. - Przypomniałam sobie coś jeszcze. Wkrótce po powrocie z Londynu spotkałam się z Danielem. Wspomnił, że lady Ashford opowiada na prawo i lewo, że siostra księcia Dunford i ja byliśmy razem w niewoli. Wyobrazasz sobie?

Will przypatrywał się czemuś uważnie, ale słuchał, co żona mówi, bo stwierdził:

- Sądzę, że to niewykłuczone. O ile pamiętam, mówiłaś, że spotykałaś niekiedy inne branki.

- Owszem, ale szansa na to, by któraś z nich była siostrą księcia, jest znikoma. To byłby cud, gdybyśmy się spotkały.

- Wierzę w cuda - mruknął i objął ją w pól.

- Naprawdę?

- Ty jesteś moim cudem.

- Jedynym cudem jest to, że kocham cię pomimo tego, co zrobiłaś. - Margery dała mu kuksańca.

- Nie, prawdziwym cudem jest to, że w ogóle mnie pokochałaś. - Will zaśmiał się.

- Może oboje mamy rację - powiedziała, ale zauważyła, że mąż stał się nagle niezwykle roztargniony.

- Nie do wiary!

- Co?

- Grenville... księżę Grenville z żoną. Musi mieć już siedemdziesiątkę na karku. Co on tu, na Boga, robi?! Już ponad dziesięć lat temu zrezygnował z bywania na tego typu imprezach.

- Który to?

- Ten stary. Tam, rozmawia z księciem Dunford.

Margery spojrzała we wskazanym przez męża kierunku i szepnęła zza wachlarza:

- Oni wszyscy są starzy, Williamie, postaraj się go jakoś opisać. Który z nich, na litość boską, jest księciem?

- Ten w czerni.

- Bardzo ci dziękuję. Policzmy: jeden, dwóch, trzech... sied-

miu, ośmiu... dziewięciu. W tej jednej małej grupce jest dziewięciu panów w czerni, nie licząc setki innych na tej sali. Czy nie mógłbyś być bardziej konkretny?

- Słucham? - Will odwrócił się i spojrzął na żonę. - Pytałaś o coś?

- Nieważne. Może byśmy...

- Zatańczyli jeszcze raz - dokończył Will i pociągnął ją na parkiet. - Czy mówiłem ci już, że pięknie wyglądasz?

- Owszem, ale nie mam nic przeciwko temu, żebyś to jeszcze raz powtórzył.

- Zieleń to zdecydowanie twój kolor. Powinnaś częściej się tak ubierać.

- Teraz, kiedy dałeś mi takie wspaniałe szmaragdy, będę na pewno.

- Jesteś najpiękniejszą kobietą w tej sali... ze szmaragdami czy bez.

- No, nie wiem. Żona księcia Dunford jest uderzająco piękna z tymi imponującymi czarnymi włosami. - Wzrok Margery pobiegł ku tańczącej w pobliżu książęcej parze. Gdy jej oczy spotkały się z oczami księcia, przeszedł ją dziwny dreszcz, nie była w stanie odwrócić od niego spojrzenia. W tym momencie William okręcił nią w tańcu i twarz księcia zmieniła się w zamazaną plamę. Margery znów poszukała go wzrokiem. I on nie spuszczał jej z oczu. Margery zmyliła krok. Czy książę także poczuł ten dziwny niepokój?

- Wolę blondynki.

- Słucham?

- Powiedziałem, że wolę blondynki.

- Jesteś stronniczy - powiedziała. Czują się bardzo dziwnie. Zaczęła żałować, że rozmawiali o Indianach i brankach. Teraz nie była w stanie myśleć o niczym innym.

- Jestem stronniczy jedynie, kiedy chodzi o ciebie.

Przetańczyli kolejne cztery tańce. Potem Will poszedł z Danem do biblioteki na brandy i cygaro, a Margery weszła po schodach na piętro, żeby przypudrować nos.

W pokoju zastała kilka znajomych pań. Przywitała się z nimi, zatrzymując się na nieco dłuższą pogawędkę z księżną Upton

i lady Fitzpatrick. Wtem odwróciła się i dostrzegła poprawiającą włosy przed złoconym, zdobionym cherubinkami lustrem księżną Dunford.

Księżna dostrzegła Margery w lustrze i przyglądała się jej z przechyloną na ramię głową.

- Czy my się przypadkiem nie znamy? - zapytała, odwracając się do Margery. - Mam wrażenie, jakbyśmy się już spotkały. Pani twarz wydaje mi się znajoma, choć mieszkam w Szkocji i rzadko bywam w Londynie.

- Spotkałyśmy się właśnie w Londynie, wasza wysokość. Mniej więcej przed rokiem.

- Teraz sobie przypominam! - zawołała Annabella. - Proszę wybaczyć, że od razu pani nie poznałam.

- Wiele słyszałam o Szkocji, ale jest pani jedyną znaną mi Szkotką.

- Będzie pani musiała jeszcze poczekać, bo ja nie jestem prawdziwą Szkotką - sprostowała rozbawiona księżna. - Jestem Angielką, a w Szkocji mieszkam od zamążpójścia. Pozwoli pani, że się przedstawię: księżna Dunford, ale proszę mówić do mnie: Annabella.

- A ja jestem księżną Warrenton, ale proszę mówić do mnie Margery.

- Margery. Jakie śliczne imię. Czy wiesz, że mój mąż...

- Annabelle, zejdzies ze mną na dół?

- Za chwilę, mam. Przykro mi, że muszę tak nagle skończyć rozmowę, Margery, ale muszę już iść. Mama się starzeje. Nie ma już tyle cierpliwości co dawniej. Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy.

- I ja mam nadzieję na spotkanie, choć pewnie nieprędko. Jutro wracam z mężem na wieś.

- W takim razie spotkamy się pewnie przy następnej bytności w Londynie.

- Będę czekać z niecierpliwością.

- Ja także. Do widzenia.

- Do widzenia. - Margery odprowadziła wzrokiem księżną, która zmierzała do drzwi w lśniącej ciemnogrnatowej sukni.

Margery i Will jedli obiad z Lydią i jej rodzicami, lordem i lady Lancasterami. Wokół długiego stołu zasiadło około dwudziestu osób. W większości byli to sąsiedzi, których Margery i Will także znali; obcy byli jedynie dwaj panowie, bawiący z wizytą u lorda i lady Potterfordów. Młodszy z dwóch dżentelmenów został ulokowany z dala od Margery, ale starszy, mocno zbudowany mężczyzna w średnim wieku, siedział naprzeciw niej. Miał zupełnie niespotykanego koloru włosy: ciemnoczerwone, przetykane siwizną. Jeszcze ze sobą nie rozmawiali, znała więc jedynie jego nazwisko: doktor Davidson.

Ponieważ goście stanowili w większości grono zżytych ze sobą osób, już po chwili w pokoju rozległ się miły gwar ożywionych rozmów.

Margery, siedząca po lewej ręce lorda Lancaster, omawiała z nim wrażenia z niedawnego pobytu w Londynie.

—Doszły mnie słuchy, że bal u księcia Norfolk był ogromną imprezą.

- Owszem, jeszcze nigdy nie spotkałam w jednym miejscu tylu nieznanymi mi ludzi.

Dudniący śmiech lorda Lancaster zwrócił na nich uwagę wszystkich zgromadzonych przy stole gości. Jak na komendę odwrócili głowy i popatrzyli na gospodarza.

- Twoja małżonka opowiadała mi właśnie o waszej wyprawie do Londynu - zwrócił się do Williama lord Lancaster. - Zdaje się, że stary Norfolk ma kolejnego bzika. Podobno zaprasza do siebie wszystkich, którzy noszą w Anglii jakikolwiek tytuł.

- Muszę przyznać ci rację - stwierdził Will.

- Nie tylko w Anglii, lordzie Lancaster - wtrąciła się Margery. - Był tam także przynajmniej jeden książę ze Szkocji.

- Szkocki książę, powiada pani? - Lord Lancaster był najwyraźniej rozbawiony. - Pewnie go nie znam, nie mam pojęcia o szkockich tytułach szlacheckich. Pewnie ma jakichś krewnych w Londynie, bo cóż innego mogłoby skłonić Szkota do przyjazdu do Anglii w okresie karnawału? Oni nigdy nie przepadali za Anglikami.

Margery kiwnęła głową.

- Słyszałam o tym. Ten zaś książę, jak słusznie się pan domyślił, ma rodzinę w Anglii. Jego żona jest Angielką i najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałam.

- Żona Angielka, hm. Ciekaw jestem, z jakiej rodziny pochodzi. Nic na ten temat nie mówiła?

Margery poczuła, że jej policzki oblewa fala gorąca.

- Mówiła, ale muszę się przyznać, że całkiem wyleciało mi to z głowy. Pamiętam tylko, że jej ojciec jest księciem.

- To książę Grenville - wmieszał się do rozmowy Will. - Margery mówiła mi o tym zaraz po rozmowie z jego córką.

- Pamiętam, że ma na imię Annabella.

- To musi być żona księcia Dunford - oświadczył doktor Davidson. Wszystkie spojrzenia pobiegły ku niemu.

- Owszem - potwierdziła Margery. - To właśnie to nazwisko.

Książę Dunford. Pan go zna?

- Pochodzę z wyspy Skye, gdzie znajduje się rezydencja księcia.

- W takim razie musi pan znać i Annabellę! - Margery pochyliła się do przodu.

Doktor Davidson uśmiechnął się.

- Z całą pewnością można tak powiedzieć, skoro odebrałem całą szóstkę dzieci jej i Rossa. Książę ma na imię Ross.

Margery zmarszczyła czoło. Ross... Rzadkie imię, a jednak wydawało jej się dziwnie znajome... Niewątpliwie słyszałam już to imię, lecz nie mam pojęcia gdzie i kiedy.

- Sześcioro dzieci! Wygląda na osobę zdecydowanie zbyt młodą, by mieć już tak liczne potomstwo.

Doktor Davidson stłumił wyraźne rozbawienie.

- Jest już kobietą w pewnym wieku, choć, jak pani zauważyła, całkiem ładną. Czy poznała pani także księcia?

- Nie, rozmawiałam z księżną tylko przez chwilę, kiedy panowie wyszli zapalić cygara. Księcia widziałam jedynie z daleka.

- To wielka szkoda. Czy pani wie, że on jest Amerykaninem?

- Słyszałam, ale nie miałam pewności, czy to nie plotka.

- To absolutna prawda, mogę panią zapewnić - oświadczył doktor Davidson.

- Jak to się stało, że Amerykanin został szkockim arystokratą? - zainteresował się Will.

- Jego dziadek był księciem. Ojciec urodził się w Szkocji, ale wyemigrował do Ameryki, gdzie zmarł. Kiedy stary książę zaczął podupadać na zdrowiu, posłał po wnuka.

- W takim razie szkoda, że Margery się z nim nie spotkała - stwierdził Will i spojrzał na żonę, która sięgała właśnie po kieliszek wina. - Rzadko ma okazję spotkać innych Amerykanów.

- W Szkocji bywa ich bardzo wielu, bo krewni księcia przyjeżdżają do niego w odwiedziny - powiedział doktor Davidson. - Podejrzewam, że obecnie w Ameryce mieszka więcej członków klanu Mackinnonów niż w Szkocji.

Kieliszek wypadł z ręki Margery.

Uderzył o talerz, poplamiał winem jej jedwabną suknię w kolorze kości słoniowej, spadł na podłogę i roztrzaskał się w drobne kawałki. Margery oddychała z trudem, serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi. Żar oblał jej ciało, a lepki pot pokrył czoło. W uszach słyszała głośnie brzęczenie. Pokój zaczął wirować, zrobiło jej się ciemno przed oczami. Bała się, że zaraz zemdleje.

Mackinnon... Mackinnon... Mackinnon...

To nazwisko odbijało się echem w jej głowie i z każdą chwilą było coraz bardziej znajome. Zamknęła oczy. Pod powiekami zaczęły jej się przesuwać zamglone sylwetki, takie jak zawsze, odkąd sięgała pamięcią. Niewyraźne obrazy, które kojarzyła z nieznaną rodziną. Otworzyła oczy, ale nie widziała niczego. Uświadomiła sobie tylko, jak bardzo drży jej ręka, którą uniosła, by zasłonić płamę na sukni.

- Mackinnon - szepnęła, rzucając mężowi rozpaczliwe spojrzenie. - Mackinnon.

Will natychmiast znalazł się przy niej, przykucnął i delikatnie potrząsnął jej ramieniem.

- Margery... Kochanie, co się stało? Co ci jest?

Położyła rękę na czole. Czowała zawroty głowy.

Gdzieś z bardzo daleka dochodził głos Willa.

- Lepiej zabiorę ją do domu.

Margery poczuła, że obejmuje ją ramię męża i pomaga jej wstać.

- Mackinnon - szepnęła bez tchu. - Nazywam się Mackinnon.

Nagle zrobiło jej się ciemno przed oczami i poczuła, że spada gdzieś w głąb długiego ciemnego tunelu.

Kiedy następnego dnia Will wszedł do pokoju Margery wczesnym rankiem, zastał ją siedzącą w łóżku z wyrazem oszołomienia na twarzy. Usiadł przy niej i położył jej rękę na czole.

- Jak się czujesz?

- Niewiele pamiętam z tego, co się działo podczas wczorajszego obiadu.

- Doktor Davidson przyjechał z nami do domu. Stwierdził, że przeżyłaś silny wstrząs. Powtarzałaś raz po raz nazwisko Mackinnon, a potem zemdląłaś. Pamiętasz coś z tego?

Margery przełknęła z trudem ślinę, zamknęła oczy i oparła głowę o poduszkę. Przed oczami znów pojawiła się zamglona

wizja - niewyraźne sylwetki członków jej rodziny. Bez twarzy, Ale teraz przynajmniej nie byli bezimienni, poznała ich nazwisko,

- Nazywam się Margery Mackinnon - powiedziała - A wlas ciwie Marguerite Mackinnon, tak brzmi moje prawdziwe imię.

William zbladł jak ściana.

- Boże! Wiesz, co to znaczy? Jesteś pewna?

- Całkowicie.

- No to mamy już coś na początek. Znamy nazwisko, możemy więc rozpocząć poszukiwania. Gdybyśmy tylko wiedzieli, gdzie szukać.

- Zacznijmy od księcia.

- Masz na myśli księcia Dunford?

- Doktor Davidson powiedział, że księżę ma na imię Ross. To imię wydaje mi się dziwnie znajome, choć nie mam pojęcia, gdzie je mogłam usłyszeć. - Margery potrząsnęła głową. - Ale słyszałam je na pewno. Ross. Ross i Alex. Ross i Alex Mackinnon.

- Alex? Kto to jest Alex?

Margery ścisnęła skronie, jakby nagle rozboleła ją głowa.

- Nie wiem. Po prostu samo spłynęło mi na usta, kiedy mówiłam: Ross Mackinnon. - Odjęła ręce od skroni. - Czy sądzisz, że Ross może mieć brata Alexa? Jeśli są Amerykanami, mogą być moimi krewnymi... może nawet braćmi.

Will zerwał się na równe nogi.

- Braćmi? Chcesz powiedzieć, że księżę Dunford mógłby być twoim bratem?

Margery przypomniała sobie bal. Tańczyła z Willem, a nie była w stanie oderwać oczu od księcia. Wiedziała, że to żaden dowód, lecz była święcie przekonana, że ta wymiana spojrzeń poruszyła księcia w tym samym stopniu co ją.

- Nie wiem. Will, ale od czegoś przecież trzeba zacząć. Moglibyśmy pojechać do Szkocji i spotkać się z księciem. Nietrudno będzie stwierdzić, czy księżę ma krewnego imieniem Alex, czy istnieje jakiś związek. To nie powinno zabrać zbyt wiele czasu.

Will zdawał sobie sprawę, jakie to dla niej ważne, i serce mu pękało na myśl, że musi odmówić zgody na wyjazd do Szkocji.

Ale przecież nie mógł pójść z nią do domu księcia i zacząć wypytywać go o przeszłość. To nie wypada, takich rzeczy się nie robi. Znowu usiadł przy żonie i otoczył ją ramieniem.

- Kochanie, myślę, że to tylko zwykły zbieg okoliczności.

- Nie wierzysz mi? - Will zrozumiał, że ją zranił, i serce mu się ścisnęło na widok bólu w jej oczach.

- Wierzę, że nazywasz się Mackinnon i masz na imię Marguerite, ale prawdopodobieństwo, że ty i twój brat przyjechaliście do Wielkiej Brytanii i oboje trafiliście do najwyższych sfer, jest relatywnie bliskie zeru. Nawet mnie trudno w to uwierzyć.

- Ale on jest Amerykaninem, a ja jestem pewna, że nazywam się Mackinnon. Czy to nie wystarczy? I to imię Alex... - Zamilkła na chwilę. - Alex jest zdrobnieniem od Alexander. Alexander i Adrian.

To z każdą chwilą stawało się bardziej dziwne i niezrozumiałe. Nie miała pojęcia, skąd przychodzą do niej te imiona, skąd je zna.

- Adrian? A skąd znów wziął się ten Adrian?

- Nie wiem. To imię po prostu samo spłynęło mi na usta.

- Pewnie znałaś kiedyś w przeszłości to imię. Podobnie jak pozostałe.

- Alexander i Adrian. Nie wiem dlaczego, ale te imiona wydają mi się nierozłączne.

- Może ktoś z twojej rodziny nazywał się Alexander Adrian Mackinnon? Margery zmarszczyła nos.

- To niezbyt dobrze brzmi, prawda?

- Raczej nie najlepiej. A może Adrian Alexander Mackinnon? -

Will uśmiechnął się do żony.

- To już lepiej. Wydaje mi się jednak, że są to dwie różne osoby.

- Tak czy owak, znasz już nazwisko i trzy różne imiona. To powinno wystarczyć do rozpoczęcia poszukiwań,

- Pojedziemy więc do Szkocji?

Will zaczął gładzić jej dłoń. Wyrwała mu ją z gniewem.

- Nie staraj się mnie pocieszać. To dla mnie bardzo ważne.

- Wiem, że to dla ciebie ważne, ale teraz za bardzo już zmęczyłaś swoją biedną głowę. Odpocznij. Inne imiona, które

spoczywają jeszcze z zakamarkach twojej pamięci, są tam bezpieczne. Skoro kryły się tam tak długo, mogą poczekać jeszcze kilka godzin. Na pewno nie znikną. Kto wie? Może po porządnym wypoczynku przypomnisz sobie więcej? Może nawet przypomnisz sobie, że jesteś siostrą królowej Wiktorii?

- Williamie! Nie waż się ze mnie kpić w takiej chwili! Ty! Mój własny mąż! Właśnie ty powinienesz mnie wspierać.

- Przecież cię wspieram, kochanie... Kiedy mi na to pozwalasz. Przeważnie trudno cię nawet zmusić, żebyś przyznała, że jesteś moją żoną. Nie mam pojęcia, skąd w tobie ten upór i niezależność. Może rzeczywiście jesteś Szkotką? W każdym razie niewątpliwie jesteś uparta jak wszyscy Szkoci.

- Naprawdę sądzisz, że mogę być Szkotką?

- Niewykluczone. - Will pochylił się nad Margery, delikatnie pocałował ją w usta i wyszedł z pokoju.

- Kiedy się obudzę, nadal będę chciała jechać do Szkocji - mruknęła, kiedy mąż zamykał drzwi.

Will uśmiechnął się i zszedł na dół, żeby poszukać matki.

Uczywiście, że powinienesz ją tam zabrać - oświadczyła stanowczo Octavia po wysłuchaniu informacji o tym, co właśnie wyszło na jaw. - A co ci szkodzi?

W tym momencie do pokoju wszedł doktor Davidson.

- Czy pana żona już się obudziła?

- Tak, przed chwilą do niej zaglądałem.

- Jak się dziś czuje? Pamięta, co się wczoraj stało?

- Czuje się o wiele lepiej. Ciągle jest trochę wstrząśnięta, ale opanowana. Pamięta, co się stało... a przynajmniej większość z tego, co się wydarzyło.

- Chciałbym z nią porozmawiać. Jestem pewien, że przeżyła poważny wstrząs.

- Owszem, przeżyła szok, to prawda. Kiedy wymienił pa" nazwisko Mackinnon, uruchomił pan dawno pogrzebaną pamięć i Margery jest przekonana, że nazywa się właśnie Mackinnon-

Will dostrzegł wyraz dziwnego zmieszania na twarzy doktora Davidsona.

- Chyba powinienesz zacząć od początku, Williamie - pora dziła Octavia. Zadzwoniła po herbatę i zasiedli przy stole. Will rozpoczął opowieść o niezwykłych kolejach losu żony. Twarz doktora zmieniła się, jakby wiedział coś więcej o opowiadanej przez gospodarza historii.

Kiedy William skończył, doktor dopił ostatni łyżeczek herbaty i odstawił filiżankę na spodeczek.

- Moim zdaniem, historia pańskiej żony jest niezwykle fascynująca.

- Ale pan w nią nie wierzy?

- Wręcz przeciwnie. Nie tylko w nią wierzę, ale mam powody sądzić, że niezwykła więź, którą poczuła z księciem Dunford, może mieć realne podstawy.

- Dlaczego pan tak sądzi? - zapytał Will, coraz bardziej przejęty.

- Właściwie to bardzo dziwne. Widzi pan, znam tę rodzinę od wielu lat. Mieliśmy z księciem niejedną okazję do rozmowy. Jedną z opowiadanych przez niego historii może być dla pana szczególnie interesująca. O ile pamiętam, tylko raz rozmawialiśmy o jego rodzinie w Ameryce. Nigdy nie wracałem do tego tematu, bo widziałem, jak bardzo bolesne były dla księcia te wspomnienia.

Willowi zaszczoło w ustach, serce waliło mu jak młot. Miał przeczucie, że za chwilę wydarzy się coś niezwykle doniosłego.

- O czym chciałby pan nam powiedzieć?

- Księżę opowiadał mi o swojej rodzinie... o śmierci matki, ojca i najstarszego brata z rąk Indian. Ci sami Indianie pojмали w niewolę jego jedyną siostrę. Ani Rossowi, ani jego braciom nie udało się jej odnaleźć.

- Boże! - zawołała Octavia. - Chyba pan nie sądzi...

Will przerwał matce.

- Margery powiedziała, że imię Ross wydaje jej się znajome, a potem wyłoniły się z jej pamięci jeszcze dwa inne. Najpierw Alex, który, jak później dodała, jest zdrobnieniem od Alexander. W chwili, gdy powiedziała Alexander, natychmiast dodała Adrian.

- Książę Dunford ma brata Adriana. Wiem, że Ross znalazł w Szkocji żonę dla Adriana. W czasie ślubu stał u boku Mag>ńe Ramsay, zastępując brata. Byłem świadkiem na tym ślubie. Nie pamiętam natomiast, by kiedykolwiek wymienił przy mnie imiona pozostałych braci.

- A wiec ma jeszcze innych braci? - zapytał Will.

- Tak. Czterech albo pięciu... nie licząc tego najstarszego, zamordowanego przez Indian.

Octavia głośno odstawiała filiżankę na spodeczek.

- Margery opowiadała mi kiedyś, że odnosi wrażenie, iż miała wielu braci i ani jednej siostry. A potem po raz pierwszy spotkałyśmy księżnę i lady Ashford zaczęła rozpowiadać na prawo i lewo, że siostra księcia została porwana przez Indian. Myślałam wówczas, że to zwykłe bajdy lady Ashford. Zaczyna się starzeć i plecie czasem od rzeczy.

Will pokiwał głową.

- Tymczasem okazuje się, że wcale nie plotła od rzeczy, bo wszystko to prawda.

Doktor Davidson wstał.

- Jak dotąd, wszystko pasuje. Dziękuję za gościnę, księżno. - Skłonił się przed Octavią.

- Wyjeżdża pan? - zapytała Octavia, wstając z krzesła.

- Za dwa dni wracam do Szkocji. Przedtem muszę jeszcze wpaść do Londynu, żeby załatwić parę spraw. - Odwrócił się do Willa. - Jeśli pan uważa, że nie ma potrzeby, bym jeszcze raz zbadał pańską żonę, to już pojadę.

Will odprowadził doktora do drzwi.

- Nie wiem, jak mam panu dziękować. Nie ma pan pojęcia, ile pańskie informacje dla mnie znaczą.

- Mogę sobie wyobrazić - powiedział doktor Davidson, wkładając kapelusz - ponieważ sam byłem sierotą. Do widzenia, wasza książęca mość. Mam nadzieję, że zawiezie pan żonę na spotkanie z księciem Dunford.

- Może pan być tego pewien.

39

Jtięc dni później Margery i Will przybyli na wyspę Skye. Dwie godziny po przyjeździe siedzieli już w salonie starego zamczyska, będącego siedzibą księcia Dunford. Czekali na gospodarza.

Margery chyba jeszcze nigdy nie była tak zdenerwowana. Te kilka minut wydawało jej się wiecznością. Dlaczego on się nie pośpieszy? Czy nie rozumie, jakie to dla niej ważne? Uświadomiła sobie jednak, że przecież książę nie ma pojęcia, w jakiej sprawie przyjechali.

Will wyczuł jej zdenerwowanie. Nakrył dłoń żony ręką uśmiechnął się, by dodać jej otuchy.

- Wszystko będzie dobrze, kochanie. Jestem tego pewien.

- Mam nadzieję, te się nie mylisz. Wiążę z tą wizytą tyle nadziei... - Odwróciła się do niego. - Och, Will, jeśli się okaże, że to ślepa uliczka, chyba nigdy w życiu nie otrząsnę się z rozczarowania.

Zamilkła, bo usłyszała odgłos zbliżających się kroków. Po chwili do salonu wszedł książę Dunford. Był wysokim, szczupłym mężczyzną o królewskiej postawie, pełnych dobroci oczach i ciemnych włosach, na skroniach nieco już przyprószonych siwizną. Margery szukała w jego twarzy czegoś, co kojarzyłoby się jej z przeszłością, ale niczego podobnego nie znalazła.

Will przywitał się z księciem i przedstawił mu żonę. Księżę wskazał im fotele.

- Proszę usiąść.

Sam wybrał fotel stojący naprzeciw nich i rozsiadł się wygodnie.

- Rozumiem, że mają państwo do mnie jakąś niezwykle ważną sprawę.

- Tak, wasza wysokość.

- Proszę, mówmy sobie po imieniu - zaproponował księżę. - Mam na imię Ross.

Will spojrział na Margery. Siedziała nieruchomo jak posąg. Jedno spojrzenie na twarz męża wystarczyło, by zrozumiała, że ten nie ma pojęcia od czego zacząć. Postanowiła mu pomóc i z miejsca przykuć uwagę księcia.

- Podejrzewam, że może pan być moim bratem, wasza wy sokość.

Owszem, udało jej się przykuć uwagę księcia i to w zupełnie niespotykanym stopniu. Wyglądał, jakby go ktoś spoliczkował.

- Co pani powiedziała?!

- Pozwólcie, że się wtrączę - poprosił Will. - Cofnijmy się trochę w czasie i zacznijmy opowieść od nieco wcześniejszych wydarzeń.

- Zaczynjcie od początku - zaproponował Ross.

Will skinął głową.

- Przez kilka lat włóczyłem się po Ameryce. Przeważnie na Zachodzie. Podróżowałem od jednej indiańskiej wioski do drugiej, rysując portrety Indian i scenki z plemiennego życia. W wiosce Crowów trafiłem na scenę sprzedaży kobiety wojownikom z plemienia Mandanów. Zauważyliśmy z moimi ludźmi, że kobieta, mimo iż ubrana jak Indianka, niewątpliwie jest biała. Kupiłem ją więc.

Margery spokojnie słuchała, jak Will tłumaczy okoliczności ich ślubu i uczciwie przyznaje, że wykorzystał ją, by odegrać się na ojcu. Mówił, że Margery znała angielski i pamiętała swoje

imię, ale nie przypominała sobie rodziny... jedynie jakieś zamglone postacie, które widywała niekiedy w snach.

- Zabrałem ją do Anglii. Przyjechaliśmy do domu w Wigilię i natychmiast ją zostawiłem. Tej samej nocy wróciłem do Ameryki.

Ross przeniósł spojrzenie na Margery.

- Will mówił, że pamięta pani swoje imię? Jak oifl brzmi?

- Zawsze wiedziałam, że mam na imię Margery, ale dopiero przed tygodniem, kiedy ktoś wymienił w mojej obecności nazwisko Mackinnon, uświadomiłam sobie, że nazywam się Margery Mackinnon, a właściwie nie Margery, lecz Maisuerite, bo takie jest moje prawdziwe imię.

Ross wyglądał na wstrząśniętego, ale kiedy się odezwał, jego słowa były niezwykle ostrożne.

- Moja siostra miała na imię Marguerite, ale nigdy nie mówiliśmy na nią inaczej niż Margery. I, jak pani, była blondynką.

Serce Margery biło trzy razy szybciej niż normalnie; wydawało jej się, że za chwilę spadnie z krzesła. Starła się jednak zapanować nad radością, która niemal ją rozsadzała

- Jednakże - kontynuował Ross - i ja, i moi bracia już nieraz spotykaliśmy się z brankami, którym się wydawało, że mogą być naszymi siostrami... wiele z nich twierdziło upaicie, że mają na imię Margery. - Umilkł na chwilę. Wreszcie przeniósł spojrzenie na Willa. - W którym momencie uznaliście, *H* mogę być bratem twojej żony?

Will opowiedział o wyjeździe do Londynu i balu u księcia Norfolk. Wspomniał o powtórnym spotkaniu Margery i Annabelli.

Ross spojrział na Margery.

- Wtedy nie przyszło pani jeszcze do głowy, *ii* może pani nosić nazwisko Mackinnon?

- Wtedy jeszcze nawet nie wiedziałam, że pan nosi to nazwisko. Dowiedziałam się dopiero po powrocie do domu. - Szczegółowo opowiedziała o przyjęciu u lorda Lancastera, o tym, jak doktor Davidson wymienił nazwisko Mackinnon, i o swojej reakcji.

- Zemdlała pani? /
- To było bardzo głębokie omdlenie - wyjaśnił Will. - Nie masz pojęcia, jaki byłem wdzięczny, że doktor Davidson był na miejscu. Pojechał z nami do domu i został na noc, żeby w razie potrzeby być pod ręką.
- Przyszłam, że jestem pod wrażeniem tej opowieści, niestety, to jednak za mało, bym mógł uznać panią za swoją siostrę. Nie chciałbym być brutalny, musi pani jednak zrozumieć, że wielokrotnie już budzono we mnie nadzieję, a potem spotykał mnie zawód. Jak już mówiłem, nie jest pani pierwszą białą branką, która do mnie przychodzi.
- W tej chwili do pokoju weszła księżna Annabella.
- Przepraszam, że nie przyłączyłam się do was wcześniej. Gości u nas dwójka moich siostrzeńców i niania miała z nimi pewne kłopoty.
- Ross i Will zrelacjonowali jej przebieg dotychczasowej rozmowy. Margery natychmiast się zorientowała, że Annabella o wiele życzliwiej odnosi się do jej sprawy niż Ross.
- Cieszę się, że niezwłocznie do nas przyjechałaś - powiedziała. - Wyobrażam sobie, jak trudno jest nosić w sobie takie podejrzenie i nie móc się upewnić.
- Właśnie mówiłem - przerwał jej Ross - ile już razy i ja, i moi bracia byliśmy przekonani, że udało nam się odnaleźć siostrę, a potem okazywało się, że to pomyłka.
- Chyba nie zamierzasz tego tak zostawić?
- Nie ma wystarczających dowodów, Bello.
- Margery wiedziała, że ma tylko tę jedną, jedyną szansę.
- Rano, po moim omdleniu u Lancasterów, Will przyszedł do mojego pokoju, by sprawdzić, jak się czuję. Rozmawialiśmy o nazwisku Mackinnon i nagle słynęło mi na usta inne imię.
- Jakie? - Oczy Rossa zabłyśły z zaciekawienia.
- Alex. Kiedy wymówiłam: Alex Mackinnon, nagle usłyszałam własny głos: „Alexander. Miał na imię Alexander”. A potem stało się coś dziwnego. Natychmiast i bez namysłu dopowiedziałam: „Alexander i Adrian”. Nie mam pojęcia, dlaczego wymówi-

łam te dwa imiona razem i dlaczego nagle mi się nasunęły. Początkowo myślałam, że może Alex jest pańskim bratem. Spojrzała na Rossa i zauważyła, że księżę stara się ukryć silne emocje.

- Alex jest moim bratem... podobnie jak Adrian. To bliźniacy.
- Bliźniacy - powtórzyła Margery. - Pewnie dlatego i ja mam bliźnięta. Mam dwóch synów: Williama i Roberta - dodała z uśmiechem.
- W rodzinie jest kilka par bliźniąt. To częste u Mackinnonów.
- Cóż, to chyba wystarczający dowód... nawet dla takiego starego, podejrzliwego niedowiarka jak ty! - zawołała Annabella, wstając z krzesła. - Zadzwoń po Alice i każę podać butelkę wina... - Urwała i spojrzała na męża, który, jej zdaniem, nie robił wrażenia człowieka gotowego do świętowania. - Rossie Mackinnon, czyżbyś po tym, co usłyszałaś, miał jeszcze jakieś wątpliwości?
- Muszę mieć pewność, Bello. Przecież wiesz. - Zwrócił się do Margery: - Coś jeszcze? Czy pamięta pani coś, o czym ktoś spoza rodziny nie mógłby się bez większego trudu dowiedzieć?
- Margery upadła na duchu. Czuli, że pod powiekami zbierają jej się łzy.
- Nie - szepnęła. - Nic więcej nie pamiętam.
- Annabella zaczęła nerwowo krążyć po pokoju.
- Pamiętasz może jakieś wydarzenie... coś nadzwyczajnego, Boże Narodzenie albo jakieś inne święta?
- Margery potrząsnęła głową.
- Annabella niezadowolona krążyła po pokoju. Nagle zatrzymała się przy Rossie i wzięła go za rękę.
- Mam! Spróbuj ty przypomnieć sobie coś związanego z siostrą... coś, co mogłoby ponad wszelką wątpliwość udowodnić, że to ona. Coś, czego nikt inny nie może mieć. Coś równie pewnego jak świadectwo urodzenia. Może jakieś znamię? Ross potrząsnął głową.
- Jakaś blizna?
- Nic.

- Nie wierzę! Jak ktoś może przejść przez życie bez przynajmniej jednego wypadku, po którym zostałyby szrama. Pomyśl... - Annabella zamilkła gwałtownie, jakby w środku zdania piorun w nią strzelił. - Ross, co się stało?!

Margery spojrzała na księcia. Był równie blady jak stojąca przed nim na stoliku alabastrowa statuetka. Nie odrywała od niego wzroku, kiedy podnosił się powoli i szedł ku niej jak lunatyk. Zatrzymał się tuż przed nią.

- Proszę zdjąć buty.
- Zdjąć buty? - zapytała Margery, mrugając ze zdziwienia.
- Ross, czy jesteś pewien... - Annabella znalazła się u boku męża.

Książę uniósł rękę i żona zamilkła.

Margery pochyliła się i zdjęła pantofelki. Ross ukląkł przed nią i ujął jej lewą stopę. Obejrzał ją uważnie i sięgnął po prawą.

- Wielki Boże! - szepnął, pocierając kciukiem niewielką okrągłą bliznę na podbiciu.

Margery spojrzała na bliznę. Była stara, lśniąca, biała i gładka.

- Jak to się stało? - zapytał książę drżącym głosem.
- Ja... ja nie pamiętam. Zawsze ją miałam.
- Co to znaczy: zawsze?
- Od kiedy pamiętam.
- Była już, kiedy została pani pojmana przez Indian?
- Tak.

Książę zamknął na chwilę oczy, a spod spuszczonej powiek popłynęły łzy.

- Mogę ci wyjaśnić, jak to się stało - powiedział schrypniętym z emocji głosem. - Kiedy miałaś trzy latka, zeskoczyłaś z wozu i wylądowałaś na desce, z której sterczał długi gwóźdź. Przebił but, wbił się w podeszwę stopy i wyszedł górą, na podbiciu. Dobiegłem do ciebie pierwszy i zaniósłem cię na rękach do domu.

Margery stwierdziła, że także i po jej twarzy spływają łzy. Nie mogła wręcz uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Nikt nie zasługuje na tak wielkie szczęście. Nikt.

Nawet ona.

Ross podniósł się z klęczek i wydawało się przez chwilę, że nie będzie w stanie wydusić z siebie ani słowa.

- Ten dzień stoi jak żywy w mojej pamięci, wydaje mi się, że słyszę głos ojca, mówiącego, iż to paskudne skaleczenie i zostanie po nim do końca życia blizna. Dokuczaliśmy ci potem z braćmi, nazywaliśmy cię: Dziurawa Stopa. - Głos mu się załamał. Nie mógł więcej mówić. I nie musiał. Otworzył ramiona i Margery wtuliła się w nie, wyczuwając to wszystko, czego brat nie był w stanie powiedzieć.

W ten sposób, ponad dwadzieścia lat po porwaniu, Margery Mackinnon Woodville odnalazła w ramionach brata samą siebie. Crowowie powiedzieliby zapewne, że jest to dobre zakończenie tej historii, ale, prawdę mówiąc, był to dopiero początek.

Epilog

To była jedna z tych rzadkich chwil, które mogą się zdarzyć tylko raz w życiu i które rodziny wspominają potem, ilekroć spotkają się razem.

Margery stała pomiędzy Rossem a Willem i wpatrywała się w ucieleśnienie swych marzeń: w pełne oczekiwania twarze rodziny, którą miała zawsze, ale której nie znała.

Za chwilę zaczną się przemówienia, prezentacje, wspominki, łyż. Potem będzie piknik i gry, i huśtanie dzieci na kolanach. A jeszcze później zespół muzyczny zacznie grać, będą śpiewy i tańce przy świetle różnobarwnych lampionów, które rozjaśnią czerń nocy. A kiedy nadejdzie czas udania się na spoczynek, zebrani tu razem bracia będą jej znów tak bliscy jak w dniu, w którym została porwana.

Margery pomyślała o swej niekończącej się, wieloletniej tułaczce i o szczęściu wypełniającym teraz jej serce. Wsunęła dłoń pod ramię stojącego u jej boku mężczyzny i poczuła, jak udziela się jej siła męża. Łzy popłynęły po jej policzkach, kiedy bracia, których widziała ostatnio jako sześciolatnia dziewczynka, podchodzili kolejno i przedstawiali jej swoje rodziny.

Ród Mackinnonów.

Było ich ponad trzydzieścioro: pięciu braci, ich żony i dzieci. Alex i Katherine z Teksasu. Tavis i Elizabeth z Nantucket.

Nicholas i Tibbie z Cape Cod. Adrian i Maggie z Kalifornii. I wreszcie stojący u jej boku, mocno wrośnięty w szkocką ziemię Ross ze swą żoną Annabellą.

Przyglądała się każdemu z nich, wpatrywała się w twarze, które tak długo były jedynie zamglonymi cieniami, i myślała o tych, których tu brakuje, o rodzicach i bracie, zabitych przez tę samą grupę Indian, która ją uprowadziła w niewolę.

Nagle rysy braci zaczęły się zamazywać, jakby zasnuwały się mgłą. Usłyszała w oddali tętent kopyt końskich, zbliżający się coraz bardziej, aż wreszcie mogła dostrzec orle twarze Komanczów o czarnych, zaplecionych w warkoczyki włosach, w wojennych pióropuszcach, wydających przenikliwie, złowieszcze okrzyki. W końcu pamięć, która przez całe lata była zepchnięta w najdalsze zakamarki mózgu, została uwolniona.

Margery ujrziała samą siebie, taką, jaką była w 1836 roku, małą, sześciolatnią dziewczynkę, trzymającą kurczowo rękę matki. Wpatrywała się w Komanczów o wysokich kościach policzkowych i miedzianej skórze, pomalowanej w barwy wojenne. Widziała, jak powiewają na wietrze czerwone wstążki wplecione w ogony ich mustangów, które pędziły w dół z niewielkiego wzgórza. Widziała włócznie i łuki.

Usłyszała krzyk matki, niesiony echem przez wszystkie minione lata. Poczowała, jak oplata ją mocne ramię wojownika i przerzuca przez derkę na końskim grzbiecie. Wreszcie dobiegł ją własny krzyk, rozpaczliwe wołanie matki. A potem pamięć przestała podsuwać jej dalsze obrazy.

Margery zamrugała i znów zobaczyła przed sobą twarze braci. Wiedziała, że jej życie nieodwracalnie się zmieniło. Teraz przyszedł czas na wspomnienia, które będą troskliwie przechowywane w pamięci. Czas Willa i dwóch ukochanych synków, czas życia w Anglii.

Gdzieś z góry doleciał głos sokoła. W oddali, w błękitnej mgiełce, rysowały się ostre, wyniosłe, majestatyczne góry. Poczowała się nagle mała i niewiele znacząca. Stała cicha i nieruchoma, umocowana w przeszłości równie solidnej i mocnej jak

szare, kamienne mury zamku Dunford, siedziby klanu Mackinnonów. Ogarnął ją smutek. Wkrótce będzie po wszystkim i bracia rozjadą się do swoich domów.

Ale ona już nigdy nie zostanie sama.

Niezmienny cykl życia będzie trwał - narodziny, wzrastanie, śmierć, która przyjdzie pewnego dnia. Margery ukryła twarz na piersi męża i zmoczyła gors jego koszuli łzami szczęścia.

Życie idzie naprzód i jest takie piękne.

Zatrzyma pamięć o nim na zawsze.